

# KATARZYNA KOŁCZEWSKA

Inspirowana wspomnieniami  
rodzinnymi historia o konieczności  
dokonywania dramatycznych  
wyborów, walce o przetrwanie  
i tragicznych skutkach  
podejmowanych działań.



# ODZYSKAĆ UTRACONE

Prószyński i S-ka

KATARZYNA  
KOŁCZEWSKA

ODZYSKAĆ  
UTRACONE

*Prószyński i S-ka*

Copyright © Katarzyna Kołczewska, 2017

Projekt okładki  
Agata Wawryniuk

Zdjęcie na okładce  
© Mark Owen/Arcangel Images

Redaktor prowadzący  
Anna Derengowska

Redakcja  
Ewa Witan

Korekta  
Katarzyna Kusoń  
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8123-438-2

Warszawa 2017

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

# ROZDZIAŁ I

PAŹDZIERNIK 1950

Miranda siedziała przy łóżku śpiącego brata i pielęgnowała swoją niechęć do matki. Karmiła ją wspomnieniami, głaskała pretensjami, obsypywała pocałunkami żalów. Rozpamiętywała przeżyte dni, miesiące i lata tylko na jeden sposób. Obwiniła matkę o wszelkie nieszczęścia, jakie pamiętała, łącznie z wojną. Wprawdzie wybuch wojny trudno było logicznie powiązać z postępowaniem matki, ale reszta składała się w bardzo sensowną całość. I w mniemaniu córki niczego nie zmieniał fakt, że wojna skończyła się sześć lat temu i wydawało się, że wszyscy o niej zapomnieli.

Oderwała oczy od ciemnej przestrzeni za oknem i spojrzała na Januszka. Jego blada, drobna twarzączka ściągnięta była grymasem bólu lub strachu. A może jednym i drugim. Miranda nie raz widziała ten grymas na Syberii. U tych, którzy chcieli umrzeć i nie mogli. Jej mały, chory braciszek umierał. Umierał, odkąd się urodził. Jednak śmierć przychodziła po niego zbyt wolno. Januszek już dawno powinien był umrzeć, a mimo to nadal żył. Mirandy nie było tutaj, gdy się urodził. Nie miała pojęcia o istnieniu brata do ubiegłego tygodnia, kiedy to po wielu latach wróciła do domu i zastała matkę z Januszkiem, za to bez ojca.

Przysunęła świecę bliżej i przyjrzała się chłopczykowi. Spał mocno, pomimo bólu, jaki rysował się głębokimi bruzdami na udręczonej twarzączce. Gdy tak patrzyła na malca, jej serce wypełniała słodycz, która po chwili rozeszła się po całym ciele, wywołując uśmiech na twarzy młodej kobiety. Jej myśli nabrały jaśniejszych barw. Pokochała braciszka od pierwszej sekundy, a miłość ta była gorąca i jasna jak syberyjskie lato. Januszek miał wysokie i szlachetne czoło, takie jak u ich ojca. Od kredowobladej twarzączki mocno odcinały się sinoczną kreską wąskie usta. Oczy, przysłonięte cieniutkimi jak pergamin powiekami, otaczała szara chmura cienia. Chłopiec oddychał płytko,

nierówno. Miranda spojrzała na zegarek; zbliżała się północ, a matki nadal nie było w domu. Jak zawsze.

– Wmiesto towo, szto b sidiet’ zdies’ s toboj, maleńkaja pticzka, ona rieszajet swoi tiomnyje deliszki w gorodie – powiedziała z czułością i słodyczą po rosyjsku. – Nie wolnujs ja, ja zdies’. Ja s toboj i pozaboczus’ o tiebia.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Owinęła się mocniej swetrem i wstała, żeby dołożyć do pieca. Przyszedł październik i nocami robiło się chłodno. Kiedy otworzyła drzwiczki, ciepło pomarańczowych płomieni połąskotało jej twarz. Sięgnęła do węglarki i dorzuciła do ognia parę bryłek. Węgiel był ciężki, tłusty i idealnie czarny. To bardzo dobry węgiel. Palił się długo i dawał dużo ciepła. Nie widziała takiego przez ostatnie dziesięć lat. Wstała, zostawiając otwarte drzwiczki pieca, aby szybciej podnieść temperaturę w pokoju. Matka krzyczała na nią, kiedy tak robiła.

– Mirusia, marnujesz węgiel! Zamykaj drzwiczki, będzie się palił dłużej. Trzeba oszczędzać.

– Pociemu, proszę mamy? – pytała, patrząc matce zadziornie prosto w oczy.

Była wyższa i spoglądała na nią z góry. Nie rozumiała, po co oszczędzać, skoro w piwnicy miały pełno tego czarnego złota. Wystarczyłoby na trzy syberyjskie zimy, a co dopiero na jedną białostocką.

– Na cięższe czasy – tłumaczyła matka.

– Użę slizskom pozno – odpowiadała ze złośliwym uśmiechem Miranda i kiwała głową. – Nie znaju, znajet li mama, no samoje trudnoje wremia ostałos’ pozadi. Droga mamu.

To „droga mamu” czy „proszę mamy” brzmiały zawsze jak splunięcie w ustach dziewczyny. Zawsze, to znaczy od tygodnia. Od powrotu Mirandy z Sybiru. Jak wcześniej zwracała się do matki, tego już nikt nie pamiętał.

– Nie mów po rosyjsku, kiedy do mnie się zwracasz! – mówiła ze złością matka.

Zupełnie jakby nie mogła zrozumieć, że córka już nie pamięta polskiego. W chwilach napięcia, czyli zawsze przy matce, nie panowała nad mową, polskie słowa mieszały się z rosyjskimi.

Ciekawe, jak ty byś sobie poradziła bez węgla, bez jedzenia i bez ciepłego koca w syberyjską zimę, pomyślała Miranda. Czy otoczona jedynie przez Rosjan, nędzę, wiecznie głodna, poniżana i bita dbałabyś o polską mowę? Na czym będziesz oszczędzać, jak nic nie będziesz miała? Miranda nauczyła się, że nie należy niczego oszczędzać, bo w jednej chwili można wszystko

stracić.

Podeszła do okna i spojrzała na ciemną ulicę. Wzdłuż drogi stały równo małe drewniane domki, wszystkie takie same. Z dwuspadowym dachem i ścianą szczytową, zwrócone w stronę ulicy. Dwoma wąskimi oknami patrzyły znad drewnianych sztachet na uliczny bruk. Pomiedzy domami rosły już na wpół ogołoczone z liści wysokie szkielety drzew. Ulica, jakich wiele w Białymstoku. Miranda rozejrzała się po okolicy. Z okien sąsiednich domów ziała głucha ciemność. Zimne światło księżyca w pełni nadawało otoczeniu upiorny klimat. Ulica wyglądała na opuszczoną w popłochu przez mieszkańców, którzy porzucili wszystko i uciekli gdzieś, gdzie jest lepiej, bezpieczniej, cieplej, a ona i Januszek pozostali sami na tym świecie. Tylko ona i mały brat.

Januszek zakaszłał, co przywołało Mirandę do rzeczywistości. Podeszła do malca i położyła mu jedną rękę na policzku, a drugą na głowie. Jego ciało powoli traciło energię. Traciło życie. Czują to pod rękoma. Zamknęła oczy i zobaczyła wokół brata chmurę cienia, która wsysała go w siebie. Nadal spał, lecz już nie tak głęboko. Miranda pochyliła się i przyłożyła głowę do jego pleców. Serduszko chłopca nie biło, tylko szumiało. Wydawało z siebie przeciągłe: „szszuu, szszuu”, po czym następowała pauza i znowu: „szszuu, szszuu”. Pauzy były nierówne, szmery też, raz dłuższe, raz krótsze. Przez chwilę stała i trzymając dłonie na ciele brata, przekazywała mu swoją miłość. Ile tylko mogła i na ile jej tej miłości wystarczało. Aż zabrakło jej tchu w piersiach. Oddałaby mu nawet ten ostatni oddech, gdyby wiedziała, że to uzdrowi Januszka.

– Pojdu, prigotowliu tiebie zielje – szepnęła.

Pocałowała Januszka delikatnie w skroń, aby nie zaburzyć snu chłopca, wzięła z nocnej szafki jedyną świecę, jaka oświetlała pokój, i poszła do kuchni. Po drodze przekręciła czarny, ebonitowy włącznik przy drzwiach. Stawiał opór, ale w końcu poddał się jej palcom i obrócił. Zgodnie z oczekiwaniami Mirandy nic to nie dało, żarówka na ścianie pozostała ciemna i martwa, podobnie jak inne w całej okolicy. Dziewczyna wiedziała, że w nocy często wyłączali prąd. Matka jej tłumaczyła, że w czterdziestym czwartym Armia Czerwona, wynosząc się z wyzwolonego Białegostoku, zabrała ze sobą całą elektrownię, każdą maszynę, urządzenie, wszystkie zapasy węgla. Rosjanie pościnali słupy elektryczne i pozwijali kable, a potem załadowali na ciężarówki i wywieźli. Elektrownię i sieć odbudowano po

wojnie, w pośpiechu i tanio, więc teraz ciągle trzeba było coś naprawiać i robiono to nocą.

– Poza tym w nocy naród pracujący powinien spać i odpoczywać – tłumaczyła matka – aby rano wstać i wrócić do pracy, budować socjalistyczną Polskę. – Uśmiechała się i mrużyła oczy. Matka dużo się uśmiechała i śmiała, zbyt dużo i zbyt często.

Światło było jedynie przez parę godzin rano i wieczorem, po zmroku. Za to dla wszystkich. Każdy obywatel miał dostęp do luksusów elektryczności. Nie to, co przed wojną, za imperialistycznych rządów. Wtedy prąd mieli tylko wybrani. Obecnie mają go wszyscy i każdy równie mało. Co gorsza, ci, co przed wojną byli lepsi, to teraz stali się gorsi. Trochę jej się to myliło. Miranda nie rozumiała tylko, dlaczego oni wtedy mieli prąd, węgiel i pełną spiżarnię i teraz też tak mają. Już na zesłaniu i potem, w drodze powrotnej do Białegostoku, zorientowała się, że przez te lata wojny i po jej zakończeniu wybrani się zmienili, a im nadal się powodziło. Pytała matkę, jak to jest, że u nich piwnica pełna węgla, a spiżarnia jedzenia, kiedy u innych, sąsiadów i krewnych, jest gorzej, ale Maria zbywała ją zawsze tym samym wyjaśnieniem.

– Mirusia, to oczywiste, bo ja bardzo was kocham i dbam o was. – Mówiąc to, uśmiechała się szeroko.

Mirandzie wydawało się dziwne, że matka miałaby dbać o kogokolwiek, więc nie wierzyła w te zapewnienia. W ogóle nie wierzyła w żadne słowo matki.

Po ciemku poszła do kuchni, odchyliła pogrzebaczem fajerkę i dołożyła węgla pod blachę. Dolała do czajnika wody i postawiła go na ogniu. Januszek mógł się obudzić w każdej chwili i wtedy chętnie wypije zioła. Napar z melisy i naparstnicy, do tego trochę babki i kwiatu konwalii. Z odrobiną miodu, żeby chętniej pił. Całe szczęście, że wzięła ze sobą swoje syberyjskie zioła. Opuszczając wioskę w odległej Jugrze, gdzie spędziła tyle lat, nawet nie przypuszczała, jak bardzo będą jej potrzebne w Polsce. Usiadła na stołku przy kuchni, delektując się ciepłem. Po syberyjskich zimach już nigdy nie będzie jej dość ciepło ani nigdy nie będzie wystarczająco najedzona. Wszyscy jej to mówili, i tam, i tutaj, więc uwierzyła. Miranda jednak nie chciała się najadać, nie zależało jej na pełnym brzuchu i ciepłe na plecach. Miała inne, ważniejsze sprawy do załatwienia. Musiała uleczyć swojego brata. Wiedziała, miała pewność, że na nią czekał, chociaż jej nie znał. Matka i inni mówili, że

Januszek jest śmiertelnie chory od urodzenia i nie ma dla niego ratunku.

– Mirusia, nie rób sobie nadziei. To tylko kwestia czasu – tłumaczyła matka.

Ale Miranda wierzyła, że brat na nią czekał, żeby to ona mogła mu pomóc. Druga sprawa była bardziej skomplikowana, może nawet beznadziejna. Młoda kobieta pragnęła całym sercem odzyskać tamto życie i rodzinę. Tę sprzed zsyłki.

Woda zabulgotała w żeliwnym czajniku, ale trzeba było odczekać, aż nabierze odpowiedniej temperatury, aby zalać zioła. Nie należało tego robić zbyt wcześnie, bo straciłyby moc i stały się jedynie ziołową herbatką. Zalała wrzątkiem melisę i syberyjską mieszanekę, po czym odstawiła pod przykryciem do zaparzenia.

Teraz pomyślała o sobie. Wzięła z kredensu duży porcelanowy kubek. Lubiła te kubki od babci Szamretowej, przypominały jej tamten dom i tamtą rodzinę. Do tego domu i tej rodziny tęskniła przez dziesięć lat, a potem wracała długie tygodnie. Jak wielka była jej tęsknota za domem, rodziną i ojcem, tak wielkie przeżyła rozczarowanie po powrocie. Rodziny i domu nie było. Ojciec nie żył od pięciu lat, matka mieszkała w innym domu, przy innej ulicy. Miranda miała w sobie zbyt wiele żalu do matki, aby móc nazywać ją rodziną. Gienia wyszła za mąż, dziadek też nie żył. Nie mieszkali już razem, obok siebie. Wszystko było nie tak, jak powinno.

Nasypała do kubka kilka listków herbaty, dodała zaszuszonego kwiatu jaśminu ze swoich zapasów i zalała wrzątkiem. W nozdrza uderzył ją zapach letniego kwiatu. Zamknęła oczy i wciągnęła aromat. Pachniało zupełnie jak w czerwcowe, ciepłe syberyjskie wieczory.

„Żasmin nigdzie tak nie pachnie, jak w tajgii”, zapewniali Ostiacy. Żeby się o tym przekonać, musiałyby poczekać do czerwca. Czy ona ma siłę tak długo żyć? Czy kiedy Januszek wyzdrowieje, będzie dla niej jakieś życie?

Wsypała trzy łyżeczki cukru i sacharoza osłabiła zapach. Miranda próbowała nie korzystać z luksusów, jakie oferowała matka. Nie używała kosmetyków od niej poza mydłem, nie kupiła nowych ubrań, tylko nosiła rzeczy po matce albo po ciotce Adeli. Jadła tylko tyle, ile musiała, i bardzo proste dania. Po prawdzie dlatego, że jej żołądek niczego innego nie przyjmował. Jednak przekonywała siebie samą, że stała za tym pewna ideologia. Gotowała i pracowała w domu tak, aby mieć poczucie, że odpracowuje każdy posiłek. Jedyne, czego nie umiała sobie odmówić, to biały cukier.

Gdyby mogła, wyprowadziłaby się od matki już drugiego dnia po powrocie.



Jednak nie mogła, z powodu Januszka oraz ze względu na to, że nikogo z krewnych nie było stać, by ją przygarnąć. Jediną osobą, której dobrze się powodziło i na niczym nie zbywało, była matka.

Miranda zaniósła do sypialni na drewnianej tacy trzy kubki z gorącymi napojami i zapaloną świecę. Postawiła wszystko na nocnej szafce i usiadła na brzegu dużego, małżeńskiego łóżka jej rodziców, które teraz dzieliła z bratem. Postanowiła poczekać, aż Januszek się obudzi. Popijała herbatę, trochę czytała książkę przy nikłym świetle świecy, zasłuchana w ciszę. Czuła się nieswojo, niepewnie. Ta cisza i to nieznanne milczenie wiatru. Na Syberii wiatr nigdy nie ustawał. Wciąż wiał, wydając jakieś dźwięki, huczał, gwizdał, szumiał, mruczał lub szeptał. Nigdy nie milkł. Tutaj panowała idealna cisza.

Nagle przerwało ją stuknięcie drzwi wejściowych. Wyczulone w tajdze ucho Mirandy usłyszało szelest, zanim jeszcze matka nacisnęła klamkę. Szybko zerwała się z łóżka, zdmuchnęła świecę, przebiegła na drugą stronę pościania i w pośpiechu położyła się obok brata, naciągając na siebie kołdrę. Słyszała, jak matka tłucze się w sieni. Pewnie próbowała po ciemku odnaleźć drogę i omijać sprzęty. Potem skrzypnęły drzwi do kuchni. Słychać było kroki na drewnianej podłodze. Ciche, stępione, powolne i nierówne, jakby się chwiała. Widocznie zdjęła buty i szła powoli, na bosaka, aby ich nie obudzić. Rozległ się dźwięk zapałki mocno potartej o draskę, syk fosforu. Na chwilę zapadła cisza, a potem znowu zabrzmiały kroki, ciche, delikatne, coraz bliższe. Zaskrzypiała deska w podłodze. Głuchy odgłos uderzenia pięty w próg sypialni. Miranda usłyszała oddech matki tuż przy ich łóżku. Szelest kołdry po stronie Januszka, a potem kroki coraz bliżej i bliżej. Poczowała dotyk ręki na swoich plecach. Musiała bardzo nad sobą zapanować, aby się nie wzdrygnąć. Usta matki na jej włosach. Szybki pocałunek w czubek głowy. Jak wtedy, kiedy była mała i dzieliła łóżko z Busią, a rodzice przychodzili pocałować je na dobranoc. Mocniej zacisnęła powieki i pięści pod kołdrą.

Nie mogła wybaczyć matce tego, że jej nie było, kiedy przyszli żołnierze i zabrali wszystkich, których wtedy znaleźli w domu. Wzięli babcię Władzię, wujka Ziutka i Janka, a także Busię i ją, Mirandę. Nie mogła wybaczyć, że Maria nie wyciągnęła ich z baraku na Węglówce, gdzie czekały na wywózkę. Nawet nie przyszła ich pożegnać razem z ojcem. Zakradł się w nocy, przekupił strażników, przyniósł walizkę z jedzeniem, ciepłymi ubraniami i ukrytym złotem, a potem ucałował je ostatni raz. Matka nie przyszła, nie dała się z nimi wywieźć, a przecież niby tak je kochała, dbała o nie.

Słyszała, jak Adela mówiła, że podczas wojny matka umiała wszystko załatwić, a tego nie mogła? Prawie w ogóle nie przysyłała paczek. Nie miały leków, kiedy tak bardzo ich potrzebowały. Nie dostały paczki z kaszą, kiedy głodowały, i ani jednego koca przez kilka kolejnych zim. Miranda obwiniła matkę o zmarnowanie jej dziesięciu lat życia na syberyjskiej zsyłce, o śmierć babci Władzi i Busi. I miała ku temu powody. Bardzo mocne.

Długie lata nad tym myślała i wszystkie kawałki układanki połączyły się w głowie w logiczną całość. Na dodatek, kiedy wreszcie po długiej wędrówce wróciła do Białegostoku, do życia, ludzi i miejsc, które kochała i za którymi tęskniła, przeżyła olbrzymie rozczarowanie. W rzadkich listach matka nie poinformowała córki o bombie, która zniszczyła ich dom i zabiła ojca. Miranda nic nie wiedziała o narodzinach Januszka, a przede wszystkim o tym, że matka zmieniła nazwisko. Podobno „Szamreta” było zbyt ziemiańskie. Przyjęła panięskie nazwisko swojej matki – Stasiak. Miranda Szamreta nie mogła jej tego wszystkiego wybaczyć. Po prostu i po ludzku.

## ROZDZIAŁ II

PAŹDZIERNIK 1950

Maria Szamreta, obecnie Stasiak, przysiadła na brzegu łóżka i położyła rękę na kołdrze w miejscu, gdzie dało się wyczuć plecy córki. Jedynej, która jej została. Jeszcze tydzień temu sądziła, że już nigdy nie zobaczy swojego najstarszego dziecka. Prawie dwa lata temu o Mirusi zaginął wszelki śluch. Uznała, że córka już się nie odnajdzie, tak jak najmłodszy brat jej męża, Janek. Albo umarła na Syberii, jak młodsza córka, Busia, albo pozostała tam i ułożyła sobie życie jak syn sąsiadów. Jakikolwiek scenariusz układała sobie Maria w ciągu ostatnich miesięcy, przez myśl jej nie przeszło, że córka może wrócić. Straciła wszelką nadzieję i przeszła żałobę. Pogodziła się z tym, że córki umarły, a syn wkrótce do nich dołączy i ona zostanie sama. Bez żadnego z trójki swoich dzieci.

Ale kiedy Mirusia niespodziewanie pojawiła się w domu na Przygodnej, to po zaledwie paru dniach radości z odzyskania dziecka okazało się, że Maria jednak straciła obie córki tam, na Syberii. Wynędzniała, zabiedzona i śmierdząca młoda kobieta, przyprowadzona pewnego dnia przez szwagierkę, w niczym nie przypominała tamtej pełnej radości trzynastolatki, która nagle zniknęła z jej życia.

Dwudziestotrzylatka, mieszkająca teraz w jej domu, wyglądała na rówieśnicę Marii i była zagadką. Nie znała tej Mirandy. Rozpoznawała rysy twarzy, umiała dostrzec podobieństwo, nie umiała jednak rozszyfrować min i zachowania, nie odgadywała w lot myśli ani potrzeb. Nie wiedziała, jak ma się do niej zwracać, o czym może mówić, a o czym nie.

Maria poprawiła kołdrę. Ciepłą, puchową, jeszcze sprzed wojny. Wyczuła pod palcami niewielki kwiatowy haft na poszwie, śliski i wygładzony od maglowania. Zadała sobie pytanie, kim jest kobieta pod tą pachnącą mydłem i lawendą pościelą. Maria nie wiedziała, co przeszła Mirusia, nie wiedziała,

czego oczekiwać. Do jakiego stopnia zaufać córce. Mieszkała teraz z obcą sobie, rozgoryczoną kobietą. W dzieciństwie przekonała się sama, poznała na własnej skórze, jak wielkie szkody w ciele ludzkim robi głód i zimno. Wiedziała, jakie spustoszenie w duszy człowieka może wywołać nędza. Czy to samo stało się z Mirandą?

Stasiakowa wstała i przeszła z sypialni do pokoju stołowego. Zbliżyła się do ustawionego w kącie tapczanu, który teraz był jej łóżkiem. Spojrzała jeszcze w okno na ulicę. Zauważyła otwartą furtkę. Westchnęła z niechęcią, owinęła się dużą wełnianą chustą i wyszła, by ją zamknąć. Przez chwilę stała, patrząc w jasne oblicze księżycy. Zimne, wręcz upiorne światło wywołało dreszcz. Maria w pośpiechu wróciła do domu i zamknęła drzwi wejściowe na klucz oraz dodatkowo na haczyk.

Nie mogła usnąć, ciągle myślała o córce. Widziała jej złość, tęsknotę za czymś, czego już nie ma, zagubienie w życiu, którego nie знаła. Maria widziała też, z jakim wysiłkiem Mirusia uczy się wszystkiego od nowa. Najprostsze czynności sprawiały jej kłopot. Używanie sztucców, toalety ze spłuczką, domowych sprzętów. Nie potrafiła usmażyć schabowego, nie dbała o higienę, zęby myła od czasu do czasu, tylko wtedy, kiedy jej przypominano. Nie zmieniała butów w domu ani nie zdejmowała ubrania na noc; dopiero kiedy Maria parę razy przyniosła jej wieczorem koszulę nocną, córka zaczęła się przebierać. Miranda musiała nauczyć się wszystkiego od nowa.

Przez te kilka dni Stasiakowa próbowała, starając się z całych sił, nie umiała jednak doszukać się w córce tamtej radosnej dziewczyny. Mirusia wyglądała na czterdzieści lat. Włosy poprzetykane siwizną, jak jej, Marii. Pokryte plamami i bliznami policzki, połamane, przebarwione zęby. Szare oczy, pozbawione typowych dla Szamretów zielonożółtych plamek, otaczała siatka zmarszczek. Może jak się odżywi, kiedy nabierze ciała, a policzki jej się wypełnią, te zmarszczki znikną. Może kiedyś odmrożone palce i nos odzyskają normalny kolor, myślała Maria.

Jeszcze tego popołudnia stała ze znajomą z dawnych lat, Łopaniukową, odpowiadała na natrętne pytania i wysłuchiwała niepotrzebnych komentarzy tamtej.

– A jak się czuje Mirusia? A jej zdrowie? Bo to wie pani, jak to jest z tymi, co wrócili. Często są tak chorzy, że ich trudno wyratować. A bardzo się zmieniła? Podobno Sybir zmienia człowieka, o tak, zmienia. – Łopaniukowa kiwała głową.

Spotkały się na ulicy Słonimskiej, tuż obok budynku, gdzie kiedyś, za innych czasów, Witold Kościa prowadził swój sławny salon dla białostockiej inteligencji.

– Mirusia jest zdrowa, Bogu dzięki – stwierdziła Maria, chociaż wiedziała, że z Bogiem nie ma to zbyt wiele wspólnego. – Oczywiście jest osłabiona i Sybir wycisnął na niej swoje piętno, ale teraz już tylko może być lepiej. – Uśmiechnęła się nieszczercze. – Ważne to, co będzie teraz i dalej. To, co Mirusia robi ze swoim życiem. Wróci do szkoły, zdobędzie zawód, znajdzie sobie męża – opowiadała sąsiadce, opierając się o mur, który nadal nosił na sobie ślady kul i wojennej pożogi.

Łopaniukowa niby słuchała, ale nie patrzyła w oczy Marii, tylko grzebała czubkiem buta w jesiennym błocie zalegającym ulice Bojar.

Matka Mirusi chciała wierzyć w te plany na przyszłość. Starła się, jak mogła, myśleć o spokojnej przyszłości. Ich wspólnej, jako rodziny. Tak czy inaczej, są najbliższą rodziną. Mirusia to jej dziecko i już tutaj zostanie. Muszą się nauczyć siebie od nowa. Muszą nauczyć się być rodziną. Być matką i córką. Bez względu na to, co przeszła każda z nich.

Maria wychowała się w robotniczej rodzinie i wiedziała, co to głód, nędza, choroby i wszy, pamiętała, jak potrafią uprzykrzyć życie.

Miranda nadal miała wszy, przyjechały z nią z Syberii. Przez te kilka dni starała się ich pozbyć na wszystkie znane sposoby. Codziennie myła głowę, wyłuskiwała je z włosów, wytrzepywała z ubrania i pościeli. Niestety, bezskutecznie. Maria miała świadomość, że mogą przeskoczyć na Januszka, ale nie mogła pozbawić synka kontaktu z Mirusią. Chłopiec rozpromieniał się i ożywił na widok starszej siostry. Pokochał ją całym swoim małym, chorym i słabym serduszkim. Matka widziała też, że ta miłość od pierwszego wejrzenia jest w pełni odwzajemniona przez córkę.

Po paru dniach pobytu Mirusi w domu Maria scedowała na córkę całą opiekę nad Januszkiem. Widać było, że ona to lubi. Nie przeszkadzało jej, że brat jest ułomny i chory. Podobno tam, na Syberii, leczyła ludzi. Bywało, że ludzie, którzy stamtąd wracali, mówili Marii o córce. Nazywano ją znachorką czy szamanką z Biełastoka. Dopiero przed dwoma laty wszelki słuch o niej zaginął i nikt z powracających nie wspominał już Mirandy Szamretów.

Stasiakowa westchnęła ciężko. Nie mogła zasnąć. Raz jeszcze poczępała do kuchni. Nalała sobie kieliszek nalewki i wychyliła do dna. A potem jeszcze jeden. Wiśniówka w marnym świetle świecy wydawała się niemal czarna.

Maria poczuła w głowie miły szum, a obraz zaczął się rozplýwać. Poszła raz jeszcze do pokoju w głębi domu, gdzie spały dzieci. Dorzuciła parę grudek węgla do pieca, pocałowała synka w blade czoło i córkę w czubek głowy.

Nie bała się wszy, już w dzieciństwie nauczyła się z nimi żyć. Swoich córek tego nie uczyła. Pochodziły z dobrego domu, nie potrzebowały takich porad. Uczono je francuskiego, gry na pianinie, rysunku, gier towarzyskich i dobrych manier. Przez całe lata Maria żałowała, że nie nauczyła córek życia w chłodzie i biedzie. Nie nauczyła ich zaradności, radzenia sobie w trudnych warunkach, przygotowywania posiłku z niczego. Nie nauczyła córek pracy, znoszenia zimna i niewygody.

Może gdyby nie to, wróciłyby obie? Może gdyby wiedziała, co się wydarzy, to zamieszkałaby z dziećmi u swojego ojca? Rodzin robotniczych tak często nie wywozili. Przynajmniej wtedy. Może gdyby nie było dzieci w domu, kiedy przyszli po Emila... Może gdyby ona była wtedy w domu, mogłaby coś zrobić... Może... Może... Może... Maria nie umiała sobie wybaczyć, że wszystko potoczyło się w najgorszym możliwym kierunku bez jej kontroli. Nie umiała sobie wybaczyć, że straciła nadzieję na powrót córki i nie była przygotowana, a przecież obiecywała sobie kiedyś, że zawsze będzie na nią czekać. Wielu rzeczy nie umiała sobie wybaczyć. Tak zwyczajnie, po ludzku.

## ROZDZIAŁ III

MARZEC 1940

Józef Szamreta stanął w progu kuchni swojego domu przy Słonimskiej. Dom był duży, kuchnia też spora, a jednak miało się wrażenie, że zbyt mała jak na atmosferę w niej panującą i liczbę zgromadzonych osób. Senior rodu oparł się o framugę drzwi i pełen satysfakcji patrzył, jak w pomieszczeniu uwijają się cztery kobiety. Jego dwie córki, Adela i Genowefa, oraz dwie synowe. Nadmiar zapachów przyprawiał o zawrót głowy. Gotujący się bigos pachniał liściem laurowym, grzybami i wędzonką. Natarty porządnie majerankiem i upieczony schab stygł na stole pod uchylonym oknem. Z otwartych drzwiczek piekarnika dolatywał zapach migdałów i wanilii.

– Wojna wojną, ale święta muszą być! – zawołał Emilian, najstarszy syn Józefa, przeciskając się obok ojca w drzwiach. Wniósł dwa wiklinowe kosze i postawił je na stole kuchennym tuż obok schabu. Pochylił się nad blachą z mięsiwem i zaciągnął zapachem.

– A gdzieś ty się tak długo podziewał? – zapytała Maria, jego żona. Podeszła do męża i uderzyła go lekko w ramię. – Zostaw! – poleciła. – Nawet nie próbuj tego schabu, to dopiero na jutro.

– Marysiu, jak mam nie wachać, kiedy tak pięknie pachnie? – Emilian wyprostował się, przygarnął ją do siebie i mocno objął w tali.

Pochylił się, żeby złożyć na ustach Marii pocałunek, ale przeszkodziła mu młodsza siostra, Adela.

– Ejże, Emil – odepchnęła go biodrem, niosąc wielki, żeliwny gar – mógłbyś, proszę, wynieść to do sieni?

I zanim się obejrzał, zamiast Marii trzymał w ramionach ciężki i gorący sagan. Rzucił żonie spojrzenie pełne żalu i obietnicy i poszedł do sieni.

– Tata stoi znudzony w samym wejściu. Może jakiegoś zajęcia mu poszukać? – zawołał Emil, mijając w progu Józefa, i mrugnął do ojca, który poklepał

syna po ramieniu. Jego pierworodny, duma i przyszłość rodu.

– Tak tylko patrzę i napatrzeć się na was nie mogę – odpowiedział. – Jak wy to robicie, moje drogie, że pomimo wojny i ciężkich czasów tyle wspaniałości naszykowałyście? Prawdziwe czarodziejki.

– Nie słyszał tata? Wojna wojną, ale święta muszą być. – Maria powtórzyła słowa męża.

– Nic takiego nie szykujemy, skromnie będzie w tym roku, jak nigdy – narzekła Adela, marszcząc wysokie czoło.

– Chętnie tatę przyjmujemy do pomocy. Przyda się każda para rąk – odezwała się jej starsza siostra, Genowefa.

– W czym ja mógłbym wam pomóc? – zaśmiał się. – Na robocie kuchennej się nie znam, a poza tym miło tak patrzeć na rodzinę.

– Niech tata zajrzy, co tam Emil przyniósł – poprosiła młodsza córka, pokazując brodą koszyki na stole.

Józef zajrzał do koszy, podnosząc lniane ściereczki, którymi były przykryte.

– Jajka – odpowiedział, zajrzawszy do pierwszego – i łupiny cebuli – dodał po sprawdzeniu zawartości drugiego.

– W końcu! – ucieszyła się Adela.

– Trzeba już postawić łupiny na ogień, muszą naciągnąć koloru – zawyrokowała Maria. – Inaczej znowu kraszanki wyjdą za jasne, jak rok temu.

– Zawsze wszystko na ostatnią chwilę. Emil powinien był przynieść łupiny rano. Czasu mało, ze święconką powinniśmy zaraz iść – gderała Genowefa, przesypując łupiny cebuli do stojącego na ogniu garnka. – Może tata by zajrzał do dzieci, co robią, a nie nam na ręce patrzył?

– Gdzie są te moje wnuczki kochane? – zapytał Józef Szamreta, prostując się.

– Prosiłam Mirusię, żeby się zajęły przygotowaniem koszyczka na święcone. Właśnie Irenka poszła im pomagać.

– A gdzie Ziutek? – zapytał o drugiego syna.

– Z Jankiem u Stawoszków – odpowiedziała Adela. – Sadze zatkały im komin i omal domu nie spalili na same święta.

Genowefa pokiwała głową, z dezaprobatą mieszając łupiny cebuli w garnku.

– Akurat teraz. Czas już wychodzić do kościoła, jajka jeszcze niepomalowane, a tych dwóch poniosło! – zawołała, podnosząc ręce do góry w geście zgrozy.

– Może to i dobrze, bardziej by przeszkadzali, niż pomagali. – Adela z przekonaniem pokiwała głową, pochylona nad stolnicą. Zagniała kruche



ciasto na świąteczną szarlotkę. Ich ojciec i brat uwielbiali szarlotkę z kruszonką i cukrem pudrem na wierzchu.

– Emil – zawołała starsza z sióstr do wchodzącego do kuchni brata – przynieś, proszę, z ziemianki pętko kiełbasy do święcenia!

– Jak po kiełbasę, to bardzo chętnie pójdę. Już się robi! – zawołał Emil i mrugnął w stronę żony, która uśmiechnęła się i pokiwała mu palcem. Udał, że tego nie widzi. Rola posłańca wyraźnie mu odpowiadała.

– Tylko nie podjadaj kiełbasy, bo dzisiaj jeszcze post! – zawołała Maria za mężem, wiedząc, że ten i tak nie oprze się pokusie.

Emilian wyszedł z domu. Stał na podwórzu i nabrał w płuca świeżego powietrza. Zmęczył go zaduch panujący w kuchni. Wokół podwórza stały trzy domy, największy, ten ojca, najbliżej ulicy. To tam trwały przedświąteczne przygotowania. W nim urodził się Emil i wszyscy pozostali z rodzeństwa Szamretów – młodszy brat Józef, zwany przez wszystkich Ziutkiem, siostry oraz najmłodszy ze wszystkich, Janek. Okazały drewniany budynek był jednym z największych w okolicy. Piętrowy, z pomalowanymi na biało oknami i okiennicami. Duży balkon na piętrze niemal wisiał nad płotem od strony ulicy. Obok stał dom Emila, gdzie mieszkał z żoną, teściową i córkami, Mirandą i Bogumiłą. Trzeci, najmniejszy na posesji, ten w głębi podwórza, zajmował Ziutek z młodą żoną, Ireną. Pomiędzy budynkami pięły się w górę stare, rozrośnięte olchy. Ich korony sięgały wysoko ponad dachami ku szaremu niebu. Jeszcze na trawie i dachach domów leżało trochę śniegu, a w powietrzu nadal czuło się mróz. Zima odchodziła niechętnie, chociaż poprzedniego dnia pojawiło się na moment mocne, wiosenne słońce. Wróble ćwierkały, siedząc na gałęziach jabłoni pomiędzy zamkniętymi jeszcze pąkami liści. Oby nie zaczęło padać, pomyślał Emilian, patrząc na sunące po niebie szarobure chmury, bo zmokniemy w drodze do kościoła. Udzieliła mu się świąteczna atmosfera. Na chwilę zapomniał o wojnie, o Sowietach panoszących się w mieście, o własnej bezradności i bezsilności, panującym wszędzie chaosie i niepewności. Niemal każdego dnia bił się z myślami. Co powinien zrobić? Jak walczyć o wolność ojczyzny? Jak teraz być oficerem?

Początek wojny zaskoczył wszystkich, Emila również. Nagle stracił sens i cel w życiu. Zawsze był oficerem Wojska Polskiego. Taki był jego zawód, powołanie, pasja, a głównym celem stało się robienie kariery wojskowej. Nagle wszystko się zmieniło. Jego pułk rozbrojono w pierwszych dniach października, a on sam został zdemobilizowany i kazano mu wrócić do domu.

I wrócił. Tylko co miał teraz robić? Kim być?

Popatrzył znowu w chmury, jednak niebo wyglądało tak jak zawsze na wiosnę. Żadnej wskazówki, żadnych odpowiedzi, znaków. Nic się nie zmieniło. Chmury były szare i ciężkie, resztki śniegu brudne po całej zimie, ściany domów czarne od wilgoci, a wróble ćwierkały jakby nigdy nic. W taki sam sposób jak wiosną trzydziestego dziewiątego lub trzydziestego ósmego, czy w poprzednich latach. Jakby świat natury nic sobie nie robił z tego, że jest wojna.

– Emil, dobrze się czujesz? – usłyszał za plecami.

Zmusił twarz do uśmiechu, jak zawsze przy rodzinie, odkąd to wszystko się zaczęło. Udawał, że nadal jest oficerem, może obecnie bez zajęcia, bez szabli i pagonów, wciąż jednak starał się nim być albo przynajmniej utrzymywać rodzinę w takim przekonaniu. Kiedy odwrócił się w stronę stojącej za nim Ireny, jego twarz wyrażała pogodę i pewność siebie. Jak zawsze.

– O tak, Irenko, wybornie! Tylko duszno w domu i kiszki mi marsza grają od tego dwudniowego postu! – zaśmiał się i pomasaował dłonią brzuch.

Bratowa patrzyła na niego swoimi dużymi sarnimi oczami. Miała smutne spojrzenie, a jednocześnie takie aksamitne. Podeszła do niego bliżej; była owinięta dużą wełnianą chustą, ramiona ciasno splótła na piersi.

– Martwisz się, co będzie? – zapytała, patrząc mu w oczy.

Emilian machnął ręką.

– Będzie dobrze, Irenko, do lata wojna się skończy – odpowiedział, udając pewność siebie, której tak naprawdę nie czuł.

Bratowa przekrzywiła głowę. Jej młoda, ładna twarz zasnuła się smutkiem.

– Podobno Sowieci uwzięli się na inteligencję. Aresztowali już wielu ludzi. Inni potracili posady. Zabierają domy, okradają, a nawet gorzej. Po prostu wchodzą jak do siebie – powiedziała, spoglądając na swój dom, którym jeszcze nie zdążyła się nacieszyć. Byli z Ziutkiem małżeństwem zaledwie kilka miesięcy.

– Ludzie gadają głupoty, co im ślina na język przyniesie. Nie powinnaś tego słuchać – skwitował Emil.

Nadal nie patrzył na bratową. Ta rozmowa zaczęła go męczyć. Co innego rozmyślać o tym samemu, przejmować się, a co innego okazać słabość.

– Wielu zabrali w lutym i wywieźli. A jak po nas przyjdą?

– Jakby nas mieli zabrać, to już by zabrali.

– Niektórzy opowiadają, jak to było w dziewiętnastym i dwudziestym.

Opowiadają, co wtedy Sowieci wyprawiali, co się działo podczas rewolucji – ciągnęła młoda kobieta.

– Irenko – Emil położył ręce na jej ramionach – po co tak myśleć? Po co to gadanie? Przecież to wiele lat temu. Ponad dwadzieścia. To już nie są ci sami ludzie. Sowieci też się cywilizują. Mamy lata czterdzieste dwudziestego wieku. Świat poszedł do przodu. Nie będzie tak jak wtedy.

Emilian słabo pamiętał wojnę bolszewicką. W tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku Józef Szamreta zdążył wywieźć całą rodzinę pod Warszawę, a pod koniec roku dwudziestego jego najstarszy syn rozpoczął oficerską edukację w garnizonie w Grudziądzu. Emil nie widział wojny z Sowiecami, nie miał z nimi kontaktu, niewiele o tym słyszał. Inne sprawy zaprzętały wówczas jego młodzieńczą głowę.

Młoda kobieta z ufnością spojrzała mu w oczy.

– Boję się Sowieców.

– Wiem, ale nie warto się martwić. Idzie wiosna, ruszą się Francuzi i Brytyjczycy. Wojna szybko się skończy. Do lata będzie po wszystkim. A Sowieci, tak jak przyszli, tak się wyniosą.

– Poprzednia trwała dwa lata. Jak my damy radę przetrwać tyle czasu?

– Tym razem będzie szybciej, zobaczysz – pocieszył ją i przyciągnął do siebie, Irenka skuliła się w jego ramionach. Poczuł, jak jej loki łaskoczą go w twarz. Zadrżała.

– Zimno ci.

Odsunęła się od niego.

– Szłam do domu po wstążkę – wyjaśniła, ukradkiem ocierając łzę z kącika oka. – Dziewczynki uparły się, że przy koszyku mają być kokardy ze złotej wstążki. – Uśmiechnęła się lekko. Poczuła ulgę; skoro Emil mówi, że będzie dobrze, to będzie.

Zazdrościł bratowej. Zazdrościł jej, że może okazać słabość, może się bać, mieć wątpliwości, płakać. On nie mógł. On nadal musiał trzymać fason, jak nakazywał honor oficera.

– A ja muszę iść do piwnicy po kiełbasę. – Na chwilę zawiesił głos i dodał szeptem, pochylając się nad nią: – I prawdę mówiąc, śpieszno mi tam bardzo, żeby spróbować tej jałowcowej z Hajnówki. Od tego postnego jedzenia żołądek mi się skurczył.

Irena uśmiechnęła się szeroko, posłała mu całusa ręką i odwróciła się w stronę domu, a Emil ruszył w głąb ogrodu do ziemianki.

Żadne z nich nie wiedziało, że wojna miała potrwać dłużej niż dwa lata, a oni oboje nie doczekają jej końca.

## ROZDZIAŁ IV

PAŹDZIERNIK 1950

Miranda użyła całej siły woli, żeby się obudzić i otworzyć oczy. Znowu miała ten okropny sen. Uciekała przez tajgę, między olbrzymimi cedrami, brodziła pokaleczonymi bosymi stopami w głębokim śniegu, omdlewała ze zmęczenia. Gonił ją konwojent. Był wielki jak niedźwiedź, większy niż jakikolwiek człowiek, którego dotąd widziała. Z jego ust buchał ogień, a karabin trzymany w rękach wił się jak wąż, chcący ją dopaść i owinąć się wokół szyi. A ona biegła, żeby się schować za najbliższym drzewem, ale drzewo cały czas przed nią uciekało.

Obudziła się ze ściśniętym gardłem i łomoczącym sercem. Sen minął, a strach został, leżał razem z nią pod kołdrą. Dyszała ciężko. Szeroko otwartymi oczami patrzyła w jaśniejący w ciemności, pobielony sufit, w zwisający z niego mosiężny żyrandol z żółtym abażurem. Potem rozejrzała się po pokoju. W ciemności powoli rozpoznawała sprzęty. Wielką, trzydrzwiową szafę z lustrem, masywnymi nogami i rzeźbionymi okuciami. Toaletkę z politurowanego drewna orzechowego, nakrytą białą szydełkową serwetką. Kafłowy piec.

Słuchała ciszy zalegającej w domu i świszczącego oddechu śpiącego obok Januszka. Przytuliła się do niego, szukając ciepła i energii żywej istoty. Nie znalazła ich w ciele brata. Poczowała, jakby jakaś czarna dziura zaczęła ciągnąć z niej siłę. Miała jej zbyt mało, aby móc się dzielić. Musnęła ustami włoski brata i odsunęła się od niego.

Leżąc w ciemności, powoli uświadamiała sobie, że ten dom jest dla niej obcy, a strach przed upiornym konwojentem znajomy. Okropny, ale znajomy. W tajdze, w śniegu, w syberyjskiej chacie pomiędzy strzelistymi drzewami, była u siebie. Tutaj czuła się obco. Nie potrafiła myśleć, że to jest jej dom. Chrzęknęła cicho. Zaszło jej w gardle. Przez chwilę nasłuchiwała, czy

z sąsiedniego pokoju, gdzie spała matka, nie dochodzą jakieś dźwięki. Nie chciała się z nią spotkać, idąc do kuchni. Wokoło panowała cisza. Miranda opuściła nogi i wsunęła stopy w wielkie stare kapcie, jeszcze po dziadku. Naciągnęła na siebie wiszący na krześle ciepły wełniany sweter, po Adeli, i poczłapała w stronę kuchni. Musiała przejść przez pokój stołowy, gdzie w rogu spała matka. Młoda kobieta starała się iść jak najciszej, omijając te najbardziej skrzypiące deski w podłodze. Nie patrzyła w tamten kąt pokoju. Aż drgnęła przestraszona, słysząc głos Marii.

– Miałaś zły sen, Mirusiu – powiedziała matka. Ni to pytanie, ni stwierdzenie.

Miranda odruchowo spojrzała w jej stronę. Już miała coś odburknąć w odpowiedzi i szybko odejść. Tak chciała zrobić, ale pewna rzecz przykuła jej uwagę, wręcz wmurowała ją w podłogę. Maleńka czerwona plamka, żarząca się w ciemności, i zapach niebieskiego dymu z papierosa w dłoni matki zrobiły na niej piorunujące wrażenie. Zaciągnęła się delikatnym zapachem dymu tytoniowego. Poczowała ucisk w żołądku, ręce jej zadrżały. Bezwiednie obróciła się w stronę tapczanu.

– Chcesz zapalić? – zaproponowała Maria. Pomimo ciemności dostrzegła, a może wyczuła, reakcję córki. – Palisz? – rzuciła pytanie i od razu sobie odpowiedziała: – No tak, palisz. Nie wiedziałam – dodała.

Miranda bardzo chciała odmówić i odejść. Nie mogła. Przez chwilę stała na środku pokoju. Gdzieś pomiędzy stołem a szyfonierką matki.

– Poczęstuj się. – Matka sięgnęła po leżące na szafce obok łóżka pudełko papierosów i wyciągnęła je w stronę córki. W jej głosie słychać było życzliwość.

Miranda już nie umiała się powstrzymać. Podeszła, drżącymi rękoma wyjęła jednego papierosa z paczki i nachyliła się w stronę matki, aby go odpalić od maleńkiego płomyka z podsunętej zapalniczki. Zaciągnęła się zachłannie. Przytrzymała dym w płucach tak długo, jak się dało, aż do bólu. Potem mocno wypuściła powietrze i razem z wydechem doznała nagłej ulgi. Coś w niej osłabło, zmiękło. Opadła na łóżko. Maria szybko się odsunęła, robiąc miejsce obok siebie.

Po chwili obie siedziały oparte plecami o wiszący nad łóżkiem gruby kilim. Dzięki niemu ściana była ciepła i miękka. Nogi wyciągnęły do przodu i okryły kołdrą. Pomiedzy nimi spoczęła ciężka kryształowa popielnica. Zaciągały się w milczeniu i wypuszczały dym daleko przed siebie, a on tańczył w delikatnej

poświacie księżycyca wpadającej przez okno do pokoju.

Ku zaskoczeniu obu ciszę przerwała Miranda.

– Dobry tytoń. Nigdy w życiu takiego nie paliłam – powiedziała po polsku, starannie wymawiając słowa.

– Amerykański – odpowiedziała z uśmiechem Maria, a potem znowu się zaciągnęła dymem. – To camele.

Na tapczanie ponownie zapadła cisza. Miranda rozkoszowała się tytoniem, tym, co robił z jej ciałem i umysłem. Niemal czuła, jak każda kolejna porcja dymu dostaje się do płuc, rozchodzi po niej całej. Zaciągała się aż do samej duszy, o ile to w ogóle możliwe. Jednak na tym tapczanie czuła coś więcej niż działanie nikotyny. O wiele mocniej czuła energię płynącą od matki. Mocne, wibrujące ciepło zdrowej, silnej ludzkiej istoty. To też działało na nią jak narkotyk. Upiła się tą energią i tym papierosem tak, że zaczęła mówić. Sama z siebie zaczęła rozmawiać z matką.

– Nie mieliśmy tam, w Jugrze, takie cigaretki – pochwaliła, przeplatając polskie słowa rosyjskimi.

– Takich papierosów – poprawiła ją matka.

– Nu da, takich papierosów – powtórzyła córka i popatrzyła na trzymanego w rękę camela. – Wied’ eto papierosy. – Uśmiechnęła się.

– Pamiętasz, jak dziadek dał ci kiedyś papierosa? Pamiętasz?

– Ach, da! – ożywiła się córka. – Ja pomniu. Dał mnie i Busi.

– Tak, tylko ona się nie zaciągnęła, a ty pociągnęłaś porządnie. Ile wtedy miałaś lat?

– Diesjat’?

– Chyba więcej. – Maria zaśmiała się nagle. – Cha, cha, cha! Boże, jak kaszlałaś! A potem zwróciłaś cały obiad. O rany! Myśleliśmy z Emilem, że nam się udusisz – opowiadała wesołym tonem. Tak po prostu, jak się opowiada wesołą historyjkę z przeszłości.

Miranda zeszywniała nagle. Maria niepotrzebnie wspomniała ojca. Po raz trzeci na tapczanie zapadła cisza. Paliły w milczeniu. Młoda kobieta walczyła z bolesną tęsknotą. Ojca już od dawna nie ma, mówiła sobie. Jest nowy dom i nowe życie. Nie ma już ojca, nie ma domu na Słonimskiej, nie ma surowej tajgi, śnieżnobiałego śniegu ani zapachu cedrowych igieł.

Miranda już nie rozmawiała z matką, ale i tak korzystała z sąsiedztwa zdrowego, silnego człowieka. Czuła, jak ją przenika owo ciepło i moc. Czerpała z nich, ile mogła. Taką siłę i moc mieli tylko niektórzy konwojenci,

co przyjeżdżali i zaraz odjeżdżali. Siłę niedźwiedzia.

– Chcesz jeszcze? – zapytała nagle matka.

Mirandzie został już bardzo krótki kawałek papierosa. Brakowało jej ostatniego paliczka palca wskazującego, trzymała więc niedopałek nisko między zniekształconymi palcami. Zauważyła, że matka patrzy na jej kalekie ręce i powykręcane stawy. Maria wyciągała ku niej popielniczkę, pokazując gestem, że tego papierosa czas zgasić.

– Niet, jeszcze nie nada.

Matka zdecydowanym ruchem pokręciła głową i przysunęła popielniczkę jeszcze bliżej.

– Daj spokój, mam ich więcej – uspokoiła ją. – Teraz są też twoje.

Miranda z pewnym wahaniem zgasiła niedopałek. Gdyby nie to, że było ciemno, matka mogłaby dostrzec w jej twarzy pewien żal. Taki wyraz twarzy mają ludzie, którym się wydaje, że tracą coś cennego. Ten koniuszek camela był dla Mirusi cenny. Tak się nauczyła tam, za Uralem. Papierosa dopala się do końca. Do samego końca. Nie można zmarnować ani kawałeczka.

Wreszcie jednak zgasiła niedopałek i odsunęła od siebie popielniczkę.

Przez chwilę siedziały w milczeniu jedna obok drugiej. Mirusia nie chciała się do tego przyznać, ale dobrze jej było na tym matczynym posłaniu, dobrze siedzieć obok kogoś w ciszy, czuć jego ciepło, słyszeć równy, mocny oddech. Cieszył ją mrok, nie musiała patrzeć na matkę, a Maria nie widziała jej twarzy ani oczu.

Po chwili Miranda wyciągnęła rękę po kolejnego papierosa i pochyliła się w stronę matki, kiedy ta go jej przypalała. Młoda kobieta zaciągnęła się, oparła o kilim i zamknęła oczy, celebując ten moment przyjemności. Coś, co dawno zapomniała, że istnieje. Otaczała je cisza, tylko od czasu do czasu stęknęła jakaś deska w stropie i zahuczał ogień w piecu. Świeżo wypastowana podłoga pachniała intensywnie, walcząc z dymem papierosowym o zmysły Mirandy. Nagle matka się poruszyła i tym samym swobodnym tonem zapytała:

– A pamiętasz, jak się napiłaś miodu od Kryszyniakowej? Chlapnęłaś spory łyk!

Miranda milczała i nawet nie drgnęła, słysząc te słowa. Nie miała najmniejszej ochoty na wspomnienia. Te historie zaogniały tylko ból, jaki ją ogarniał na myśl, że tamte czasy i tamta rodzina już nie istnieją.

– Mirusia – łagodnie odezwała się po chwili Maria – nie można tak. Musisz żyć dalej! Wróciłaś do nas, wróciłaś do rodziny.



– Kajok rodziny? – zapytała z gniewem i spojrzała na matkę, mrużąc oczy.

– Masz Januszka, mnie – odpowiedziała Maria.

Oczy Mirandy zmrużyły się jeszcze bardziej.

– Adela i Gienia tak się cieszą z twojego powrotu – ciągnęła matka – i Ziutek. Zawsze byłaś jego ulubienicą. On też dużo przeszedł. My wszyscy jesteśmy nadal twoją rodziną.

– Janka niet, otca niet, Busi, babci. U Ziutka nowaja žena i nowyje dieti... – wyliczała Miranda.

– Tak, Ziutek ma nową rodzinę – przerwała Stasiakowa. – Gienia ma męża, Adela pewnie też niedługo wyjdzie za mąż. Życie toczy się dalej. Ty też musisz żyć dalej. Chyba po to wróciłaś? Wyjdź czasem z domu. Zajdź do Adeli. Teraz mieszka na Dalekiej. Gienia pytała, kiedy ją odwiedzisz. Oleńka zapraszała nas na obiad w niedzielę. Ziutek martwił się o ciebie i dopytywał. Wszyscy się martwią i chcą dla ciebie jak najlepiej.

Matka mówiła, a Miranda wyczuwała w tym podstęp. Jakby tamta misternie tknęła i zarzucała na nią sieć, chcąc w nią złapać córkę i przyciągnąć do siebie, do tej nowej, obcej rodziny. Milczała. Myśl o dalszym życiu w nieznanym jej świecie wydawała się nie do zniesienia. Dlaczego nic nie jest takie jak kiedyś? Raz po raz zaciągała się papierosem. Czerwone światełko żarzyło się wtedy mocniej w ciemności i drżało w rytm drżenia rąk. Matka mówiła dalej:

– Dużo się wydarzyło, dużo się zmieniło. Nie interesuje cię to? Nie chcesz wiedzieć, co się z nimi wszystkimi stało? Jak sobie radzili przez te wszystkie lata? Tu też nie było łatwo.

Mirusia zrozumiała intencje matki. Już nie miała wątpliwości, to była sieć. Te zachęty i wzbudzanie wyrzutów sumienia. Owijały się wokół jej szyi, zaciskały i stawały kulą w gardle. A przecież Miranda nie chciała poznawać terazniejszego życia ani tej nowej rodziny. Nie chciała dalej tak żyć. Pragnęła tylko tamtego, co było kiedyś. I żeby już zakończyć tę rozmowę.

– Może zawtra – obiecała niezobowiązująco. Na odczepnego.

– Ale co jutro? – dopytywała się matka.

Mirusia w ciemności zgasła papierosa. Nie bez żalu. Po czym znowu oparła się o kilim i zapatrzyła w ciemność przed sobą.

– Może jutro – powiedziała powoli, dokładnie wymawiając polskie słowa.  
– Jutro pójdę do sklepu na Zwierzyniecką.

Maria zamarła, teraz to jej zadrżał papieros w dłoni. Chwilę milczała, potem zgasła niedopałek w kryształowej popielniczce i odstawiła ją na szafkę.

Miranda zrozumiała, że palenie skończone.

– Sklepu nie ma. Najpierw został znacjonalizowany w czterdziestym, a potem wywłaszczony w czterdziestym siódmym – wyjaśniła łagodnie i schwyciła dłoń córki.

Miranda wyszarpnęła rękę.

– Wywłaszczony? Ja nie panimaju.

Matka nie próbowała po raz kolejny dotykać jej dłoni. Położyła się na boku zwrócona twarzą w stronę Mirandy.

– Zabrali.

– Kto zabrał? – Młoda kobieta nadal nie rozumiała.

Maria zirytowała się, zamachała ręką.

– Kto zabrał? Kto zabrał... – powtórzyła pytanie córki. – Władza ludowa zabrała i nie nam to oceniać – dodała oschle, jakby ucinając wszelką możliwą dyskusję na ten temat.

Miranda jednak nie miała ochoty zakończyć tej rozmowy. Kolejna strata w rodzinie. Ile tego ją jeszcze czeka? Czy ma na to siłę?

– Czy jest jeszcze... czto ja dołżna znat'? Kakeje-to siurprizy?

Maria wzruszyła ramionami i znowu oparła się plecami o ścianę.

– Nie wiem, o co ci chodzi? – rzuciła gdzieś przed siebie, w głąb ciemnego pokoju.

– Ojciec, Januszek, dom, sklep – wyliczała Miranda, a w jej głosie znowu zabrzmiała złość. – Kogda ty chotieła mnie skazat' obo wsiom etom?

– Wróciłaś i o wszystkim się dowiadujesz – odpowiedziała ze spokojem Maria.

Córka wyczuła jednak fałsz w jej tonie. Nagle powiało chłodem. Zaczął otaczać Mirandę ze wszystkich stron, czuła niemal, jak swędzi ją od niego skóra. Wzdrygnęła się.

– No właśnie, może ja nie dołżna była wozwratit'sja.

– Może nie powinnaś była wracać – zgodziła się Maria.

Nagle Miranda poczuła się na tym tapczanie, jakby w śnieżycę stąpała po kruchym lodzie na zamarznętej rzece. Chłód piekł ją w policzki, serce ścisnął strach, żeby nie wpaść i nie utonąć w lodowatej wodzie.

– Może kiedyś mama sama poczuje, kak eto – powiedziała, wstając z tapczanu – wracać w teczienije mnogich miesiacew, planirowat' wstreczi s bliskimi, a potem niczewo nie zastać.

– Mirusia – odparła matka jeszcze bardziej lodowatym tonem, chociaż

wydawało się to mało możliwe. – Nie życz źle własnej matce. Pamiętaj, że masz tylko mnie. – Na chwilę przerwała i chrząknęła, jakby słowa uwięzły jej w gardle. – I jeszcze jest Januszek. On potrzebuje nas obu. Musimy się nauczyć być rodziną.

– Januszek może ostasia ze mną.

– Zostać z tobą? Zamieszkacie sami? – Maria zaśmiała się z ironią. – A kto was wykarmi? Skąd weźmiesz lekarstwa dla niego? Myślisz, że te ziołowe herbatki wystarczą, żeby się nie dusił?

Januszek. Miranda pragnęła spędzać z bratem każdą minutę. Uwielbiała te chwile, kiedy się budził, powoli otwierał oczy. Jego wzrok spotykał się z jej spojrzeniem. Rozpoznawał ją i jego usteczka rozciągały się w uśmiechu, a twarzą rozpromieniała. To był najpiękniejszy moment każdego dnia. Wiedziała, że nie zrobi niczego, co mogłoby pogorszyć jego sytuację, i wiedziała też, że nie mają się gdzie podziać.

– Zimno tu – powiedziała, podnosząc się z tapczanu.

Maria odwróciła od niej twarz. Miranda poczłapała do kuchni, owijając się ciasniej swetrem. Matka nie zatrzymała jej ani słowem, ani jakimkolwiek gestem. Mirusia zaczęła się krzątać i rozpalać ogień pod kuchnią. Januszek w każdej chwili mógł się obudzić i chcieć pić, więc postanowiła przygotować mu ciepłe zioła. Nie miała zamiaru więcej spać tej nocy.

## ROZDZIAŁ V

KWIECIEŃ 1940

O piątej nad ranem łazik i ciężarówka zatrzymały się pod bramą przy Słonimskiej. Tej nocy Emil z żoną pojechali na wieś, aż za Michałów, po rąbankę, pozostawiając córki pod opieką matki Marii i najmłodszego z rodzeństwa, Janka. Mieli wrócić przed południem.

Kiedy oficerowie NKWD i czerwonoarmiści weszli do domu najstarszego z braci Szamretów, wyważywszy drzwi, hałas i krzyki zaalarmowały pozostałych członków rodziny w sąsiednich domach.

Senior rodu wyszedł na ganek w samej piżamie, nakazawszy obu córkom siedzieć cicho i nie pokazywać się Sowiecom. Na podwórzu natknął się na dwóch czerwonoarmistów. Jeden z nich gestem nakazał mu powrót do domu i podniósł karabin. Józef cofnął się do sieni i przez uchylone drzwi patrzył na to, co się działo na podwórzu. Słyszał przerażone głosy wnuczek, trzynastoletniej Mirusi i dziesięcioletniej Busi. Zobaczył, jak Ziutek wyskakuje ze swojego domu, omija tych na podwórzu, pomimo ich gróźb, i wbiega do domu brata. Potem słyszał rozmowę po rosyjsku. Syn podniesionym głosem próbował tłumaczyć, że zaszło nieporozumienie.

W tym samym czasie w środku słychać było krzątanie, pokrzykiwania, łomot przewracanych mebli, trzask łamanych sprzętów i brzęk rozbijanego szkła. Dwóch innych żołnierzy zaczęło kursować pomiędzy domem a ciężarówką, wynosząc jakieś toboły, walizy, przedmioty, a nawet meble. Po kilku minutach Sowietci wyprowadzili pod rękę Janka, za nim wyszły dziewczynki z babcią. Każda niosła tobołek lub walizkę. Na koniec kolejnych dwóch żołnierzy wywlokło szamoczącego się Ziutka Szamretę w ubraniu brata i jego płaszczu wojskowym z powyrywanyymi pagonami i wyłogami.

– To jakaś pomyłka! Nazywam się Józef! Nie Emil! – krzyczał młody mężczyzna.

– Nam eto wsio rawno! – usłyszał w odpowiedzi.

Ojciec wyskoczył z sieni i podbiegł do zatrzymanych. Zaczął szarpać jednego z Rosjan, a wtedy otrzymał silny cios w brzuch kolbą karabinu. Upadł w pokryte cienką warstwą lodu błoto. Dyszał ciężko, próbując złapać oddech w ściśnięte strachem płuca. Para z jego ust gęstniała w mroźnym powietrzu. Spojrzał w okno swojego domu i dostrzegł zarys dwóch kobiecych twarzy. Żołdak podążył wzrokiem w tę samą stronę i wymierzył z karabinu. Trafił w okno i mała szybka się roztrzaskała. Szamreta zacisnął powieki, jego serce zatrzymało się w bolesnym skurczu. Po chwili, kiedy otworzył oczy, podwórze było puste i jedynie otwarta na oścież, wyłamana brama świadczyła o tym, że wydarzyło się tutaj coś strasznego.

Podeszła do niego nieśmiało Adela, rozglądając się ze strachem dookoła. Genowefa stała w drzwiach domu. Józef odetchnął z ulgą, widząc obie córki.

– Już ich nie ma – wystękał.

Nie wiadomo, czy myślał o swoich bliskich, czy o Sowietach. Córka przyskoczyła do niego i pomogła mu usiąść. Na podwórze wyszła druga z sióstr, a po chwili przybiegła zapłakana Irena. Wszystkie ukłękły obok jedynego mężczyzny, jaki pozostał w domu, i zasypały go przerażonymi pytaniami.

– Co się stało?

– Dlaczego ich zabrali?

– Dokąd ich zawieźli?

– Co się z nimi stanie?

– Za co? Jak?

Bolał go brzuch i szumiało mu w głowie.

– Cisza! – krzyknął. Kobiety umilkły. – Pomóżcie mi wstać i wracajcie do domu – nakazał.

Córki dźwignęły go i podniosły. Józef chwilę stał na chwiejnych nogach. Niebo rozjaśniło się pierwszymi zwiastunami poranka. Wreszcie poczuł się pewniej, odprawił kobiety ruchem ręki i zgięty wpół ruszył w stronę domu najstarszego syna. Chodził po pokojach i w słabym świetle oceniał straty. Wszystkie meble były zniszczone. Jakiegokolwiek wartościowe rzeczy, większość ubrań, bibeloty, naczynia, dywany, ozdoby i obrazy zniknęły. A także pościel z łóżek, obrusy ze stołów i stolików, serwetki z kredensu. To, czego nie udało się zabrać, leżało na podłodze zbite, zniszczone, zdeptane ciężkimi buciorami. Pozostały gołe ściany. Z kuchni i spiżarni zabrano

wszystko, co nadawało się do jedzenia. W sieni na wieszakach nie było ani jednego płaszcza, kurtki czy peleryny. W sypialni wnuczek znalazł lalkę z urwaną ręką. Wziął ją, na chwilę przytulił do niej twarz i wrócił do domu.

Siedzieli wszyscy w milczeniu przy kuchennym stole i czekali na powrót Emila i Marii. Na blacie leżała lalka z urwaną rączką.

– Na pewno zaszło jakieś nieporozumienie – stwierdził Józef senior, kiedy już opowiedział obojgu o wydarzeniach sprzed paru godzin.

– Już w lutym dużo ludzi wywieźli – wtrąciła Gienia.

– To po mnie przyszli – odezwał się Emil. – Od paru tygodni szukają oficerów. Nie zgłosiłem się sam, to oni przyszli po mnie. Pójdę zaraz do magistratu, województwa lub... – zawahał się – nie wiem gdzie... do Sowietów. I wyjaśnię, że to ja jestem oficerem. Mnie chcieli zabrać, więc niech ich wypuszczą.

– Tak też pomyśleliśmy, że przyszli po ciebie – odrzekła jego siostra. Może uda się wyjaśnić to nieporozumienie.

Irena ze szlochem rzuciła się na szyję szwagrowi. Uwierzyła, że to możliwe.

Tylko Maria, żona Emila, siedziała w milczeniu, z zastygłą twarzą. Myślała i kalkulowała. Ona nie miała złudzeń.

– Nie wypuszczą ich – oznajmiła kategorycznym tonem.

Pozostali popatrzyli na nią z zaskoczeniem. Marysia nigdy dotąd tak otwarcie nie sprzeciwiła się teściowi ani mężowi. Od piętnastu lat była żoną Emila, ale długo nie potrafili jej przyjąć do swojego grona. Nie traktowali jej jak równej im, Szamretom. Maria pochodziła z robotniczej rodziny, Emil popełnił mezalians, żeniąc się z nią, i tamci nie umieli jej wybaczyć, że tak zawróciła w głowie ich synowi i bratu. Najstarszemu z rodu! Z powodu tego małżeństwa zdegradowano go do podporucznika, a rysowała się przed nim tak wspaniała kariera wojskowa. Po ślubie z Marią Emil zaczął wszystko od nowa.

Teraz Adela popatrzyła na nią z góry i prychnęła. Starsza Szamretówna, Gienia, otworzyła szerzej oczy.

– Nie wypuszczą ich, a jak ty pójdziesz, to też nie wrócisz – oświadczyła stanowczym tonem, patrząc gdzieś przed siebie.

– Ale nie mogą tak... – zaczął Emilian.

– Oczywiście, że mogą! Jest wojna. Rozejrzyjcie się! – powiedziała dobitnie jego żona. – Musimy się zastanowić, co robić.

Mówiła rzeczowym opanowanym głosem, choć tak naprawdę to miała

ochotę rzucić się na podłogę, wyć z rozpacz i drapać paznokciami drewnianą podłogę.

– Zastanowić się? Jakże zastanowić! Trzeba ich ratować! Sprowadzić z powrotem do domu – zaprotestowała Adela.

– Obawiam się, że to może być niewykonalne. – Marysia upierała się przy swoim, choć serce jej krwawiło. Nikt z nich nie miał pojęcia, jak bardzo.

Zapadłaby cisza, gdyby nie ciche chlipanie kobiet. Tylko Maria nie płakała. Siedziała pogrążona w myślach. Po chwili odezwała się zdecydowanym, mocnym tonem:

– Ja tam pójdę. Jestem córką robotnika i trochę znam rosyjski. Ubiorę się w ciuchy matki i popytam. Dowiem się, co można zrobić, i spróbuję coś zaradzić.

– Sama?! – wykrzyknął Emil. Krew w nim zawrzała. – Nie ma mowy! Ja pójdę z tobą. – Wstał od stołu.

– A ty dokąd? – zawołała Gienia.

– Muszę czegoś poszukać.

Przypomniał sobie to miejsce pod płotem, tam, za krzakiem jaśminu, gdzie we wrześnie zakopał swój rewolwer. Maria spojrzała na męża i w ostatniej chwili chwyciła go za rękę. Spojrzała mu w oczy; wiedziała, co zamierzał zrobić.

– Emil, nie, to zbyt niebezpieczne.

– Nie pozwolę ci samej... – Głos uwiązał mu w gardle.

– Tylko pójdę i popytam. Nic więcej. Będę udawała robotnicę – przekonywała Emila. – Tylko się popytam, wrócę przed wieczorem – mówiła, siląc się na łagodny ton. Patrzyła mężowi w oczy i widziała walkę, jaka się w nim toczyła.

Nie chciał, by tam szła. Nie chciał ryzykować, że i ją straci, z drugiej strony jednak nie mógł odmówić Marysi racji. Rosjanie byli w Białymstoku od kilku miesięcy, ale już dali poznać miejscowym, co znaczą rządy rewolucyjnej Armii Czerwonej. To nie były czasy dla subtelnej i wrażliwej inteligencji i ziemiaństwa. Nastaly czasy dla twardych, prostych ludzi, takich jak jego żona.

– Nie martw się. Dam sobie radę – zapewniała.

Józef Szamreta senior popatrzył na nią i zrozumiał, że synowa ma rację. Doskonale pamiętał dziewiętnasty rok, pamiętał, jak przyszli bolszewicy. Rodzinę odesłał wcześniej, ale sam został w rodzinnym majątku do końca, tak

długo, jak się dało.

– Maria ma słusność – odezwał się – jak ty pójdziesz, synu, to stracimy was wszystkich. Idź, dziecko, i niech Bóg będzie z tobą – dodał, kładąc rękę na ramieniu młodej kobiety.

Po raz pierwszy okazał jej tyle serca i czułości. Wolał jednak poświęcić Marię niż najstarszego syna. Emil przyjął decyzję ojca uderzeniem pięścią w stół na znak protestu, lecz nic nie powiedział.

Maria ubrała się „po robotniczemu”, włosy i zaróżowione policzki schowała pod kraciatą chustką matki i poszła pod pałac Branickich, gdzie rozlokowali się Sowieci. Przeszła przez okazałą bramę na dziedziniec niedawnego urzędu wojewódzkiego i z niedowierzaniem patrzyła na to, co się działo dookoła. Rosjanie robili z magnacką rezydencją dokładnie to samo, co zrobili z jej domem. Czerwonoarmiści wynosili jakieś pudła i skrzynie i ładowali je na ciężarówki. Niektórzy stali przy ogniskach rozpalonych na niegdyś pięknych trawnikach. Płomienie pożerały meble, książki, dokumenty i obrazy. Z okien dawnej siedziby Branickich unosiły się chmury czarnego dymu. Na elewacji frontowej okazałego budynku ktoś wywiesił olbrzymi portret Stalina. Z klombów pełnych kwiatów nie pozostał nawet najmniejszy ślad.

Maria rozglądała się dookoła, dopóki nie usłyszała kilku zaczepnych słów i gwizdów do niej skierowanych. Paru agresywnych i wyraźnie pijanych czerwonoarmistów zaczęło iść w jej stronę, więc nasunęła chustkę na czoło, spuściła wzrok i przyspieszyła kroku. W otwartych przeszklonych drzwiach pałacu stało dwóch żołnierzy z kałasznikowami. Odpalali papierosa. Z daleka śmierdzieli kwaśnym bimbrem. Podeszła bliżej. Ich odór zmieszał się z zapachem strachu, jaki przyniosła ze sobą Maria.

– Czewo? – zapytali.

– Ja chociu widet’ komandira – odpowiedziała po rosyjsku z ciężkim polskim akcentem. Jej głos drżał z trwogi.

Czerwonoarmiści roześmieli się w głos, pokazując zepsute zęby. Jeden z nich miał świeży siniak koło nosa i wyraźnie skrzywioną przegrodę nosową. Przestał się śmiać i spojrzał na nią uważniej. Zapatrzył się w oczy koloru niezapominajek.

– Krasawica! – powiedział i na jego twarzy pojawił się obleśny uśmiech.

Wytarł wypływającą z ust ślinę rękawem, a potem tą samą ręką poklepał lekko Marię po policzku. Zebrało jej się na wymioty, ale je powstrzymała. Pamiętała, po co tu przyszła. Strach o córki dodał jej nadludzkich sił i odwagi.



– Czy panowie... – zaczęła po polsku ze zdenerwowania i zaraz zrozumiała swój błąd.

– Panowie! – zawołał drugi i spojrzał na nią groźnie. – Użę nikakich panow nien!

Przeraziła się nie na żarty. Poczwała, jak powoli zaczyna ją obezwładniać fala paniki. Mózg pracował na wysokich obrotach i nagle zrozumiała, że powinna zastosować zupełnie inną taktykę.

– Ach, Boże moj! Kak choroszo! A to ja użę ispugałas’! A wy nastojaszczije družja! Kak i my! Obycznyje ludi i nastojaszczije bol’szewiki! – zawołała po rosyjsku najlepiej, jak umiała.

Padła na kolana przed żołnierzem i objęła go za łydki.

– Do konca żyzni budiem wam błagodarny za oswobożdienije ot kapitalistow i ekspluatatorow! – wykrzykiwała, zawodząc jak chłopka.

Czerwonoarmiści patrzyli na nią zaskoczeni i nie wiedzieli, co zrobić. Tuż za nimi w otwartych drzwiach stanął młody oficer. Spojrzał w dół na kobietę. Wyglądała na robotnicę.

– Spasitieli. Da zdraswuj, Krasnaja Armija! – kontynuowała, dopóki nie podniosła głowy.

Zobaczyła dystynkcje na pagonach oficera i zrozumiała, że to ktoś ważny. Wstała z kolan. Ten przywołał do siebie żołnierza z połamany nosen i przez moment rozmawiali.

– Ty! – po chwili krzyknął do niej oficer. – Czewo chcesz?

Spojrzała na niego uważnie. Miał niebieskie oczy, podobne do jej, ale o wiele zimniejsze i bardziej myślące niż strażników w drzwiach. Nie wyglądał jak prosty żołnierz. Poczwała, że z nim ten numer nie przejdzie, i postanowiła powiedzieć prawdę.

– Ja przszła uznat’ o swoich dietiach. Sjewodnia utrom ich zabrali. Eto nawiernoje kakaja-to oszybka. Ja prostaja ženszczina iz naroda – tłumaczyła już lepszym rosyjskim. Miała dobry słuch i wystarczyła jej chwila ich rozmowy, aby podchwycić melodię języka.

– Eto nasza, towariszka! – stwierdził strażnik.

Oficer rzucił mu gniewne spojrzenie i ruchem dłoni nakazał milczeć. Podszedł do Marysi, patrząc jej głęboko w oczy. Nie spuszczał wzroku, ujął jej ręce w dłonie i uniósł do góry na wysokość twarzy. Dłonie Marii były czyste, wypielęgnowane, delikatne. Odkąd została żoną Emila, jej ambicją było mieć zadbane ręce, tak jak jego matka i siostry. Teraz, jak je zobaczyła, to

zamarła.

– Nasza, goworitie? A ja wam goworiu, czto nie nasza! Ubirajsja otsjuda! – krzyknął ostro.

Odepchnął jej ręce, odwrócił się na pięcie i odszedł. Maria popatrzyła martwym wzrokiem na żołnierzy. Obaj mieli wypisaną na twarzy złość. Jeden z nich uderzył ją mocno kolbą w bok. Upadła na kolano.

– Słyszała, czto skazał towariszcz lejtenant?! Won!

Maria wstała z kolan i skulona, trzymając się za bolące zebra, odwróciła się, by odejść. Poczowała mocne uderzenie ręką w pośladek i usłyszała głośny śmiech. Zaciśnęła zęby i powłokła się w stronę bramy. Nie wiedziała, co dalej robić. Nie miała żadnego planu. Nie rozumiała do końca, co się stało, poza tym, że zdradziły ją ręce. Tuż przed bramą podniosła z ziemi garść żwiru w dłonie i zaczęła mocno pocierać nim dłonie. Bardzo mocno, do krwi. Kiedy uznała, że są już wystarczająco zabrudzone i pokaleczone, odwróciła się w stronę pałacu.

Myśl, Maryśka, myśl, powtarzała sobie w duchu. Trzeba przyjąć jakiś plan. Na nic się zda znowu tam iść. Schowała się w bramie i oparta plecami o ścianę, zaczęła się zastanawiać. Zdała sobie sprawę, że przyście tutaj było błędem. NKWD to lepszy adres. Musi pójść i się wywiedzieć, wybadać, działać na zimno, a nie od razu rzucać się do Sowietów.

Wyprostowała się, otrzepała spódnicę i wyszła z bramy. Ruszyła od razu na prawo, w ulicę Mickiewicza. Nie obejrzała się na pałac Branickich. Przyście tutaj było błędem. Więcej takich nie powinna popełniać.

## ROZDZIAŁ VI

PAŹDZIERNIK/LISTOPAD 1950

Promienie jesiennego słońca zaglądały przez okno do kuchni. Przebijały się nieśmiało pomiędzy wiszącymi nisko ciemnymi chmurami. Rankiem nikt by nie powiedział, że za parę godzin wyjrzy słońce. Maria krzątała się po kuchni w dobrym nastroju i podśpiewywała półgłosem. Dzisiaj na targu sprzedała wszystko, co przywiozła, i to raptem w dwie godziny. Nie musiała stać w zimnie i deszczu cały ranek. Poza tym miała coraz więcej stałych klientek. Kto wie, może za jakiś czas całkiem zrezygnuje z handlowania na rynku? Nie będzie musiała wstawać w środku nocy i ciągnąć tobołów przez pół miasta. Dodatkowo jej humor poprawiło to, że Miranda wyszła z domu.

Maria została sama z Januszką. Spojrzała na bawiącego się dwiema szmacianymi lalkami synka. Siedział z nienaturalnie podwiniętymi nogami na podłodze. Jedyne on potrafił wytrzymać w takiej pozycji. Maria wiedziała jednak, że to nie wynik niesłychanego wygimnastykowania chłopca, tylko zaburzeń w rozwoju kości i ścięgien, które na skutek ciągłego niedokrwienia nie rozwijały się tak, jak powinny u chłopca w jego wieku. Właśnie wczoraj udało jej się zdobyć dla Januszka drogi i dobry lek z Niemiec. Jeszcze dzięki Caritasowi. Maria nawet nie chciała myśleć, co będzie, jak już zupełnie go zlikwidują. Od razu podała synkowi pierwszą dawkę i była pewna, że właśnie dlatego chłopiec jest dzisiaj silniejszy i spokojny. Kolejny powód do dobrego samopoczucia.

– Ugotujemy zupę gulaszową. Został mi piękny kawał łopatki, dodam trochę wędzonki. Będzie wam smakowało. Tobie i Mirusi – mówiła do chłopca.

Bardzo uważała, aby nawet w myślach nie zapominać o córce. Przysięgła sobie, że już nigdy, nigdy o niej nie zapomni, i... A zresztą wiele było do przysięgania. Maria nie miała ochoty znowu tego roztrząsać.

Właśnie siedziała przy stole i obierała ziemniaki, kiedy usłyszała trzaśnięcie

drzwi wejściowych, a potem kroki w sieni. Zanim zdążyła wrzucić obierany kartofel do miski z wodą i wytrzeć mokre ręce w fartuch, otworzyły się drzwi do sieni i stanął w nich Ziutek.

– Serwus! – zawołał radosnym głosem. – Jak się macie, rzebiata?

– Co taki zadowolony jesteś? – zapytała Maria, odwzajemniając uśmiech.

Wróciła do obierania ziemniaków. Szwagier podszedł do kuchni i zajrzał pod pokrywkę stojącego na ogniu garnka. Zaciągnął się zapachem.

– Mhhmm – mruknął z zachwytem. – Pyszności. Czołem, młodzieży! – zawołał do Januszka, który roześmiał się i zamachał rączkami z radości.

Malec bardzo lubił gości i cieszyło go każde odstępstwo od monotonnego życia, spędzanego głównie na podłodze w kuchni.

Ziutek wrócił pod drzwi, żeby powiesić płaszcz na haczyku, po czym usiadł przy stole naprzeciwko Marii. Przyjrzała mu się uważnie.

– A co to za radość? Gęba ci się śmieje od ucha do ucha.

– Zgadnij! – Dumnie wypiął mizerną pierś.

Maria popatrzyła na niego spod brwi. Spojrzenie miało być srogie, ale nic z tego nie wyszło. Otaksowała wzrokiem biały kołnierzyk koszuli, wystający spod nowego swetra. Wielki węzeł zaciśniętego krawata podkreślał chudą szyję szwagra.

– No, powiedz! – zachęciła. – Nie trzymaj mnie w napięciu.

Tak naprawdę to nie czuła napięcia, ale pragnęła mu zrobić przyjemność. Jej już było przyjemnie i chciała, by inni też tak się poczuli.

– Patrzysz właśnie na pierwszego zastępcę głównego inżyniera w Miejskim Przedsiębiorstwie Budowlanym! – oświadczył, a w jego głosie pobrzmiwała duma. Całe tony dumy.

Maria uśmiechnęła się szeroko.

– Nie?! – zawołała.

– Tak – potwierdził Ziutek.

Nagle uśmiech na jej ustach zgasł.

– Zapisalesz się do partii?

– Nie – odpowiedział, kręcąc głową. – Przyjęliby mnie z moim pochodzeniem? – zapytał retorycznie i po chwili dodał: – A nawet gdybym się zapisał, to co?

Maria wzruszyła ramionami.

– W zasadzie nic. Chyba już wszyscy się zapisali. – Wrzuciła kolejne obrane ziemniaki do miski. – Bardzo się cieszę i gratuluję. Robisz karierę, szwagrze!

– Się wie! – potwierdził z samozadowoleniem.

Na chwilę w kuchni zapadła cisza. Maria obrała ostatni kartofel i wstała od stołu. Uśmiechnęła się szeroko.

– Czekaj, czekaj, może z tej okazji napijemy się naleweczki. Mam pyszną orzechówkę.

Podeszła do kredensu z przeszklonymi drzwiczkami i wyciągnęła karafkę pełną bursztynowego płynu i dwa kieliszki. Nie czekała na potwierdzenie od Ziutka, napełniła nalewką kieliszki i postawiła na stole. Szwagier podniósł jeden do ust i upił odrobinę. Aż mlasnął z przyjemności. Maria uśmiechnęła się zadowolona, zabrała miskę z ziemniakami i poszła do zlewu.

– Jeśli masz ochotę na zupę, to musisz jeszcze chwilę poczekać – powiedziała.

– Jasne, że mam, i poczekam. – Ziutek rozejrzał się po domu i dopiero teraz uświadomił sobie, że kogoś brak. – Gdzie Mirusia?

Maria stała przy zlewie i płukała warzywa. Na chwilę przerwała i odwróciła się do szwagra.

– Poszła do Adeli – powiedziała z zadowoleniem, a nawet pewną dumą w głosie.

– Naprawdę? – spytał z niedowierzaniem.

– Tak – potwierdziła.

Tym razem to ona była dumna. Z Mirandy, że wreszcie pokonała swoje lęki i wyszła z domu, i z siebie, że córkę do tego przymusiła. Wrzuciła pokrojone na części ziemniaki do garnka z zupą, wymieszała zawartość dużą łyżką, przykryła pokrywką, wytarła ręce w fartuch i usiadła przy stole.

– Poszła w odwiedziny do Adeli. Sama z siebie, wcale nie musiałam jej namawiać – skłamała i łyknęła trochę nalewki.

Uśmiech na twarzy szwagra zgasł.

– Na Daleką? – upewnił się Ziutek.

– Tak.

– Przez Słonimską? – pytał dalej.

– No przecież – potwierdziła – tak jest najbliżej.

Szwagier zmarszczył brwi.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– Jeszcze nie wiem – odrzekła – ale kiedyś wreszcie musiała wyjść. Już miesiąc siedzi w domu.

– Tak, ale dlaczego właśnie tam? W tamtą stronę? Tamtędy? – zaniepokoił

się Ziutek.

Maria zirytowała się nagle i zamachała dłońmi w typowy dla niej sposób. Wstała od stołu i podeszła do synka. Wzięła go na ręce i razem z nim usiadła na powrót.

– Auueee! Neeeejj! – zaprotestował chłopiec, wyraźnie niezadowolony, że matka odrywa go od zabawy.

– A co w tym złego? Nie rozumiem, o co tyle hałasu! – powiedziała podniesionym głosem.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Posadziła sobie chłopca na kolanach jak tarczę. Broniła się przed zarzutami, jakie nie padły z ust Ziutka.

– Przecież ona dobrze zna Bojary, niewiele się zmieniło od tamtej pory. Naprawdę moglibyście już skończyć z tym pieszczaniem się z Mirusią. Owszem, była na zsyłce, owszem, było ciężko, ale teraz jest tutaj, w domu – podkreśliła dobitnie. – Czas zakończyć żale, pretensje, obrażanie się na cały świat. I wreszcie pogodzić się z tym, co jest.

Januszek zaczął się wiercić niespokojnie na kolanach matki, jakby udzielało mu się jej zdenerwowanie. Maria tymczasem mówiła dalej:

– Trzeba zapomnieć o tamtym, Mirusia powinna zacząć normalnie żyć i to życie sobie układać. Co się stało, to się nie odstanie. Januszek! – krzyknęła do kręcącego się chłopca.

– No tak, ale ten dół po dużym domu na Słonimskiej. I lokatorzy u Adeli, ona sama w tym jednym pokoiku – wyliczał Ziutek. Wychylił kieliszek nalewki do dna i oblizał usta.

– I co z tego? – przerwała mu Maria. – Tak to teraz wygląda. Tak, a nie inaczej. Nie rozumiem, dlaczego mamy ją przed tym chronić! Jest dorosła.

Nagle Januszek wyprężył się, jego twarzyczkę wykrzywił grymas i chłopiec zaczął wrzeszczeć. To nie był taki płacz jak każdego innego pięcioletniego dziecka. To był krzyk, jakiego żaden inny malec z siebie nie wydawał. W dodatku zaczął kaszleć. Maria starała się przytulić synka do siebie. Zaczęła go głaskać i uciszać.

– Ciiii! Januszek, ciii. Co się stało? No już, już – mówiła najłagodniejszym głosem, na jaki było ją stać. Usta chłopca zrobiły się jeszcze bardziej sine niż zazwyczaj.

Ziutek spieszenie spojrzał na zegarek.

– Och, jak późno! Muszę uciekać – oświadczył i zaczął się zbierać. Wstał od stołu.

– A zupa? – zapytała Maria, przekrzykując syna. Chłopiec nadal się prężył, kaszłał i wydawał z siebie charczące jęki.

– Nie, nie, dziękuję, innym razem – powiedział szwagier, chwycił okrycie i tyle go było.

– Uciekł – skwitowała jego zachowanie. – Jak zawsze. Wszyscy uciekają. A ja ciągle z tym sama.

Mruczała cicho, starając się utulić synka. Januszek przestał się prężyć, osłabł i zwiotczał w ramionach matki, przez co stał się cięższy. Z trudnością nabierał powietrza. Maria nadal bujała go na rękach i uciszała. Powtarzała uspokajające słowa, poklepywała po plecach, żeby ułatwić mu odkrztuszenie. Malec kaszłał i charczał na zmianę. Maria zastanawiała się, gdzie jest syrop, który ostatnio przepisał lekarz. Ten na takie ataki.

Myśli kłębiły jej się w głowie. Wstała z synkiem w ramionach, kołysząc go jak niemowlaka. Januszek siniał coraz bardziej. Już nie tylko usta, ale cała jego twarz nabrała koloru śliwki węgierki, ręce i nogi zwisały bezwładnie. W serce matki wdarł się strach o dziecko. Huśtała go coraz mocniej, próbując uspokoić, a także powstrzymać swoją narastającą panikę.

W tym momencie otworzyły się drzwi od sieni i weszła Miranda. Wystarczyło jedno spojrzenie, ułamek sekundy i już była przy bracie. Wyjęła go z objęć matki dosłownie w ostatniej chwili, gdy ramiona Marii omdlewały już z wysiłku. Miranda w płaszczu i chustce na głowie usiadła na krześle i położyła sobie Januszkę na udach, pleckami do góry. Głowa dziecka opadła bezwładnie ku podłodze. Szeptala coś i mruczała nad nim w nieznanym Marii języku, klepiąc chłopca po żebrach. Maria usiadła obok, z trudem łapiąc oddech.

– Jest coraz cięższy – wysapała.

Długą chwilę patrzyła na swoje dzieci. Na pochyloną i szepczącą coś córkę i duszącego się synka. Miranda przykładła ręce do Januszkę i oklepywała plecy brata w monotonnym rytmie, wzdychając przy tym i wypuszczając powietrze z jękiem.

Ku zdumieniu Marii chłopiec powoli zaczął się wyciszać, kaszel osłabł. Mirusia wstała i dźwignęła brata. Chodziła z nim w ramionach po kuchni. Zupełnie tak samo jak przed chwilą Maria. Matka dziwiła się, skąd u tej wychudzonej córki znalazło się tyle siły, by dała radę tak nosić sporego już chłopca. Januszek nadal kaszłał, ale nie tak gwałtownie. Charczenie powoli przechodziło w płacz.

– U niego czasto takije ataki? – zapytała po chwili córka.

– Czasami – odpowiedziała matka. Nadal czuła, jak podniesione ciśnienie rozsadza jej skronie. – Jak się zdenerwuje albo przestraszy. Albo za bardzo ucieszy.

– Zdenerwował się czymś?

Matka wzruszyła ramionami. Zaczęła się rozglądać po kuchni.

– Gdzieś tu był ten syrop. Nie wiem, gdzie go postawiłam. – Otwierała i zamykała kolejne szafki kredensu.

– Niepotrzebny. Niech mama weźmie moje zioła. Tam, s mieszka. Nie te, tamte – komenderowała. – O tak, właśnie te. Mama poda mi odrobinę.

Stasiakowa podała jej kilka zasuszonych grudek. Mirusia znowu usiadła na krześle i delikatnie włożyła je bratu do buzi.

– Sosi, Januszek – prosiła – sosi. No, jeszcze trochę – zachęcała. Po chwili znowu zwróciła się do matki: – A teraz jeszcze trzeba zagotować kwiat romaszki w mleku.

Maria skrzywiła się w odpowiedzi.

– Stokrotki w mleku?

– Tak – potwierdziła córka i pokazała brodą, które to stokrotki – dwie, trzy wystarczą.

Maria, już bez słowa, ale nadal z krzywą miną, zajęła się przygotowywaniem leku, chociaż i tak nie miała zamiaru wierzyć w jego skuteczność. No bo co to za wymysł? Z kwiatków stokrotki to się wiosną plecie wianki, a nie w mleku gotuje!

– Niech mama wstawi potem do sieni, to szybciej wystygną – nadal wydawała polecenia Miranda.

Maria przez chwilę stała przy kuchni i patrzyła, jak jej córka znowu przykłada ręce do ciała brata i szepcze niezrozumiałe słowa. Kiedyś zapytała Mirusię, co robi.

– To modlitwy, do rozlicznyje duchy – odpowiedziała dziewczyna.

Cóż złego mogło być w przykładaniu rąk i modlitwach, nawet w obcym języku? Maria i tak nie wierzyła w moc jakichkolwiek modlitw i duchów. Sama przestała się modlić już dawno temu. W milczeniu pokręciła głową i zaczęła gotować stokrotki w mleku. Potem z uczuciem ulgi wyszła do zimnej sieni. Potrzebowała chwili w chłodzie i samotności.

Staneła w mroku, oparła czoło o zimną ścianę i mieszała łyżką płyn w kubku, żeby wystygł, aż uznała, że wystarczy. Wróciła do kuchni. Januszek leżał już



spokojnie w ramionach siostry, tylko od czasu do czasu pokasływał, łapiąc głośno powietrze przez otwarte usta.

– Chcesz zupy? – zapytała Maria córkę.

Chciała się czymś zająć. Napięcie opadało.

Mirusia w odpowiedzi kiwnęła głową. Maria postawiła kubek ze stokrotkowym mlekiem i łyżką przed córką, a potem stała kilka sekund nad swoimi dziećmi i przyglądała się im z góry. Chustka na głowie córki przekrzywiła się, odsłaniając ucho i skroń. Stasiakowa delikatnie wyciągnęła ręce w stronę Mirandy, ta spojrzała na matkę i kiwnęła głową. Maria rozwiązała chustkę i zdjęła ją, po czym odwróciła się do kuchni i zaczęła nalewać zupę.

Po chwili usłyszała, jak córka znowu cicho śpiewa coś w tym nieznanym języku. Łagodny głos i melodia tych mruczanek czy modlitw działały na chłopca uspokajająco. Leżał w ramionach siostry, oddychając płytko i szybko. Maria postawiła przed córką talerz zupy. Mirusia jeszcze kilka minut kołysała brata i poiła go stokrotkowym mlekiem. Potem przeniosła malca na wprost sennego do pokoju i położyła na tapczanie matki.

Stasiakowa poszła za nimi i stanęła w drzwiach kuchni. Powoli rytm jej serca się uspokajał. Twarz synka odzyskała normalny dla niego, bladoszary kolor. Był wyczerpany atakiem. Miranda powstała nad nim chwilę i wróciła do kuchni. Dopiero wtedy zdjęła palto i powiesiła w sieni.

– Masz na niego bardzo dobry wpływ – odezwała się Maria, kiedy córka wróciła do kuchni i usiadła przy stole.

Miranda nic nie odpowiedziała, tylko zabrała się do jedzenia.

– A mama nie je? – zapytała pomiędzy jedną a drugą łyżką.

– Zaraz. Jeszcze nie teraz. Zdenerwowałam się trochę tym atakiem.

Usiadła po drugiej stronie stołu i patrzyła, jak córka je. Dziewczyna nadal łapczywie pochłaniała jedzenie, jak ktoś, kto bardzo długo cierpiał głód. Była cała skupiona na tej czynności, jakby nic innego wokół nie istniało. Rzadkie nabierała łyżką, a warzywa i mięso z talerza zgarniała pajdą chleba bezpośrednio do ust. Stasiakowa wiedziała, że Miranda z trudnością posługuje się łyżką i widelcem. Może to przez te zniekształcone, okaleczone palce? Brakowało jej dużej części palca wskazującego prawej ręki i koniuszka palca serdecznego.

Serce matki ścisnęło się boleśnie, kiedy uświadomiła sobie, jak bardzo musiało to boleć. Żadna matka nie powinna patrzeć na cierpienie i kalectwo

własnego dziecka. A ona miała w domu dwoje kalekich dzieci i nie potrafiła powiedzieć, czyje upośledzenie jest gorsze. Czy to, które dotyczyło ciała Januszka, czy tamto, które obezwładniało duszę córki.

Wzdrygnęła się, jakby przeszył ją dreszcz. Wstała i naląła sobie zupy. Nie będzie się nad tym zastanawiać. Co było, to było. Mirusia jest teraz tutaj, w domu, i już nic złego jej się nie stanie. Ona, Maria, zadba, aby jej dzieci nigdy nie zaznały głodu, chłodu i biedy. Usiadła i zaczęła jeść zupę.

– Mmmhmm, rzeczywiście dobra.

Spojrzała na córkę, oczekując na potwierdzenie, ale ta nie odezwała się ani słowem. Zajęta była czyszczeniem talerza resztką kromki chleba.

– Chcesz jeszcze?

Młoda kobieta podniosła wzrok i spojrzała matce w oczy. Zdarzało się to bardzo rzadko. Stasiakowa znieruchomiała z łyżką w połowie drogi do ust. Wzrok Mirusi był pusty, nie wyrażał nic. Zapadła cisza, której Maria nie rozumiała, tak jak nie rozumiała spojrzenia córki.

– To weź sobie – zachęciła ją po chwili.

Na twarzy Mirusi wreszcie coś się pojawiło. Grymas zdziwienia, niedowierzania, strachu, jakby do niej nie docierało, że sama może pójść i wziąć sobie dokładkę, że to nie podstęp i nie zostanie ukarana. Wpatrywała się w matkę. To wszystko trwało sekundę, może pół. Potem wstała i podeszła do kuchni. Maria opuściła wzrok na kraciasty obrus. Słyszała tylko, jak chochła uderza o dno garnka, a potem o talerz.

– Wezmę tylko trochę – tłumaczyła się Miranda.

– Bierz, ile chcesz. Ja i tak już więcej nie mogę – odparła ze ściśniętym gardłem matka.

Po chwili Maria wstała, odstawiła do połowy opróżniony talerz do blaszanego zlewu w rogu kuchni i poszła do pokoju, by zobaczyć, co u Januszka. Nie spał, tylko leżał cichutko i bawił się frędzlami kilimu wiszącego nad łóżkiem. Wzięła go na rękę.

– Chodź do nas, co będziesz tutaj sam leżał. – Zniosła go do kuchni i posadziła na podłodze obok krzesła, na którym siedziała jego siostra.

Maria stała chwilę nad synkiem, patrząc na jego jasne, cienkie włoski. Nagle sobie przypomniała.

– Mirusia, mam coś dla ciebie – oświadczyła i na jej twarzy pojawił się tajemniczy uśmiech.

Córka podniosła wzrok znad pustego niemal talerza. Maria sięgnęła do

środkowej szuflady w kuchennym białym kredensie i z tryumfującą miną postawiła przed Mirandą niebieską buteleczkę wypełnioną jakimś płynem.

– Co to? – zapytała tamta zdziwiona.

Wzięła do ręki butelkę i spojrzała na etykietę. Stasiakowa usiadła z uśmiechem na twarzy. Napięcie wywołane atakiem syna wyparowało jak woda z ziemniaków. Wiedziała, że córka nie umie tego przeczytać, napis był w nieznanym jej języku.

– Co to? – zapytała jeszcze raz Miranda.

– Szampon do włosów – wyjaśniła Maria, szczerząc zęby w uśmiechu samozadowolenia. – Na wszy. Niemiecki! – dodała z naciskiem.

Twarz córki stężała. Odstawiła buteleczkę na stół.

– Nie nużdajus’ – warknęła.

Maria nie mogła wyjść ze zdumienia.

– Jak to, nie potrzebujesz?

– Nie potrzebuję – odparła ze złością dziewczyna i wstała od stołu. Odstawiła talerz po zupie do zlewu. A raczej go rzuciła. Na tyle głośno, że Maria podskoczyła na krześle.

– Gadanie! – wykrzyknęła. – Jak to, nie potrzebujesz, jak potrzebujesz! Aż ci cała czupryna chodzi od wszy. Czas zrobić z tym porządek. Wstyd do ludzi tak chodzić!

– Mnie do ludzi chodzić nie nużno, poza tym ich wsio mnieńsze. Mama prieuwieliczijawjet – odpowiedziała Miranda. Opasała się fartuchem i zabrała do zmywania talerzy.

– No patrzcie ją! – Matka podniosła ręce do góry. – Przesadzam! Jak chcesz mieć własne zwierzątka, to ci dwa kociaki przywiozę ze wsi. – Uśmiechnęła się zadowolona z dowcipu.

Usiadła przy stole, patrząc na niebieską buteleczkę. Mirusia milczała.

– Wiesz co? Nic z tego nie rozumiem. To dobry środek, skuteczny. Wiesz, ile mnie kosztowało, aby go załatwić? Ile musiałam się nachodzić, naprosić.

– Niepotrzebnie mama się trudziła.

– Widzę, że już coraz lepiej ci idzie mówienie po polsku. – Uśmiech na twarzy Marii zgasł.

Nagle Januszek postanowił wtrącić się do dyskusji. Obie kobiety już zapomniały o jego obecności.

– Auuu! – zawył i kopnął nogą w podłogę. – Auuuee! – poprawił ze złością. Nie był przyzwyczajony do kłótni w domu.

To trochę ostudziło obie kobiety. Żadna z nich nie chciała kolejnego ataku duszności u chłopca.

– Wiesz co? – odezwała się po chwili matka już bez cienia uśmiechu. – A rób sobie, co chcesz. Zachowujesz się jak rozkapryszona smarkula. Tylko weź pod uwagę, że ani ja, ani Januszek nie musimy mieć twoich wszy. A, niestety, tak to się za chwilę skończy. Wszy przenoszą choroby, wszyscy to wiedzą. Nikt natomiast nie wie, jakie zarazki przyniosły ze sobą te twoje syberyjskie towarzyszki – dodała z ironią i złością. – Dla Januszka może być niebezpieczny zwykły katar, a co dopiero tyfus. – Wstała i starannie dosunęła krzesło do stołu, potem drugie. Zrobiła to niemal z namaszczeniem. Następnie otrzepała spódnicę z niewidocznych okruchów. – Nie jesteś już sama. Pamiętaj, że są inni na tym świecie, o których trzeba dbać, i tacy, którzy chcą i mogą zadbać o ciebie. Ani to nic nie kosztuje, ani duszy w ten sposób nie zaprzędasz – skończyła i odeszła do swojego pokoju.

Nagle zatrzymała się w progu.

– Zawsze mi się wydawało, że jak ktoś przeżył... – Głos jej się załamał. Brakowało jej słów. – ...tamto... piekło, to kiedy wróci do swojego domu, do normalnego życia... to będzie... inaczej... będzie chciał żyć normalnie...

– Pod warunkiem że wróci do swojego domu i normalnego życia, proszę mamy – odpowiedziała lodowatym tonem córka.

Maria odwróciła się i weszła do pokoju stołowego. Zamknęła za sobą drzwi. Nie mogła się pozbyć uczucia, że w jej domu pojawił się ktoś obcy, z kim wcale nie chciała mieszkać.

## ROZDZIAŁ VII

LISTOPAD 1950

W sieni przy drzwiach kuchennych stały cudze buty. Goście, pomyślała Maria. Po chwili poznała dobiegające zza drzwi głosy szwagierek, Gieni i Adeli. Zdjęła palto i powiesiła na kołku. Z uśmiechem weszła do kuchni. Trzy młode kobiety, siedzące przy stole, podniosły głowy. Miranda w ułamku sekundy przestała się śmiać. Siostry Szamretówny wstały, żeby przywitać się z bratową.

Maria postawiła na podłodze dwie duże walizki i uściskała szwagierki.

– Co tu tak wesoło? O! Ja też się napiję – zawołała, widząc na stole trzy kieliszki i niemal pustą karafkę z nalewką. – Właśnie przywiozłam kolejny zapas.

Miranda zakrzętnęła się szybko. Wyjęła z szafki kieliszek i podała matce, podeszła do kuchni i postawiła garnek na ogniu. Maria jej o to nie prosiła. Z uśmiechem zauważyła i doceniła te starania córki. Sprawily jej przyjemność, więc zadowolona i rozluźniona usiadła na krześle. Ktoś nalał jej nalewki, ktoś inny wyciągnął w jej stronę paczkę papierosów, ktoś zapalił zapałkę i podsunął ogień. Maria wypila łyk nalewki, a potem zaciagnęła się papierosem. Po kuchni rozszedł się przyjemny zapach gulaszu.

– A co tam przytaszczyłaś? – zapytała Adela.

Stasiakowa uśmiechnęła się szeroko, odłożyła papierosa do popielniczki. Wstała od stołu i otworzyła jedną, a potem drugą walizkę. Z obu natychmiast buchnął zapach wędzonek. Ciężki i tłusty. Niemal wysypały się z nich kiełbasy, baleron i szynki. Między nimi leżało parę szklanych butelek po spirytusie, wypełnionych bursztynowym płynem.

Szamretówny aż pisnęły z zachwytem. Maria sięgnęła po nóż do szuflady kredensu i odcięła po kawałku pachnącej świeżej kiełbasy, po czym podała przysmak każdej z młodych kobiet. Usiadła przy stole, czekając na obiad

i paląc papierosa. Adela i Gienia jadły z apetytem, kiwając głowami i mrucząc z radości. Mirusia też wyglądała na zadowoloną. Oblizywała palce z ciemnego od dymu tłuszczu.

– Będzie czym jutro handlować na rynku – powiedziała z dumą Maria. – Januszek śpi?

Adela w odpowiedzi pokiwała głową, a jej bratowa pytała dalej:

– Ale, ale, o czym to tak ćwierkałyście, jak przysłałam?

Miranda wstała od stołu i podeszła do kuchni nałożyć matce jedzenie na talerz, po czym postawiła je przed nią i dołożyła kromkę świeżego chleba, który leżał pod ściereczką na parapecie okna. Maria zgasła papierosa i zaczęła jeść.

– A tam takie wspominki – powiedziała Gienia i dołała do kieliszków orzechówki.

– A jakie? – podpytywała je Maria pomiędzy jednym a drugim kęsem.

Siedziały we cztery przy stole. Pachniało mięsem i wędlinami, piły dobry alkohol, pod kuchnią buzował ogień. Ciepło i dostatnio. Odpowiedziała jej Adela:

– Wspominałyśmy, jak Gienia nas zmuszała, żeby chodzić z nią na stadion do Zwierzyńca, bo się w tym skoczku podkochiwała, jak on tam się nazywał?

– Ja? – zawołała z oburzeniem starsza z sióstr. – Ja? To przecież ty się w nim durzyłaś. Kwiatki na bieżnię rzucałaś. „Edek! Edek!”, krzyczałaś – przypominała ze śmiechem.

– Luckhaus – wtrąciła Mirusia. – On się nazywał Luckhaus. I to ty się w nim podkochiwałaś! – Wskazała oskarżycielsko palcem w stronę Gieni.

Wszystkie trzy się zaśmiały. Marii też było wesoło na sercu. Jej dziecko się dobrze bawiło. Jadła i przyglądała się roześmianym twarzom młodych kobiet.

– Ale to twój kawaler miłość ci wyznawał w dość oryginalny sposób – zwróciła się Gienia do siostry. – Nawet w „Echach Białostockich” o tym pisali.

– A! Tak, było coś takiego, owszem – przypomniała sobie Maria, prawie krztusząc się ze śmiechu. – Chciał się z miłości do ciebie rzucać z wieży ratusza.

– O, przepraszam – oburzyła się Adela – nie do mnie, tylko do moich warkoczy.

Pokazała ręką gruby warkocz zawinięty wokół głowy jak korona.

– To był Izaak Kapłan – wtrąciła Mirusia, zadziwiając je świetną pamięcią.

– Jego ojciec był kimś ważnym w gminie żydowskiej. Chodził do tego samego gimnazjum, co ja. A w nim kochała się Sara. Tylko on nie zwracał na nią uwagi.

Maria poprawiła się na krześle. Adela z Gienią nadal się śmiały.

– Miał takie piękne, smutne i aksamitne oczy. I był bogaty. A raczej jego ojciec był bajecznie bogaty. Przynajmniej przed wojną... – Adela się rozmarzyła.

Maria zniecierpliwiła się. Rozmowa o bogatych przedwojennych Żydach mogła szybko doprowadzić do pytań ze strony Mirusi, na jakie nie miała ochoty odpowiadać.

– Tak, tak, miał takie same oczy jak ten aktor... jak to on się nazywa, ten z *Zakazanych piosenek*? – powiedziała, byle tylko zmienić temat.

– Duszyński – przypomniała jej Gienia.

– Co to *Zakazane piosenki*? – zapytała Miranda.

Obie ciotki, już nieźle wstawione, spojrzały na nią z niedowierzaniem, a potem niemal z litością.

– O matko! Mirusia, ty nie wiesz, co to *Zakazane piosenki*? Adela! – krzyknęła Gienia. – Miruśka nie widziała *Zakazanych piosenek*. Koniecznie musimy to nadrobić!

– No to trzeba się pospieszyć – skwitowała z uśmiechem Maria. – Na pewno gdzieś to jeszcze grają. Na tablicy przy hali powinien być wywieszony repertuar kin, a jak nie, to na słupie na Marchlewskiego.

Mirusia patrzyła na pozostałe z uśmiechem, czekając, aż jej wyjaśnią, co to te *Zakazane piosenki*. Gienia i Adela przekrzykiwały się podekscytowane.

– Może w Tonie?

– W Tonie grają *Skarb*, mówiła mi koleżanka z pracy!

– Pójdziemy zobaczyć *Skarb*?

– Nie, *Skarb* nie, Miruśka nie może zacząć swojej edukacji filmowej od *Skarbu*. To muszą być *Zakazane piosenki*.

– Gdzie wisi ten repertuar na cały miesiąc? – gadały jedna przez drugą.

Maria odetchnęła z ulgą. Ryzyko katastrofy zostało zażegnane. Tematem rozmowy stała się teraźniejszość i plany na przyszłość, czyli tak, jak powinno być. Spojrzała na córkę siedzącą na krześle. Miranda zupełnie nie była zainteresowana poszukiwaniami seansu popularnego filmu.

– Pamiętam, że kiedyś chodziło się do Gryfa, Ritza albo do kina Apollo. Poszłabym tam chętnie – powiedziała w zamyśleniu.

Maria znowu zeszywniała. Coraz mniej podobały jej się te wspominki. Do niczego dobrego nie prowadziły.

– Późno już – powiedziała i wstała od stołu. Zaczęła zbierać naczynia, wyraźnie dając do zrozumienia pozostałym, że czas zakończyć spotkanie. – Jutro kupię świeży „Kurier”, pewnie tam będą wszystkie kina. Teraz już czas się zbierać, rano idę na rynek.

– Tak, tak, koniecznie jutro sprawdzimy i zabierzemy cię, Miruśka, do kina w niedzielę.

– A możemy pójść do Apolla? – zapytała głośno i dobitnie Miranda.

Maria westchnęła, córka wyraźnie nie chciała dać za wygraną.

– Bo ja bym poszła do Apolla albo do Gryfa. Jak przed wojną.

Tamte zamilkły na chwilę.

– Nie ma już Apolla ani Gryfa, no coś ty, Miruśka. Przecież wszystko się pozmieniało – wyjaśniła jej Adela.

Maria uświadomiła sobie, że jej córka doskonale to wie. Prowokowała je, wymachiwała szabelką jak pijany podporucznik po sobotniej zabawie.

– No, dziewczęta, czas do domu. – Skinęła dłońmi nad głowami szwagierek. Adela z Gienią zaczęły wstawać z krzeseł i zbierać się do wyjścia.

– A co się z nimi stało? Z kinem Apollo? I co się stało z Izaakiem Kapłanem? Przecież się kochaliście. Dlaczego nie wyszłaś za niego za mąż? – pytała Miranda z uporem wzmocnionym nalewką.

Maria się zdenerwowała. Nie miała ochoty na wspomnienia ani pijackie awantury.

– Wiedziałam, że z tych wspominek nic dobrego nie wyniknie. Koniec na dzisiaj, czas spać.

Obie szwagierki zaczęły szybciej się zbierać. Sprawnie wkładały chustki na głowy, zapinały guziki jesionek.

– No to my zmykamy. Dobranoc.

I już ich nie było.

Maria starała się uspokoić. Przywdziać typową dla siebie maskę uśmiechu. Wkładała w to wiele wysiłku.

– A jest co złego we wspominkach, proszę mamy? – zapytała Miranda. Wyraźnie nie miała zamiaru przestać.

Maria sapnęła, miała dosyć. Dość własnej córki i tych jej ciągłych pretensji czy pytań.

– Mirusia, proszę cię, jestem zmęczona, za parę godzin muszę wstać –



odpowiedziała, siląc się na beztroski ton.

Opróżniła zapełnioną popielniczkę do węglarki, po czym zabrała się do zmywania tych kilku naczyń. Woda z kranu wydawała się bardziej lodowata niż zazwyczaj.

– Przecież mama pewnie ma też dobre wspomnienia.

– Nie ma sensu wspominać tego, co było – zirytowała się. – Przed wojną to, przed wojną tamto. Jaki w tym sens? Jaki rozum? Było, minęło. Po co wspominać stare dzieje?

– Ale mama lubiła te stare dzieje. Przecież pamiętam.

Maria wycierała mokre kieliszki suchą szmatką, żeby nie zostały na nich zacieki. Robiła to z dużą energią i zawzięciem.

– Lubiłam, lubiłam, a teraz lubię co innego.

– Pamiętam, jak chodziliście z ojcem na rauty do Ritza – ciągnęła jej córka. – Mama miała takie piękne sukienki. Uwielbiałyśmy z Bušką je wkładać. A partyjki szachów w Luksie? My jadłyśmy lody, a ojciec przyglądał się graczom. A te letnie niedziele na plaży w Dojlidach? Lubiła je mama. Co złego we wspomnieniach?

Maria odstawiła kieliszki na miejsce, wytarła ręce w ściereczkę do sucha.

– Nic złego. Nic złego – powtórzyła, uśmiechając się sztucznie. Postanowiła, że nie da się sprowokować. – Tylko jestem zmęczona. Przywiozłam dziesięć kilo w dwóch walizkach pociągiem z Michałowa, a potem taszczyłam ten ciężar od przystanku na Marchlewskiego. Teraz idę spać – oświadczyła i skierowała się w stronę pokoju stołowego. Zatęskniła nagle za swoim poprzednim życiem, tym bez córki, bez pytań, bez bolesnej przeszłości, z przewidywalną przyszłością.

– Czto so wsjem etom proizoszło? Co się stało z Izaakiem, Sarą, z kinem Apollo? – Córka drążyła temat. Siedziała za stołem kuchennym z rękoma spokojnie ułożonymi na obrusie.

– Co się stało? Co się stało? – Stasiakowa zamachała rękoma w powietrzu. Odwróciła się w stronę córki. – Nie ma, przepadli. Słuch wszelki o nich zaginął.

– Co to znaczy przepadli?

– Przepadli, tak jak moje spokojne życie! – wybuchnęła Maria.

Gorąco uderzyło ją w twarz. Poczwała, jak krew wypełnia każdą żyłkę na policzkach. Stała, patrząc na córkę. Miranda wpatrywała się w jej źrenice i nic nie mówiła.

– Uważasz, że tylko ciebie spotkało nieszczęście? Inni to tu mieli raj? Nawet nie wiesz, ile bólu sprawiasz tymi swoimi pretensjami i pytaniami.

Przez chwilę panowała cisza. Gęsta, oblepiająca. Zrobiło się duszno, Maria miała wrażenie, że nie ma czym oddychać.

– Zostaw w spokoju to, co było. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

– Dla mnie również? Ja tylko chcę się dowiedzieć, co się stało z tamtym życiem i rodziną, którą utraciłam. Czy to może komuś zaszkodzić? – zapytała Miranda, nadal zaczepnym tonem.

Czy to się kiedykolwiek skończy? Maria usiadła ciężko. Rysy jej twarzy stężały.

– Dużo złego się wydarzyło, ale teraz już tylko będzie dobrze, zajmę się wami, tobą i Januszką – tłumaczyła. – Żadna krzywda nie spotka już żadnego z moich dzieci. Zadbam o rodzinę, o nas wszystkich, tak jak do tej pory robiłam, tylko proszę, nie utrudniaj mi tego.

Patrzyła na córkę stalowym spojrzeniem pełnym determinacji. Nawet ogień pod kuchnią ucichł, a światło żarówki wydawało się zimne jak lód na rzece w mroźną księżycową noc.

– Było i minęło, kto by to pamiętał. Trzeba żyć dalej. Jutro wrócę później z rynku, bo dużo mam towaru.

I już miała się odwrócić i odejść, kiedy nagle Mirusia uderzyła ręką w stół. Maria aż podskoczyła.

– Niech mama mnie nie traktuje w ten sposób! – Córka podniosła głos. – Przeszłam swoje, mam za sobą piekło i nie jestem już dzieckiem.

Matka spojrzała na nią uważnie.

– Tak – potwierdziła – przeszłaś piekło i bardzo cię życie doświadczyło. Za bardzo. – Mówiła cicho, spokojnie, zimno. W jej głosie wyczuwało się dużo brutalnej szczerości i siły. – Masz prawo być wściekła i rozszalona. Wszystko jest inaczej, niż sobie wymarzyłaś. Wiem, że do czego innego tęskniłaś. Do innej rodziny, innego miasta, innej rzeczywistości. Nie znasz tej, w jakiej się znalazłaś. Ale nie tylko tobie było trudno, nie tylko ty musiałaś się godzić z rzeczywistością, jakiej nie chcesz, a obnosisz się ze swoją złością jak zbuntowana smarkula. Rzeczywiście nie jesteś dzieckiem. Myślisz, że spotkało cię największe nieszczęście? Chcesz wiedzieć, jak tu było? Masz ochotę na wspominki? Nie chcesz, żeby cię traktować jak dziecko? Bardzo proszę. Kiedyś pojedziesz ze mną do miasta, a potem do Łap. Opowiem ci, jak tu było. Ale nie dzisiaj.

Miranda siedziała z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Maria też nie spodziewała się, że te wszystkie słowa tak nagle z niej wypłyną. Zaskoczyła ją własna szczerość.

– Pociemu do Łap? – wypaliła Miranda, jakby tylko na tyle było ją stać.

– Po miód i ser – odpowiedziała Maria. – Idź, bo Januszek się obudził i kaszle – poleciła córce i poszła się przebrać.

Potem leżała w ciemnym pokoju i słuchała, jak jej córka nuci bratu kołysanki czy te swoje syberyjskie modlitwy.

## ROZDZIAŁ VIII

KWIECIEŃ 1940

Maria powoli zbliżyła się do okazałego budynku Izby Skarbowej przy ulicy Mickiewicza. Liczne czerwone flagi i portret Stalina, a także, zdobiły front siedziby oddziału NKWD obwodu białostockiego Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

Przed budynkiem tłoczyli się ludzie. Maria stanęła około pięćdziesięciu metrów dalej, oparła się o kawałek muru oddzielającego ulicę od terenu Plant i obserwowała, co się dzieje na chodniku i ulicy. Przy wejściu do gmachu stał tłumek około dwudziestu, trzydziestu osób, które szukały swoich bliskich, zabranych w nocy z domu. Byli tam mężczyźni i kobiety, starcy i nastoletnie dzieci, szukające ojców lub matek. Przekrzykiwali się, płakali, wymachiwali pięściami w stronę zamkniętych, nieczułych okien. Przy drzwiach stał czerwonoarmista i wpisywał przybyłych na listę.

Nie wszystkich. Takich lepiej ubranych, w płaszczach z futrem, a także kobiety w kapeluszach czy pantofelkach żołnierze przeganiali spod drzwi, strasząc karabinami. Maria rozejrzała się wokoło. Nieco dalej, tak jak ona, stała inna grupa ludzi. Ci na ogół ubrani byli w kozuchy i kufajki, mieli znoszone buty. Wyglądali na przybyszów ze Wschodu. Pod okazałym dębem zaś, w cieniu pozbawionych jeszcze liści gałęzi, czaił się pewien starszy mężczyzna. Stał przygarbiony, jakby zatrzymał się i oparł o pień tylko po to, aby odpocząć. Maria wiedziała jednak, że ten człowiek nie odpoczywa. Znała go, nazywał się Jan Zanfeld, niegdyś miał sklep bławatny na Sosnowej. Potem syn go oszukał i wyrzucił na bruk. Od tego czasu Zanfeld głównie zajmował się żebraniem na ulicach i placach. Maria wsunęła rękę do kieszeni i z ulgą wyczuła parę ciężkich monet, ze dwa, a może nawet trzy ruble. Oderwała się od płotu i podeszła do mężczyzny. Ukryła się wraz z nim pod drzewem.

– Dzień dobry, panie Zanfeld, pamięta mnie pan?

– Szanowanie drogiej pani Szamretowej – zawołał radośnie i wyszczerzył w uśmiechu bezzębne dziąsła. – Moja stara, dobra klientka. Już potem nie miałem takich klientek jak szanowna pani.

– Panie Zanafeld, długo pan tu tak stoi? – zapytała Maria niby od niechcenia. Jakby nie szukała wywiezionych z domu dzieci, tylko podeszła na pogawędkę.

– A, będzie już kilka dni.

– Dużo ludzi tu przychodzi – powiedziała i umilkła.

Chwilę stali bez słowa obok siebie. Przez gałęzie przebijały nieśmiało promienie wiosennego słońca. Chyliło się już ku zachodowi, rozświetlając złotem okazałą fasadę.

– Jak się szanowna pani miewa? Jak małżonek?

– Dobrze, dobrze – odpowiedziała – a u was jak tam?

– A idzie pomalutku. Cały majątek szlag trafił, oszczędności nie ma, więc człowiek zbiera, co dobrzy ludzie dadzą.

Maria uznała, że to dobry moment, i wsunęła staruszkowi monety w rękę.

– Podobno wywożą oficerów – zagadnęła go delikatnie, z udawaną obojętnością.

– Tak, wywożą.

– A to stąd ich wywożą?

Stary człowiek przyjrzał jej się uważnie. Dostrzegł nietypowe ubranie, a także nerwowe drżenie pokaleczonych rąk i w jego oczach ujrzała zrozumienie. Odwrócił wzrok i odpowiedział jej tym samym tonem co wcześniej, obojętnym, jakby rozmawiali ot tak, o niczym lub o sprawach tak ważnych jak obecna pogoda.

– Podobno od oficerów to jest taki komisarz na Warszawskiej, znaczy na Pierackiego, w komendzie się ulokowali. Tak słyszałem. Strożnicyn się nazywa. Ale kto wie, jaka jest prawda? Ludzie różne rzeczy gadają.

– Oj, gadają, panie Zanafeld, gadają. Jak to ludzie – odpowiedziała Maria, siląc się na obojętność. Wyprostowała się i rzuciła: – Do następnego razu, panie Zanafeld. Miło było pana widzieć. Obyśmy się w lepszych czasach spotkali!

– Uszanowanie pani i do miłego – odpowiedział mężczyzna. Skłonił głowę i lekko uniósł daszek czapki. Takiej, jaką nosili wtedy wszyscy Żydzi w Białymstoku.

Maria skręciła w Świętojańską i poszła prosto na Pierackiego. Nie musiała długo się rozglądać. Kiedy stanęła na rogu, szybko dostrzegła budynek, którego

szukała. Na froncie powiewały czerwone flagi. Podeszła bliżej i ruszyła na drugą stronę ulicy. Ukryła się w cieniu kolumnady budynku szkoły i obserwowała, co się dzieje po drugiej stronie ulicy.

Parę osób zameldowało się stojącemu w wejściu czerwonoarmiście i weszło do środka. W oknie na piętrze połyskiwała lufa karabinu i od czasu do czasu pojawiał się siny dym z papierosa. W porównaniu z tym, co działo się na Mickiewicza, tutaj panował spokój.

Maria przejrzała się w szybie najbliższego okna. Przekrzywiona chustka na głowie, policzek umorusany szarym żwirem spod pałacu. Widocznie przy upadku pobrudziła twarz. Spojrzała na dłonie i wytarła je w fartuch, na którym zostawiły ciemne ślady. Mogły one uchodzić za miał węglowy. Z dodatkiem krwi z otartych dłoni. Dobrze, bardzo dobrze. Obejrzała się w szybie jeszcze raz – własny wygląd ją usatysfakcjonował. Podeszła do budynku Komendy Policji Wojewódzkiej.

– Towariś! U mienia sroczoje dieło k towarisci komisaru! – powiedziała mocnym, zdecydowanym tonem.

Stojący pod drzwiami żołnierz spojrzał na nią.

– A ty kto? – zapytał.

– Robotnica z zawoda. Ja przšla ot krasnoarmiejcew. – Machnęła ręką w stronę pałacu Branickich. – Towariś lejtenant przšla mienia s soobszczienijem k towariszciu Strożnicynu.

– Tak dawaj. – Wyciągnął do niej rękę.

Miał góra dwadzieścia lat i jedynie cień wąsa pod nosem. Zza pasa wystawała mu kolba pistoletu. W prawej ręce dumnie dzierżył wielki karabin.

– Nu niet! Ja dożna czto-to soobszczit’, no tol’ko komisaru liczno. Skazali, czto nikomu drugomu, poskol’ku eto dieło gosudarstwienoj waźnosti – odparła, spuszczając skromnie oczy.

Chłopak przyjrzał jej się uważnie, a potem otworzył drzwi i usunął się z drogi. Wskazał ręką gdzieś w lewo. Weszła pewnym krokiem i poczekała, aż zamknęły się za nią drzwi. Wtedy, już w ciemnym korytarzu, wpadła w panikę. Co ona tu robi? Dokąd ma pójść? Oparła się plecami o framugę i odetchnęła głęboko kilka razy, żeby się uspokoić. Spojrzała w obie strony.

Na lewo i na prawo ciągnął się długi, pozbawiony okien korytarz. Gdzieś tam widać było światło z otwartych drzwi do dalszych pomieszczeń. Z lewej strony doleciały do niej słowa wykrzykiwane po rosyjsku. Zaczęła się skradać, nasłuchując. Był tylko jeden głos, widocznie ów ktoś rozmawiał

przez telefon. Maria stała chwilę, zbierając siły i zegnając się z dotychczasowym życiem.

– Teraz jest wojna! Więc trzeba iść na wojnę! – powiedziała do siebie i wkroczyła pewnym krokiem do pokoju, skąd dobiegał ów głos.

Zatrzymała się w progu, skinęła głową mężczyźnie za biurkiem i stała ze spuszczoną głową, czekając, aż tamten zakończy rozmowę. Pokój byłumeblowany z przedwojennym przepychem. Pod ścianą stała masywna szafa pancerna. Bogato zdobiona, ze wzmocnionymi krawędziami. Teraz była otwarta, objawiając światu swoją zawartość. Po drugiej stronie orzechowa biblioteczka zajmowała prawie całą ścianę. Rżnięte kryształowe szkło w drzwiczkach mieniło się tysiącami tęczy. Na środku pyszniło się masywne dębowe biurko. Politura mebla błyszczała jak dopiero co wypolerowana. Na ścianie obok drzwi ktoś powiesił na dużych gwoździach portrety Stalina i Lenina. Nie pasowały do reszty wystroju.

Za biurkiem siedział ubrany po cywilnemu mężczyzna w średnim wieku. Miał szczupłą, wąską twarz, którą zniekształcała duża blizna. Wyglądało to tak, jakby coś wyrwało mu kawałek policzka i zrastające się brzegi rany ściągnęły skórę dookoła.

Utkwił wzrok w stojącej w progu Marii. Kiedy na chwilę spojrzała w jego stronę, wskazał ręką samotne krzesło stojące pomiędzy biurkiem a drzwiami. Maria podeszła i usiadła. Skończył rozmowę i przedstawił się uprzejmie.

– Komisarz Stroznicyn, do usług! Słucham panią? – zapytał po polsku z silnym wschodnim akcentem.

Polak? – zdziwiła się Maria.

Już miała się uśmiechnąć z ulgą, kiedy nagle poczuła swąd podstępny. Chrząknęła i odpowiedziała też po polsku, ale robotniczą gwarą, jakiej się nauczyła na podwórzu domu w robotniczym osiedlu na Wygodzie.

– A jaka ja tam pani. – Machnęła zamasyżycie ręką jak prosta kobieta i uśmiechnęła się, spuszczając wzrok. – Ja tam prosta robotnica jestem.

Mężczyzna wstał zza biurka, podszedł do niej i usiadł na brzegu blatu, splatając ręce na piersi. Patrzył na nią uważnie. Na jej niebieskie oczy, okolone długimi, czarnymi rzęsami. Pospolite, ale ładne rysy, wystające kości policzkowe i jasne włosy, wyglądające spod przekrzywionej chustki. Spoglądał na zniszczone, brudne i podrapane ręce. Na wąską talię i duże piersi, odznaczające się pod bluzką i rozciągniętym, za dużym swetrem, widocznym pod rozpiętą kufajką. Sprawiał wrażenie, że widzi wszystko.

Marysia poczuła, że zaczyna się pocić.

– Przepraszam, obywatelko, ale musiałem się upewnić. Przychodzi ich tu dużo, tych inteligentów, burżujów – powiedział i splunął w bok – i podszywają się pod naszych. Myślą, że jak włożą robotnicze czy chłopskie ubrania, czapkę lub kufajkę, to mogą nas oszukać. My nie jesteśmy głupcami! Wyczujemy takiego z daleka! – Podniósł głos i pochylił się ku niej.

Maria opuściła niżej głowę. Struzka potu spływająca pomiędzy piersiami niemiłosiernie łaskotała jej skórę na mostku, pod którym w szaleńczym tempie biło serce.

Na chwilę zapadła cisza. Marysia niemal czuła na głowie oddech pochylającego się nad nią mężczyzny. Czekwała w bezruchu. Nagle Sowiet zerwał się na nogi. Klasnął w dłonie i zawołał:

– Ale, ale, z czym przychodzicie, obywatelko?!

Głośno przełknęła ślinę. Nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

– No! Mówcie – zachęcił ją, siadając znowu za biurkiem.

– Ja zaszła... – wybąkała i znowu się zacięła. Podniosła nieśmiało oczy. Jej rozmówca skinął zachęcająco ręką. – Ja zaszła dowiedzieć się o moje dzieci.

– A co się stało z waszymi dziećmi, dobra kobieto? – spytał, mocno zaciągając.

– Zabrali ich przed świtem.

– Zabrali!? Przed świtem?! Z domu?! – krzyknął z teatralnym przerażeniem i uniósł do góry ręce.

Maria popatrzyła na niego spod rzęs. Jeszcze nie mogła spojrzeć mu prosto w oczy. Widziała jedynie tę obrzydliwą czerwoną szramę. Bała się jak nigdy dotąd w swoim życiu.

– Nie, nie z domu. My tam mieszkamy u moich baćków, z robotnikami.

– To skąd ich zabrali?

Znowu przełknęła ślinę.

– Od państwa, gdzie służę.

Zamilkła. Siedzieli w absolutnej ciszy. Czuła na sobie baczny wzrok enkawudzisty.

– A gdzie to jest? – zapytał.

– Na Słonimskiej. U Szamretów.

Znowu zapadła krępująca cisza.

– A co twoje dzieci tam robiły?

– Czasami bawią się z pańskimi dziećmi. Czasem dostaną coś do jedzenia



albo jaką zabawkę czy inne badziewie. – Starła się mówić jak robotnica, krótkimi, prostymi zdaniami, i używać słów typowych dla prostych ludzi.

– A jak się nazywasz?

– Stasiak. Baćko robił w fabryce sukna. Póki go krosna nie ukatrupiły.

– Ach, ten pański wyzysk – westchnął mężczyzna i zaraz zapytał: – A ojciec waszych dzieci gdzie?

Maria mocniej zacisnęła ręce na kolanach i odpowiedziała jednym tchem, bez zajknięcia:

– A kto go tam wie, gołodupiec i menel, hula w jakim baryku. Latoś go nie widziała, może gdzie tam zdechł pod płótem jak któren sobaka. A nu jego!

Już od wielu lat nie używała takich słów i sama się dziwiła, jak łatwo jej to przyszło. Musiała przyznać rację swojej teściowej, że i tak słoma z butów jej wyjdzie. Ale błogosławiła teraz tę słomę.

– Ja jestem robotnica! – zapewniła z płaczem. – Z fabryki sukna na Białostoczańskiej! Proletariat!

Na chwilę podniósł na nią oczy.

– Robotnica? – powtórzył z niedowierzaniem. – To przynieście zaświadczenie od sekretarza zakładowej partii komunistycznej i zobaczymy, co da się zrobić!

Maria patrzyła na niego przez łyzy. Nie rozumiała, o czym ten człowiek mówi. Jakiego sekretarza? Jakiej partii? Nie miała czasu na zastanawianie się.

– Józefa, brata mojego męża – ugryzła się w język – to znaczy brata mojego pana, to wzięli przez przypadek! To była pomyłka – spróbowała jeszcze raz. Komisarz spojrział na nią groźnie i warknął:

– Uważajcie, bo męża i ciebie też zabierzemy. Pana to na pewno – dodał. Po czym stracił cierpliwość, machnął ręką i krzyknął: – Tu nie może być żadnej pomyłki. Władza komunistyczna się nie myli. – Wziął do rąk papier z biurka, dając jej do zrozumienia, że to koniec rozmowy.

W tym momencie zaterkotał głośno telefon na biurku. Przestraszona Maria podskoczyła na krześle i podniosła wzrok. Komisarz popatrzył jej w oczy i powiedział:

– Przyjdź tu jutro z zaświadczeniem z partii. – Skinął ręką, pokazując Marii, że ma odejść, i już podnosząc słuchawkę, dodał: – Ładna jesteś!

Maria wyszła posłusznie. Z rodzącą się nadzieją w sercu i wielkim lękiem w gardle wróciła na Słonimską i zaraz ruszyła po zaświadczenie do fabryki. Mogłaby iść do samego piekła. Nie miało to dla niej znaczenia. Na koniec

świata by poszła, żeby odzyskać córki.

## ROZDZIAŁ IX

LISTOPAD 1950

Miranda leżała pogrążona w smutku. Czuła się z nim bezpiecznie, prawie tak, jakby znowu była w syberyjskiej chacie, w rzeczywistości, którą znała najlepiej. Chociaż tam, na wschód od Uralu, nad szerokim Irtyszem, nie miała na niego czasu ani siły. Był luksusem, na który rzadko mogła sobie pozwolić. Musiała walczyć o przetrwanie całym swoim wyniszczonym ciałem i udręczoną duszą. Najpierw o życie ich trzech – jej, Busi i babci, potem już tylko o swoje.

Chciała wytrzymać, aby wrócić do normalności. Do swojego życia, do rodziny, do domu. Obiecała to babci Władzi i Busi, kiedy umierały, jedna po drugiej. W dwie kolejne zimy. Przysięgła im, że wróci do rodziny. Obiecywała, że opowie innym, jak tam jest na Wschodzie, a potem będzie żyła normalnie w radości i spokoju wraz z bliskimi.

Gdy wróciła, wszyscy przyjęli ją ciepło, ale czuła się tu obco i samotnie. Wciąż pojawiały się te same lęki, noce nadal były bezsenne lub wypełnione koszmarami. Wróciła do Białegostoku, ale smutek zawładnął nią całkowicie. Był z nią przez cały czas, szeptał do ucha swoje modlitwy i zaklęcia. Zatruchił jej myśli, a ona mu na to pozwalała.

Nie musiała walczyć o życie, o posiłek, o przetrwanie. Niczego jej nie brakowało. Ostatnie tygodnie żyła w dostatku. Pozornie. Naprawdę zaś nadal brakowało jej domu, rodziny i ojca. Brakowało jej wszystkiego, co pamiętała, o czym myślała w odległej Jugrze i jeszcze wcześniej. A najbardziej tęskniła właśnie za ojcem. Nie mogła się pogodzić z tym, że go nie ma. Kojarzył jej się z dzieciństwem, z najlepszym czasem w jej życiu. Nie widziała go ponad dziesięć lat i przez cały ten czas marzyła, że w końcu się spotkają. W długie syberyjskie noce, kiedy ból, głód i zimno nie pozwalały jej zasnąć, tak wiele razy układała w myślach scenę ich powitania po latach, że stała się dla niej

rzeczywista.

Ojciec był blisko, wciąż czuła jego obecność. Nie mieściło jej się w głowie, że mógłby nie żyć. Łapała się na tym, że czeka na niego. Wyglądała przez okno, szukała go wokół domu. Kiedy otwierała szafę, miała wrażenie, że nadal jest tam zapach jego ubrań, chociaż żadnych jego rzeczy tu nie było. Nigdy ich tutaj nie było. Ojciec nigdy nie mieszkał w domu przy Przygodnej.

– Niech mama nie wznosi zupy do sieni, ojciec wróci, to zje – mówiła matce w roztargnieniu.

– Ciekawe, jak tacie minął dzień? Może, jak wróci, to pokaże ci swoje szable i medale, pobuja cię na nodze, a jutro upieczemy babkę drożdżową z rodzinami. Taką, jaką tata lubi najbardziej – paplała wieczorem braciszce. Jakby nie miała świadomości, że malec nigdy nie widział ojca. I jakby rodziny były towarem ogólnie dostępnym.

– Aaałłeee... bleee... blee. Ba! – odpowiadał jej braciszek, którego ojciec nigdy nie widział ani nie przytulił.

Matka milczała, nie reagując na te mimowolne pomyłki Mirandy. Jakby oczekiwała cierpliwie, aż córka zrozumie i oswoi się z sytuacją. Miranda jednak nie potrafiła zrozumieć ani się oswoić. Nie umiała się pogodzić ze śmiercią ojca.

W domu nie było żadnych śladów jego obecności. Miranda przeszukała półki małej biblioteczki w pokoju stołowym. Sprawdziła szufladki i szafki kredensu. Przegrzebała szuflady w komodzie, a nawet przejrzała tę pod blatem stołu kuchennego. Chodziła do sióstr ojca, Adeli i Gieni, mając nadzieję, że jej powiedzą, gdzie go znaleźć. Wypytywała Ziućkę, wierząc, że powie, że ojciec żyje, tęskni za swoją starszą córką i nie może się doczekać ich spotkania. Niestety, nikt jej tego nie powiedział. Nikt z rodziny nie rozmawiał o Emilu, nie celebrował wspomnień o nim. Miranda nie mogła się z tym pogodzić.

– Adela, a tata tęsknił za mną? Pytał o mnie? – nękała młodszą ciotkę.

– Co ojciec robił przez całą wojnę? – dręczyła Gienię.

– Jesteście pewni, że ojciec zmarł od tej bomby? Jesteście pewni, że on tam był? A może wtedy wyszedł z domu i się przestraszył? Albo stracił pamięć i błąkał się po okolicy? – zamęczała Ziućka.

Po paru tygodniach jednak zauważyła, że tamci wszyscy dziwnie reagują na jej pytania. Adela krzywiła się, jakby połykała gorzkie lekarstwo, Gienia dostawała rumieńców i zaraz sobie przypominała, że gdzieś się spieszy, a Ziućka zaciskał wargi i wytrzeszczał oczy. Nikt nie udzielił jej żadnej

satysfakcjonującej odpowiedzi. W końcu zaczęli jej unikać i wymigiwać się od rozmów.

\*\*\*

Wreszcie pewnego czwartkowego ranka Miranda zapytała matkę:

– A dlaczego mama nigdy nie mówi nic o tacie?

Pracowały w przydomowym ogrodzie, zaniedbanym i nietkniętym od paru lat. Postanowiły powycinać większe gałęzie. Rozrośnięte leszczyny, jaśmin, dziczące porzeczki i agrest niemal zasłaniały podejście do domu. Dwa ułamane konary jabłoni w każdej chwili mogły się zwalić na drewniany płot, który pewnie by tego nie wytrzymał. Pogoda dopisała. Powietrze było ostre i przejrzyste jak górski kryształ, niebo błękitne z pojedynczymi białymi chmurami, które płynęły gdzieś daleko i wysoko nad światem.

– Nie wspomina go mama? Tak szybko udało się mamie zapomnieć? – ciągnęła Miranda.

Pracowała uzbrojona w siekierkę, matka miała toporek. Rękami w grubych rękawicach chwyciły konary i grubsze gałęzie i odrąbywały od pnia lub tuż przy ziemi. Potem grubsze kawałki porąbią na szczapy, które złożą się w komórce i będą na podpałkę. Z drobnych gałązek zrobią wieczorem ognisko, Januszek się ucieszy. Miranda sapała, z jej ust raz po raz wydostawały się kłęby pary i niknęły w mroźnym powietrzu.

– Daje dzisiaj mróz, oj, daje. Pierwszy w tym roku – powiedziała Maria.

Oddech miała równy i mocny, obłoki pary z jej ust były większe, gęstsze. Matka mniej się męczyła tą pracą, ale to Miranda sprawniej rąbała i odcinała gałęzie. Wyćwiczona w tajdze, zręcznie posługiwała się siekierką.

– A gdzie są zdjęcia ojca? – nalegała. – Miał takie jedno w mundurze galowym. Pamięta mama? Gdzie ono jest? – drążyła z uporem.

Maria milczała. Na chwilę przerwała pracę i zapatrzyła się w górę ponad dachami domów. Bez słowa przyglądała się obłokom, jakby nie słysząc pytań.

– A rzeczy ojca? Ubrania? Mundur? – wyliczała Miranda. – A odznaczenia? Drobiazgi? Gdzie są? – Nabrała powietrza w płuca i ze stęknieniem zamachnęła się, trafiając siekierką idealnie w środek sporego konara, który pękł, ukazując białe, soczyste wnętrze. – Gdzie jego zegarek na łańcuszku, ten po dziadku? A piękne diamentowe spinki do koszuli? Jedwabny szalik?

Medale i odznaczenia? Szable? – mówiła z zapamiętaniem.

Maria ocknęła się z zamyślenia i powróciła do pracy. Celebrowała teraz każdy ruch. W pewnej chwili otarła rękawem pot z czoła i podeszła do okna. Wspięła się na palce i zajrzała przez szybę do pokoju.

– Januszek śpi – oświadczyła.

Zachowywała się, jakby nie słyszała pytań córki.

– Czy mama mnie słyszy? Pytam, czto so wsjem etom proizoszło? – Dziewczyna podniosła głos. Teraz było w nim słychać złość.

– Wszystko przepadło – odrzekła Maria smutnym głosem. Poprawiła chustkę na głowie i znowu chwyciła za toporek. – I proszę, mów po polsku. Trudno cię czasami zrozumieć.

– Przepadło?! – wykrzyknęła Miranda. – Przepadło... – powtórzyła, machając rękoma. Promienie słońca błyskały na ostrzu siekiery. – A jak to się stało, że mamy rzeczy nie przepadły, proszę mamy? Broszka z kameą ostała się! Futro z karakułów i złoty medalion po prababci też. Bransoleta z granatami, pierścień ze szmaragdem. A to, czto otca, wsjo propało?

Maria z uporem rąbała gruby konar. Czuła, jak pot spływa jej po plecach. Targały nią sprzeczne uczucia. Mirusia nie ustępowała, uderzała ją jak siekierą swoimi pytaniami o ojca. Stasiakowa nie chciała o nim rozmawiać ani wspominać. Nie sądziła, że córka potrafi zrozumieć. I czy jest gotowa, by poznać prawdę? Czy zechce ją usłyszeć? Czy tylko pragnie wyrzucić swoją frustrację?

– A gdzie przepadło? – dopytywała się dalej Miranda.

Na łapówki za wasze paczki, na prezenty za możliwość handlowania, na opłacenie haraczu za przymyknięcie oczu, na leki dla Januszka, zrabowane, ukradzione, wymieniała w myślach Maria. Jednak prawdziwego powodu zniknięcia pamiątek po mężu nie chciała wyjawiać. W milczeniu patrzyła na córkę i starała się zrozumieć. Ją i siebie.

– Wszystko przepadło, bo mamie na niczym nie zależało! Niczego nie upilnowano! Jak można było to wszystko zaprzepaścić? – irytowała się Miranda, machając siekierą.

Rąbała obłamany konar jabłoni. Walila w niego z zapamiętaniem i zawziętością.

– Mirusia, nie wiesz, o czym mówisz – odparła ze złością Maria. Zupełnie nie rozumiała, po co jej córka porusza ten temat. Emil nie żył od sześciu lat.

– O! Wiem! Bardzo dobrze wiem. Jak można było tak szybko o nim

zapomnieć? Wy wszyscy o nim pozabyl! Nikt go już nie wspomina, nikt o nim nie mówi, nikt nie pamięta. – Głos Mirandy osłabł i zadrżał.

Maria nie wiedziała, czy to z emocji, czy ze zmęczenia.

Zauważyła, że ręce córki opadły wzdłuż ciała. Z otwartych ust Mirusi raz po raz wydobywały się obłoki pary. Twarz jej zbladła, blizny stały się bardziej widoczne. Wyglądała na wyczerpaną. Jeszcze dla niej za wcześnie na tak wielki wysiłek fizyczny. Wciąż była zmordowana zsyłką i długą drogą powrotną.

Gdy tak patrzyła na córkę, nagle obudziło się w niej gorące współczucie. Współczucie dla zmęczonej życiem, sponiewieranej młodej kobiety i osieroconego dziecka. Zrozumiała, że stoi przed nią dziecko, które dopiero co straciło ojca. Jej własne dziecko. Momentalnie przeszła jej złość, gdzieś głęboko na dnie serca obudziła się czułość, której już dawno w sobie nie miała. Na razie zaledwie cień czułości, ale był. Jej najstarsze dziecko, jej pierworodna cierpi.

– Mirusia, ja rozumiem, że jest ci trudno, ale ojciec nie żyje od sześciu lat.

Dziewczyna stała, nic nie mówiąc, sapała jak rozgrzany parowóz.

– Wiele się przez ten czas wydarzyło – tłumaczyła spokojnie Maria. – Naprawdę wiele się wydarzyło, odkąd was wywieźli i odkąd ojciec umarł. Nie było czasu na rozpamiętywanie.

– Nas też nie rozpamiętywała mama zbyt długo, droga mam? – spytała zjadliwym tonem Miranda.

Stasiakowa westchnęła. Stały naprzeciwko siebie na małym podwórku, obie z opuszczonymi ramionami, w promieniach jesiennego, nieśmiałego słońca, które nie dawało ani odrobiny ciepła.

– Cały czas o was myślałam, i ojciec też – odparła spokojnie Maria. – Nie było dnia, żebyśmy o was nie myśleli, nie mówili, nie czekali na list czy wiadomość. Kiedy przyszli Niemcy, cieszyliśmy się, całe miasto się cieszyło, a my szczególnie, bo myśleliśmy, że zdobędą Moskwę, a wy wrócicie do domu. Popieraliśmy faszystów, wierzyliśmy, że szybko pokonają komunistów i wojna się skończy.

Mirusia milczała. Słuchała matki, ale wyraz jej twarzy się nie zmienił, rysy nadal miała napięte, a wargi zacisnęła w wąską kreskę. Maria odwróciła od niej wzrok, nie chciała wiedzieć ani nawet się domyślać, co dzieje się w głowie córki. Ciągnęła swoją opowieść, patrząc w stronę ulicy. Od czasu do czasu za sztachetami przesuwiał się cień jakiegoś przechodnia.

– Ale wojna nie skończyła się szybko. Niemcy nie pokonali Sowietów, nie podbili Rosji. Wracali z podwiniętymi ogonami, a za nimi znowu szła zwycięska – wymówiła z sarkazmem to słowo – Armia Czerwona. Drugi Sowiet. Znowu padł na nas blady strach. Przez ten cały czas nie otrzymaliśmy ani jednego listu, ani jednego słowa o was.

– A czy mama wie, proszę mamy, że przez te lata nieudanego wyzwolenia – Miranda naśladowała ton matki – nie dostałyśmy ani jednej paczki? Kiedy tutaj wszyscy świętowali i dobrze żyli za Niemców, my cierpiałyśmy głód nie do wytrzymania? Zmuszali nas do ciężkiej pracy ponad ludzkie możliwości. Ciągłe podnosili normy i zmniejszali racje żywnościowe. To my głodowałyśmy i harowałyśmy na tę wyzwolenczą kontrofensywę Armii Czerwonej.

Maria pochyliła głowę. Opuściła toporek na ziemię. Ciężył jej nie do wytrzymania. Zawsze chciała jak najlepiej dla własnych dzieci.

– Tak też przypuszczaliśmy z ojcem. Obawialiśmy się, że tak jest.

– I czy mama wie, że to wtedy umarła babcia i Busia?

– Wiem, pamiętam – odpowiedziała Maria. Nagle poczuła się przyparta do muru.

– Dlaczego mama po prostu się nie przyzna, że mama nie zadbała?

– Nie zadbałam? O co?

– O nas! O ojca, o pamięć o nim! O rodzinę.

Maria wzniosła oczy ku niebu. Znowu to samo, pomyślała.

– Czy nie możesz po prostu przyjąć rzeczywistości takiej, jaka jest? Ile jeszcze czasu będziesz mnie obrzucała tymi bezsensownymi wyrzutami? – Podniosła głos, narastała w niej złość. – Co było, to było, teraz trzeba żyć dalej. Budzić się rano, pracować, jeść, myśleć o innych. Otrząśnij się!

– A dlaczego ja nic nie wiedziałam o śmierci ojca? – zapytała Miranda.

Maria wydała z siebie kolejne przeciągłe westchnienie. Zaciśnęła dłonie na twardym trzonku toporka. Z trudem powstrzymywała się, żeby nie wybuchnąć.

– Miałam wyrzuty sumienia, że cię nie poinformowałam. Żyłam z tym kilka lat.

– Nie musiała mama tak się męczyć, trzeba było po prostu napisać – odpowiedziała Miranda.

Matka wyczuła w jej głosie złośliwość, ukrytą pod pozornie życzliwym tonem.

Podniosła głowę i spojrzała córce w oczy.



– Bałam się, że wtedy już byś do mnie nie wróciła.

– I miała mama rację, droga mamo.

Maria z całych sił panowała nad sobą, by nie wykrzyzczyć prawdy o tym, jak umarł Emil i dlaczego nikt z rodziny nie wracał do tych wspomnień. Spojrzała na córkę.

– Wiesz co, mam dość na dzisiaj – stwierdziła. – Wracam do domu.

Zostawiła toporek pod ścianą domu, otrzepała rękawice i poszła, zostawiając Mirandę samą.

# ROZDZIAŁ X

KWIECIEŃ 1940

Szli ulicami miasta, w którym po wejściu Sowietów zapanował absolutny chaos.

– Co oni zrobili z naszym życiem? – jęknął Emil.

Białystok wyglądał jak wielkie targowisko. Po drodze musieli omijać prowizoryczne stragany lub towary na handel leżące wprost na trotuarach. W każdej bramie, na każdym rogu coś sprzedawano. Ludzie wyzbywali się nawet rzeczy osobistych. Pieniądze, które chowali pod materacami, przestały mieć jakąkolwiek wartość. Złotówkę zrównano z rublem i nagle wszystkie towary stały się bardzo atrakcyjne dla tysięcy żołnierzy i oficerów sowieckich, którzy stacjonowali w mieście lub okolicach. Kupowali, jak leci, ubrania, żywność, biżuterię, zegarki, zastawę stołową. Większość sklepów była otwarta nawet w nocy.

Emilian Szamreta z obrzydzeniem patrzył na powywieszane na domach i w oknach czerwone flagi z sierpem i młotem oraz portrety Lenina i Stalina. Im bliżej centrum, tym było gorzej. Chodniki tonęły w błocie, śmieciach i odpadkach. Nikt nie dbał o porządek.

Przeciskali się przez tłum. Po ulicach błąkały się grupy bezdomnych uchodźców, którzy we wrześniu uciekli tutaj przed Armią Czerwoną, aż ta ich dogoniła. Białystok był przeludniony. Przybysze, czerwonoarmiści, urzędnicy i nauczyciele, którzy właśnie potracili posady, chodzili tam i z powrotem po ulicach, załatwiając swoje sprawy, lub wałęsali się bez celu po mieście. Gałęzie drzew rosnących przy ulicach, jeszcze pozbawione liści, służyły jako chrust do ognisk rozpalanych na wydeptanych trawnikach.

Emil co rusz potykał się lub wpadał na innych ludzi. Najpierw nie zrozumiał, co mówiła żona. Nie wahał się ani sekundy, kiedy powiedziała, że trzeba iść poszukać partii. Zgarnął płaszcz z haczyka i poszedł razem z Marią. W głowie

kłębiły mu się setki myśli. Wypełniała go niema, ślepa wściekłość, czuł się jak uwięzione w klatce dzikie zwierzę. Kiedy wrócili rano do domu, ich córek nie było. Nikt nie wiedział, dokąd je zabrano, jak są traktowane. Wszyscy opowiadali, co się działo w dziewiętnastym i dwudziestym roku z tymi, którzy zostali na Wschodzie. Mówili o Syberii i łagrach. Emil po prostu nie mógł uwierzyć, że coś takiego mogło spotkać jego rodzinę.

Maria szła w milczeniu, na jej twarzy malowało się skupienie i ból. Kiedy dotarli do bramy fabryki Zylberfeninga, słońce już zaszło.

– Poczekamy tutaj – oznajmiła i usiadła na zwałonym drzewie. Miała stąd widok na każdego wchodzącego i wychodzącego przez fabryczną bramę.

– Na kogo czekamy? – zapytał jej mąż. Nigdy wcześniej nie był w przemysłowej części miasta.

– Na kogokolwiek znajomego – odpowiedziała i cicho jęknęła.

Uznał, że nie będzie jej męczył pytaniami. Zrobiło się ciemno i zimno, Maria miała na sobie jedynie bluzkę i sweter. Emil zdjął płaszcz i przykrył nim żonę. Popatrzyła na niego z wdzięcznością. Spojrzał w jej błękitne oczy i poczuł się lepiej. Usiadł obok na pniu, objął ją ramieniem, ona oparła głowę o niego i tak siedzieli, patrząc przed siebie.

W fabryce był spory ruch. Przez bramę wciąż wyjeżdżały ciężarówki. Ugięte osie wskazywały, że ładunek musiał być ciężki. Czerwonoarmiści chodzili tam i z powrotem.

– Wszystko wywożą – westchnął Emil.

Maria nie powiedziała ani słowa. Nic jej to nie interesowało. Przed oczami miała jedynie twarze Mirusi i Busi. Takie, jakie widziała po raz ostatni, kiedy przyszła pocałować córki na dobranoc.

W końcu w bramie zaczęły się pojawiać postacie w cywilu. Przygarbieni ludzie szli ciężkim krokiem. Szamretowie podnieśli się i podeszli bliżej do wyjścia. Robotnicy rozchodzili się do domów. Nagle Maria wyprostowała się i pomachała ręką.

– Hej! Stryjku! – krzyknęła. – To stryjek Kostek! – zwróciła się do Emila. – Stryju! Kostia!

Jeden z mężczyzn zatrzymał się i popatrzył wokoło. Rozpoznał głos, ale nie twarz. Stał niepewny, czekając, aż podejda.

– To ja, Maryśka! – powiedziała Maria.

– Maryśka. – Uśmiechnął się i przytulił ją do zapadniętej piersi.

Maria od lat nie utrzymywała kontaktów ze swoją rodziną. Kostek był

najmłodszym bratem jej ojca.

– Pokaż no się! Ojoj, Boże ty mój! A co się stało?! – zawołał, widząc łzy w oczach bratanicy.

– Sowieci, stryjku – wydusiła z siebie i rozplakała się, wtulając twarz w jego kufajkę.

Na chwilę poczuła się bezpiecznie. Zapach farb, przędzy, kurzu i potu, którym przesiąkło ubranie Kostka, przypomniawszy jej dzieciństwo i dom rodzinny.

– A ten to twój, dobrze ja spamiętał? – zapytał stryj.

– Tak, to mój mąż, Emil – odpowiedziała, odsuwając się od niego.

– Dzień dobry – powiedział Emilian, podchodząc bliżej, i wyciągnął dłoń.

Wóźniewski popatrzył niechętnie, ale wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie dłonie, obojętnie, bez życzliwości. To ten mężczyzna odebrał im Maryskę i nie pozwalał jej widywać się z rodziną. Jedynie matka Marii była łącznikiem pomiędzy dziewczyną a krewnymi.

– Co za bieda? – zapytał silną podlaską gwarą. – Pomoc niejaka tobie potrzebna?

– Tak! Sowieci zabrali nasze dziewczynki. Mamę też wzięli.

– Władzię?

– Tak, i dwóch braci Emila.

Kostek popatrzył na męża bratanicy.

– To po ciebie zaszli, łoficerku – stwierdził i splunął: – Tfu! Bradziaga – dodał. – To jakim cudom ty tutaj?

Maria uspokoiła męża, chwytając go za łokieć. Wolała myśleć, że to o Sowietach wuj wyraził się tak dosadnie.

– Nie było nas w domu. Wzięli dzieci i mojego brata – wykrztusił Emil przez zaciśnięte szczęki. Zaczęły mu drgać mięśnie na policzkach.

– Potrzebujemy pomocy. Jest tu w fabryce partia? – zapytała Maria.

– Partia robotnicza? Komuniści?

– Tak, właśnie tak.

– Są, a jak by mieli nie być – przytaknął Kostek.

– Muszę się do nich dostać!

– Poczkaaj, poczkaaj – zastanawiał się przez chwilę. – Tam teraz sekretarzom jest Ignaciuk!

– Ignaciuk? Wujek Misza? – ucieszyła się Maria.

– No tak! A jak inaczej?

Odwróciła się z szerokim uśmiechem do męża.

– Wujek Misza mieszkał z nami drzwi w drzwi. Robił z ojcem na zmiany na tej samej maszynie, dopóki krosno nie zmiażdżyło mu ręki. Emil, on nam pomoże! Prawda? – zapytała wuja.

– Zajdziem do niego i popytam – skwitował Kostek.

Maria niemal dostała skrzydeł. Wreszcie błysnęło światełko na końcu tunelu, w którym tkwiła przez ostatnie godziny. Wyprostowała się nawet i ruszyła za bratem swojego ojca.

Ten Kostek, wuj Marii, miał takie same błękitne oczy jak ona, zauważył Emil, idąc za nimi.

Mieszkanie Ignaciuków składało się z dwóch skromnie umeblowanych izb. W większej stała żeliwna kuchenka węglowa, stół, parę krzeseł i duże, kute z żelaza łóżko. Na wyłożonych deskami ścianach wisiało parę ikon i prawosławny krzyż. Do drugiej, mniejszej izby nie zapraszano gości. W domu było czworo rozkrzyczanych dzieci w różnym wieku i postawna, niemłoda kobieta w szerokiej spódnicy, osłoniętej czystym, idealnie białym fartuchem. W ogóle w całym pomieszczeniu było niezwykle czysto i schludnie. Z wyszorowanej szarym mydłem drewnianej podłogi można by nawet jeść. Emil rzadko widywał robotnicze mieszkania. Szamretowie, Kostek Woźniewski i Michał Ignaciuk usiedli przy stole. Ignaciukowa z życzliwym uśmiechem na szerokiej rumianej twarzy postawiła przed każdym dużą miskę z gorącą i pachnącą zupą.

– Pora wieczerać. Pochłopka z kaszo hreczano – powiedziała z miną, jakby postawiła na stole przepiórki w bulionie, i zachęciła przybyłych do posiłku. Zagnała dzieci do kąta, by nie przeszkadzały.

Maria doskonale rozumiała, że każda miska dla gościa oznaczała mniej stawy dla całej rodziny, ale wiedziała również, że odmowa mogłaby urazić gospodarzy. Przez chwilę jedli w milczeniu, a potem wyjawili powód wizyty. Maria opowiedziała pokrótce, co się stało. Emil od czasu do czasu wtrącał jakiś komentarz. Widocznie nie chciał czuć się pomijany w rozmowie, chociaż tak naprawdę to go ignorowano. Ci ludzie byli tak samo życzliwi i serdeczni w stosunku do jego żony, jak chłodni i obojętni wobec niego.

– I teraz, wujku, potrzebuję zaświadczenia z partii, że jestem z robotniczej rodziny i że moje dzieci są, i wy poświadczenie moje pochodzenie, a najlepiej jeszcze, gdyby partia poświadczyła, że jestem wasza – zakończyła Maria.

Przy stole zapadła cisza. Ignaciuk pochylił głowę. Jego lewa dłoń i kikut

prawej ręki spoczywały na stole. Wszyscy pozostali wpatrywali się w niego wyczekująco. Nawet dzieci kotłujące się na łóżku na chwilę ucichły.

– Nu, Misza – odezwała się Ignaciukowa.

– Nie pośpieszaj – powiedział w końcu jej mąż i westchnął. – Tak się nie da.

– Jak to się nie da? – zapytała, podnosząc do góry ręce w geście oburzenia. – Dziecka mus przed Sybirem ratować!

– Jak mówie, że nie pośpieszaj, to nie pośpieszaj! – odkrzyknął mąż. – Nie roztwieraj gęby, babo! – dodał i uderzył kikutem w blat.

– A co ty mi tu będziesz kuśkiem machał! Tu trza myśleć, tołku dochodzić! Łepetynom ruszać!

– Tołku?! A co ja mogu zrobić? Któren by mógł? Lepsze buzy polej.

Ignaciukowa zakręciła się, nalewając alkohol do małych glinianych kubków. Ta czynność nie przeszkadzała jej mówić dalej:

– Przecie ty tam przewodniczący czy sekretarz. Skolko lat przy maszynie robił? Zdrowie marniał! Przez partiu w ciurnie ty siedział, to teraz niech partia czto to dla ciebie zrobi! Mało to w żyzni dali do wiwatu? – perorowała podniesionym tonem.

Jej mężowi też się udzieliły te obroty i obydwójce pokrzykiwali na siebie. Pozostali milczeli.

– Nu siedział ja w ciurnie! A siedział! Nie za partiu, tylko za sprawu. I to tacy łoficerkowie jak ten – wskazał ręką Emiliana – tam wsadzali. Burżuje i inteligienty. Wyzyskiwali nas wiele wieków, a jak tylko co my powiedzieli, to nas za kraty wsadzali i pałkoi okładali – mówił Ignaciuk, jakby recytował wyuczoną lekcję.

– A co tu się czepił chłopiny jak ten rzep sobaczego łogona? Dziecka ratuj!

Emil już chciał protestować, ale Maria znów powstrzymała go ruchem ręki.

– To nie łoficerek na Sybir ma jechać, tylko dziecka. A łone czemu ta winne?! – ciągnęła swoje Ignaciukowa.

– No co ja mogu?! Kacie zaświadczenie? Przecie Sowiety, jak weszli, to zrazu nakazali wszystkich członków partii i ich rodziny spisać! Maryški na liście nie uwidzisz. Ani Władzi.

Na chwilę umilkł, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Każdu razu naszych też zabierali – skwitował. – Skoro to zabrali towarzysza, najpierwszego sekretarza partii z fabryki wódki. Nikto nie jest bezpieczny.

– Dziamgasz ino i dziamgasz – powiedziała jego żona, siadając przy stole

i z dezaprobatą kręcąc głową.

– Nie napisz niczego, co mogłoby biedu nam napuć. – Wskazał głową dookoła. – Trza, coby się dowiedziały, że porucznik z polskiego wojska do nas zaszedł! – prychnął.

– A co im do tego, kto do nas zachodzi? – warknęła jego żona.

– Nie handrycz się! Oni zabierali nawet za mniejsze winy.

Na chwilę zapadła cisza. Maria zaczęła żałować, że tu przyszli. Mogli ich narazić na niebezpieczeństwo.

– Misza, to daremno Maryśka przyszła? Hadztwo tak dziewczusku samu ostawić – odezwał się Kostia z rezygnacją w głosie.

Stary robotnik myślał chwilę.

– Napisze list, że znam ciebie, Maryśka, że twój baćko robotnik był i maszyna jego ukatrupiła. Niczego więcej nie napisze. Czy to coś wskóra? Jak już kogoś wzięli, to nie wraca wcześniej niż po dziesiątku lat – dodał ze smutkiem. Jego słowa zabrzmiały w uszach Szamretów jak wyrok. – Lepiej podumać, jak im podać jakie bambetle na drogę. Sybir straszny. Trza ich uposażyć. Półpierzdun i fufajki, kordłu dać. Nada im się, jak pochłodnieje. Muszo mieć skore buty, sól, mąku i sacharozu. Naszykujcie banerki. Aby mieli co jeść i pod czym schować się przed mrozom. Zimy tam strasznyje, a najstraszniejsza najpierwsza.

Atmosfera w izbie gęstniała. Ściany zbliżały się do siebie, a cisza była coraz bardziej wszechogarniająca. W tej ciszy słyszeli jedynie słowa Ignaciuka. Ostre jak porywy syberyjskiego wiatru. Dzieciaki stłoczyły się w kącie łóżka i patrzyły okrągłymi oczami na dorosłych siedzących przy stole.

– Trza też leków i witaminów na zaś, a złoto na chabory zaszyjcie w łachy. Samogon też im sie nada – wyliczał Ignaciuk.

– Wuju! – jęknęła Maria. Nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Świadomość utraty dzieci i ich zsyłki niemal odbierała jej rozum.

Ignaciukowa położyła swoją spracowaną dłoń na jej ręce.

– Mój stary dobrze gada! Nużno dziecka przysposobić.

Emilian siedział, patrząc w stół. Rysy jego twarzy wyrażały złość i bezsilność. Maria widziała to pomimo słabego światła w izbie. Oboje wiedzieli, że stary robotnik ma rację. Wszystko w nich się buntowało, krzyczało, protestowało, ale nie mogli zaprzeczyć, że to, co mówił ten prosty człowiek, jest naprawdę rozsądne.

– Napisze papiór. Jak nic nie da, to zachodzicie z tłumokiem na Węglówkie.

Tam stare szopy wojskowe przy czychunce – odezwał się po chwili Michał.

– Wiem, gdzie to – odrzekła Maria głosem jak z grobu.

– Tam ich zebrali. Pilnujcie ich nasi. Tylko kilka dni. Potem przyjdzie czychunka i wywiozą ich na Wschód. Zajdźcie kole wieczora. Pogadam z naszymi, może uda się im coś podać.

– No! – zawołała Ignaciukowa, uderzając lekko dłonią w stół i wstając. – I widzisz, że niedurnowato gadasz, jak kiełpa pracuje. Pisz – powiedziała do męża, podając mu kartkę papieru, ołówek i pieczętkę, które wyciągnęła z szuflady starego kredensu. Potem odwróciła się do Marii i położyła rękę na jej ramieniu. – A ty, dziewczuszka, weź ten papier i zanieś do NKWD, ale nadziei sobie nie rób.

– Nie mogę – odpowiedziała cicho.

Wszyscy zamarli na swoich miejscach, myśląc, że jej rozum odjęło.

– Jak to nie możesz? – zapytał mąż, patrząc jej w oczy.

– Nie mogę nie robić sobie nadziei! Będę ją miała do końca! Nawet jeżeli znajdą się w tym pociągu – odpowiedziała z powagą i pełną determinacją. Jakby składała obietnicę swoim córkom. Najważniejszą w życiu.



# ROZDZIAŁ XI

LISTOPAD 1950

Zupełnie nie wiem, o co chodzi tej dziewczynie – żaliła się Maria swojej szwagierce Gieni w parę dni po kolejnej kłótni z Mirandą.

Siedziały w kuchni domu przy Towarowej, gdzie mieszkała Genowefa Iwanowicz z domu Szamreta z mężem Władkiem. Zajmowali dwa pokoje z kuchnią na parterze. Piętro władza ludowa łaskawie oddała w posiadanie innej rodzinie. Stosunki pomiędzy sąsiadami nie były dobre. Tamci, chłopi bez ziemi, ściągnęli do miasta całą liczną, wielodzietną i wielopokoleniową rodzinę w poszukiwaniu lepszego życia. Nie było takiej pory dnia ani nocy, by nie hałasowali na górze. Dzieci tupały, ojciec krzyczał, matka upuszczała jakieś przedmioty, a babka zawodziła starocerkiewne modły lub szurała laską po deskach. Każdy dźwięk niósł się po drewnianym stropie jak po kablu telefonu.

Maria wpadła na chwilę do szwagierki, by przynieść jej kiełbasę, ale tak naprawdę to chciała się wygadać. Rzadko tego potrzebowała. Była zbyt zajęta, zbyt pragmatyczna i zbyt dużo wiedziała o życiu, aby mówić innym o swoich kłopotach. Teraz jednak sytuacja ją zaskoczyła. Maria nie była przygotowana ani na powrót córki, ani na problemy z tym związane.

– Marysiu, jej po prostu jest trudno. Trzeba ją zrozumieć – pocieszała ją Genowefa.

– Mnie też jest cholernie trudno – odparowała Stasiakowa, trochę automatycznie, jakby ten odruch obronny włączał się bez jej kontroli, bo ona sama zajęta była innymi myślami. Po chwili dodała już innym tonem: – Nie rozumiem, o co jej chodzi. Przecież Emil już od dawna nie żyje. Miranda nie widziała go od ponad dziesięciu lat. O co więc tak się wścieka?

– A może dla niej ojciec nie żyje zaledwie od kilku tygodni? Po prostu dla niej umarł dopiero teraz – podsunęła Gienia. – Mirusia była jego ulubienicą.

Pamiętasz? Byli niemal nierozłączni.

Wstała od stołu i podeszła, żeby dołożyć węgla pod kuchnię. Wielka, murowana, taka na pięć fajerek, zajmowała większość pomieszczenia. Potem znowu usiadła przy stole dosuniętym pod okno. Za podwójną szybą zrobiło się już ciemno.

– Pochowaliśmy go – odezwała się po chwili Maria smutnym głosem. Obracała w rękach starą srebrną łyżkę o bogato zdobionym trzonku, symbol przedwojennego dostatku. Nie uśmiechała się już. Usta jej się wykrzywiły. Zbrzydła. Nie do twarzy jej było ze smutkiem. – Pochowaliśmy Emila i tamto wszystko... – Zawiesiła na chwilę głos. – I nie widzę powodu, aby do tego wracać. Już od dawna nikt do tego nie wraca.

Na twarzy Genowefy pojawiło się współczucie.

– Nie życzę sobie rozpamiętywania tych spraw po raz kolejny – kontynuowała z determinacją bratowa. – Nikomu nie wyjdzie to na dobre. Mirusi również.

– Marysiu – szwagierka postanowiła trochę uspokoić jej emocje – to twoja córka. Trzeba jej jakoś pomóc, to przecież Mirusia.

– Nie jestem pewna, czy to w ogóle jest moja Mirusia – odparła po chwili Stasiakowa.

Zapadła cisza. Stojący na kredensie za ich plecami stary budzik tykał głośno, obwieszczając światu upływ czasu.

– Przecież my wszyscy nie wiemy, co ona przeszła. Możemy się tylko domyślać, jak straszne to było – broniła swojej chrześnicy Gienia. – Ostatnio rozmawiałam o tym z Adelą. Obie w pewien sposób boimy się Mirusi. Boimy się jej wspomnień, jej przeżyć. Nie potrafimy z nią rozmawiać. Boimy się tego, co czai się w jej oczach. Obawiamy się tego, co mogłaby nam powiedzieć.

– A ja to mam każdego dnia. Codziennie muszę patrzeć w jej bezbarwne oczy, w wyniszczoną, pokrytą bliznami twarz i zмагаć się z frustracją, rozgoryczeniem i złością Mirandy. Nie wiem, ile jeszcze będę w stanie wytrzymać – odparła Maria i dźwignęła się na opartych o blat rękach.

Wstała od stołu jak spracowany robotnik, kończąc wizytę, która nie dała jej ani ulgi, ani porady, ani wsparcia.

Wracała do domu dobrze znanymi, brukowanymi uliczkami, myśląc, że znowu ze wszystkim musi sobie radzić sama. To przekonanie pomogło jej przetrwać najtrudniejsze chwile.

\*\*\*

Parę dni później rodzeństwo Szamretów urządziło naradę. Zebrali się w tej samej kuchni, pod tym samym oknem i przy akompaniamencie tykającego, przedwojennego budzika w posrebrzanej oprawie. Pod płytą huczał ogień, dając miłe ciepło.

– Trzeba jakoś pomóc Maryśce i Mirandzie, bo gotowe zagryźć się nawzajem. – Gienia wprowadziła brata i siostrę w sytuację. – Niedługo Boże Narodzenie, niepotrzebne nam właśnie w rodzinie. Nie możemy ryzykować, że Mirusia zrobi nam jakąś nieprzyjemną niespodziankę. Albo Maryśka straci panowanie nad sobą i wyrzuci ją z domu. Już dosyć tragedii i wstydu było w naszej rodzinie. Rozmawiałam parę dni temu z Maryską. Podobno Mirusia ma pretensje, że nikt nie wspomina Emila, nie zostały pamiątki po nim i tym podobne rzeczy.

– Ona po prostu chciałaby, żeby było tak jak dawniej. Tylko tyle albo aż tyle – broniła bratanicy Adela.

Obie spojrzały na Ziutka. Dzielił ich blat stołu, siostry siedziały obok kredensu, a brat pod ścianą. Opierał o nią plecy. Zwykła ściana pokryta była nierównym żółtym tynkiem i brązowym wzorem w liście paproci. Ziutek patrzył na swoje palce, które chwilami splatały się, chwilami zahaczały o siebie, zataczając mniejsze lub większe koła. Bez ładu, bez rytmu. One opowiadały jakąś historię, on siedział w milczeniu. Genowefa mówiła dalej:

– Trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie, żeby dziewczyna się uspokoiła. Niech przeżyje żałobę po ojcu, niech się wypłacze i przestanie wracać do tego, co było. Chciałabym, aby do rodziny wrócił spokój. Niech Wigilia będzie taka jak w poprzednich latach.

– W poprzednich latach nie było Mirusi – wtrąciła smutno Adela. – Ona tak bardzo kochała Emila. Na pewno tam, w tajdze, bardzo za nim tęskniła. Zawsze uważała go za bohatera, za półboga, on ją rozpieszczał, a ona go podziwiała.

– Jak my wszyscy – wtrącił Ziutek. – Do czasu – dodał ciszej po chwili.

Genowefa westchnęła. Kiedy myśleli o powrocie dziewczynek do domu, a potem tylko o powrocie Mirusi, wyobrażali sobie chwile szczęścia, radości, spokoju rodzinnego. Widzieli uśmiechnięte twarze, spojrzenia pełne troski

i wzajemnej czułości, pogodne prognozy na przyszłość. To, co się teraz działo, miało się nijak do ich oczekiwań. Zza Uralu wróciła półdzika, wyniszczona młoda kobieta, która parzyła zioła i mruzczała niezrozumiałe modlitwy czy zaklęcia. Pretensje i gorycz rozlewały się wokół niej jak czarna plama atramentu.

Adela wstała i podeszła do stojącego na płycie czajniczka. Cichutko szumiał. Złapała przez zwiniętą szmatkę uchwyt, podeszła do stołu i nalała mocnej, aromatycznej herbaty do stojących na lnianym obrusie filiżanek. Dookoła rozszedł się intensywny zapach. Nikt nikomu nie musiał mówić, że to herbata od Maryški. Tylko ona mogła załatwić taki rarytas. Po chwili ciszy znowu odezwał się Ziutek. Adela i Gienia patrzyły jak zahipnotyzowane na taniec jego palców. Miał piękne dłonie, jak pianista.

– Nie chcę tego rozpamiętywać. Co zostało pogrzebane, powinno zostać pogrzebane – oświadczył mocnym głosem i stanowczo. Jako najstarszy mężczyzna w rodzinie starał się okazać swoje zdecydowanie i siłę.

Adela położyła dłoń na jego ręce, unieruchamiając ją na chwilę.

– My też tego nie chcemy, ale trzeba pomóc dziewczynie odbyć żałobę i zapomnieć o ojcu. Serce się kraje, jak się na nią patrzy.

Ziutek podniósł wzrok i spojrzał w oczy najpierw jednej siostrze, potem drugiej. Miały zielone oczy, jak jego.

– Pochowajmy go jeszcze raz – zaproponował.

Kobiety popatrzyły na niego uważnie.

– Trzeba mu urządzać drugi pogrzeb, choćby symboliczny – powtórzył.

Zapas zdecydowania i siły na ten wieczór zaczął mu się wyczerpywać. Postanowił zakończyć spotkanie i tę przykrą sprawę.

– Gdzie jest zdjęcie Emila w mundurze galowym? – zapytał Adelę.

Twarz siostry przez chwilę wyrażała zaskoczenie i niepewność.

– To jedyne zdjęcie Emila, jakie nam zostało – powiedziała cicho.

– Nic mu się nie stanie, daj mi je, do niedzieli oddam, a ty, Gienia, idź do fary, zamów mszę na sobotę rano na cmentarzu, a także poświęcenie grobu. Urządzimy Emilowi pogrzeb, jakiego nie miał – powiedział. – I na jaki nie zasłużył – dodał ciszej.

Wstał od stołu, pożegnał siostry, zdjął swój płaszcz z kołka na drzwiach i wyszedł do sieni. Słyszały, jak się tam ubierał, a potem zatrzeszczały deski podłogi, gdy wychodził, i rozległo się skrzypienie drzwi wejściowych.

Adela i Gienia spojrzyły po sobie z ulgą i nadzieją. Może się uda i święta

będą takie, jak należy.

\*\*\*

Następnego dnia Adela poszła na Rynek Sienny na Bema po sprawunki, a przy okazji chciała powiedzieć Marii, co ustalili. Uważała, że to świetny pomysł i idealne rozwiązanie. Jakie było jej zdziwienie, kiedy bratowa powiedziała:

– Nie zgadzam się i nie będę brała w tym udziału.

Przy czym zwróciła się do klientki, pochylającej się nad jej towarem.

– Pani kochana! To kiełbasa z najlepszej wędzarni w Hajnówce, jałowcowa! Niech pani bierze, bo lepszej na tym rynku pani nie znajdzie – zapewniała niską kobiecinę w chustce na głowie. Tamta z niepewnością wahała duże i ciężkie pęto kiełbasy i raczej nie wyglądała na przekonaną. – Jak pani weźmie dwa pętka, to za tydzień przywiozę dla pani, droga klientko, pyszną kiszkę spod Supraśla i sprzedam taniej – namawiała ją z zapałem Stasiakowa.

Adela patrzyła na to z podziwem. Minęło wiele lat, zanim pogarda do bratowej przemieniła się w uznanie. Klientka uśmiechnęła się z zadowoleniem, wyciągnęła z kieszeni zwitek pomiętych, wytłuszczonych banknotów i zaczęła odliczać pieniądze. Maryśka mrugnęła ukradkiem do Adeli.

– Z pani to uczciwa klientka, proszę pani, i jaka sprytna, no proszę, jak się pani udało utargować – mówiła do uradowanej kobiecinie.

Kiedy ta odeszła, Adela szepnęła do Marii:

– Przecież tej przed chwilą sprzedawałaś kiełbasę taniej.

– Tamta nie kręciła mi tu nosem – odparła z uśmiechem Stasiakowa.

Ale zaraz kąciki jej ust opadły i twarz stężała.

– Ja w tym cyrku z mszą, czy jak tam wy to nazywacie, symbolicznym pogrzebie, brała udziału nie będę i tyle! – oświadczyła z uporem.

Adela stała, nie wiedząc, co powiedzieć i jak ją przekonać.

Maryśka pasowała strojem, prostą urodą i zachowaniem do tego miejsca.

Jej stoisko było porządne – stół na solidnych, metalowych, wmurowanych w ziemię nogach, drewniany daszek nad blatem. Niewiele takich znajdowało się na targu. Większość sprzedających rozkładała swoje towary na prowizorycznych ladach, zrobionych z desek położonych na drewnianych

kozłach. Niektórzy handlowali z wózków lub nawet z ziemi, położywszy tylko kawał płachty lub starego płaszcza.

Na obrzeżach placu chłopcy sprzedawali warzywa prosto z wozów. Konie wyprzęgli i odprowadzili na ulicę, a tam przywiązali do drewnianych drągów lub sztachet płotów. Wokoło unosił się zapach wędzonek, krowiego mleka, niemytych ludzi i końskich odchodów. Różne dźwięki mieszały się ze sobą; nawoływania przekupek, rozmowy klientów, gdakanie kur, przywiązanych za nogi do stołów lub kół wozów czy też trzymany w wiklinowych koszach. Słychać było pianie kogutów, które miały się stać niedzielnym obiadem, pochrapywanie i parskanie koni, gdzieś pod którymś z wozów zakwiczała świnia.

Dziesiątki osób przeciskały się pomiędzy straganami w poszukiwaniu potrzebnych produktów. We wtorkowe i piątkowe poranki to tutaj koncentrowało się życie miasta.

Adela spojrzała na towar szwagierki. Zostało jeszcze sporo tej kiełbasy spod Hajnówki i słoniny, a także jeszcze jakieś mięso, chyba łopatka wieprzowa, i parę słoików miodu. Zbliżyła się do nich postawna młoda kobieta, a za nią podszedł niewysoki mężczyzna, który niósł nowiutki wiklinowy koszyk. Futrzany kołnierz przy palcie mężczyzny błyszczał jak naoliwiony. Kobieta wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia parę lat, a jej towarzysz mógłby być jej ojcem.

Adela i Maria obserwowały ich przez chwilę. Ona kroczyła dostojnie i była dobrze ubrana, za dobrze. Jesionkę miała porządną, nową, z wełny w gustowną jodełkę, a do tego czapkę obszytą lisim futrem. Oboje wyróżniali się w tłumie. Paniusia, jak ją nazwała w myślach Adela, podeszła do stoiska i z kwaśną miną zaczęła się przyglądać wędlinom. Adela nie zapałała do niej sympatią; mrugnęła znacząco do Marii i zaczęła mówić jak prosta kobieta:

– Pani?! A po czemu ta tutaj? – Pokazała palcem kiełbasę.

Paniusia zerknęła kątem oka, a Maria odpowiedziała:

– Jak dla pani, kochanieńka, to po piętnaście złotych za pętko.

– Dobra – pochwaliła Adela, wsadzając swój szlachecki nos pomiędzy okopcone i tłuste kiełbasy. – Kupiłam taką miesiąc temu, to dzieciaki się zajadały jak te głodomory i jeszcze wczoraj świeża była. Stary resztę na śniadanie zjadł – zwróciła się do młodej klientki. – Wie paniusia? Cały miesiąc w sieni wytrzymała. Taka kiełbasa! Za to wszystko ile się należy? Dużo dzieciaki jedzą, bo rosną. – Pokazała palcem na leżące zwoje, a po

chwili jej wzrok padł nieco na prawo. – Ach, jej! I jeszcze taka słoninka! Jak ona waniajet... – Tym razem jej nos zawędrował na pokrytą skórą i szczecinę słoninę. – Z takiej jak bym smalcu utopiła, to i do Wielkanocy by wystarczyło! Muszę starego zawołać, to zaraz wszystko od was weźmiem, dobra kobieto.

Dobra kobieta Maria Stasiakowa przez chwilę stała jak wryta, a po sekundzie zrozumiała podstęp.

– Oj! Ja pani wszystkiego nie sprzedam! To taka dobra kiełbasa i słonina, że muszę dla moich stałych klientek zatrzymać. Ja mam tu parę pań w kolejce do tej kiełbasy. Zaraz przyjdą i będą mieć pretensje, że dla nich nie zostawiłam.

Młoda kobieta i jej towarzysz z przejęciem wachali i oglądali wędliny. Adela wyczuła przyjezdnych i zastanawiała się, skąd są. Z Wysokiego Mazowieckiego? Z Tykocina?

– A co tam klientki, one miejscowe, to kupią w piątek, a dzisiaj ja bym wzięła te wyroby. Ile za to sobie pani winszuje? – Paniusia potwierdziła przypuszczenia Adeli.

– Ale to wszystko nie na sprzedaż – upierała się Stasiakowa.

Tamci dwoje pokiwali do siebie głowami.

– Ile tego pani ma? Cztery, pięć pętków kiełbasy i dwóch kawałków słoniny? Dam za wszystko pięćdziesiątkę i masz, kobito, towar z głowy – przekonywała Adela.

Maria udała, że się namyśla, i w milczeniu kiwała głową. Paniusia szturchała łokciem swojego towarzysza.

– Zapłacę sześćdziesiąt złotych za wszystko – odezwał się nieśmiało.

Adela popatrzyła na niego z góry – była wyższa od mężczyzny co najmniej o głowę.

– Panie! – krzyknęła na niego. – Coś pan! Ja tu już targu dobijam! Stary! Stary! Chono! – niby przywoływała głośno męża.

Teraz wkroczyła do akcji paniusia w lisiej czapce.

– A my damy osiemdziesiąt za tę kiełbasę i słoninę. I bierzemy od razu! – oświadczyła stanowczo. – Misiu – pochyliła się do mężczyzny – przecież musimy czymś gości nakarmić. Podaj pani pieniądze.

Misio wyciągnął zza pazuchy skórzany pugilares, powoli odliczył nowe, pachnące farbą drukarską banknoty i podał Marii. W tym czasie Adela zawinęła kiełbasę i słoninę w gazetę, które Maria trzymała pod stołem, i włożyła paniusi do koszyka. Uradowana kobieta nawet nie zauważyła, że ta rzekoma amatorka wędzonki zapakowała jej zakupy. Elegancka para odpłynęła

w dal, a Maria na odchodne wsunęła im jeszcze słoik miodu do koszyka.

Potem obie popatrzyły na prawie pusty stragan i wybuchnęły śmiechem.

– Nie spodobała mi się ta baba – stwierdziła Adela.

– To była kiełbasa sprzed tygodnia, długo im nie poleży – wykrztusiła z trudem Stasiakowa.

– Osłodzą to sobie miodem – zachichotała jej szwagierka.

– Miód gryczany, mało słodki.

Chwilę trwało, zanim się uspokoiły i wyrównały oddech. Potem Maria oświadczyła:

– Jak chcecie pomóc Mirusi, to sobie pomagajcie, ale ja na ten wasz pogrzeb i tak nie pójdę. – W jej głosie zabrzmiała ta sama stanowczość co wcześniej. – Chcecie go czcić i wspominać, to proszę bardzo, tylko mnie w to nie mieszajcie.

Adela przewróciła oczami i fuknęła jak nastolatka, wyrażając swoje zdanie na temat uporu bratowej.



## ROZDZIAŁ XII

KWIECIEŃ 1940

Ja k komisarzu Strożnicynu – oświadczyła Maria tonem pełnym pewności siebie czerwonoarmiście pełniącemu wartę pod budynkiem na Pierackiego.

– Niet takowo – odpowiedział obojętnym tonem.

– On mienia skazał prinosit dukumenty s partiu. – Mówiła, patrząc żołnierzowi prosto w oczy. Zamachała zaświadczeniem.

Szeregowy nieco stracił rezon i wpuścił ją do środka. Wchodząc, obejrzała się i dostrzegła zboląłą twarz męża, stojącego jak pokutnik na ulicy. Ach, wy delikatne ziemiańskie dusze, pomyślała, nikt was nie nauczył, jakie naprawdę jest życie.

Ruszyła znanym jej korytarzem do znanego już pokoju. Minęło ją dwóch mężczyzn. Inaczej niż wczoraj, tego ranka zauważyła ruch w budynku. Słyszała różne głosy, szybkie kroki w odległych korytarzach. Niektóre drzwi były otwarte w pokojach. Kręcili się jacyś ludzie. Weszła do pomieszczenia z biurkiem. Ku jej zdziwieniu siedział za nim inny mężczyzna. Młody, rumiany, w szarym mundurze bez dystynkcji. Czytał jakieś papiery. Chrząknęła.

– Zaraz, obywatelko! – powiedział, nie podnosząc oczu. Do pokoju wszedł żołnierz, odepchnął ją, podszedł do biurka i położył na nim jakiś papier.

– Srocznaja tielegramma iz Moskwy, towariszcz komisar!

I wyszedł. Komisarz przez chwilę czytał, w końcu podniósł wzrok na stojącą w drzwiach Marię. Stała z wysoko podniesioną głową, ściskając w dłoniach swoje zaświadczenie.

– Czego chcecie, obywatelko? – zapytał po polsku.

– Przyszłam zapytać o moje dzieci – powiedziała.

Tamten rozparł się wygodnie na krześle i oparł nogi w oficerkach na blacie biurka. Jej mąż miał takie same. Maryśka zastanawiała się, z jakiego pułku był oficer, któremu zabrano te buty.

- A konkretnie o co?
  - Gdzie są? Wczoraj rano zabrano je z domu. Byłam tutaj u komisarza Strożnicyna. Wyjaśnić.
  - Jak zabrano, to pewnie czekają na wywózkę – przerwał jej.
  - Dokąd?
  - Na Sybir, jak sądzę.
  - Dlaczego? – Głos jej się załamał.
- Wbrew jej woli po policzkach popłynęły łzy. Słowo „Sybir” brzmiało złowrogo. W jej uszach zupełnie jak śmierć.
- Tak zdecydowała naczelna władza Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Rozkaz z dnia piątego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku – wyrecytował obojętnym tonem.
  - To pomyłka! Przecież to tylko dzieci.
- Mężczyzna zdjął nogi z biurka, pochylił się i wziął do ręki papiery.
- Jeżeli to tylko dzieci, to pójdą do sierocińca. Porządnego sowieckiego sierocińca. Lepsze to niż życie w tym burżuazyjnym mieście.
- Maria poczuła, jak miękną jej kolana. sowiecki sierociniec to gorzej niż śmierć.
- Ale to moje dzieci! Nie są sierotami, a ja jestem robotnica! Z fabryki sukna na Białostoczańskiej! – Zamachała ręką z papierem. – Przyniosłam zaświadczenie, tak jak wczoraj mówił komisarz Strożnicyn. Kazał mi przynieść.
- Na chwilę podniósł na nią oczy. Maria przedstawiała sobą żałosny widok.
- Robotnica? – powtórzył z niedowierzaniem.
- Popatrzyła na niego, ale prawie nic nie widziała. Spływające łzy rozmywały obraz.
- Zabranie moich dzieci to... – spróbowała jeszcze raz. – Komisarz Strożnicyn mówił, obiecał...
  - Strożnicyn obiecał... – powtórzył mężczyzna i uśmiechnął się złośliwie. – Ale Strożnicyna tu nie ma.
  - A kiedy będzie? – jęknęła. – Chciałabym wyjaśnić pomyłkę.
- Mężczyzna spojrział na nią groźnie i warknął:
- Tu nie może być żadnej pomyłki. Władza komunistyczna się nie myli. Jeżeli to wszystko, to wynoście się!
  - Ale komisarz Strożnicyn obiecał... – jęknęła.
  - Nie wiem, co obiecał Strożnicyn, ale jego tutaj nie ma, mówię, więc

wynocha!

– A co z tym? – zawołała z rozpaczą, wyciągając przed siebie zaświadczenie od Ignaciuka. – To od sekretarza partii robotniczej z fabryki.

Wstał zza biurka, podszedł do niej blisko, bardzo blisko, świdrując ją wzrokiem. Wziął dokument i odrzucił na biurko, nawet na niego nie spojrzawszy. Wciąż wpatrując się w Marię, stanął za nią i powąchał jej szyję.

– Przyjdź wieczorem – powiedział nagle zaskakująco łagodnie. Poczowała ciepły oddech na karku. – Może będzie Strożnicyn. Jak ktoś miałby tu co poradzić, to tylko on.

Odsunęła się od niego na chwiejnych nogach i ruszyła w stronę drzwi.

– I wódki albo chociaż samogonu przynieś – usłyszała, wychodząc.

Z płaczem przeszła przez korytarz. Na ulicy wtuliła się w męża, szukając w nim oparcia i nadziei. Nie rozmawiali po drodze. Emil o nic nie pytał i była mu za to bardzo wdzięczna. Wrócili do domu przygnębieni, ale zdecydowani, że Maria stawi się na Pierackiego o ustalonej porze. Dopiero siedząc w kuchni teścia, opowiedziała wszystko rodzinie.

– Nie wiem, nie wiem, z Sowietami nigdy nic nie wiadomo.

– Z nimi nic się nie da załatwić – biadoliły na zmianę siostry Emila – kazał przyjść, dobrze, ale po co? Może i ciebie zabiorą?

– No właśnie, po co kazał ci przyjść? – dopytywał się Józef Szamreta. – Nie wiem, czy w ogóle uda się jeszcze coś zrobić.

– Uda, nie uda, trzeba próbować – upierała się Maria.

Ledwie zdołała powstrzymać drzenie rąk. Nie mogła się poddać rozpacz, która zalewała jej serce i umysł.

Wieczorem znowu włożyła spódnice i bluzkę matki, tylko może trochę lepsze i czyste. Wyjęła z szuflady małą broszkę z kameą, prezent od Emila na dziesiątą rocznicę ślubu. Przez chwilę trzymała ją w dłoni, głaszcząc delikatnie palcami. Przypięła broszkę tak, aby czuć na skórze lekkie drapanie zapięcia i żeby nie było jej widać spod swetra. Chciała mieć przy sobie coś od męża. Wydawało jej się, że dzięki temu nie będzie się tak bała.

Józef Szamreta przyniósł z piwnicy biber. Maria odkręciła butelkę i powąchała.

– Dobry – pochwaliła – na miodzie! – I ku przerażeniu reszty rodziny wypiała spory łyk. – Skąd ojciec go ma? – zapytała.

– Dostałem od chłopca spod Wasilkowa.

– Jutro trzeba pojechać do tego chłopca i przywieźć więcej. Może się przydać

– powiedziała, zakręciła butelkę i włożyła do przepastnej kieszeni szerokiej, staromodnej spódnicy na halkach. Stopy w grubych pończochach wsunęła w stare półbuty i poszli.

Emil odprowadził ją pod sam budynek na Pierackiego. Przy wejściu stał na straży jakiś czerwonoarmista i dłubał palcem w zębach.

– Czewo? – zapytał ich.

– Ja do komisarza... – Mariaomal nie zadławiła się narastającym lękiem i nadzieją.

– Strożnicyna? – pomógł jej żołnierz. Przytaknęła. – On skazał, czto kogo to ożidajet, no goworił tolko o żenszczynie – powiedział i spojrzał groźnie na Emila.

Ten już wyciągał ręce, ale Maria przytrzymała go za nadgarstki. Potem ujęła twarz męża w obie dłonie i szepnęła mu łagodnie do ucha:

– Emil, pójdę sama, tak będzie lepiej, nic się nie martw, będzie dobrze – mówiła jak zakłęcie.

Wahał się przez chwilę, w końcu poczuła, jak zaciśnięte szczęki rozluźniły się pod jej palcami. Jego zielone oczy poszarzały. Objął ją, przycisnął do siebie i bez słowa pocałował w czubek głowy, a potem odszedł na drugą stronę ulicy. Oparł się plecami o kolumnę i splótł ręce na piersi. Żołnierz otworzył drzwi i Maria wsunęła się do ciemnego wnętrza gmachu.

Z daleka w korytarzu widać było tylko jedno światło – w pokoju, który już znała. Ruszyła powoli, szurając butami. Strach i odwaga, determinacja i zwątpienie walczyły ze sobą w jej myślach. Z pomieszczenia dochodziły głosy dwóch mężczyzn. Maria podeszła i stanęła w drzwiach. Dwaj znani jej Sowietci siedzieli przy masywnym biurku. Na blacie stała prawie pusta butelka po wódce i dwie szklanki.

Na widok Marii Strożnicyn zerwał się, podszedł, objął ją za ramiona i przegonił z krzesła kolegę. Ten popatrzył na nią z uśmiechem. Wymienili znaczące spojrzenia, a potem Rumiany, jak go w myślach nazwała, wyszedł. Wyciągnęła z kieszeni bimber, postawiła na stole i usiadła. Po chwili wrócił ten drugi z krzesłem i trzecią szklanką dla Marii. Nalali jej sporą porcję i kazali wypić. Przechyliła szklankę i wlała mocny alkohol do gardła. Odstawiła opróżnioną do połowy szklankę i zakaszła. Mężczyźni się roześmiali.

– Więc co z moimi dziećmi? – zapytała. Czowała pod bluzką zapięcie broszki.

Ten drugi wskazał głową Strożnicyna.

– Jak się postarasz, to może towarzysz się wstawi. Cofnie rozkaz. – Uśmiechnął się lubieżnie.

Maria nie odpowiedziała. Postawiła wszystko na jedną kartę, na komisarza Stroźnicyna. Opróżniła szklankę i odstawiła ją na stół dnem do góry. Mężczyźni zarechotali.

A potem brali ją raz za razem. Mocno i brutalnie. Na biurku lub na krześle. Jeżeli protestowała, to drugi trzymał ją mocno za ręce. W przerwach pili bimber i opowiadali sprośne dowcipy. W końcu, kiedy opadli z sił albo zamroczył ich alkohol, kazali jej odejść.

– A co z moimi dziećmi? Bliskimi? – zapytała cicho.

Stroźnicyn popatrzył na nią. Wyciągnął czystą kartkę i tępy, połamany ołówek.

– Napisz nazwiska i wróć tu jutro – rozkazał. – Zobaczę, co da się zrobić – dodał z pijackim uśmiechem i rozparł się na krześle, ściskając papierosa w ustach.

Maria nasunęła na ramiona poszarpaną bluzkę. Znowu poczuła ukłucie zapięcia broszki. Podeszła do biurka, wzięła leżący na nim ołówek i zaczęła pisać. Niepewnie, bo ręce jej drżały jak spłoszony psiak.

*Busia Szamreta.*

Od razu zdała sobie sprawę ze swojego błędu. Zerknęła na Stroźnicyna, ale nie patrzył na nią, tylko błędził pijackim wzrokiem pomiędzy pustymi butelkami i szklankami na biurku. Maria poczuła, jak krople potu albo łzy, nie była pewna, spływają jej po policzku i pod nosem. Polizała ołówek, przekreśliła imię i nazwisko córki i zaczęła pisać jeszcze raz, tym razem po rosyjsku:

*Bogumiła Emilianowna Szamreta*

*Miranda Emilianowna Szamreta*

*Jan Józefowicz Szamreta*

*Józef Józefowicz Szamreta*

*Władysława Mikołajewna Woźniewska*

Odłożyła kartkę na biurko. Stroźnicyn spojrział na listę i powiedział zaskakująco trzeźwym głosem:

– Nieźle jak na prostą robotnicę! I dzieci pańskie nazwisko mają? To jakie one? Robotnicze te dzieci czy pańskie? – zapytał. – A teraz won! – wrzasnął, nie dając Marii szansy na wymyślenie odpowiedzi.

Zwierzęcy strach sparaliżował jej ciało, nogi odmówiły posłuszeństwa.

Siedziała bez ruchu, a wtedy tamten uderzył ją pięścią w skroń. Marii zadzwoniło w uszach. Strożnicyn wymierzył w jej stronę lufę pistoletu. Powoli zaczęła się wycofywać w stronę drzwi. Robiła to instynktownie, bez żadnej myśli.

– Won! – usłyszała jeszcze, przechodząc przez próg.

Emilian siedział na schodach wiodących do budynku szkoły. Zrywał się z miejsca za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi naprzeciwko, ale czas mijał, a jego żona nie wychodziła. Zmarzł. Otulił się szczelnie płaszczem. W końcu zapadł w stan odrętwienia, niczego nie widział ani nie słyszał. Nagle poczuł czyjeś dotknięcie. Stała nad nim pochylona Maria. Obiema rękoma trzymała się za brzuch. Nie potrzebował światła, aby zobaczyć na jej twarzy cierpienie i rozlewający się na skroni krwiak. Z oczu pociekły mu łzy. Zerwał się i ruszył w stronę budynku, w który wpatrywał się tyle godzin. Żona powstrzymała go stanowczym głosem.

– Nie! Ani się waż! Oni mogą nam pomóc. Pomóc dziewczynkom. Obiecali. Zabierz mnie do domu.

– A to?! – zawołał. Trząsł się ze zdenerwowania.

– To nic! To nic. Zabierz mnie do domu.

Wziął ją na ręce, a Maria objęła go za szyję i z ufnością położyła mu głowę na piersi. Szedł ulicą Staszica, potem skręcił na lewo w Piasta i potem w Słonimską. Wniósł żonę do domu rodziców, bo u nich nawet nie było materaca, na którym mógłby ją położyć. Poprosiła o kąpiel, a kiedy naszykował już balię gorącej wody, wygoniła go z pokoju. Stał pod drzwiami i poprzez plusk wody słyszał rozpaczliwe wycie.

## ROZDZIAŁ XIII

GRUDZIEŃ 1950

W poniedziałkowy poranek niespodziewanie ktoś zapukał w okno. Maria z Mirandą i Januszkiem jedli śniadanie. W małym kwadracie szyby pojawiła się męska ręka w grubej rękawicy. Mirusia spojrzała zdziwiona na matkę i zauważyła, że tamta wcale nie jest zaskoczona. Skwaszona, owszem, ale nie zaskoczona. Maria wstała od stołu, poczłapała w kapciach do sieni, owinęła się szczelnie szalem i otworzyła drzwi.

Do domu weszli Ziutek i Adela, oboje rozradowani. Wnieśli ze sobą mroźne powietrze i zapach naftaliny z płaszczy. Tupali głośno i zacierali ręce z zimna. Jeszcze grudzień dobrze się nie zaczął, a już prószył śnieg. Stanęli w progu kuchni, uśmiechając się tajemniczo. Maria wycofała się w głąb kuchni i podeszła do kredensu, niby czegoś tam szukając. Hałasowała, prychała, całym swoim zachowaniem objawiając niezadowolenie.

– Zbierajcie się, jedziemy! – zawołał Ziutek.

Adela kiwnęła głową, jakby chciała je pospieszyć. Januszek zamachał radośnie rączkami do ulubionego wujka. Mirusia nie potrafiła ukryć zdziwienia i zaciekawienia. Zrozumiała, że to jakaś niespodzianka, o której matka wiedziała, ale okazywała, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Mirandzie bardzo się spodobała myśl o niespodziance. Zwłaszcza takiej, której nie aprobowała matka.

– Jak to, jedziemy? – zapytała.

– Taksówka stoi pod domem! – zawołał dumny z siebie wujek.

– Taksówka? – powtórzyła dziewczyna.

Zdziwienie powoli zamieniało się w ekscytację. Ostatnio taksówką jechali w trzydziestym dziewiątym, na niedzielny piknik do Dojlid. Poczła się znowu jak tamta dziewczyna. Na jej szarej twarzy pojawiły się delikatne rumieńce ekscytacji.

– Taksówka! – zawołała z oburzeniem Stasiakowa. – Czy wyście powariowali!?

Adela postanowiła nie przedłużać. Podeszła do Januszka i wzięła go na rękę.

– Zbierajcie się, ja ubiorę Januszka – zwróciła się do kobiet, a potem powiedziała do chłopca: – Tak, ty też z nami jedziesz.

– Auuułłeee, aaaauee! – zawołał radośnie.

Miranda wstała od stołu, zaczęła zbierać naczynia po śniadaniu w pośpiechu, nerwowo rozglądała się za ubraniami.

– Ja nigdzie nie jadę – oświadczyła ostrym tonem Maria, a po chwili, już trochę ciszej, zwróciła się do córki, odpychając ją lekko od stołu: – Idź, ja posprzątam.

Zdjęła z siebie stary kaszmirowy szal, jeszcze po teściowej, i narzuciła go córce na ramiona. Wiedziała, jak zimno było w kościółku na cmentarzu i jak marne jest palto odziedziczone przez Mirandę po Adeli.

– Ale dokąd? – zapytała dziewczyna, owijając się szalem.

– Zobaczysz – przekomarzał się Ziutek.

Jego siostra wkładała buty Januszkowi, który był równie zainteresowany i podekscytowany niezwykłą sytuacją, co Miranda. Albo wyczuwał podniecenie i emocje siostry. Maria popatrzyła na synka, na jego błyszczące jak nigdy oczy i uśmiech na cieniutkich, sinych ustach. Twarz mu pociemniała, co oznaczało, że chłopcu brakuje powietrza. Już miała powiedzieć, że malec nigdzie nie jedzie, bo to dla niego zbyt duży wysiłek, ale w tej samej sekundzie uświadomiła sobie, że może to dla Januszka jedyna w życiu szansa na przejażdżkę taksówką, a z pewnością jedyna możliwość uczestniczenia w pogrzebie ojca, nawet symbolicznym. Tak więc nie protestowała, tylko zajęła się sprzątaniami. Nie powiedziała też ani słowa, kiedy zamykały się za nimi drzwi.

Zebrała ze stołu brudne naczynia i włożyła do metalowej miski, stojącej na taborecie obok żeliwnego zlewu, a potem zalała je gorącą wodą z czajnika. Resztę chleba, jaka została ze śniadania, zawinęła w lnianą ściereczkę i schowała do metalowego pojemnika na kredensie. Kawałek kiełbasy i parę plasterków szynki przełożyła do głębokiego talerza, przykryła płaskim, postawiła na nim maselniczkę i wyniosła wszystko do sieni. Wracała już do kuchni, gdy zauważyła, że naniesiony przez Adelę i Ziutka do sieni śnieg stopniał i utworzył paskudne, brudne plamy.

Maria sapnęła, zdjęła stary kożuszek z kołka na ścianie, otworzyła szerzej



drzwi do kuchni, aby mieć więcej światła, sięgnęła po ścierkę do podłogi i zaczęła wycierać deski. Potem jeszcze wyrzała na zewnątrz, by sprawdzić, czy zamknęli furtkę. Miała dużo mięsa w komórce w ogrodzie, przygotowanego na wtorkowy rynek, i nie życzyła sobie żadnych gości w postaci zabłąkanych bezdomnych czy też sąsiedzkich psów.

Zajmowała się domowymi czynnościami, tak jak zawsze, ale myślami była gdzie indziej. W głowie miała obraz uśmiechniętego synka i zarumienionej z radości córki. Miranda wyglądała prawie jak tamta dziewczynka, która dziesięć lat temu zniknęła z ich życia. Zastanawiała się, jak Mirusia przyjęła wiadomość o tym, że ową niespodzianką jest msza za ojca czy też jego ponowny symboliczny pogrzeb. Czy była zadowolona, czy też wpadła w złość? Czy jest w stanie docenić to, co robi dla niej rodzina? Czy cały ten cyrk, jak go nazywała w myślach, coś pomoże? Czy Mirusia się otrząśnie?

Maria bardzo na to liczyła, pragnęła spokoju. Żeby mogła pracować, wozić rąbankę i bimber, handlować na rynku i gdzie się tylko da. Chciała zarabiać pieniądze. Załatwiać ludziom różne rzeczy i mieć z tego solidny zysk. Chciała coś odłożyć na starość i na czarną godzinę. Coś tam już miała schowane, ale teraz, kiedy wróciła córka, będą potrzebowały więcej. Przydałby się jakiś posag, wiano. Może wtedy Miranda szybciej znajdzie narzeczonego, ułoży sobie życie. Będzie miała dzieci. Będzie jej dobrze w życiu. Maria oczyma duszy widziała już swoją szczęśliwą starość w gronie rodziny i wnuków, ich dostatnie życie.

Kiedy skończyła z podłogą, postanowiła jeszcze zamieść ścieżkę wiodącą do furtki. Włożyła stare walonki, jeszcze po Emilu, zapięła wysoko pod szyją kożuszek i wyszła przed dom, trzymając w ręku miotłę z powiązanego chrustu. Śnieg był świeży, lekki jak puch, unosząc się w powietrzu, błyszczał jak brokat. Kiedy skończyła, wróciła do domu, zdjęła buty, kożuszek i chciała się zabrać do zmywania naczyń.

Weszła do kuchni i spojrzała na puste krzesła. Sama się zdziwiła, jak bardzo brakowało jej Januszka. Tej małej, chorej, słabej istotki. Dotarło do niej, że chłopczyk ożywiał dom swoją obecnością. Dostrzegła również nieobecność Mirusi. Od tych paru miesięcy zawsze, kiedy wracała, oboje siedzieli w kuchni, wypełniali ją sobą, swoimi oddechami, myślami i emocjami. Teraz było tu przeraźliwie pusto. Zrobiło jej się smutno i tęskno. Dzieci były na mszy za ich ojca. I ona, Maria, też powinna tam być. Powinna być razem ze swoimi dziećmi, bez względu na to, czy pochwałała pomysł urządzania symbolicznego,

powtórnego pogrzebu męża, czy też nie.

Pobiegła do pokoju, wyjęła z szafy futrzaną czapkę, najcieplejszą i najelegantszą, jaką miała. Wciągnęła sweter i grube pończochy, a potem w pośpiechu chwyciła torebkę, wróciła do kuchni i rozejrzała się, czy wszystko w porządku. Zdjęła z kołka na drzwiach jesionkę. W sieni włożyła półbuty i wyszła. Ruszyła szybkim krokiem w stronę cmentarza, rozglądając się, czy nie widać jakiejś taksówki lub wozu, który mógłby ją podwieźć. Było poniedziałkowe, przedświąteczne przedpołudnie i na ulicach panował duży ruch. Spojrzała na zegarek. Na autobus miejski o tej porze nie miała co liczyć. Na Towarowej zamachała na przejeżdżającą ciężarówkę. Kierowca jechał na Grodno i zgodził się podwieźć Marię do Wasilkowskiej. Stamtąd miała już tylko kilka kroków do cmentarza.

Z wysokich, wąskich okien kościółka sączyło się słabe światło. Powietrze było ciężkie od mgły. Pnie drzew wydawały się rozmyte, a rozsiane pomiędzy nimi kopczyki grobów niewyraźne i trochę nierealne. Na ścieżkach zalegało podmarznięte błoto. Maria chwilę postąpiła przed bramą, łapiąc oddech, a potem ruszyła pod górę w stronę kościoła. Sam w sobie nie był duży, ale stał na wzniesieniu i kiedy się patrzyło z dołu, mógł sprawiać wrażenie okazałego.

Maria podeszła do wysokich drzwi. Usłyszała dochodzący ze środka śpiew. Zajrzała przez małą żółtą szybkę. Obraz był niewyraźny i zamazany przez grube i nierówne szkło. Musiała przesuwać i obracać głowę, aby móc objąć wzrokiem całe wnętrze. Najciszej, jak się dało, uchyliła drzwi i przez szparę zajrzała do środka. Mszę odprawiał młody ksiądz, którego nie rozpoznała. W ławkach siedziało parę starszych kobiet owiniętych w kolorowe wełniane chusty. Marii wydawało się, że kiedy śpiewały, z ust każdej wydobywał się obłok oddechu. Dostrzegła również kilku mężczyzn z gołymi głowami, trzymających w zziębniętych rękach wełniane kaszkiety. Była niemal pewna, że od chłodu panującego w kościele uszy mężczyzn nabrały sinoczerwonej barwy.

Uwagę Marii przyciągnęła grupa siedząca pośrodku, w pobliżu ołtarza. Na katafalku zamiast trumny stał jakiś obraz w drewnianej, jak się Marii wydawało, złoczonej ramie. Ustawiono przed nim dwie zapalone gromnice. Ich światło odbijało się w ornamentach ramy. Był to portret jej męża. Emil, w galowym mundurze Dziesiątego Pułku Ułanów Litewskich, siedział sztywno na krześle, w dumnej pozie, trzymając jedną rękę na udzie, a drugą na rękojeści szabli. Na głowie miał czterodzielną czapkę, na jego piersi widniały błyszczące medale.

Maria pamiętała tę sytuację. Sama polerowała medale, szablę i rękojeść. Wyprasowała i wyczyściła mundur, nasmarowała skórzane elementy łożem, wypastowała oficerki, a potem poszła z mężem do fotografa na Rynku Kościuszki. Emilian miał wtedy około trzydziestu pięciu lat. Najlepszy wiek dla mężczyzny. Pamiętała tę fotografię; teraz, najwyraźniej na podstawie zdjęcia, został namalowany jego portret. Maria domyślała się, że to dzieło Ziutka, i była ciekawa, jak siostronom udało się go do tego namówić. Szwagier nie malował już od lat. Ostatnio stał przy sztalugach chyba przed wojną.

Patrzyła na podobiznę męża. Obraz przyciągał jej wzrok. Pociągnęła, przystojna twarz Emila nie miała jeszcze na sobie śladów wojennych przeżyć. Nie widać było na niej rozpaczy po utracie córek. Błyszczące zielone oczy, nawet bardziej zielone niż w rzeczywistości, patrzyły teraz na Marię z zadziornością i pewnością siebie. Portret przewiązany był czarną wstążeczką, leżały wokół niego świeże kwiaty. Goździki. To musiało kosztować majątek, pomyślała Maria i sapnęła, z dezaprobatą kręcąc głową. Święta za pasem, a oni taki cyrk urządzają.

Przed katafalkiem siedziała rodzina. Pierwsza, zaraz na prawo, najbliżej portretu, Mirusia. Obok niej, na kolanach Adeli, wiercił się Januszek. Z drugiej strony nawy usiedli Gienia z Władkiem i Ziutek z żoną. Wśród zgromadzonych w ławkach wiernych dostrzegła jeszcze paru sąsiadów ze Słonimskiej i jakichś dalekich krewnych. Albo przynajmniej tak jej się wydawało.

Maria spojrzała na plecy swojego najstarszego dziecka i poczuła nagły ucisk w żołądku. Te przygarbione plecy, sposób, w jaki córka pochylała do przodu głowę, przekrzywiając ją na lewo, opuszczone ramiona i wyciągnięta nienaturalnie szyja – wszystko to było symbolem smutku i żałoby.

Po chwili cała rodzina podniosła się wpatrzona w portret. Msza już się kończyła, ksiądz udzielał ostatniego błogosławieństwa. Maria wiedziała, że teraz wszyscy pójną na grób, by uczestniczyć w jego poświęceniu. Patrzyła na siostry męża, na jego brata i swoje dzieci i nagle poczuła się między nimi tak obco, jak na początku małżeństwa. Odrzucana bardziej lub mniej, niechciana, niegodna. Dopiero lata wojny zbliżyły ich do siebie. Dopiero w biedzie i niedostatku stała się pełnoprawnym członkiem rodziny Szamretów. Dopiero wtedy, kiedy tamci naprawdę jej potrzebowali.

\*\*\*

Mirusia siedziała w zimnym kościele przed podobizną ojca i patrzyła w jego piękne oczy. Na tym portrecie wyglądał tak, jak go zapamiętała: wysokie czoło, wąski nos, mocno zarysowana szczęka. A także mundur i medale. Tylko oczy były jakby szare, ojciec miał bardziej zielone. I tak jednak nie mogła wyjść z podziwu dla talentu wuja. Genowefa szepnęła jej z dumą, że to Ziutek namalował obraz, a po ceremonii Mirusia będzie mogła zabrać go do domu. Siedziała otulona zapachem kadzidła i świec. Umiała docenić drogie kadzidło i dobry воск. To były porządne świece. Wokół niej rozbrzmiewały głosy zgromadzonych, śpiewających modlitwę. Wtórowała im muzyka organów.

Miranda już dawno zapomniała te słowa. Miała w głowie inne modlitwy. Szeptala je po cichutku, patrząc w twarz ojca. Modliła się i powtarzała zaklęcia, powoli zapadając w trans. Jej świadomość odpłynęła z tego zimnego kościoła i po chwili ulatywała nad zamglonym cmentarzem. Mirusia wyruszyła na poszukiwanie ojca.

Ostiacy mówili, że dusze zmarłych jeszcze długo unoszą się nad tajgą lub błakają pomiędzy drzewami w poszukiwaniu jagód, ziół, korzonków. Wielu z nieboszczyków nie mogło uwierzyć w swoją śmierć i zachowywali się tak, jakby nadal żyli i potrzebowali jedzenia.

Czasami wyczuwała te dusze. Czowała ich niepewność, wściekłość, smutek czy pogodzenie z losem. A teraz zastanawiała się, gdzie jest dusza ojca. Czy może jeszcze błaka się po wąskich uliczkach na Bojarach? Czy ojciec wie, że nie żyje? Co czuł, kiedy odchodził? Miranda często siedziała przy umierających na Syberii, ale tam większość zesłańców była ze śmiercią pogodzona, a nawet zaprzyjaźniona. Czy jej ojciec był gotów, by odejść? Czy kiedy się zorientował, że umarł, ogarnęła go złość czy ulga?

Kiedyś podczas pracy przy wyrębie drzewo zważyło się na strażnika. Młody chłopak miał nie więcej niż dwadzieścia parę lat. Dwa miesiące wcześniej wysłano go na Sybir do pilnowania robotników. Był zdrowy, dobrze odżywiony, miał przed sobą całe życie i chciał żyć. Umarł szybko pod tym drzewem. Potem przez wiele tygodni Mirusia, idąc do tamtej części lasu, czowała jego żal, sprzeciw i wściekłość. Zatrzał swoimi emocjami całą okolicę. Inni zesłańcy też to czuli i nikt nie chciał pracować na tamtym terenie. Niektóre zioła nie rosły tam przez całe lato, a wiosną nie osiedliły się ptaki. Strażnicy

również unikali tego miejsca i w końcu komendant zgodził się zmienić obszar wyrębu.

\*\*\*

Msza się skończyła i wszyscy czekali na księdza, aż się przebierze i przygotuje do poświęcenia mogiły. Miranda tego nie zauważyła. Reszta rodziny patrzyła na nią z zakłopotaniem. Siedziała, jakby pogrążona w transie, z głową bezwiednie opuszczoną na piersi, powieki jej drgały, twarz przypominała maskę, a ciałem wstrząsały dreszcze. Bali się jej dotknąć. Kościół opustoszał. W końcu Ziutek podszedł do bratanicy i potrząsnął ją za ramię.

– Miruśka, coś się stało? Miruśka?

– Co z nią? – przestraszyła się Adela.

Ola, żona Ziutka, i Gienia stały zatroskane. Ziutek dźwignął dziewczynę, ale ta była zupełnie bezwładna i niemal wyslizgnęła mu się z rąk. W tej sekundzie dopadła do nich Maria.

– A co ty tu robisz? – zawołała Adela zdumiona jej widokiem.

– Dzięki Bogu, jest Maryśka – szepnęła Gienia.

– Połóżmy ją, o tam – zakomenderowała Stasiakowa i wraz z Ziutkiem przenieśli Mirusię parę metrów i położyli na kawałku wytartego chodnika umieszczonego pod obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej.

– Mirusia, co się dzieje? Co z nią? – dopytywali się inni członkowie rodziny.

Poza nimi już nikogo nie było w kościele.

Miranda leżała z zamkniętymi oczami, przez powieki widać było, jak jej gałki oczne się poruszają to w jedną stronę, to w drugą, jakby miała jakiś straszny sen. Nagle jej ciało wyprężyło się jak struna. Trwało to zaledwie kilka sekund. Nikt nie wiedział, co robić, pochylali się nad dziewczyną, która leżała wygięta w łuk, oparta jedynie na piętach i potylicy.

– To chyba jakiś atak – szepnęła Adela i zakryła dłonią usta.

Genowefa stała obok siostry, ręce przycisnęła do serca. Ola trzymała się poły męzowskiego płaszcza, szukając w Ziutku oparcia, którego on sam potrzebował. Na twarzach wszystkich malowało się przerażenie i troska. A nad nimi Matka Boska pochylała głowę ozdobioną przepyszną koroną, jakby

w zatroskaniu lub zadziwieniu.

– Trzeba zadzwonić po pogotowie albo zawołać lekarza – odezwał się przytomnie Ziutek.

Przytrzymał Mirusię za ręce. Ciało młodej kobiety stawiało opór, unieruchomione ramiona próbowały się wyrwać z uścisku.

– Tak, tak, lekarza – podchwyciła Gienia.

– Wieki miną, zanim przyjadą. Może zaniemiemy ją na Sienkiewicza – zaproponowała Adela.

– Nie potrzeba – odezwała się lodowatym tonem Maria.

Wszyscy jak na komendę spojrzeli na nią zaskoczeni.

– Ale jak to?

– Nie potrzeba lekarza – oświadczyła Maria chłodnym i na pozór obojętnym tonem. – Nic jej nie jest.

I rzeczywiście, po paru sekundach mięśnie Mirusi się rozluźniły. Teraz po prostu leżała na wytartym, zakurczonym chodniku. Głowa jej opadła na bok, ręce spoczywały wzdłuż ciała. Rysy wygładziły się i wyglądała, jakby spała.

– Czy coś się stało? Ktoś zasłabł? – usłyszeli nagle głos księdza za plecami.

– Tak, bratanica... źle się poczuła, zemdląca... – zaczął tłumaczyć Ziutek, ale Maria mu przerwała, jednocześnie rzucając nań srogie spojrzenie.

– Nie, nie, już wszystko dobrze – powiedziała, szturchając córkę. – Mirusia, już dobrze?

Młoda kobieta otworzyła oczy, jak gdyby budząc się ze snu. Powoli przesunęła niewidzącymi jeszcze oczyma po stojących wokół niej krewnych.

– Mirusia, dobrze się czujesz?

– Mirusia, dzięki Bogu!

– Ale nas przestraszyłaś.

Kobiety przekrzykiwały się nawzajem. Tylko Maria nic nie mówiła.

– Możemy już iść na poświęcenie grobu? – ponaglił ich ksiądz.

Zbierali się nowi żałobnicy, na katafalku spoczęła sosnowa trumna. Przyszedł czas na kolejny tego dnia pogrzeb.

Szamretowie zakrzętnęli się, podnieśli Mirusię, postawili ją na nogi, zawiązali jej porządnie pod szyją czyjs szalik. Posprawdzali, czy guziki przy palcie ma zapięte, wyciągnęli z kieszeni czapkę i nasunęli dziewczynie na oczy. Władek wziął ją pod ramię, Ziutek dźwignął Januszkę na plecy, a Gienia owinęła chłopca chustą, którą przewiązała na piersiach brata. Maria przyglądała się temu ze zmrużonymi oczami, potem zaś poczłapała za nimi na

grób męża, by zakończyć tę farsę, jak nazywała w myślach uroczystość.

Kiedy godzinę później szły z Mirandą obok siebie Przygodną, tuż po tym, jak wysiadły z Januszkiem z taksówki i pożegnały się z rodziną na rogu Słonimskiej, milcząca dotąd Maria powiedziała:

– W Lipowym Moście jest taka stara baba, mówią o niej, że to szeptucha.

Mirusia szła w milczeniu. Dźwigała na plecach śpiącego Januszka. Owinęły go w chustę, tak jak to wcześniej zrobiła Gienia, kiedy Ziutek niósł chłopca przez cmentarz. Maria po chwili mówiła dalej:

– Byłam kiedyś u niej. Podobno leczy ludzi.

– Nie potrzebuję leczenia – odezwała się Mirusia.

– Wiem, że nie potrzebujesz, i wiem, co wyprawiałaś tam, w kościele, czy co robisz z Januszkiem – odpowiedziała Maria i zatrzymała się nagle. Były już przy furtce domu. – Musisz z tym skończyć, słyszysz? – Chwyciła córkę za ramię i obróciła ją ku sobie. Miranda nie patrzyła na nią. – Musisz z tym skończyć. To niebezpieczne, rozumiesz? To się może źle skończyć.

– O czym mama mówi?

– O leczeniu, zabobonach, zaklęciach, transach i tym wszystkim.

– A co mi mogą zrobić? – zapytała Miranda. Ich spojrzenia wreszcie się spotkały. Córka patrzyła hardo w oczy Marii.

– A czy ty myślisz, że najgorsze, co może cię spotkać, to to, co tobie mogą zrobić?

Mirusia nie odpowiedziała, jeszcze wytrzymywała wzrok matki.

– Narażasz innych. Mnie – nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia – Ziutka, Adele, Gienię.

– Są dorośli, poradzą sobie. Mąż Gieni jest przecież gdzieś wysoko w partii. Nic im nie będzie. – Miranda przeszła na podwórze.

– A ja? Jak mnie zabiorą? Pomyślałaś o Januszku? Co się z nim stanie, jak mnie zabiorą? Jesteś w stanie go wykarmić, zadbać o niego, zarobić na leki? Kto by cię przygarnął z chorym bratem? A gdyby zabrakło nas obu? Co z nim wtedy? Pomyśl czasem o innych. Jesteśmy twoją rodziną. Jedyńą, jaką masz.

Mirusia spuściła wzrok. Nie odpowiedziała matce, bo nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Jedyńą osobą, na której teraz naprawdę jej zależało, był Januszek. Poczowała jego ciężar na plecach. Maria minęła ją i poszła do domu, a córka szła krok za nią, wbijając wzrok w plecy matki. Stasiakowa nie obejrzała się i nie dostrzegła tego spojrzenia. Bez słowa otworzyła drzwi i wpuściła córkę przodem do sieni.

## ROZDZIAŁ XIV

KWIECIEŃ 1940

Rankiem Emilian i Maria znowu poszli na Pierackiego. Po drodze rozmawiali. Czy uda się zapobiec zsyłce? Co najlepiej im dać? Jak potem żyć? Ile potrwa ta wojna? Emil zaciskał zęby, Maria płakała. Szła, trzymając się za podbrzusze, gdzie nadal czuła ból. W kieszeni miała rodzinne złoto. Dwa łańcuszki, obrączki po dziadkach, pierścionek z szafirem i ciężki złoty wisior, wysadzany rubinami, jeszcze po babce Emila.

W salonie Szamretów wisiał portret babki, namalowany przez Ziućka. Stała w długiej sukni z tiurniurą i trzymała w ręce ten wisior. To była najbardziej wartościowa rzecz, jaką posiadali. Umilkli tuż przed budynkiem. Przy wejściu czerwonoarmista palił papierosa.

Emil pocałował żonę w czoło i odszedł na drugą stronę ulicy. Bez słowa protestu, z wyrazem rezygnacji na twarzy usiadł na schodach przedwojennej szkoły. Na tym samym stopniu, na którym przesiedział tyle godzin poprzedniej nocy. Maria obejrzała się na niego. Rezygnacja męża martwiła ją bardziej niż wcześniejsze protesty, ale nie miała siły się nad tym zastanawiać. Miała swoją wojnę do wygrania. Westchnęła i ruszyła z ociąganiem do drzwi. Po chwili zniknęła w czarnej czeluści gmachu.

Włokła się korytarzem do biura Strożnicyna. Dziś też drzwi były otwarte. Szła resztkami sił. Nie odczuwała już strachu, nie bała się najgorszego. Chciała, żeby to się już skończyło, żeby nigdy więcej nie musiała tu przychodzić. Odzyskać dzieci i zapomnieć o wszystkim, co tu się wydarzyło. Stała w progu i zapukała we framugę. Komisarz siedział sam za biurkiem, pochylony nad papierami. Podniósł wzrok. Rozpoznał ją i uśmiechnął się z satysfakcją, wykrzywiając naznaczoną blizną twarz, jak zdobywca do swojej ofiary. Wskazał Marii krzesło. Zamknęła za sobą drzwi od pomieszczenia i usiadła.



– Czego chcecie, obywatelko? – zapytał po polsku, zaciągając śpiewnie.  
– Moje dzieci muszą wrócić jutro do domu – oświadczyła mocnym głosem – zrobiłam wszystko, czego chcieliście, przyniosłam bimber, oddałam wam się. Zdobyłam papier od sekretarza partii komunistycznej z fabryki. Musicie mi oddać moje dzieci.

Stroźnicyn rozparł się wygodnie, wsadził ręce do kieszeni, wyjął papierosa i zapalniczkę. Przypalił, zaciągnął się i wydmuchał dym przed siebie.

– Musimy?

– Obiecaliście, że to załatwicie. Mam tu jeszcze to.

Wsunęła rękę do kieszeni spódnicy i wyłożyła na biurko rodzinną biżuterię.

– Obiecaliśmy? – z lekceważeniem powtórzył jej słowa. Spojrzał na złoto, szacując wzrokiem jego wagę i wartość. – Za próbę przekupienia sowieckiego komisarza można trafić do łagru, obywatelko – powiedział.

Maria patrzyła mu prosto w oczy. Siedziała w bolesnym oczekiwaniu. Mięśnie pośladków napięła tak bardzo, że zaczęły ją piec. Na biurku, na wierzchu sterty papierów leżała kartka z wypisanymi jej ręką nazwiskami. To obudziło w niej nadzieję. Jest! Więc nie wyrzucił! Widział to, czytał. Obok leżał dokument z podpisem Ignaciuka. Maria czuła, jak serce jej rośnie. Jedynie na chwilę.

– Wy niczego nie rozumiecie, obywatelko. – Stroźnicyn z dezaprobatą pokręcił głową. – Niczego. To władza komunistyczna podjęła decyzję o zabranii waszych dzieci i nikt nie może tego zmienić. Wasze dzieci będą pracować dla dobra Związku Radzieckiego. Staną się lepszymi ludźmi. Prawdziwymi komunistami. To dla ich dobra!

– Ale to pomyłka – jęknęła kobieta.

Ton głosu mężczyzny, opanowany, spokojny, nieludzki, spowodował, że dopiero co obudzona nadzieja zaczęła w niej umierać.

– Nie ma mowy o żadnej pomyłce. Władza się nigdy nie myli, obywatelko. My nie popełniamy błędów. Nie jesteśmy kapitalistami ani burżujami. Nie mylimy się i nie można nas kupić za pieniądze i złoto. – Wskazał ręką na leżące na biurku złoto. – A z drugiej strony ciekawe, skąd u robotnicy takie cacka? I teraz jakoś mówicie inaczej.

Maria milczała. Już nie patrzyła mu w oczy. Spuściła wzrok. Zrozumiała straszną prawdę. Nie da się uniknąć zsyłki.

– Przynosicie tutaj jakieś nic nieznaczące papiery – pomachał zaświadczeniem od wujka Miszy – i chcecie nam wmówić, że władza

komunistyczna się pomyliła, że my się pomyliliśmy, zabierając wasze dzieci, a ja wam mówię, że dajemy im wybawienie! Wolność! Lepszą przyszłość. Staną się wolnymi ludźmi. Równymi! – wołał z entuzjazmem.

Nagle wstał i podarł trzymany w ręku dokument. Maria patrzyła, jak fragmenty pisma spadały jeden po drugim na blat biurka. Jak nikomu niepotrzebne śmieci. Jak pierwszy listopadowy śnieg, który zaraz topnieje. Jej determinacja stopniała i wyparowała, serce się skurczyło. Stało się jak twarde, mały orzech. Strach i nadzieja zniknęły, pozostało uczucie porażki, beznadziei i nienawiści. Strożnicyn obszedł biurko. Zbliżył się do Marii, stanął nad nią, chwycił ją za włosy i mocno odchylił jej głowę do tyłu. Z dołu spjrzały na niego zimne, błękitne oczy.

– Ty myślała, swołocz jedna, że można władzę sowiecką i uczciwego komunistę przekupić? Za coś takiego możemy wysłać was do kopalni na Sybir!

W błękitnych oczach Marii pokazały się łzy. Spodobało mu się to.

– Zostaną wywiezione do najlepszego sierocińca i staną się uczciwymi, dobrymi komunistkami, będą naszym czerwonoarmistom rodziły zdrowe dzieci!

– Proszę – jęknęła – proszę, na Sybir! Tylko nie do sierocińca. I ja z nimi! Wyślijcie i mnie!

Zalała się łzami. Podnieciło go to. Rozpinał rozporek spodni, guzik po guziku, mówiąc do niej:

– Ty swołocz ostatnia. Ty zdiro, co się panom, burżujom oddała! Kapitalistka! Imperialistyczna dziwka!

Wyciągnął ze spodni nabrzmiały członek. Szarpnął ją jeszcze mocniej do tyłu, aż westchnęła z bólu i odruchowo chwyciła ustami powietrze. Wtedy wepchnął jej członek do ust, tak głęboko, że zaczęła się dusić. Zemdlilo ją; myślała, że zwymiotuje.

– Ani się waż rzygać, bo każę ci to zlizywać! – krzyknął jej dręczyciel, ale nieco zwolnił chwyt.

Mogła opuścić głowę, rozluźnić mięśnie gardła i szczęk. I wtedy nagle Strożnicyn poczuł, jak na jego członku zaciskają się jej zęby. Bardzo mocno. Spojrzał w oczy kobiety i zobaczył w nich determinację. Przeraził się. Jego członek błyskawicznie zaczął się kurczyć i wiotczeć, a zęby Marii zaciskały się coraz mocniej. Na dodatek chwyciła w palce jądra męczyzny i ścisnęła je coraz bardziej. Komisarz zachwiał się i omal nie opadł na biurko. Pociągnął za sobą Marię, która, próbując się podnieść, pociągnęła go za penis. Krzyknął

z bólu i oparł się pośladkami o biurko.

W tym momencie Maria dostrzegła na blacie wąski nożyk, zapewne służący do przycinania papierosów albo otwierania listów. W tej samej chwili Stroźnicyn sięgnął ręką do tyłu i złapał pistolet zatknięty za pas. Wydarzenia toczyły się w błyskawicznym tempie, ale wyostrzone zmysły pozwoliły Maryśce wszystko widzieć i słyszeć. Zobaczyła pistolet w ręku mężczyzny, poczuła woń jego potu, która przemieniła się teraz w odór strachu, słyszała przyspieszony, urywany oddech. Wyczuwała przerażenie Stroźnicyna, tak jak jeszcze przed chwilą swoje własne. Powoli, z wahaniem ręka z pistoletem zbliżyła się do jej skroni.

Maria tego nie wiedziała, ale komisarz widział wystarczająco dużo osób umierających od strzału w głowę i wiedział, że w pierwszej sekundzie, kiedy kula przebija czaszkę i wdziera się w głąb mózgu, szczęki zaciskają się z tak wielką siłą, że człowiek jest zdolny przegryźć nawet drewniany kołek. Przestraszył się i nie potrafił natychmiast zdecydować, co zrobić, aby tego się ustrzec.

Maria wyczuła jego wahanie. Nie rozumiała przyczyny, ale nagle doznała przypływu odwagi. Ten człowiek mógł ją już zabić, a nie strzelił. Może w pistolecie nie ma kul? Szybko sięgnęła po nożyk i przyłożyła ostrze do jąder mężczyzny. Kiedy poczuł zimne ostrze na skórze, jego członek momentalnie skurczył się jeszcze bardziej i wyslizgnął z ust Marii. Wyprostowała się gwałtownie i zamachnęła, uderzając ręką w dłoń Stroźnicyna. Przydało się doświadczenie zdobyte w ulicznych bójkach w czasach dzieciństwa spędzonego w robotniczej dzielnicy. Wytrąciła przeciwnikowi pistolet, który potoczył się pod drzwi. Stała twarzą w twarz ze swoim oprawcą.

– Zabiję cię za to – warknął.

– Być może – odpowiedziała z determinacją – mnie jest już wszystko jedno, ale jeżeli zechcesz sam to zrobić, będziesz musiał spotkać się ze mną jeszcze raz, a wtedy, jak spojrzysz mi w oczy, to poczujesz to! – Wcisnęła mocniej nóż w jego krocze. Pod palcami poczuła ciepłą krew.

– Przyjdą po ciebie inni – jęknął. Jego twarz, oszpeconą blizną, wykrzywił ból.

– Niech przychodzą, a ja im opowiem, kto okaleczył komisarza Stroźnicyna. Opowiem też wszystkim, jak to uczciwy komunista dał się wyprowadzić w pole durnej babie. Imperialistycznej swołoczy – dodała. – Bierz ten papier – wskazała na kartkę z nazwiskami córek i członków rodziny – i pisz rozkaz,

dekret czy jakkolwiek to się nazywa! Sybir dla moich dzieci! Słyszysz?! Sybir, nie sierociniec! I jeszcze Sybir dla mnie! Ten sam sowchoz, łagier czy gdziekolwiek tam je wysyłacie! Maria Szamreta.

Rozluźniła nieco palce, tak aby mężczyzna mógł się trochę obrócić. Próbował się wyrwać, ale nie pozwolił mu na to nóż w kroczu. Ból musiał być niewyobrażalny. Oczy komisarza pociemniały. Zaczęły mu drżeć nogi. Sięgnął po arkusz papieru i pisał trzęsącą się ręką. Maria patrzyła mu przez ramię, poprawiając go, gdy zrobił błąd w nazwisku.

Kiedy skończył, sięgnęła po dokument i przybiła trzy leżące na biurku pieczętki. Dwukrotnie. Uznała, że tak wygląda lepiej. Drugą ręką wciąż trzymała nóż końcem ostrza zagłębiony w skórze moszny swojego oprawcy. Krwawił. Przez chwilę patrzyła w wykrzywioną, zniekształconą bliznami i cierpieniem twarz.

– Zemszczę się na tobie! Znajdę cię – groził. – Będiesz tego żałowała, swołocz jedna! Spotka cię gorsze niż łagier! Gorsze niż śmierć!

Syczał z bólu i bezsilnej złości. Maria wsunęła do kieszeni papier, po czym pchnęła ostrze noża głębiej. Mężczyzna zawył z bólu i osunął się na podłogę.

– Cisze, towarzyszu, cisze, bo wstyd i sromota będzie, że durna baba tak cię okaleczyła.

Zobaczyła, jak jego oczy zasnuła mgła; potem uciekły w głąb czaszki i stracił przytomność.

Jednym szybkim ruchem zgarnęła z biurka złoto do kieszeni i wyszła pospiesznie, po drodze sięgając po leżący na podłodze pistolet. Zamknęła za sobą drzwi. Przebiegła przez korytarz, nie oglądając się za siebie. Szczęście jej sprzyjało: nie spotkała nikogo, nie słyszała żadnych głosów, kroków. Nikt nie pilnował wejścia. Jakby cały gmach opustoszał, zamarł, nie chcąc patrzeć na to, co działo się w pokoju na parterze. Maria opuściła budynek, podbiegła do Emila, chwyciła go za rękę i pociągnęła w stronę domu.

– Co się... – zaczął pytać, patrząc z przerażeniem na jej zakrwawioną rękę.

– Cicho! Nie teraz! – krzyknęła tylko i biegła co sił w nogach.

Czuła w podbrzuszu coraz większy ból; coś ciepłego ciekło jej po wewnętrznej stronie ud. Płakała. Łzy zalewały jej oczy i co rusz potykała się o wystające kamienie brukowe. Dwa razy upadła. Emil chciał jej pomóc, ale odtrącała jego wyciągniętą rękę.

Dotarli do domu rodziców Emila i zamknęli się w pokoju, jaki oddano im do dyspozycji. Maria usiadła przy stole i wyciągnęła z kieszeni spodnicy

pogniecioną, umazaną krwią kartkę. Twarz miała upiornie bladą. Wyciągnęła papier w stronę męża.

– Oddaj to jutro wujkowi Miszy. Będzie wiedział, co z tym zrobić.

Emil spojrział na dokument i bezwiednie zacisnął pięść, gniotąc go w palcach. Nie zdążył nic powiedzieć, zaprotestować, gdy Maria osunęła się na podłogę. Zaniósł żonę do łóżka, obmył krew z jej rąk i nóg, ułożył ją wygodnie i usiadł obok.

A potem, w nocy, z jej ciała, w potoku krwi, wyslizgnęło się ich nienarodzone dziecko. To, które nosiła w łonie od trzech miesięcy.

## ROZDZIAŁ XV

GRUDZIEŃ 1950

To był pomyślny czas dla Marii Stasiak. Miała dobrą passę. Zbliżały się święta, więc handel kwitł. Mniej kontroli w pociągach, od rynku też się odczepili. W domu było czysto, jedzenie codziennie nagotowane. Rosła ukryta w tajemnym schowku kwota. Stan Januszka też się nie pogarszał. Może nawet polepszał. Chłopiec był żywszy, silniejszy i częściej się uśmiechał. Maria nigdy by nie przyznała, że to dzięki syberyjskim zabobonom Mirusi, prędzej wierzyła w moc niemieckich tabletek.

Tego dnia wróciła do domu wcześniej niż zwykle. Kiedy weszła do kuchni, dzieci siedziały przy drugim śniadaniu. Wokoło unosił się zapach świeżo upieczonego chleba, a na stole pod oknem leżały dwa bochenki przykryte czystą ściereczką. Maria z niepokojem spojrzała w twarz córki, jakby sprawdzając, jakie to pretensje czy humory mogą ją dzisiaj spotkać ze strony Mirusi. Z ulgą dostrzegła w jej oczach spokój.

Januszek siedział przy stole w swoim krzeselku z barierką, jaką dorobił Ziutek. Chłopczyk miał całą buzię umazaną fioletową mazią. Maria zajrzała do miseczki.

– Dodałam suszonych czarnych jagód do twarogu, bo ma rozwolnienie. Potem jeszcze wypije napar z kory wierzby i powinno minąć – odpowiedziała Miranda na nieme pytanie matki.

– Znasz się na tym – przyznała Maria z lekkim podziwem. Po raz pierwszy, odkąd córka wróciła, zaczęły rozmawiać na ten temat.

– To nic trudnego – odrzekła dziewczyna – na Syberii stale się z tym męczyliśmy. Dawali nam takie świństwa do jedzenia, że każdy co jakiś czas miał sraczkę.

Matka spojrzała na nią ze zdziwieniem. Miranda rzadko używała takich słów. Podeszła do stołu, powąchała chleb, a potem pochyliła się nad synkiem

i pocałowała go w czoło.

– A czy ja też mogę dostać trochę takiego pysznego serka? – zapytała.

Miranda podniosła się bez słowa i na chwilę zniknęła w sieni z porcelanową miseczką w dłoni.

Maria zauważyła, jak chłopiec ogląda się za siostrą.

– Nie martw się, zaraz wróci – uspokoiła synka.

Uświadomiła sobie, że za nią Januszek nigdy tak nie patrzył. Nigdy nie darzył jej tak szczerym, bezgranicznym uwielbieniem.

– Ktoś musi zarabiać na chleb i lekarstwa. Dobrze, że Mirusia jest w domu – powiedziała do chłopca, jakby chciała mu się wytłumaczyć.

Maria umiała docenić jej pomoc w domowych obowiązkach i kiedy córka wróciła, przywitała ją szerokim uśmiechem. Pamięć o rozmowach, kłótniach i pretensjach sprzed paru tygodni uleciała z głowy matki niczym spirytus z otwartej butelki.

Miranda postawiła na stole miseczkę z twarogiem oraz suszonymi jagodami i dodała sporą łyżkę miodu.

– Dlaczego mama tak wcześnie wróciła? Targ się nie udał? – zapytała, ale jej mina i oczy nie objawiały zainteresowania.

– Udał się, udał, i to bardzo! – odpowiedziała Maria, nadal się uśmiechając.

– Jak tak dalej pójdzie, to po zimie uzbiera się niezła sumka.

Córka milczała. Wytarła Januszkowi buzię skrajem fartucha, który miała zawiązany wokół talii, i zaczęła się krzątać, sprzątajac po posiłku. Nastawiła cały czajnik wody, a potem sięgnęła pod mały stół stojący pod ścianą. Odsunęła kolorową zasłonkę, zawieszoną na brzegu blatu, która ukrywała znajdujące się tam garnki, sita i miski. Dziewczyna wyciągnęła blaszaną miednicę, w której chciała umyć naczynia, i nalała do niej wrzątku. Twarz Mirandy na chwilę zniknęła w chmurze pary. Dolała garnuszkiem zimnej wody ze zlewu i włożyła brudne talerze, miseczki, kubki do miednicy. Wytarła ręce w fartuch. Podeszła do stołu i usiadła, czekając, aż matka skończy jeść i będzie można zabrać jej porcelanową miseczkę. Maria jadła ze smakiem.

– Mhmm, jakie dobre – powiedziała.

Miranda wstała od stołu, wyjęła kręcącego się Januszka z krzeselka i postawiła go na podłodze. Chłopczyk natychmiast opadł na kolana i na czworakach przeczołgał się parę metrów do leżących na podłodze dwóch drewnianych samochodów, osobowego i ciężarówki.

Nagle Maria zerwała się zza stołu i spieszenie poszła do sieni.

– Czekaaj, czekaaj! Zupełnie zapomniałam! Jest wrzątek? – zawołała zza uchylonych drzwi.

– Jeszcze trochę zostało!

– To dawaj dwa kubki! Zobacz, co przyniosłam! – zawołała tryumfalnym tonem, dumnie wkraczając do kuchni i podnosząc do góry brązową puszkę.

Córka popatrzyła z zainteresowaniem.

– Kawa! Prawdziwa kawa. Kolumbijska. Nie jakaś tam zbożowa! – wyjaśniła matka.

Miranda podała dwa kubki z kredensu. Maria podważyła nożem wieczko puszki. Odskokczyło i w powietrzu uniósł się ostry zapach świeżej, mielonej kawy. Cudownie dobrej kawy. Nawet Mirusia nie mogła powstrzymać uśmiechu. Zalały kawę wrzątkiem i usiadły nad parującym, czarnym i niemal gęstym napojem. Każda wsypała sobie parę czubatych łyżeczek cukru. Piły ostrożnie, tak aby się nie poparzyć.

– Rzeczywiście dobra! – odezwała się Mirusia.

Maria rozparła się na krześle. Miłe ciepło rozlało się po brzuchu. Zaczęła snuć plany na przyszłość.

– Może jeszcze nam się ułoży, Mirusia. Coś tam zaoszczędzę. Ty pójdiesz do jakiejś szkoły. Możesz zostać, kim chcesz, jesteś jeszcze młoda. Może wyuczysz się na pielęgniarkę? – zaproponowała.

Odpowiedziała jej cisza. Miranda popijała kawę.

– Może spotkasz jakiegoś miłego chłopca. Wyjdiesz za mąż. Urodzisz dziecko...

– Ale ja już miałam dziecko, proszę mamy – przerwała jej córka. – Pamięta mama? Mówiłam o tym.

Nagle coś takiego stało się z powietrzem, że zaczęło być duszno. Maria wbiła wzrok w kubek z kawą. Twarz jej stężała.

– Miałam już dziecko. To był chłopczyk. Nazwałam go Emil. Umarł w pierwszą zimę swojego życia. Urodził się tuż po tym, jak umarła Busia – ciągnęła Miranda. Oczy miała błyszczące, a spojrzenie lodowate.

– Po co mi to mówisz? – zapytała Maria.

Jej serce zacisnęło się z bólu. Milczała.

– Po co to mówię? A dlaczego mama nigdy o nic nie pyta? Nie chce wiedzieć? Nawet nie zapytała, jak to się stało z Busią i babcią – odpowiedziała tonem pełnym wyrzutu jej córka.

– Co nam da opowiadanie o tym? To niebezpieczne. Nie mówi się o takich



sprawach.

– Nie sobie opowiadam, to mamie chcę opowiedzieć. Niech mama się dowie, jaki los spotkał jej córki. Chyba matka powinna wiedzieć. Prawda?

Z ust Mirandy wylewał się jad. Czarny i trujący.

– Czy oni tam... was... – próbowała wydusić z siebie Maria.

– Czy nas gwałcili? Tam? W sowchozie? – pomogła jej córka.

Maria znowu umilkła. Miranda westchnęła, upiła łyk kawy i po chwili odpowiedziała. Cicho i spokojnie, zbyt spokojnie. Jej twarz pozostała nieruchoma.

– A dlaczego mama sądzi, że to było dziecko z gwałtu? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: – W sowchozie już nie. Nie musieli. Same do nich chodziłyśmy. Żołnierze, strażnicy czy konwojenci dawali nam za to chleb. Albo płaszcz. Lepsze buty. Czasami leki.

Na chwilę zapadła cisza. Maria milczała z coraz bardziej zaciśniętym sercem. Może powinna jej pozwolić. Może jak Mirusia się wygada, to więcej do tego nie wróci. Wytrzymam, pomyślała i nabrała głęboko powietrza w płuca. Spojrzała w twarz córki, a Miranda mówiła tak, jakby opowiadała dawno temu obejrzany niemy, czarno-biały film.

– Emil urodził się po chorobie Busi. Potrzebowałam lekarstw dla niej. Przyjechał nawet lekarz z żony i powiedział, że to koklusz.

Przerwała i znowu wypiła łyk kawy. Maria nie była w stanie nic przełknąć. Jej kawa stygła.

– Niestety, na nic się te leki zdały. Przyszły za późno...

Znowu urwała. Jakby czekała na jakieś słowo od matki, jakieś pytanie, komentarz, ale ta milczała jak zaklęta. Miranda podeszła do kuchni, wzięła czajnik i przyniosła go do stołu. Zajrzała do kubka Marii.

– A dlaczego mama nie pije? Niech mama pije, bo zimna będzie niedobra.

Dolała sobie trochę wrzątku do kubka i odstawiła czajnik na płytę. Podłożyła parę szczap do ognia, przegarnęła pogrzebaczem, podeszła do Januszka i sprawdziła, czy nie ma zimnych rączek, bo chłopiec ciągle marzł. Potem wróciła na swoje krzesło i podjęła opowieść. Sprawiała wrażenie, jakby długo czekała na tę chwilę.

– Byłam zdziwiona, że brzuch mi rośnie, bo nie spodziewałam się, że zajdę w ciążę. Najpierw myślałam, że to nerki, że od stania w tej cholernie zimnej wodzie całymi dniami nie wytrzymały mi nerki. Ale to nie była choroba. Splawiałyśmy drewno, stojąc po pas w rzece, kiedy zaczęłam rodzić. Czułam

skurcze od rana, chyba coś poszło nie tak z tego wysiłku. Jak strażnicy zobaczyli wokół mnie krew, pozwolili mi wyjść na brzeg. Urodziłam Emilka dopiero w nocy, poród był ciężki, a nie mogłam krzyczeć, żeby innych w chacie nie obudzić. Rano owinęłam Emilka w chusty na głowę, moją i jeszcze dwóch innych kobiet, i poszłam do pracy. Dałam mu pierś, położyłam go na brzegu i weszłam do rzeki. Była połowa września, wiał przeraźliwie zimny wiatr. Pracowałyśmy z gołymi głowami. Aż do przerwy słuchałam jego kwilenia. Mogłam znowu dać mu jeść dopiero po czterech godzinach. Myślałam, że nie przeżyje tego pierwszego dnia.

Umilkła. Stasiakowa zaciskała zęby i trzymała się za serce, licząc, że to ulży w bólu. Ale słuchała, słuchała uważnie, tak jak się słucha księdza, zadającego pokutę po spowiedzi. Miranda spojrzała na matkę.

– Czy mamie coś jest? Źle się mama czuje? – zapytała ze sztuczną troską. Wręcz groteskową.

– Trochę mnie serce boli – odpowiedziała z westchnieniem Maria.

Mirusia wstała, wyjęła z kredensu kubek. Postawiła czajnik z wodą na ogniu i poszła do sypialni. Po chwili wróciła, zrobiła duży krok nad bawiącym się na podłodze Januszkim. Wsypała do kubka zioła z lnianego woreczka, zalała je wrzątkiem i postawiła napar przed matką.

– Niech mama to wypije i tak się nie emocjonuje. To wszystko już przeszłość. Jak to mama mówi: było, minęło. – Położyła rękę na ramieniu Marii, która poczuła to tak, jakby jej ktoś żywy ogień w tym miejscu przykładał.

Po chwili Miranda zabrała dłoń i usiadła. Mówiła dalej. Wyraźnie podobało jej się to, jak jej słowa działają na matkę, i nie kryła swoich uczuć.

– Nie miałam krwawień już od dawna, więc nie myślałam o ciąży. Żadna z nas nie miała. Pewnie od tej zimnej wody, kiepskiego jedzenia i ciężkiej pracy.

Maria upiła łyk naparu. Gorący napój sparzył jej język, ale nawet tego nie poczuła. Zamknęła oczy i odchyliła się do tyłu, opierając głowę o ścianę.

– A co do gwałtów, to najgorszy był pierwszy raz. Potem już dawało się przeżyć.

– Czy Busia też...? – zapytała cicho matka, z trudnością wydobywając słowa przez zaciśnięte gardło.

– Też, ale tylko parę razy. Najgorzej było w drodze. Babcia Władzia chowała ją pod swoją spódnicę, a babci raczej nie ruszali. Czasami ten zabieg

się udawał. Pamięta mama? Babcia chodziła w takich staromodnych spódnicach na halkach.

Maria milczała. Tym razem zapatrzyła się szeroko otwartymi oczyma w szare niebo za oknem. Oddychała szybko przez otwarte usta i nadal trzymała rękę na mostku.

– Pierwszy raz to było tutaj, w Białymstoku, jeszcze przed odjazdem pociągu. Któregoś dnia przyszło dwóch enkawudzistów i pytali o nas. Wywoływali każdą po nazwisku, Busię, mnie i babcię. Myślałam, że przyszli nas zabrać, że nas uwolnią i wrócimy do domu, więc się zgłosiłam. Powiedziałam, że to my. Zaprowadzili nas do małej, śmierdzącej komórki, a my weszłyśmy tam chętnie, wszystkie trzy. Potem zamknęli za nami drzwi. Było ich pięciu. Tamtych dwóch i jeszcze trzech. Zgwałcili nas wszystkie, mnie, Busię i babcię też. Potem jeszcze wracali dwa czy trzy razy. Później babcia poila nas tym bimbrem, który przyniósł ojciec do baraku, i mniej pamiętałyśmy z całej tej wywózki. Na początku nie rozumialiśmy, po co nam bimber, a potem przydał się i w pociągu, i w pierwszą zimę. Chroniłyśmy go i odmierzałyśmy jak lekarstwo. Błogosławiłyśmy ojca za to, że miał taki pomysł – paplała.

– Pięciu? – jęknęła nagle Maria.

Miranda jakby na chwilę straciła wątek. Łyknęła kawy i ciągnęła swą opowieść.

– Gwałciło nas czterech. A jeden, towarisc komisarz, tylko patrzył. Wyglądał, jakby był chory. Jechał z nami tym samym pociągiem i potem ludzie mówili, że zmarł po paru dniach w drodze. Miał obrzydliwą bliznę na twarzy i nazywał się tak jakoś... Sożnicyn? Sużnicyn?

– Strożnicyn – poprawiła ją Maria.

– O właśnie! Strożnicyn. Dużo mówił o mamie – powiedziała Miranda.

Uśmiechała się; na jej twarzy widać było satysfakcję. Maria zdała sobie sprawę, że córka szczegółowo zaplanowała tę rozmowę. Układała ją sobie w głowie przez długie lata.

– Wyglądało no to, że dobrze mamę zna, proszę mamy.

Milczała wpatrzona w jeden punkt na obrusie. Odwróciła oczy od córki. Nie mogła na nią patrzeć

– Nawet z dość wstydliwymi szczegółami. Pokazał mi też taki dokument, w zasadzie kartkę, były tam napisane nasze nazwiska. Po rosyjsku, ale i tak charakter pisma wydawał mi się znajomy. Imię Busi było poprawiane.

Najpierw zapisane „Busia”, przekreślone i potem już Bogumiła. Tylko w rodzinie nazywaliśmy ją Busią. – Miranda cedziła słowa.

Przyglądała się matce, a plecy Marii przygniatał coraz większy ciężar, opuściła ramiona, głowa jej opadła, a twarz nagle jakby się postarzała. Po chwili zamiast Marii Stasiak siedziała stara, zniszczona kobieta.

– Bogumiła Emilianowna Szamreta, Miranda Emilianowna Szamreta, Jan Józefowicz Szamreta – wyliczała córka – Józef Józefowicz Szamreta, Władysława Mikołajewna Woźniewska.

O tak! Zemsta Stroźnicyna okazała się gorsza, niż Maria mogła sobie wyobrazić.

– Skąd to się wzięło? Czy mama na nas doniosła? Wydała nas? Pytam się, proszę mamy?

– Czy po to wróciłaś? – odparła zdławionym głosem Maria. Ból wezbrał i rozsadzał jej serce. – Żeby mi o tym powiedzieć?

– Wróciłam do rodziny, której nie ma – stwierdziła Miranda. – Do rzeczywistości, której nie znam. Wróciłam i nie wiem, jak żyć. Nie rozumiem z kolei, jak mama mogła i może żyć po tym, co się stało. Załatwiać te swoje sprawy, handlować, śmiać się, plotkować z sąsiadkami. Kiedy my tam... – Głos jej się załamał na chwilę. Przełknęła ślinę. – I nie potrafię znaleźć żadnego wyjaśnienia, jak to się stało, że ten Stroźnicyn znał mamę, i skąd tamta kartka. Przez dziesięć lat próbowałam sobie to wytłumaczyć inaczej niż tym, że mama nas zdradziła. I przez dziesięć lat nie umiałam znaleźć wytłumaczenia, proszę mamy.

Umilkła, a Maria wydała z siebie ni to jęk, ni krzyk. Jakby wydobył się nie z gardła, ale z ponownie pękającego serca. Jednym gwałtownym ruchem ręki zmiotła ze stołu trzy stojące na nim kubki. Potem oparła łokcie na blacie, położyła głowę na dłoniach i zaczęła głośno szlochać.

## ROZDZIAŁ XVI

GRUDZIEŃ 1950

Miranda uważnie obserwowała miasto z okna autobusu. Nie licząc wizyty na cmentarzu, to miała być jej pierwsza dalsza wyprawa z domu. Do tej pory zawsze udawało jej się wykręcić od wyjść do kina czy na niedzielny spacer. Poruszała się jedynie po najbliższych ulicach, chodziła tylko do Ziutka lub Adeli. Nie wystawiła nosa poza dobrze jej znane Bojary. Zdarzało się, że obcy ludzie pozdrawiali ją na ulicy. Niektórzy nawet zatrzymywali się i próbowali ją zagadywać.

– Mirusia! Jak dobrze cię widzieć! – mówiła starsza pani z twarzą po oczy owiniętą wełnianą chustką.

– Dziewczyno, jakim cudem stamtąd wróciłaś? – Przygarbiony mężczyzna w średnim wieku, ubrany w przyciasne palto, z przejęciem kiwał głową.

– Chwała Bogu, że jesteś z powrotem.

– Jak sobie dajesz radę?

– I co teraz zamierzasz? – pytali inni.

Miranda nie lubiła tych spotkań. Nie poznawała ludzi, a widziała, że oni doskonale ją znają. Nie chciała się z nikim zaznajamiać ani zaprzyjaźniać. Nie poznawała ulic, budynków, miasta. Wszystko wydawało jej się obce. Uświadomiła sobie, że czuje się tu tak samo obco jak w syberyjskiej tajdze na początku zesłania. Przyłapała się, że myśli o tym, czy Irtysz już zamarznął i dokąd sięga śnieg. Zamykała oczy i widziała zieleń cedrowych igieł i błękit nieba nad tajgą.

Białostockie zimowe niebo wydawało się szare, ten pierwszy śnieg na ulicach też był szary i Miranda zawisła w szarości. Odczuwała tęsknotę i nie wiedziała, czy to za syberyjską zimą, czy za białostockim dzieciństwem. Utknęła gdzieś pomiędzy życiem tam a życiem tutaj, pomiędzy dzieciństwem a dojrzałością. Zniknęła też złość, którą poczuła pierwszego dnia po

powrocie. Symboliczny pogrzeb ojca nie pomógł jej zakończyć żałoby po nim i pozbawił ją resztek jakiegokolwiek nadziei na odzyskanie rodziny. To było niemożliwe. Miranda nie wiedziała, co ma dalej z tym zrobić. Tamto życie się skończyło, a to nie zaczęło. Wszystko stało się nijakie, niewyraźne. Czuła się tak, jakby utknęła w samym środku śnieżnej burzy. Kiedy nic nie widać nawet na wyciągnięcie ręki, a człowiek już nawet nie wie, gdzie niebo, a gdzie ziemia. Nie słyszy nic poza hukiem wiatru i nie widzi nic poza bielą.

Siedziała w ciepłym, pachnącym nowością autobusie. Miękkie siedzenie ze skaju skrzypiało przyjemnie przy każdym ruchu. Przez zaporowane od ludzkich oddechów szyby patrzyła na mijane szare budynki, wielu z nich nie rozpoznając. Niektóre nadal były w budowie, inne wyglądały na dopiero co postawione. Pomiędzy nimi stały ruiny, jeszcze z czasów wojny. Straszły powybijanymi oknami, zniszczonymi ścianami i zapadniętymi dachami. Miranda nie poznawała miasta. Ulice Pałacowa i Branickiego wyglądały zupełnie inaczej. Tego pawilonu na rogu Pałacowej nigdy wcześniej nie było, a tam dalej powinna stać okazała kamienica.

Obok Mirandy siedziała matka. Przykazała córce ładnie się ubrać, oddała jej nawet swoją chustkę na głowę. Maria Stasiak włożyła rudy futrzany kołnierz do jesionki, do tego mały kapelusik, pończochy i eleganckie półbuty do kostki, na słupek. Stroju dopełniała kolorowa apaszka pod szyją, bordowe rękawiczki z miękkiej skóry i podobna do nich torebka z błyszczącym zamkiem. Policzki Marii opadły niemal do ramion od nadmiaru pudru.

Miranda musiała jednak przyznać, że w porównaniu z innymi pasażerkami autobusu jej matka wyglądała bardzo elegancko, wręcz szykownie, i zwracała na siebie uwagę. Ona przy Marii mogła uchodzić za ubogą krewną. Albo przypadkową osobę, która usiadła na wolnym miejscu. I tak się czuła, jak przypadkowa osoba w przypadkowym miejscu, gdzieś pomiędzy światami. Bez własnego życia, bez przyszłości, bez domu i rodziny.

Matka i córka miały ze sobą dwie duże, wypchane płócienne torby na ramię. Mimo że pozawijały wszystko kilkakrotnie w gazety, to i tak unosił się wokół nich zapach świeżych wędlin. Nawet woda toaletowa Marii nie pomogła. Wsiadły na przystanku przy rogu Świętojańskiej i Mickiewicza i poszły pod budynek, który Mirusia dobrze pamiętała.

– Przyjechaliśmy do Izby Skarbowej? – zdziwiła się córka, widząc znany gmach.

– Była tu Izba Skarbowa, ale przed wojną – odparła Maria.

Miranda już miała zapytać, co jest teraz, ale Maria przyspieszyła kroku i dziewczynie nie pozostało nic innego, jak podążyć za matką w stronę wejścia do budynku. Zaraz w wielkim holu po prawej stała drewniana ławka.

– Siądź tutaj i czekaj na mnie – przykazała Stasiakowa, zabrała jedną z toreb i poszła w głąb budynku.

Miranda usiadła więc i czekała. Na ścianie naprzeciwko niej znajdowała się duża tablica ogłoszeń. Mimo woli czytała poprzyklejane kartki i plakaty. Sprawiało jej to trudność, gdyż pozapominała wielu polskich słów i liter. Zajęła się ćwiczeniem w czytaniu, i tak nie miała nic innego do roboty.

„Pabieda, w dobrym stanie, idealna na taksówkę, telefon 45-18”.

„Polski Komitet Obrońców Pokoju w całym kraju zbiera dary dla dzieci koreańskich. Mile widziane ubrania, zabawki, przybory szkolne. Do darów można dołączać listy dzieci dla koreańskich kolegów”.

„Jesteś przodownikiem? Przyjdź na kurs dla wykładowców do Centralnego Ośrodka Szkolenia Partyjnego”.

„Cały naród wypowieda wojnę kułackim spekulantom i mieszczańskim oszustom” – obwieszczał duży plakat, gdzie na czerwonym tle kwadratowe sylwetki mężczyzny i kobiety, ubranych w identyczne szare mundury, wskazywały palcem na zamazaną ciemną postać w płaszczu z postawionym kołnierzem, w kapeluszu na głowie i z dużą walizką w ręce.

Kinoteatr Ton zapraszał na balet *Pan Twardowski*.

Kiedy Miranda poznała już treść ogłoszeń i obwieszczeń, zaczęła się przyglądać ludziom, kręcącym się po korytarzu. Przespacerowała się w jedną i drugą stronę, czytając tabliczki na drzwiach, tam, gdzie zdołała je znaleźć. Gdy po trzydziestu minutach matka wróciła, już bez pachnącej wędliną torby, dziewczyna miała pewność, co to za miejsce.

– Przynosi mama wałówkę do NKWD? – zapytała, kiedy Maria do niej podeszła.

Twarz Stasiakowej momentalnie poczerwieniała.

– Cicho, dziewczyno – syknęła do córki, chwyciła ją za łokieć i pociągnęła do wyjścia. Miranda stawiała opór.

– Proszę mamy?

Maria ścisnęła mocniej ramię córki i szarpnęła ją za sobą. Była silniejsza i udało jej się wyprowadzić Mirandę na zewnątrz budynku.

– Auu! – zaprotestowała dziewczyna.

Maria skrzyła w prawo i ruszyła w dół Mickiewicza. Wypuściła jej ramię

dopiero za rogiem budynku.

– Co ty wyprawiasz? – zawołała.

– Chodzi mama do NKWD?

– To nie jest NKWD – odpowiedziała Stasiakowa i poszła szybkim krokiem w dół ulicą.

Mirusia podążyła za nią. Z jej ust sączyły się słowa trujące niczym jad.

– Zapisła się mama do partii komunistycznej, proszę mamy? Kolaboruje mama z nimi? Donosi? Tylko kiełbasę czy może coś jeszcze mama im donosi?

Maria szła przed siebie. Szła, nie oglądając się na córkę. Nie skuliła się, nie chowała głowy w ramionach. Maszerowała szybko, wyprostowana, a dwa małe kwiatki na otoku kapelusza podskakiwały dumnie w rytm wybijany przez obcasy na płytach chodnika.

– Kim mama jest? – perorowała nadal córka, idąc pół kroku za nią, a raczej biegnąc.

Trudno jej było dotrzymać tempa matce, tak rzadko chodziła gdziekolwiek dalej, że zaraz łapała ją zadyszka. Zaczęły ją też boleć nieprzywykłe do marszu nogi.

– Cicho bądź – warknęła matka. – Ktoś może usłyszeć. – I jeszcze przyspieszyła kroku.

Wyszły zza zakrętu Mickiewicza, minęły ostatnie drzewa zasłaniające widok i nagle Miranda stanęła z jękiem.

Maria zatrzymała się i popatrzyła na córkę. Nic nie powiedziała, tylko znowu pociągnęła ją za sobą, mocno ściskając za łokieć. W milczeniu podeszły do kościoła farnego i wspięły się na wysokie schody. Młoda kobieta stała jak zaczarowana. Rozglądała się dookoła, a na jej twarzy widać było przerażenie. Dopiero teraz zauważyła ogrom zniszczeń.

Po lewej stronie katedry, na ulicy Kilińskiego, sterczały pozostałości paru kamienic, jak resztki połamanych, szerniałych zębów w ustach staruszki. Pałacyk Gościnny zapewne ucierpiał od pożaru i w niczym nie przypominał tego sprzed wojny. Nie było śladu po restauracji Savoy. Okazały budynek hotelu Ritz nie istniał. Nie pozostał nawet kawałek okopconej ściany. Nic. Stara Loża Masońska wyglądała na opustoszałą ruinę.

– Poczekaj tu na mnie.

Maria odebrała od córki drugą torbę z wędlinami i ruszyła w dół po schodach w stronę plebanii. Zostawiła córkę samą, zaskoczoną tym, co miała przed oczami.



Miranda rozglądała się wokół, zasłaniając ręką usta. Fasada stojącego w oddaleniu pałacu Branickich była zrujnowana, z klasztoru szarytek pozostały tylko osmalone dymem mury. Miranda spojrzała w stronę rynku; widok był jeszcze bardziej opłakany. Budynek zbrojowni Jana Klemensa Branickiego, zwany niegdyś Odwachem, nie miał dachu i sprawiał wrażenie, jakby jego odarte z tynku ściany stały tylko dzięki podpierającym je deskom i rusztowaniom. Ruiną okazała się także kamienica na rogu Sienkiewicza, gdzie kiedyś znajdowała się najlepsza w mieście apteka.

Dalej było jeszcze gorzej. Brakowało kamienic i ratusza na Rynku Kościuszki. Nie zostało po nim śladu, nawet kupki cegieł. Tylko pusty, zagrabiony plac. Z wysokości schodów widziała, że tam, gdzie dawniej tętniła życiem żydowska dzielnica Chanajki, teraz jest rumowisko i śmietnik. Gdzieś w oddali rosły nowe budynki, gdzieniegdzie ogrodzone płotem.

Na końcu szerokiej ulicy Lipowej w lekkiej mgłę majaczyła olbrzymia, bielejąca bryła kościoła Świętego Rocha. Tym bardziej majestatyczna, im bardziej opustoszałe było jej otoczenie. Nawet stare lipy zniknęły z ulicy Lipowej. Na ich miejsce posadzono małe, wiotkie drzewka. To nie było miasto, które Miranda zapamiętała. Wszystko było nie tak. Usiadła na najwyższym stopniu. Nie czuła zimna od kamienia, nie czuła porywistego wiatru, który dmuchał mocno w nieosłonięte sąsiednimi budynkami schody katedry.

– No dobra, załatwione, możemy iść – usłyszała nagle obok siebie głos matki.

Odwróciła się. Na twarzy Marii jaśniał typowy dla niej uśmiech. Zgasł, kiedy zobaczyła minę córki.

– Co tu się stało? – zapytała Miranda drżącym głosem.

Matka zamachała rękoma.

– Co się stało, co się stało – powtórzyła. – Wojna się stała. Chodź, pójdziemy na kawę i ciastko na Sienkiewicza, największe, jakie nam się zamarzy – zaproponowała.

Jednak Miranda nadal siedziała, nie ruszyła się z miejsca. Maria popatrzyła na córkę.

– Tam była kamienica Schoemanna.

Stasiakowa pociągnęła nosem z zimna i podeszła bliżej, usiadła obok niej i wyciągnęła z torebki paczkę cameli. Poczęstowała Mirusię. Siedziały tak obok siebie na stopniach, paląc papierosy.

– Nie ma ani kamienicy Schoemannów, Cytrona, ani Frenkiela. Nie ma Ritza, Wielkiej Synagogi ani Chanajek – wyliczała Maria.

Obie spoglądały przed siebie, w stronę plant przy pałacu Branickich. W końcu Miranda odwróciła wzrok, jakby nie mogła patrzeć na puste miejsca i zniszczone domy.

– A co się z nimi stało? – zapytała.

– Zburzone, spalone.

Dziewczyna przełknęła ślinę.

– Nie pytam o budynki.

Maria zaciągnęła się papierosem i głośno wypuściła dym. Wydawało się, że zastygł w mroźnym powietrzu.

– No dobrze, obiecałam, że ci opowiem, więc miejmy to za sobą. Niewiele wam mówili o tym, co tu się działo, co? – spytała, zwracając głowę w stronę córki.

– Coś tam mówili – odrzekła Miranda, patrząc przed siebie.

– Tak, tak, wspomniałaś. – Maria upuściła niedopałek na stopień i przydeptała czubkiem buta. – Coś tam mówili.

Wyciągnęła kolejnego papierosa z paczki, przypaliła zapalniczką i podała córce. Ta odmówiła ruchem głowy. Nieliczni przechodnie spoglądali ze zdziwieniem na dwie kobiety siedzące w taki ziąb na kamiennych schodach.

– Co się stało z tymi ludźmi? Co z Izaakiem Kapłanem, z Sarą, co z rodziną Schwarzenbergów? A rabbi Rozenman? Żyje jeszcze? Gdzie oni są?

Maria strząsnęła popiół z papierosa.

– Wszyscy zostali wymordowani.

– Jak to, wymordowani? – Mirusia nie rozumiała.

Maria popatrzyła na córkę.

– Nie słyszałaś o obozach koncentracyjnych? O gettach żydowskich? Nie mówili wam o likwidacji ludności żydowskiej?

– Coś tam mówili – szepnęła Miranda – ale nie słuchaliśmy, myśleliśmy, że to sowiecka propaganda, że nas okłamują. Opowiadali straszne rzeczy o Niemcach, tłumaczyli, że oni, Sowieci, nie są tacy najgorsi. Gadali, jak to nam dobrze w ich łagrach i kołchozach.

– I tu, niestety, mieli rację. – Maria przysunęła się bliżej, Miranda nie odsunęła się od niej. Potrzebowała teraz ciepła i energii matczynego ciała. – Myślałaś, że to, co was spotkało, było najgorsze?

– No cóż, zawsze mogliśmy jeszcze trafić do kopalni – odparła z przekąsem

Miranda. – Często nam to powtarzali.

Maria zaciągnęła się znowu i długo trzymała dym w płucach. Córka czekała w milczeniu.

– W czterdziestym pierwszym – zaczęła opowiadać matka – jak Niemcy wkroczyli do miasta, to zaraz spędzili Żydów do Wielkiej Synagogi. Kogo tylko udało im się złapać na ulicy. Niektórzy mówią, że mogło ich tam być i tysiąc. Zamknęli wrota i podpalili synagogę. Krzyki słychać było u nas na Bojarach.

Maria mówiła cichym, spokojnym głosem, a Miranda słuchała w milczeniu. Od czasu do czasu drżały jej ręce. Sama nie wiedziała, czy z zimna, czy też z innego powodu.

– Potem już było tylko coraz gorzej. Strzelali do nich na ulicach i placach, a wreszcie utworzyli getto. Zamknęli pół miasta – Maria wyciągnęła rękę w prawo, zataczając okrąg – o tam, pomiędzy Sienkiewicza, Poleską, aż tu, po Lipową. Tam przesiedlili Żydów. Kazali im pracować i głodzili. Nikt nie przeżył. Umierali w getcie, na ulicy lub zostali wywiezieni do obozu w Treblince, Majdanku albo jeszcze dalej. Wszelki słuch o nich zagaął.

Umilkła na chwilę. Miranda nagle dostała dreszczy. Nie była w stanie zrozumieć tego, co mówi matka. Słuchała, ale jeszcze to do niej nie dochodziło.

– Masz, usiądź na tym. – Maria podała jej dwie płócienne torby, złożone w kostkę, które wyjęła z kieszeni jesionki.

Torby przesiąkły tłuszczem z kiełbasy. Miranda wsunęła je pod pośladki i usiadła na powrót, opierając głowę o ramię matki. Nie z miłości: potrzebowała wsparcia, żeby nie upaść. Oddychała z trudem.

– Z naszymi też tak robili? – zapytała po chwili.

– W czterdziestym drugim i czterdziestym trzecim zaczęła się nagonka na inteligencję białostocką. Niemcy brali każdego, mężczyzn, kobiety i dzieci. Kogo wcześniej nie wywieźli Sowieci, ten dostawał się w ręce gestapo. Najpierw aresztowania i tortury, potem wywozili ich dziesiątkami do lasu, w okolice Bacieczek, Grabówki czy w inne, Bóg jeden wie jakie, miejsca i tam rozstrzeliwali. – Maria zrobiła krótką przerwę. Mirusia nic nie mówiła, nawet się nie poruszyła. – Pressowie, sędzia Kownacki z Koszykowej, Kościukowie, przyjaciel ojca, Zygmunt, z żoną, nauczyciele z twojego gimnazjum, harcerze, urzędnicy. Zdarzało się, że ginęły całe rodziny. Mało kto przeżył z naszych dawnych znajomych.

Na schodach znowu zapadła cisza. Mirusia czuła się bardzo zmęczona. Miała już dość. Wystarczająco dużo się dowiedziała. Jeszcze jedno tylko pytanie cisnęło jej się na usta. Jedno jedyne. Od dawna to samo, nieustannie.

– To jak to się stało, proszę mamy, że wy się ostaliście? Przecież tata przeżył aż do czterdziestego czwartego i zginął od zabłąkanej bomby. Adela, Gienia, Ziutek także mają się dobrze. Jak to się stało, że wy przetrwaliście? Dlaczego nikogo z naszej rodziny nie rozstrzelali?

Maria wypuściła ustami dym i obserwowała jego taniec w powietrzu. Wzruszyła ramionami.

– Mieliśmy szczęście i tyle. Mieszkał u nas na Słonimskiej oficer niemiecki – dodała po chwili. – Pojawił się zaraz po wejściu Niemców do miasta. Kapitan Alfons Schmidt. Był bardzo ważnym, wysoko postawionym funkcjonariuszem w służbie bezpieczeństwa, *Sicherheitsdienst*. Gotowałam mu, prałam, sprzątałam i pielęgnowałam go, kiedy był chory. Przeprowadzałam mu prostytutki, kiedy mi polecił. On się za nami wstawił.

Mirusia siedziała w milczeniu. Nie miała więcej pytań do matki. Nie odczuwała już płynącego od niej ciepła. Wzdrygnęła się. Chciała wstać, ale nie mogła. Skostniała z zimna, przemarznięte członki odmówiły posłuszeństwa. Skuliła się tylko pod płaszczem. Nieoczekiwanie Maria znowu zaczęła mówić.

– Tak, kolaborowałam. Zgadza się. Najpierw z Sowietami, potem z Niemcami, a teraz z bezpieką – oświadczyła twardo. – Chodzę i do oficerów esbecji, i do sekretarza partii, do biskupa i do księdza proboszcza. Załatwiam ludziom różne sprawy. Dzięki temu przetrwaliśmy wojnę. I ja, i ojciec, i reszta rodziny. Jestem spekulantką i kolaborantką. Jak ktoś chce, to może mnie tak nazywać. Ale nigdy na nikogo nie doniosłam. Na was też nie. Zawsze zależało mi tylko na dobru moich dzieci. Zawsze – powtórzyła dobitnie i zgasiła butem niedopałek papierosa. Chwyliła córkę za rękę, a Mirusia nie wyrwała dłoni z uścisku.

– Wtedy, w czterdziestym roku, zrobiłam wszystko, co tylko było w ludzkiej mocy, aby was wydostać.

– I to się mamie nie udało – stwierdziła Miranda.

– Nie udało się, niestety. Chyba żaden człowiek nie miał takiej mocy – odpowiedziała stanowczo Maria. – Nie wiem, czy mi wierzysz, czy nie. Nie wiem, co wiesz, nie wiem, co sobie dopowiedziałaś czy wymyśliłaś. Mirusia! – Wzięła ją za rękę. – Jestem twoją matką, a ty moją córką i nic tego nie zmieni. Co było, to było, teraz musimy zadbać o siebie i Januszka. Trzeba

dalej żyć, budzić się co rano, wstawać, pracować i troszczyć się o rodzinę. Tylko tyle.

– Ale Stroźnicyn... – zaczęła Miranda, lecz matka jej przerwała.

– Stroźnicyn to największa pomyłka mojego życia, rozumiesz? – krzyknęła, zaciskając palce na dłoni córki. – Zrobiłam źle, najgorzej. – Mówiła zduszonym głosem, jakby przyznanie się do tego przychodziło jej z trudem. – Zaufałam mu. Wtedy postawiłam wszystko na jedną kartę, dla dobra moich dzieci, wszystko! Na Stroźnicyna. I poniosłam porażkę. Największą w życiu.

– Ta mamy porażka kosztowała nas bardzo wiele.

Maria zeszywniała.

– Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? Czy nie chcesz zrozumieć? Nie było takiej siły, nie było żadnej możliwości, żeby was z tego wyciągnąć. Powiedz, czy kiedykolwiek słyszałaś o tym, żeby udało się kogoś ocalić przed zsyłką? Słyszałaś?

Miranda milczała.

– Czy ty myślisz, że tam – Maria wskazała brodą w stronę ruin – nie było takich, co próbowali uchronić swoje rodziny przed losem, jaki je spotkał? Myślisz, że nie próbowano uratować rabiego Rozenmana? To był święty człowiek. Nikt nie zdołał go uchronić przed śmiercią. A inni? Chcesz, to kiedyś ci opowiem, jak ludzie próbowali ratować swoich bliskich. Do czego byli zdolni! Jedna kartka i jedno spotkanie ze Stroźnicynem to nic. Nie na takie upodlenia ludzie się godzili i nie udawało im się nic zdziałać!

– Może za mało się mama starała – spróbowała jeszcze Miranda, chociaż zabrakło jej już argumentów. Jeszcze walczyła sama ze sobą. Nie wiedziała, co ma myśleć.

– Mirusia – matka ścisnęła jej rękę tak, że zaczęły boleć pozbawione krwi palce – trzeba iść dalej, zapomnieć, przebaczyć, tak jak inni, i żyć dalej!

– Tylko jak mam żyć? – odparła dziewczyna.

Co mam zrobić z tym życiem? – pytała samą siebie. Czy jeszcze w ogóle potrafię normalnie żyć? Nie powiedziała nic i nie patrzyła na matkę. Blizny na twarzy zbiegły z zimna.

– Chodź, idziemy – powiedziała matka. – Późno już i zimno. Januszek na nas czeka. Słyszysz? Dla Januszka trzeba żyć, tylko tyle albo aż tyle. – Podniosła się i pomogła wstać córce.

Miranda spojrzała jeszcze w górę na bryłę kościoła. Na pnące się w górę niemal do nieba wieże. Proste i tak wysokie jak najwyższe świerki w tajdze.

Po chwili opuściła głowę i zatrzymała wzrok na twarzy matki.

– A do cerkwi mama nie pójdzie? – zapytała nagle, zmieniając temat.

Maria się uśmiechnęła.

– Pewnie, że pójdę, a jakże, piątego stycznia, przed ich Wigilią.

Potem w milczeniu poszły Sienkiewicza w dół. Przy Jurowieckiej złapały taksówkę. Ulica Sienkiewicza nie nazywała się już Sienkiewicza, tylko 1 Maja. Nie wstąpiły już na kawę i ciastko. Największe, jakie mogło im się zamarzyć.

## ROZDZIAŁ XVII

### GRUDZIEŃ, BOŻE NARODZENIE 1950

Boże Narodzenie minęło Mirandzie zbyt wolno. To, co zawsze było największym świętem w rodzinie, chwilami beztroskiego szczęścia, okazało się męczarnią dla kogoś, kto wrócił do domu z zesłania. Użyła wszystkich sił, jakie tylko miała, aby nie dać poznać rodzinie, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Widziała i doceniała ich starania, wiedziała, jak wiele dla niej robią. Jednak te święta były tak inne, tak różne od tych, które pamiętała z dawnych lat.

Najbardziej męczyła ją nachalna obecność matki. Wszędzie było jej pełno, a cała rodzina traktowała Marię Stasiak z nabożnym szacunkiem, czego jej córka zupełnie nie umiała sobie wytłumaczyć. Okazało się, że matka i mąż Gieni, wysoko postawiony komunista, są najważniejszymi osobami w rodzinie. To oni zasiadali u szczytu stołu wigilijnego, to u nich odbywały się święta, to o ich względy zabiegano.

Miranda ze wszystkich sił starała się nie dać po sobie poznać, co się z nią dzieje. Robiła to dla Ziutka, Adeli i Gieni. Pierwszego dnia świąt nie wytrzymała jednak napięcia, jakie w niej narosło. Nieomal zemdląła podczas rodzinnego obiadu. Nie wiedziała, czy to z przemęczenia po świątecznych przygotowaniach, czy z nadmiaru duszonej złości.

Cała rodzina zebrała się w domu na Przygodnej. Ziutek z rodziną, Gienia z mężem i Adela z narzeczonym. Na dodatek dołączyła do nich siostra Oli, jej mąż i synek. Dom był pełen ludzi. Kobiety krzątały się pomiędzy kuchnią a stołem, mężczyźni rozmawiali o polityce i innych bieżących sprawach.

– W naszym zakładzie wykonaliśmy czterysta procent normy. Przyszedł do nas jeden facet z komitetu wojewódzkiego i obiecywał podwyżki – pochwalił się Kazik, narzeczoną młodszą z sióstr Szamretówien.

– Czterysta procent? Ty chyba żartujesz. Przecież to za mało, żeby wykonać plan sześćioletni! – oburzył się Władek Iwanowicz, mąż Genowefy. – Ludzie,

musimy się bardziej przyłożyć.

– No tak, czterysta procent to zdecydowanie mało – powiedział Ziutek, a w jego głosie pobrzmiwała kpina.

Władek spojrzał na niego groźnie. Wydał gładko wygolone policzki.

– A ty, szwagier, to przypadkiem nie pracujesz w miejskim przedsiębiorstwie? – zadał pytanie i zaraz sam sobie odpowiedział: – Pracujesz, a jakże, na ciepłej posadce. Ile tam wyciągacie pensji? Cztery, pięć tysięcy? Ja na waszym miejscu nie narzekałbym na plan sześćoletni. Dzięki niemu będziecie mieli co robić.

– A co wy sobie tak będziecie teraz pensje wypominać? – wtrąciła się Maria. Usłyszała, że rozmowa zesłała na niewłaściwe tory, i podeszła do stołu. – Lepiej powiedzcie, jak smakuje baleronik.

– Ach, Maryśka! – zawołał Władek i przyciągnął ją do siebie, opierając łysiejące czoło o jej biodro. – Jak ty to robisz, kobieto! Skąd ty takie cuda i pyszności bierzesz?

– Jakoś trzeba sobie radzić – powiedziała ze śmiechem, odsuwając się od niego.

– Twoje zdrowie! – zawołał i wszyscy przy stole podnieśli kieliszki w toaście.

– Zdrowie Maryśki! Zdrowie! – rozległo się wokoło.

Maria usiadła i też wypła nalewkę do dna. Znad kredensu patrzył na nich Emil Szamreta. Tylko z okazji świąt i po długich prośbach córki Maria zgodziła się zawiesić portret męża na ścianie. Nagle Ziutek zaintonował popularną piosenkę i po chwili wszyscy zaczęli śpiewać najgłośniej, jak mogli:

*Teraz jest wojna,  
Kto handluje, ten żyje.  
Jak sprzedam rąbankę, słoninę, kaszanekę,  
To bimbru się też napiję.*

*Na dworze jest mrok,  
W pociągu jest tłok,  
Zaczyna się więc sielanka.  
On objął ją wpół,*



*Ona gruba jak wół,  
Pod paltem schowana rąbanka.*

Kiedyś śpiewało się kolędy, pomyślała Miranda ze zgrozą i oburzeniem.

Dwie małe dziewczynki, córki Ziotka i Oli, ganiały wokół gości, podskakując w rytm melodii. Od czasu do czasu popychały Januszka, który mimo szczerych chęci nie był w stanie z nimi biegać. Wspólny śpiew zakończył się oklaskami, gromkim śmiechem i kolejnym toastem.

W domu panował rejwach, dzieci piszczały, Januszek zawodził swoje „auuuuullłeee” coraz głośniej. Z każdym wypitym kieliszkiem nalewki rozmowa mężczyzn stawała się coraz bardziej burzliwa. Z każdym wypalonym papierosem powietrze gęstniało. Nic nie pomogło uchylone okno. Poza tym Oleńka zaraz zaczęła krzyczeć, żeby je zamknąć, bo dziewczynki się przeziębą. Mirusia miała wrażenie, że pozostałe resztki tlenu zabierają kopcające świece, umieszczone w olbrzymim mosiężnym świeczniku. Sześć misternie wykutych ramion zdawało się obejmować pięknego orła w koronie, który dumnie prężył pierś na środku.

Podobno od lat już trwała kłótnia pomiędzy członkami rodziny, czy należy usunąć koronę, czy też nie. Adela ze śmiechem opowiadała Mirandzie, jak to trzy lata temu Ziotek i Władek omal się nie pobili. Sprawę rozsądziła Maryśka, a jej nikt nie chciał się sprzeciwić.

– Korona zostaje – zawyrokowała.

Dym papierosowy, zapach kobiecych perfum, naftaliny i płonących świec, a do tego mieszanka różnych woni jedzenia. Mięsa natarte tymiankiem, wędliny i kiełbasy, do których nie żałowano czosnku, pieczone kurze udka, śledzie z cebulą, gorzkie migdały z kutii – tego wszystkiego było dla Mirandy za dużo. Kiedy wchodziła do pokoju, niosąc z kuchni kolejny dzbanek kompotu, wciągnęła ciężkie powietrze i nogi się pod nią ugięły. Wyglądało to tak, jakby spłynęła w dół niczym śnieg z dachu podczas wiosennej odwilży. Dzbanek uderzył o podłogę, kompot rozlał się na chodnik.

Podbiegły do niej kobiety. Mężczyźni odwrócili głowy i umilkli. Dzieci schowały się za tapczanem.

– Mirusia! Co z tobą?

– Odsuńcie się! Dajcie jej odдыchać!

– Przemęczyła się, biedaczka!

– Chłopaki, zanieście ją do łóżka.

Przekrzykiwano się wzajemnie, starając się pomóc. Pierwszy zerwał się Ziutek. Bez wysiłku dźwignął zemdloną bratanicę z podłogi i zaniósł do sypialni. Nadal była lekka jak piórko. Czuł pod palcami każdą jej kosteczkę.

Położyli Mirusię na łóżku, otulili ją kocem, uchylili okno, podali wodę, spytali, czy czegoś nie potrzebuje. Dostała jeszcze kilka całusów w czoło i policzek, ktoś ją kilka razy pogładził po twarzy i w końcu została sama. Tylko od czasu do czasu Adela zaglądała do pokoju, ale dziewczyna udawała, że śpi.

Nie mogła jednak zasnąć. Była przerażona, widząc, jak bardzo jej trudno porozumieć się z nimi wszystkimi. Chociaż minęło już parę miesięcy, nadal nie umiała się odnaleźć. W porównaniu z innymi młodymi kobietami była powolna i niezdarna. Twarz miała starą i brzydką, w dodatku oszpeconą bliznami po odmrożeniach, które nie chciały zniknąć. Do tego włosy szare i nijakie, ręce powykręcane, obolałe, a całe ciało przeraźliwie chude.

Nie tak to sobie wyobrażała. Myślała, że jak już będzie w domu, to wszystko wróci do poprzedniego stanu, jej wygląd również. Okazało się wszakże, że jest nadal zniszczoną, osłabioną kobietą, zniedołężniałą i przedwcześnie postarzałą. Tam, na zesłaniu, nie zdawała sobie sprawy z tego, jak się prezentuje, wszystkie kobiety wydawały się takie same. Dopiero tutaj poznała gorzką prawdę.

Na domiar złego okazało się, że nie ma wspólnych tematów z rodziną. Nie rozumiała, o czym tamci mówią przy stole. Nie znała się na polityce. Znała się jedynie na ziołach i potrafiła ugotować zupę z niczego albo się ubrać, właściwie nie mając żadnego ubrania. Wiedziała, jak się chronić przed odmrożeniami i jak leczyć biegunkę. Mało ciekawe tematy na świąteczne spotkania...Znowu zatęskniła za Syberią, za znanym jej światem, przestrzenią, czystym, ostrym powietrzem. Znowu pojawiły się wątpliwości, czy dobrze zrobiła, wracając do Białegostoku. Może trzeba było posłuchać Cheńców, którzy ją namawiali, żeby u nich została. Doceniali jej talent leczenia chorych i szanowali ją, a tuż przed jej wyjazdem traktowali Mirandę prawie jak swoją.

Tradycją rodzinną było, że pomiędzy świętami a Nowym Rokiem odwiedzano bliższych i dalszych krewnych, wymieniano się prezentami i smakołykami. Mirandzie zostało to oszczędzone i była z tego powodu bardzo zadowolona. Za to matka czuła się w swoim żywiole. Miranda patrzyła, z jakim zapałem Maria codziennie się szykowała, wybierając bluzki,

przymierzając spódniczki.

– Jak myślisz, ten żabot nie będzie zbyt nachalny? – pytała córkę, stojąc przed lustrem w drzwiach szafy w sypialni dzieci.

Miała na sobie wąską wełnianą spódniczkę z szerokim paskiem w talii, do tego białą bluzkę z żorzety z wysoką stójką. Bufiaste ramiona i falbany żabotu podkreślały szczupłą talię matki.

– Ja tam się nie znam na modzie, proszę mamy – odpowiedziała Mirusia.

– Nieee, chyba zbyt swobodnie. Ten żabot się nie nadaje – uznała Maria i zniknęła w drugim pokoju.

Po chwili wróciła w prostej sukience z szarej wełenki. Zapięta pod samą szyję, za jedyną ozdobę miała szeroki, miękki kołnierz obszyty białą, koronkową falbanką.

– O! Tak będzie lepiej – powiedziała bardziej sama do siebie niż do córki, przeglądając się w lustrze. – Skromnie, ale z gustem.

Tym razem Miranda nic nie powiedziała. Matka spojrzała na nią pytająco.

– A wam nie będzie przykro tak tu siedzieć, jak pójde sama do Łozińskich?

– O nie, nie, damy sobie radę – odpowiedziała z zapalem dziewczyna. – Niech mama idzie i dobrze się bawi.

Maria podeszła i cmoknęła w głowę Januszka siedzącego obok Mirusi na łóżku, a potem córkę. Jak zawsze Mirandę sparzył ten pocałunek. Matka jeszcze raz podeszła do lustra na drzwiach szafy, obejrzała się ze wszystkich stron i już prawie wychodziła, gdy nagle obróciła się w drzwiach pokoju.

– Na kuchni macie zupę, a w sieni upieczony schab.

– Wiem, proszę mamy.

– A na stole zostawiłam ci wczorajsze gazety, „Trybunę Ludu” i jeszcze „Film”.

Mirusia podniosła na nią zdziwione oczy.

– Poczytaj trochę, zainteresuj się, przecież musisz wiedzieć, co się na świecie dzieje, co nie? – zawołała Maria i skierowała się do drzwi.

– Nie jestem zainteresowana – burknęła Miranda, ale matka już tego nie słyszała.

Po paru sekundach trzasnęły drzwi do sieni i w mieszkaniu zapadła cisza.

– A może ja nie jestem zainteresowana tym, co się na świecie dzieje? Co, Januszek? – powiedziała Mirusia. Powoli wstała z łóżka i ściągnęła brata.

Zabrała go do kuchni, posadziła na podłodze. Wstawiła wodę w czajniku i podeszła do stołu, gdzie leżały gazety. Wzięła jedną do ręki.

– „Wymiana doświadczeń jest nowym podejściem do komunistycznej pracy”  
– przeczytała głośno. – „Na progu planu sześcioletniego będziemy pracowali nie zrywami, tylko codzienną pracą”. Januszek, ty słyszysz, co za bzdury? – zwróciła się do chłopca. – I my mamy to czytać?

– Aaaałłeee – odrzekł chłopiec.

– „Sukcesy stołecznej milicji w walce z paserami, spekulantami i czarnym rynkiem”. Januszek, a ty wiesz, kto to spekulant? – Miranda przypomniała sobie, że słowo to padło w rozmowie z matką.

– Błę, błę, błeeee – wyjaśnił młodszy brat starszej siostrze.

Pokiwała głową i wstała, żeby zalać herbatę. Potem z parującym kubkiem i dymiącym papierosem w ręku znowu usiadła przy stole i zagłębiła się w lekturze. W końcu coś ją zaciekało – artykuł o czarnym rynku i podlaskich kułakach, którzy nie chcieli oddawać mięsa i zboża do skupu.

\*\*\*

W Nowy Rok Maria wstała późno. Wróciła nad ranem po całonocnej zabawie sylwestrowej z obcymi ludźmi – tylko tyle Mirusia wiedziała. Nie miała pojęcia ani z kim, ani gdzie matka spędziła tę noc. Z pewnością z nikim z rodziny.

Długo snuła się ze skwaszoną miną i zmrużonymi oczyma po domu, ciągle trzymając się za głowę. Piła dużo wody, potem zjadła resztę świątecznego bigosu, wypila dwa kieliszki nalewki i dopiero wtedy poczuła się lepiej.

Poprzedniego dnia, żeby uprzyjemnić sylwestrową noc córce i synowi, Maria przytąszczyła do domu wielkie pudło owinięte kraciastym kocem. Z typową dla siebie zadowoloną miną postawiła je na stole i teatralnym gestem zdjęła przykrycie. Stało przed nimi duże radio w drewnianej obudowie. Nie zrobiło jednak żadnego wrażenia na Mirandzie, co wyraźnie rozczarowało matkę.

– No wiesz, nie podoba ci się? Jest cudne! A jak gra!

– Nie chcę wiedzieć, jak gra, boli mnie głowa – odburknęła córka.

Matka tylko machnęła rękoma i poszła sobie, pozostawiając radio na stole. I tak stało aż do noworocznego wieczoru. Miranda z Januszkiem właśnie skończyli kolację, kiedy Maria weszła do kuchni.

– Długo mama spała – zauważyła dziewczyna.

– Oj, tak, potrzebowałam tego, teraz czuję się jak nowo narodzona. Dobry wieczór, mały ptaszku! – zawołała do Januszka, a ten zagruchał radośnie i wyciągnął do niej rączki. Maria podniosła go i przytuliła.

– Zrobić mamie kolację?

– Nakrój mi trochę szynki – odpowiedziała. – I co? To radio dalej tak stoi? Nie podłączyliście go do tej pory?

Dała synkowi gorącego całusa i posadziła Januszka na podłodze, a sama pochyliła się nad radiem. Chłopczyk uczeplił się nogi od stołu i dźwignął do góry, zerkając, czym się zajmuje matka. Maria przekręciła aluminiową gałkę. Czekala, ale nic się nie wydarzyło. Miranda kroila wędlinę i przyglądała się radiu, podobnie jak jej brat.

– Co jest? – spytała Maria samą siebie i po sekundzie doznała olśnienia: – No tak! O jaka głupia! Do prądu nie podłączyłam! – Roześmiała się sama z siebie.

Odszukała na tylnej ścianie radia opleciony izolacją przewód, rozplątała go i wetknęła wtyczkę do czarnego, okrągłego gniazda na ścianie obok kredensu. Aparat nadal milczał. Maria lekko uderzyła ręką drewniane pudło. Nic się nie wydarzyło. Zirytowała się i znowu przekręciła gałkę. Radio nadal było niemym drewnianym pudłem. Jej napięcie udzieliło się Mirandzie i Januszkowi. Patrzyli oboje na skrzynkę i walkę matki z martwym przedmiotem. Januszek stał z otwartą buzią, odrobina śliny ciekła mu z kącika ust, jego siostra znieruchomiała z nożem w dłoni.

– No, dawaj, włącz się – powtarzała matka, kręcąc obiema gałkami na przodzie pudełka.

– Aaauuuueee, bleee – podpowiadał chłopczyk.

Miranda odłożyła nóż i podeszła do radia. Pochyliła się nad nim i uderzyła ręką w tył skrzynki. Nagle zapaliły się dwa światełka, podświetlające skalę z przodu. Obie kobiety krzyknęły z radości, a Januszek aż podskoczył, trzymając się krawędzi stołu, żeby nie stracić równowagi. Po paru sekundach rozległy się trzaski. Maria zaczęła kręcić gałką z lewej strony skali, a wskaźnik zaczął powoli sunąć w prawo. Nagle trzaski ucichły, a z małego, pokrytego tkaniną głośnika z przodu skrzynki popłynął głos. Miękki, męski, wyraźny.

– Życzymy państwu wszelkiej pomyślności w nowym roku i zapraszamy na wieczorną porcję muzyki – powiedział spiker, starannie akcentując słowa i zaokrąglając samogłoski. Tak jak to się mówiło przed wojną.

Maria stała uśmiechnięta. Miranda też nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Z głośnika popłynęła wesoła muzyka do tańca. Chłopiec pisnął z radości. Obie kobiety spojrzały na Januszka. Jego buzia wyrażała wielkie szczęście, podskakiwał i kręcił biodrami na wszystkie strony. Tańczył całym sobą o tyle, o ile mógł, nadal trzymając się stołu. Rozradowana Maria chwyciła synka za rękę, pociągnęła go ku sobie i zaczęła z nim tańczyć, uważając, żeby nie stracił równowagi. Oboje śmiali się radośnie.

– Mirusia, zrób głośniej – poprosiła matka.

Miranda pokręciła gałką i odwróciła się, by popatrzeć na matkę i brata. Melodia była tak przyjemna i żywa, a tamci dwoje tak świetnie się bawili, że nie mogła się opanować i zaczęła przytupywać w rytm muzyki. Maria zauważyła to i wyciągnęła rękę w stronę córki. Januszek zachwiał się, straciwszy równowagę, ale siostra podskoczyła do niego i chwyciła drobną rączkę, szukającą czegoś, co dałoby mu oparcie. Drugą rękę podała matce i wszyscy troje, pełni radości, tańczyli w rytm muzyki, głośno tupiąc na kuchennej podłodze.

## ROZDZIAŁ XVIII

STYCZEŃ 1951

Tego dnia Miranda odczuwała większy niepokój niż zazwyczaj. Nie umiała rozpoznać jego źródła. Wszystko było nie tak, każda rzecz leciała jej z rąk, Januszek gaworzył inaczej. Ogień nie chciał się zapalić pod kuchnią, węgiel kopał, a chleb nie rósł. Potłukła talerz i rozlała mleko. Własna nieporadność drażniła ją jeszcze bardziej niż zwykle.

Właśnie karmiła Januszkę w południe, kiedy za kuchennym oknem przesunęła się kobieca głowa okutana wełnianą chustką. Mirusia nie słyszała skrzypnięcia furtki, pewnie znowu była otwarta, matka jej nie domknęła. Nie zamknie, a potem ma pretensje, że bezpańskie psy sterczą pod komórką, gdzie było schowane mięso, wędliny i inne towary na rynek. Obie musiały odganiać zwierzaki kijami, żeby móc podejść do drzwi.

Trzasnęły drzwi wejściowe. Januszek odwrócił głowę w stronę sieni.

– Przynajmniej słuch masz jak należy – pochwaliła go Mirusia. – Mamy gościa – powiedziała do brata.

– Aaałłee – potwierdził chłopiec, patrząc na nią wielkimi szarymi oczami.

W sieni ktoś tupał i otrzępywał ubranie. Miranda spojrzała w okno; na zewnątrz prószył śnieg. Odstawiła na stół miseczkę z zupą, pocałowała malca w czoło, posadziła go na podłodze i wstała. Podeszła do kuchni i postawiła na płycie czajnik z wodą. Ktokolwiek przyszedł, na pewno chętnie napije się czegoś gorącego. W końcu otworzyły się drzwi od sieni i przez wysoki próg wkroczyła do kuchni Janina Stawoszko, sąsiadka ze Słonimskiej. Kiedy jeszcze stał dom na Słonimskiej. Serce Mirandy zabiło mocniej. Ktoś stamtąd!

– Jest matka? – zapytała niepewnym głosem kobieta.

– Nie ma, jeszcze z targu nie wróciła.

Stawoszkowa rozejrzała się z wahaniem, wyraźnie zawiedziona. Widocznie spodziewała się zastać Stasiakową. Stała bosą, jedynie w skarpetach.

Zostawiła buty w sieni, za co Miranda była jej wdzięczna. Dopiero co umyła podłogę. Z tej wdzięczności i widząc zakłopotanie przybyłej, zaproponowała:

– Może pani poczeka? Mama powinna niedługo wrócić. Może powiesimy jesionkę przy kuchni, to wyschnie. – Wyciągnęła rękę do kobiety.

I może poopowiadasz mi, jak tu było, kiedy nas wywieźli? – pomyślała.

– Spotkałam po drodze Nowakową i mówiła mi, że widziała, jak matka szła w stronę domu – niepewnie tłumaczyła się sąsiadka.

– Może kawy? – Miranda postanowiła być gościnną gospodynią.

Popatrzyła na Stawoszkową, na jej postarzałą, ale znajomą twarz, i przypomniała sobie tamto życie, które utraciła. Ta kobieta była kimś stamtąd, ze Słonimskiej, z tamtych lat. Poza tym poczuła pewną satysfakcję, że może zaparzyć starej sąsiadce tę drogocenną, południowoamerykańską kawę. Pewnie matka się wkurzy, i dobrze. Dla wzmocnienia efektu Mirusia podsunęła pod nos kobiety otwartą puszkę. Stawoszkowa aż otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia i przełknęła ślinę, kiedy tylko poczuła aromat. Zaniemówiła z wrażenia.

– Właśnie woda się zagotowała, zaraz zrobię – zachęcała Miranda, zadowolona z wrażenia, jakie zrobiła na gościu.

Stawoszkowa ocknęła się w końcu i podeszła do stołu. Po drodze pogłaskała Januszka po głowie. Kiedy usiadła na krześle, chłopiec podpełzł do niej i z zaciekawionym spojrzeniem jej w oczy z poziomu podłogi.

– Czołem, kolego! – powiedziała do malca sąsiadka, pochylając się w jego stronę. – Jak się miewasz? Widzę, że bardzo dobrze! – dodała, a na ustach chłopca pojawił się lekki uśmiech. – O! Uśmiecha się! – zawołała ucieszona do Mirandy, która zalewała wrzątkiem kawę. – Naprawdę się uśmiecha.

Mirusia nie skomentowała tego. Januszek robił taki sam grymas, kiedy się uśmiechał, złościł, przestraszył czegoś i kiedy bolał go brzuch.

Po chwili po kuchni rozniósł się aromat świeżo zaparzonej kawy. Stawoszkowa zsunęła chustkę z głowy. Mirusia postawiła filiżanki na stole. Dla większego efektu wyciągnęła starą rodzinną porcelanę. Jak ma być tak, jak kiedyś, to niech będzie. Na dodatek wystawiła z kredensu srebrną cukiernicę wypełnioną drobnym, bielutkim cukrem. Oczy Stawoszkowej stały się jeszcze bardziej okrągłe. Szybko chwyciła srebrną szufelkę i wsypała trzy duże, czubate łyżeczki do filiżanki. Już wyciągała rękę w stronę cukiernicy po kolejną porcję, kiedy napotkała lekko kpiące spojrzenie Mirandy.

– A czemu matka dzisiaj tak późno wraca? – zapytała, aby ukryć zmieszanie.



– Nie wiem. Pewnie ma jakieś sprawy do załatwienia.

– No tak, twoja matka zawsze ma dużo spraw do załatwienia. Chyba nie ma takiej rzeczy, której nie umiałaby załatwić – powiedziała sąsiadka, chcąc być uprzejma. – A to pewnie jutro matka też później wróci? Bo to jutro rynek u nas na Bojarach – zagadała, sądząc, że to bezpieczny i neutralny temat.

– A od kiedy to jest rynek na Bojarach? – zapytała Miranda z oburzeniem.

Oburzało ją wszystko, co odbiegało od dobrze jej znanej przedwojennej rutyny. Ten rynek to też coś nowego. Coś, czego nie było przed wojną. Wtedy rynek był tylko jeden, na Bema. A teraz rynek na Bojarach! Kto by pomyślał! Smród koni i ich odchodów unosił się na okoliczne ulice jeszcze długo po zamknięciu ostatnich straganów. Po ulicach kręcili się woźnice i pijani chłopci. Co zarobili na rynku, to zaraz przepijali w najbliższej gospodzie.

– Od kiedy całe Piaski spalili Niemcy w czterdziestym pierwszym czy drugim. Nie pamiętam już – odpowiedziała sąsiadka.

Miranda uśmiechnęła się, rozmowa zesłała na interesujący ją temat.

– A jak tu było podczas wojny? – zapytała.

Stawoszkowa wzruszyła ramionami i prychnęła.

– A jakoś tam było, jak to w wojnę. Raz pod wozem, raz na wozie. Jakoś sobie radę dawaliśmy. Kto by to teraz wspominał.

Widać, że niechęć do wspomnień szerzy się nie tylko w mojej rodzinie, pomyślała Szamreta.

– A widywała pani mojego tatę podczas wojny? Jaki był? Wspominał nas?

– A pewnie, że widywałam, ale... – Tamta umilkła na moment, jakby zbierając myśli, i wypila łyk kawy, głośno mlaskając. Po chwili podjęła przerwany wątek: – Nie pamiętam, żeby dużo o was mówił. Zresztą nikt z nas wiele nie mówił. Każdy tylko patrzył spode łba i chował się w domu. Każdy patrzył, jak tu kolejny dzień przeżyć. Nikt po sąsiadach na pogaduszki nie chodził. – Pokiwała głową i znowu podniosła do ust filiżankę. – Ale dobra ta kawa.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, popijając gorący, esencjonalny napój. Januszek rysował drewnianą łyżką jemu tylko wiadome wzory na deskach podłogi.

– Dobrze wygląda – powiedziała sąsiadka, wskazując brodą na chłopca. – To pewnie te niemieckie leki, które matka mu kupuje.

Mirusia znieruchomiała. Nie miała pojęcia o żadnych nowych lekach.

– Taa... – potwierdziła. – Leki.

– Twoja matka to wspaniała kobieta. Tylu ludziom już pomogła! Nie ma takiego leku, którego by nie załatwiła – paplała Stawoszkowa, rozpluwając się w uprzejmości.

Jej słowa zaskoczyły Mirandę. Była pewna, że to jej zioła i przebłagalne modlitwy do duchów tak dobrze wpływają na Januszka. Wszyscy z rodziny mówili, że od jej powrotu chłopczyk odżył i lepiej wygląda. Nikt nie wspominał o niemieckich lekach. Wstała i podeszła do brata.

– O tak, Januszek miewa się lepiej, wszyscy tak mówią. Jeszcze będzie zdrowy.

Chłopiec zrozumiał, że siostra o nim mówi, i spojrzał w górę, prosto w jej twarz. Zrobił to z wielką uwagą i skupieniem. Miranda nie miała wątpliwości, że Januszek słyszy i pojmuje znacznie więcej, niż się innym wydawało. Tylko ona umiała to dostrzec. Tylko ona widziała mądrość i zrozumienie w jego oczach. Wyciągnął rączki do Mirandy, chwycił się jej spódnicy i dźwignął z podłogi. Chwilę stał na chudych chwiejnych nogach, wczepiony w siostrę i wpatrzony w jej twarz. Miranda wzięła chłopca na rękę i usiadła z nim na kolanach przy stole. Przysunęła talerz z niedokończoną zupą.

– Jaki on podobny do ojca – zachwyciła się Stawoszkowa.

– Tak? – zdziwiła się Miranda. – A w rodzinie wszyscy mówią, że do matki. No, Januszek – namawiała go – jeszcze dwie łyżki i dam ci spokój.

– Owszem, usta ma pani Marii, ale oczy, czoło, broda, cały pan Emil.

– A pamięta pani, jak ta bomba na nasz dom spadła?

Sąsiadka wyprostowała się gwałtownie. Januszek odwracał głowę od łyżki, wijąc się jak piskorz.

– A pewnie, że pamiętam! – odparła z ożywieniem. – Co za nieszczęście! Kto by pomyślał, jakaś głupia zabłąkana bomba, i to wtedy, kiedy myśleliśmy, że to już koniec, że po wszystkim! A tu taki pech.

– Widziała to pani? A mój ojciec był wtedy w domu? Jak to było? Gdzie spadła ta bomba? – Miranda zasypała sąsiadkę gradem pytań, próbując trafić łyżką do buzi brata.

Stawoszkowa już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, i nagle jakby coś jej się stało. Przez chwilę siedziała z otwartymi ustami, wyraźnie zmieszana. Miranda spojrzała na nią i czekała. Kobieta opuściła wzrok, nie patrzyła już na Mirandę, zamknęła usta, ale młoda kobieta dostrzegła lekkie drzenie warg i zaciśnięte szczęki tamtej.

– Aj, ja tam nic nie wiem, nie pamiętam – oświadczyła Stawoszkowa i po

chwili dodała stanowczym tonem: – A mnie to wtedy w ogóle w domu nie było. Poszłam po sprawunki na miasto.

Mirandę zaskoczyła jej reakcja i odpowiedź. Dlaczego sąsiadka tak się zmieszała? Czemu nie chce o tym mówić? Nie wierzyła w to wyjście po sprawunki.

– No a co ludzie opowiadali? Może ktoś to widział?

Januszek zakaszał. Miranda w mig zrozumiała, co się dzieje. Odsunęła talerz z zupą, zwalniając chłopca z obowiązku dokończenia posiłku.

– A! Ludzie! Ludzie to różne rzeczy gadają, kto by tam spamiętał. Inne rzeczy wtedy były na głowie – odrzekła wymijająco Stawoszkowa.

Miranda zastanawiała się chwilę. Januszek wiercił się na jej kolanach.

– No, to ja będę się zbierać, zasiedziałam się trochę – oświadczyła starsza kobieta i wstała od stołu, dając do zrozumienia, że to koniec rozmowy.

– Niech pani zostanie, matka powinna zaraz wrócić.

– Nie, nie – tamta pokręciła głową – właśnie sobie przypomniałam, że umówiłam się z siostrą. Miałam dzisiaj do niej zadzwonić. Jak pójdę teraz na pocztę i zamówię międzymiastową, to może na wieczór będzie połączenie.

Januszek już bardzo się wiercił i Miranda pozwoliła, by zsunął się z jej kolan. Na czworakach podpełzł do leżącej na podłodze łyżki i znów zaczął rysować nią coś na podłodze.

– A jaką to sprawę miała pani do matki? To jej przekażę.

– A, nic ważnego, zajdę innym razem. – Wzięła jesionkę i skierowała się do drzwi. – Do widzenia.

– Nie potrzebuje pani lekarstw na te stawy? – zapytała Miranda.

Stawoszkowa odwróciła się do niej zdumiona.

– A skąd wiesz... – zaczęła, ale nie skończyła. – No tak, słyszałam, co ludzie o tobie mówią. Potrzebuję czegoś na reumatyzm. Strasznie mi dokucza. Ból okrutny, zwłaszcza teraz, w taką pogodę. Na wiosnę będzie lepiej – mówiła, wsuwając dłonie w rękawy jesionki.

– Nie ma co chować, przecież widziałam, jak pani piła kawę – odrzekła Miranda.

Wstała od stołu i podeszła do kobiety. Ujęła jej dłonie i spojrzała na nie uważnie. Stare, spracowane ręce, pokryte bliznami, zniekształcone, pełne historii. Całe kobiece życie wypisane było na tych rękach. Miranda oglądała w skupieniu każdą kosteczkę, każdy staw. Sąsiadka patrzyła na nią zdziwiona, ale nic nie mówiła. Stała sztywno, bojąc się ruszyć.

Dziewczyna zamknęła oczy, nadal trzymając w dłoniach ręce kobiety, głęboko nabrała powietrza w płuca, a potem wypuściła je ze świstem i wstrzymała oddech. Pod zaciśniętymi powiekami zobaczyła obraz rąk sąsiadki. Trzy, może cztery stawy nabrały ognistego czerwonego koloru. Połowa lewej dłoni świeciła upiornym fioletowym blaskiem. Mirusia otworzyła oczy i nabrała powietrza.

– No, na mnie już czas – powiedziała Stawoszkowa, próbując cofnąć dłonie.

– Sidiet’ – poleciła stanowczym tonem Miranda po rosyjsku, przytrzymując mocno ręce kobiety w swoich. Bardzo mocno. Popchnęła sąsiadkę w stronę krzesła. – Ciii – dodała po chwili.

Stawoszkowa zastygła na krześle, przestraszona rozkazem i siłą, jaka była z wychudzonej postaci Mirusi.

Dziewczyna znowu zamknęła oczy i przykryła dłonie sąsiadki swoimi. Jej zamknięte powieki drgały, wargi poruszały się bezgłośnie. Stawoszkowa znieruchomiała, Mirandą zaś od czasu do czasu wstrząsały dreszcze. Po kilku minutach, które kobiecie musiały się wydawać wiecznością, Mirusia westchnęła i otworzyła oczy, uwalniając dłonie sąsiadki.

– Powinno być lepiej – stwierdziła zadowolona z siebie. – Dobrze by było przykładać okłady, najlepiej z ciepłych pestek wiśni.

Stawoszkowa zerwała się z krzesła. Spojrzała na swoje ręce, jakby paliły ją żywym ogniem. Ruszyła do drzwi i trzęsącymi się dłońmi chwyciła za klamkę.

– Przyjdę do matki kiedy indziej – rzuciła w głąb kuchni, nawet nie spojrzawszy na zaskoczoną Mirandę, i wybiegła do sieni, trzaskając za sobą drzwiami. Huknęło, aż zadrżały szyby w oknach. Po chwili tak samo trzasnęły drzwi wejściowe.

– Widziałeś, Januszu? Wybiegła, jakby ją diabły goniły! Nawet chustki nie włożyła. Jeszcze na zatoki zachoruje i znowu przyjdzie do matki, a ta wyłudzi od niej majątek za nic niewarte leki – skomentowała Mirusia.

– Błlee, błlee, buu – odpowiedział braciszek, wykrzywiając buzię. I dla wzmocnienia efektu pomachał wielką drewnianą łyżką.

Miranda zakrzętnęła się w kuchni, a po chwili usłyszała skrzypnięcie furtki i za kuchennym oknem przesunęła się głowa matki, owinięta starym szalikiem. Mirusia usłyszała głos Marii:

– A poszedł won! Swołocz jedna!

Po chwili słowa matki się rozmyły. Mirusia słyszała, że Maria coś tam krzyczy z głębi ogrodu, lecz nie rozumiała co. Wycierała szmatką kuchenny stół

prawie do przetarcia desek. W końcu trzasnęły drzwi wejściowe. Matka długo tłukła się w sieni. Otrzępywała buty i jesionkę. Wreszcie weszła do kuchni zła jak osa.

– Znowu te cholerne psy sterczały pod komórką! – krzyczała. – Skąd one się wzięły? Już nie mam do nich siły. Nie możesz czasem zerknąć w okno i ich przegnać?! – zwróciła się do córki, chodząc z furią po kuchni i tłukąc talerzami. Widocznie chciała nalać sobie zupy, ale ze złości ruchy miała niepewne i wszystko leciało jej z rąk albo chowało się głęboko w szufladzie.

– Gdzie te cholerne łyżki?!

– Tam, gdzie być powinny, proszę mamy – odparła spokojnie Miranda. Zdenerwowanie matki działało na nią kojąco.

– Mówiłam, żebyś czasami sprawdzała furtkę i odganiała psy – irytowała się Maria. Nalała zupy do talerza i postawiła go na stole. – Kiedyś w końcu się podkopią i dobiorą do mięsa i kiełbas! I będzie bieda – ciągnęła, siadając i biorąc do ręki łyżkę. Miranda wykorzystała chwilę, gdy matka umilkła, mając usta pełne zupy.

– Może wreszcie mama przestanie handlować po targach jak jaka chłopka i nie będzie mięsa trzymała w komórce, to psy przestaną tu przychodzić – powiedziała.

Twarz Stasiakowej spurpurowiała. Matka podniosła wzrok, oburzenie jeszcze bardziej zmieniło jej rysy. Spojrzenie Marii padło na dwie stojące na stole porcelanowe filiżanki z fusami od kawy na dnie. Poza oburzeniem na jej twarzy pojawił się strach. Zagulgotała, jakby nie mogła wydobyć z siebie głosu. Przez chwilę łapała oddech, aż wreszcie odzyskała mowę.

– Kto tu był? – zapytała. Nie podniosła głosu, lecz i tak słychać w nim było napięcie.

– Stawoszkowa – odpowiedziała Miranda, zupełnie nie rozumiejąc wzburzenia matki i nic sobie z niego nie robiąc.

– Była tutaj Stawoszkowa? – zapytała Maria, wstając od stołu.

Zaczęła nerwowo chodzić tam i z powrotem. Januszek patrzył za nią, obracając śmiesznie głowę.

– Tak – odpowiedziała Mirusia i usiadła na krześle.

– I poczęstowałaś ją kawą?

– Tak.

– Kolumbijską? – dopytywała się Stasiakowa. – I podałaś ją w porcelanie?

– Tak, tak jak zawsze robiliśmy, kiedy przychodzili goście na herbatkę. Tylko

ciasteczek nie było.

– I co jeszcze?

– Nic. Niczym więcej jej nie częstowałam.

– A czego chciała?

– Przyszła do mamy po jakieś leki na reumatyzm.

– I co jej powiedziałaś?

– Nic, tylko wzięłam ją za rękę. Ona nie potrzebuje tych byle jakich leków z przemytu, tylko dobrej energii – odpowiedziała z pewnością siebie Miranda. Stasiakowa znowu usiadła przy stole.

– Co robiłaś?

– Leczyłam ją – odrzekła spokojnie dziewczyna.

– Aaałuuuee – potwierdził Januszek. Ostatnio bardzo lubił się wtrącać w rozmowy dorosłych.

– Robiłaś tej kobiecie te swoje syberyjskie czary-mary?

– Tak.

– Przewracałaś oczami, trzęsałaś się, szeptałaś te swoje zaklęcia, kładłaś na nią ręce i sprawiałaś, że dłonie paliły ją żywym ogniem?

– A tego to nie wiem, bo nic nie mówiła, tylko wybiegła stąd jak oparzona – odpowiedziała Mirusia. – Rzeczywiście, jakby ją kto żywym ogniem przypalał – dodała po chwili.

– O Matko Boska! – jęknęła Stasiakowa, łapiąc się za głowę.

Oparła łokcie o stół i chwilę tak siedziała, po czym zerwała się i wyskoczyła do sieni, pozostawiając otwarte drzwi. Mirusia widziała, jak matka w pośpiechu wsuwa nogi w buty i wkłada płaszcz.

– A dokąd mama się wybiera? – zawołała.

– Do Stawoszków – odpowiedziała Maria zmienionym głosem. – Ratować to, co się jeszcze da – dodała i wybiegła z domu.

Mirusia nie usłyszała skrzypnięcia zamykanej furtki.

– I popatrz, Januszek – powiedziała do brata. – Sama furtki nie zamknęła, a będzie miała pretensje do całego świata, że psy się zbiegną z okolicy.

# ROZDZIAŁ XIX

LUTY 1951

Niespodziewane głośne „dzień dobry” wyrwało Marię z drzemki. Kołysanie i jednostajne warczenie autobusu usypiało i Stasiakowa przysnęła.

– Pani Mario, jak dobrze, że panią widzę!

Zobaczyła nad sobą pełną, rumianą twarz Zdzisławy Kosteckiej, z dziada pradziada mieszkanki białostockich Bojar, a na Bojarach każdy znał się z każdym. Przynajmniej tak było przed wojną.

– Dzień dobry – odpowiedziała Maria tonem niezachęcającym do rozmowy.

Wracała z rynku, wstała przed czwartą rano, była zmarznięta i głodna. Nie miała ochoty na porcję bojarskich nowin w wykonaniu Kosteckiej. Znanej ze swojego zamiłowania do plotek w całym sąsiedztwie. Odwróciła wzrok w stronę okna. Autobus stał na przystanku. Maria obserwowała ludzi tłoczących się na chodniku. Jedni przepychali się do środka, inni próbowali ich ominąć, ślizgając się na chodnikach pokrytych zmarzniętym śniegiem.

Jakaś kobieta, wysoka i postawna, szła, wymachując zamasyżycie torebką. Nagle noga jej poleciała do przodu, a ramiona wykonały młynka w powietrzu. Torebka zatoczyła szeroki łuk, uderzając w czoło idącego z przeciwka mężczyznę. Ten wykazał się błyskawicznym refleksem, złapał kobietę za łokieć, w ostatniej chwili ratując ją przed upadkiem. Jej pośladki zatrzymały się pół metra nad ziemią. Mężczyzna z niejakim wysiłkiem pociągnął ją ku sobie, a wtedy wpadła mu w ramiona i odbiła się od jego klatki piersiowej. Po chwili na twarzach obojga pojawił się uśmiech pełen zawstydenia i zażenowania. Kobieta stanęła mocno na nogach, otrzepała jesionkę, mężczyzna uchylił czapki i ukłonił się lekko.

Autobus ruszył, Maria straciła tę parę z pola widzenia, a za oknem pojawili się inni ludzie i kolejne budynki.

– Pani Mario, jak ta pani Mirusia mi pomogła, jaka to złota dziewczyna –

zachwycała się Kostecka pochylona nad Stasiakową.

Maria poczuła ciepło ulatujące z ust tamtej. Unosiło się na kształt obłoczku, dołączając do innych obłoków pary, wydmuchiwanymi przez pozostałych pasażerów. Czapka z królika, którą miała na głowie znajoma, pachniała martwym zwierzęciem i naftaliną.

– Nie wiem, co by z moimi chłopakami było, gdyby nie Mirusia. Ona ma prawdziwy talent. Nie wiem, czy nie większy niż ten znachor ze Świętej Wody.

Maria rozejrzała się z niepokojem. Obok niej siedziała kobieta w dwóch chustkach na głowie i kozuchu z owczej skóry. Twarz miała pobrużdżoną i ogorzałą od lat pełnych trosk oraz pracy na słońcu i wietrze. Zgrabięte, spracowane ręce złożyła na kolanach. Za Marią siedział mężczyzna w berecie i ciemnym płaszczu, trzymający na kolanach urzędniczą teczkę. Zaciskał na niej kurczowo palce z miną, jakby wiózł dokumenty wagi państwowej.

– Cieszę się, że Mirusia pomogła – odpowiedziała Maria, nie patrząc na Kostecką.

Całą sobą dawała do zrozumienia, że nie ma ochoty na tę rozmowę. Gdyby nie straszny ścisk w autobusie, chętnie zmieniłaby miejsce. Udając obojętność, obserwowała miasto za oknami. Mijali budowę, na której pracowała grupa ludzi ubranych w palta i jesionki, niewyglądających na robotników budowlanych.

– O! Ilu w czynie społecznym pracuje! – skomentowała znajoma, podążając wzrokiem za spojrzeniem Marii. – Chociaż taki on społeczny jak te na Syberii – wypaliła, jakby niepomna na dziesiątki uszu, które mogły to usłyszeć. Jakby nie zdawała sobie sprawy z czasów, w których żyją. – Co za szczęście, że Mirusia ma to już za sobą, jakie szczęście, że wróciła do domu. Teraz już chyba jest pani szczęśliwa, prawda, pani Mario? Córka wróciła.

– Prawda – potwierdziła Maria. Kłamała, nie czuła się szczęśliwa.

Była zmęczona, a myśl o powrocie do domu, gdzie ciągle psuły atmosferę humory Mirusi, wcale nie dawała poczucia szczęścia.

Autobus znowu stanął na przystanku i stojąca nad Marią znajoma napała na nią wydatnym brzuchem, przepuszczając wysiadających pasażerów. Siedząca obok kobieta w kozuchu cicho pochrapywała z głową pochyloną do przodu.

– Ja nie wiem, jak bym przeżyła, gdyby któregoś z moich chłopaków coś takiego spotkało, co pani dziewczynki i innych. Jakie to szczęście, że po wojnie się urodzili. – Kostecka pokiwała głową, a wielka czapa zsunęła się na czoło.



Stasiakowa zamknęła oczy, licząc w myślach, ile jeszcze pozostało przystanków do tego przy Piasta, kiedy będzie mogła wreszcie wysiąść, rozstając się z nachalną znajomą. Ta nadal pochylała się nad Marią.

– Rozmawialiśmy z moim starym, że chyba trzeba za Mirusię na mszę dać. Może nawet do samej fary, za to, co dla naszych chłopaków zrobiła.

Mimo usilnych starań Maria nie mogła opanować zaciekawienia. Co takiego jej córka, ta siedząca ciągle w domu, naburmuszona samotnica i ponuraczka, mogła zrobić dla synów Kosteckiej? Spojrzała w górę, a jej spojrzenie zostało od razu zauważone i odebrane jako zachęta do dalszej opowieści.

– A to pani nic nie wie? Córka się nie chwaliła? Tydzień temu, jak zachorowali, i nic nie pomagało. Pielęgniarka przychodziła trzy razy dziennie robić zastrzyki z penicyliny i nic. Obaj gorączkowali, byli jak rozpalone piece. Minał dzień, dwa i robiło się gorzej. Tyłki już im od tych zastrzyków napuchły. Słabi byli tacy, nawet apetyt im odjęło.

Maria przypomniała sobie bliźniaków Kosteckich, nalanych i otyłych już w wieku pięciu lat.

– I wtedy mój stary ze sklepu wrócił z Mirusią. Podobno spotkał ją pod halą na Słonimskiej. Mówił jej o chłopcach, a ona powiedziała, że może pomóc. I pomogła, oj, pomogła. – Królicze futerko na głowie kobiety zafalowało znowu.

Maria spojrzała przez coraz bardziej zaparowaną szybę. Już nie rozpoznawała budynków, tylko jaśniejsze i ciemniejsze plamy.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytała z nadzieją w głosie. Może już niedaleko. Pozałowała swojego zainteresowania kłopotami znajomej.

Kostecka pochyliła się i zerknęła w okno, a potem się odwróciła i popatrzyła w szybę z drugiej strony.

– A, to dopiero Jurowiecka – odparła i gadała dalej. – Chuda ona, biedaczka, ta pani Mirusia, mizerna i taka szara. Smutna, pomarszczona. Zmienił ją ten Sybir, oj, zmienił. – Jej głos wyrażał szczere współczucie. – Ale o czym to ja mówiłam? A! No i Mirusia weszła bez słowa i poszła do pokoju chłopców. Miała ze sobą tobołek z ziołami. Tylko spojrzała na nich i zaraz kazała wrzątku uwarzyć, zasypała jakichś ziół. Podobno syberyjskie. Mówię pani, pani Mario, taki był zapach, aż po całym domu się rozszedł. Pięknie pachniały, jak las na wiosnę. Potem kazała płótna grubego dać. Mam stare prześcieradła, jeszcze po mojej świętej pamięci babce, wie pani, takie grube, już teraz takich nie robią. I Mirusia to płótno na moich chłopakach

położyła. Najpierw na młodszego, na Tomka, a potem na Jacusia. Kazała sobie konopi przynieść. Jakichkolwiek. Stary w komórce miał, więc przyniósł. A Mirusia te konopie na nich poukładała, na tym płótnie, i podpaliła. Śpiewała przy tym pięknie. Konopie to się szybko palą, chwila moment.

Maria poczuła, że kręci jej się w głowie. W dusznym autobusie nie było czym oddychać.

– Źle się pani czuje, pani Mario? – zapytała Kostecka.

– To nic, trochę świeżego powietrza i zaraz minie – odezwał się stojący obok Kosteckiej niski człowiek w wełnianej czapce. Trzymał rękę wysoko w górze, aby móc się chwycić rurki zamontowanej pod dachem autobusu. Wydawało się, że niemal na niej wisiał. – Duszno w tych autobusach, nie ma czym oddychać.

Kostecka pochyliła się nad Marią i odsunęła górną szybkę w oknie. Autobus przejechał przez skrzyżowanie. Do środka wpadło świeże, mroźne powietrze.

– Duszno, duszno, a nas tu z tyłu zaraz zawieje – zaprotestował jakiś skrzekliwy głos z tyłu.

– To sobie pani chustkę ciaśniej zawiąż, a nie tu marudzi, że ją zawieje, nie podoba się, to pieszkom może iść! – zawołała w jej stronę Kostecka.

Maria się skuliła. Wytrzyma. Już niedaleko. Zaciśnęła usta w wąską kreskę. Autobus skręcił w dawną ulicę Sienkiewicza. Maria miała zamiar wysiąść dopiero na Towarowej przy Piasta. Obiecała Adeli, że do niej wpadnie na chwilę.

– O czym to ja mówiłam? – zaczęła znowu Kostecka. – A właśnie, jak już te konopie się wypaliły, to Mirusia jeszcze coś tam śpiewała. A jak pięknie, mówię pani. I twarz jej taka piękna się stała, w ogóle tych blizn i bruzd nie było widać. Twarz miała jak z jakiejś ikony – szeptała, pochylając się niżej nad Marią. Autobus zahamował i kobieta się zachwiała. Wyprostowała się zaraz i ciągnęła swoją sensacyjną historię: – A potem to ona usiadła między chłopcami i kładła na nich ręce. Na zmianę, raz na jednym, raz na drugim. Raz na głowie, raz na piersiach. Mówili mi potem, że ciepło straszne od tych jej rąk szło!

Maria odpięła guziki płaszcza i rozchyliła poły.

– Pani Zdzisławo, ja już to wszystko słyszałam, nie ma co o tym gadać. Dziewczynie rozum pomieszało na tym zesłaniu – próbowała uciszyć znajomą, chociaż wiedziała, że to nic nie da, przecież znała ją od lat. Mówiła głośno, tak aby inni pasażerowie ją słyszeli, na wszelki wypadek.

– Jak tu nie gadać! Przecież to cuda były, ale to jeszcze nie koniec, pani Mario, nie koniec. Pytam, co to za pieśni są, a ona, że to modlitwy. Ale ja takich modlitw nigdy w życiu nie słyszałam. Ani w naszym kościele, ani w cerkwi.

Maria westchnęła ciężko.

– No właśnie, nie wiem, co mam z nią robić, opowiada banialuki, zachowuje się jak niespełna rozumu.

– Siostra mojej sąsiadki – kobieta stojąca tuż za Kostecką przechyliła głowę i spojrzała na Marię – jak wróciła z Sybiru, to też zwariowała. Chodziła jak trup. Nawet karmić ją musieli, bo sama nie jadła. Siedziała tylko jak lalka przy stole.

– Kiedy ja to prawie czułam! Jakie zwariowała? – wykrzyknęła Kostecka. – Ja na własne oczy widziałam i czułam, że chłopcom lepiej, gorączka spadała w oczach. Zaczęli wołać o jedzenie, ożywili się. Tomuś to nawet chciał z łóżka wstawać.

– No to dobrze, że pomogło, to najważniejsze. Tak to jest, że penicylina zaczyna działać dopiero na drugi, trzeci dzień – skwitowała Stasiakowa.

– A jaka tam penicylina! Co też pani mówi, pani Mario. To nie penicylina. To Mirusia. Poklepała obu chłopców po ramieniu i powiedziała, że dobre duchy nad nimi czuwają. Naprawdę. I wie pani co? Zamknęłam oczy na chwilę i sama zobaczyłam te dobre duchy! To nie były żadne duchy, tylko anioły! – opowiadała podekscytowana, jej rumiane policzki były wręcz purpurowe z emocji i od gorąca. – Takie w pięknych świetlistych sukniach. I wie pani co? One tańczyły i śpiewały. Te anioły. Boże, jakie to piękne było!

– Jezu! – jęknęła Maria.

– Był taki jeden, co też widział anioły, mieszkał na Antoniuku – odezwał się wiszący na rurce obok Kosteckiej mężczyzna. – Święty, uduchowiony człowiek! – Mlasnął na potwierdzenie własnych słów. – Zamknęli go potem w zakładzie w Chroszczy.

Maria nie wytrzymała.

– Słabo mi! – jęknęła, wstając z miejsca.

– Pani Mario, co pani jest, jak pani zbladła – zawołała tamta. W autobusie zapanowało poruszenie. Maria poczuła, jak osuwa się w ramiona nieznanego mężczyzny.

– Zasłabła.

– Pan ją trzyma!

Resztką sił starała się zachować przytomność.

– Muszę wyjść – powiedziała.

– Panie kierowco, pan się zatrzyma!

– Kierowniku, pan stanie! – rozległy się głosy dookoła.

– Oknów więcej trza rozklużyć!

Ludzie podtrzymali ją i przepchnęli do wyjścia. Torebka zaplątywała się pomiędzy stłoczonymi pasażerami i Stasiakowa musiała ją siłą wyszarpywać. Autobus przystanął, otworzyły się drzwi i Maria niemal została wypchnięta na chodnik. Stała mocno na ziemi obiema stopami i nabrała w płuca czystego powietrza. Odczekała chwilę, oddychając głęboko. Rozejrzała się dookoła. Była na rogu dawnej Sienkiewicza i Starobojarskiej. Ruszyła w stronę domu. Nie będzie już odwiedzać szwagierki.

Szła zamaszystym krokiem, a złość dodawała jej sił. Dlaczego, pytała w myślach, dlaczego nic nie może już być zwyczajnie? Dlaczego Mirusia wróciła taka z tej Syberii? Nie może być normalna? Co się z nią dzieje? Szła i rozmyślała. A co będzie, jak to się rozniesie? I ludzie zaczną gadać? Jak odprawia te swoje zabobony w domu, to nic nie szkodzi, ale na zewnątrz? Przecież to niebezpieczne. Wsadzą ją do więzienia za znachorstwo albo do szpitala dla wariatów, jak tego świętego od aniołów z Antoniuka. Maria nie chciała stracić kolejnego dziecka. Nie teraz, kiedy zaczęło się układać.

Zanim doszła do domu, miała pewność, że trzeba córkę z tej choroby duszy wyleczyć, za wszelką cenę.

– Jeszcze będzie normalnie, już ja się o to postaram, tylko muszę znaleźć sposób – powtarzała sobie pod nosem.

## ROZDZIAŁ XX

MARZEC 1951

Przez burzę śnieżną szła grupa ludzi. Poruszali się powoli po zamrzniętej rzece, lód pod ich stopami był przezroczysty jak górski kryształ i w chwilach, kiedy wiatr nie sypał śniegiem, dało się w nim dostrzec mieniące się szafirem i błękitem grzbiety pływających w głębinie białorybic. Idący ledwo mogli utrzymać się na nogach, gwałtowne porywy wichru podrywały ich niemal do góry i wbijały pomiędzy warstwy ubrania zimne drobinki śniegu, ostre jak jodłowe igły. Wciskał je wszędzie, w najmniejsze szpary.

Wędrowcy trzymali się za ręce i brnęli po omacku. Nie widzieli ani jednego, ani drugiego brzegu. Spod szalików i chust owiniętych wokół głów i twarzy wystawały jedynie przerażone oczy. Otaczał ich ogłuszający huk wichru. Nie potrafili określić pory dnia. Byli zmęczeni i przerażeni.

Miranda czuła to zmęczenie, czuła ich strach. Ona też szła w tej grupie. Nagle lód tuż pod nią trzasnął głośno, pojawiła się na nim rysa. Serce Mirandy zatrzymało się w bolesnym skurczu. Wszystko trwało ułamek sekundy. Lód się załamał, a ona zaczęła osuwać się w dół. Jej serce nadal nie biło. Ręce straciły kontakt z dłońmi towarzyszy. Rozpaczliwie próbowała wbić paznokcie w zimną taflę, ale dłonie w grubych, niekształtnych rękawicach z zajęczych skórek nie znalazły żadnego oparcia. Serce ruszyło znowu, a ona zdążyła wydać z siebie przeraźliwy wrzask, zanim zamknęła się nad nią lodowata toń. Kontakt z zimną wodą sparaliżował mięśnie i zdławił oddech w piersiach. Tonęła, opadała coraz głębiej i głębiej, otaczała ją ciemność.

Obudziła się zlaną lodowatym potem i odruchowo spojrzała w okno. Szarość. Chwilę nasłuchiwała, czy z pozostałej części domu dochodzą jakieś dźwięki. Serce waliło jej mocno w piersiach. Januszek spał obok, oddech miał nieregularny, świszczący. Czyli tak jak zawsze. Wstała, próbując otrząsnąć się z koszmaru. Potarła powieki pięściami i popatrzyła na swoje dłonie, ciepłe

i zaróżowione.

Rozejrzała się po znanym pokoju, jej wzrok na chwilę zatrzymał się na portrecie ojca, stojącym na komodzie i opartym o ścianę. Bystre oczy Emila wpatrywały się w córkę. Matka nadal nie zgadzała się na powieszenie wizerunku męża na gwoździu. Tak jakby miał zostać tutaj tylko na chwilę.

Miranda wstała i zajrzała do pokoju stołowego. Tapczan Marii był pusty, idealnie zasłany. Stary zegar ścienny pokazywał kilka minut przed siódmą. Matka już pewnie dawno na targu. Miranda podeszła do pieca i wrzuciła do żaru kilka bryłek czarnego węgla. Znowu zerknęła w okno. Ulicę spowijała szara mgła, tylko gdzieś tam wylaniały się z niej niewyraźne, poczerwiałe od wilgoci drewniane ściany sąsiednich domów. Ich kolor kojarzył się z pogorzeliem. Dziewczyna owinęła się chustą, włożyła kaptur i poszła do kuchni. Na płycie zobaczyła imbryk ze świeżo zaparzoną esencją. Matka o nich pomyślała. Obok imbryka stał żeliwny czajnik pełen parującej wody.

Miranda dołożyła pod kuchnię węgla i nalała sobie esencji do kubka, dołączyła wrzątku. Potem dodała trzy łyżeczki cukru i zamieszała. Objęła pokaleczonymi palcami ciepły kubek. Znowu podeszła do okna. Patrzyła chwilę i nawet miała wrażenie, że mgła się porusza, przemieszcza pomiędzy domami jak duch. Stała, wpatrując się w nią jak w transie. Do rzeczywistości przywołał ją kaszel brata.

– Już idę, Januszek – powiedziała cicho, wiedząc, że chłopiec i tak jej nie usłyszy.

Sprawdziła jeszcze, czy matka zamknęła drzwi do sieni na klucz, i poszła z powrotem do sypialni.

– Już jestem.

Ku jej zdziwieniu Januszek spał. Kaszlał czy tylko jej się wydawało? Z otwartych ust chłopca wyciekła strużka śliny, wokół oczu i ust malowały się szare cienie. Leżał pod kołdrą skulony jak noworodek. Miranda podeszła i dotknęła czubka jego nosa, żeby sprawdzić, czy brat nie zmarł. Nie był ani zimny, ani ciepły, czyli wszystko w normie.

Usiadła na łóżku i popijała słodką herbatę. Nie miała pewności, ile jeszcze Januszek będzie spał. Bywało, że budził się jeszcze przed wyjściem matki na rynek, a czasami spał i do dziewiątej. Po chwili odstawiła kubek na szafkę nocną. Pamiętała te szafki, kiedyś stały w domu jej dziadka, na Słonimskiej, w wielkiej sypialni na piętrze.

Położyła się i zamknęła oczy. Poczowała całe swoje ciało. Było zdrowe, silne

i najedzone. Czuła to od opuszków palców aż po czubek głowy. Nic jej nie bolało, nic nie przeszkadzało. Odetchnęła głęboko i poczuła, jak ciepły oddech wychodzący z jej nozdrzy delikatnie owiewa górną wargę. Wciągnęła dużą porcję chłodnego powietrza. Przechodziło przez gardło, potem wzdłuż mostka i rozprzestrzeniało się po całych płucach. Zdrowe, chłodne powietrze.

Miranda leżała i koncentrowała całą swoją uwagę na oddechu. Wdech i wydech. Po chwili poczuła, jak unosi się ku górze. Lubiła ten moment. Poddała się temu zupełnie. Łóżko, w którym leżała, mały brat, pokój, dom na Przygodnej, wszystko to się oddalało, było coraz mniejsze i bardziej niewyraźne. Miranda szybowała w górę i w górę. Aż znalazła się w obłoku czystej bieli, a jej umysł i ciało doznały spokoju. Już nie myślała o niczym, niczego nie czuła. Trwała w tej cudownej białej mgłę, w czystym białym świetle. Poczuła, jak jej dusza się uspokaja, umysł wycisza, myśli zamierają.

– Aaaałłeeeejjj!

Usłyszała nagle jakby z drugiego brzegu Irtyszu.

– Aaaałłeeeejjj!

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Otworzyła oczy i jednocześnie poczuła, jak strach ściska jej serce.

– Januszek! Czto ty?! – zawołała.

Podniosła się zbyt głośno, zbyt szybko. Jej gwałtowna reakcja i ruchy przstraszyły chłopca. Stał obok łóżka, tuż przy niej i momentalnie skurczył się w sobie, ugięły się pod nim słabe, chwiejne nóżki i Januszek upadł z płaczem.

Po sekundzie szloch przeszedł w kaszel, a twarz chłopca zaczęła sinieć. Miranda zeskoczyła z łóżka i padła na podłogę przy chłopcu. Umysłem i wszystkimi zmysłami wróciła do tego pokoju, do brata i swojego życia.

Dalej już dzień potoczył się jak każdy inny. Atak Januszka był ciężki. Trwał długo i Miranda złąkała się nie na żarty. Na nic się zdały sprawdzone zaklęcia, przebłagalne modlitwy i zioła. Ze strachu o brata trzęsły jej się ręce, traciła rozum. Na szczęście w chwili, kiedy była już gotowa nieść malca do szpitala na Sienkiewicza, atak zelżał, a potem nagle minął.

Musiała umyć Januszka, bo w trakcie ataku nie kontrolował swoich potrzeb fizjologicznych. Dopiero po godzinie udało jej się nakarmić brata odrobiną kaszy manny z sokiem malinowym. Nie chciał jeść, ale matka tak często jej powtarzała, że chłopiec nigdy, nigdy nie może być głodny, że Miranda nie dała za wygraną. Około pierwszej po południu położyła go do łóżka i znowu usnął. Mogła na chwilę usiąść i zapalić papierosa, by uspokoić roztrzęsione ręce,

a potem zabrała się do gotowania obiadu.

Właśnie przelała makaron na durszlak, kiedy usłyszała tupanie w sieni.

– A kto to o tej porze? – zapytała sama siebie zdziwiona.

Drzwi od kuchni się otworzyły, w progu stanął listonosz.

– A, pan Anatol! – przywitała go, poznając potężną sylwetkę mężczyzny, i dodała od razu: – Matki nie ma.

Starszy mężczyzna rozejrzał się po kuchni. Miranda przelała makaron zimną wodą i odstawiła na bok garnek z durszlakiem, żeby cała woda spłynęła. Wytarła ręce w fartuch i spojrzała uważnie na listonosza. Po chwili to poczuła. Silna duszność i ból w piersiach. Wokół płuc mężczyzny unosiła się czarna jak sadza chmura. Dziewczyna pomachała rękoma, aby strzepnąć z siebie ten widok i ból.

– A ja to w zasadzie do panny Mirandy. Polecony mam – oświadczył. Oparł swoją ciężką skórzaną torbę na stole, wyprostował się i pomasował ręką bok.

– Ciężka ta torba? – zapytała z troską w głosie Miranda.

– Ano ciężka, ciężka, już nie te lata, co to kiedyś. Plecy od dźwigania bolą. Na emeryturę już by się poszło, ale nie chcą wypuścić. Mało ludzi chętnych do tej roboty.

Miranda znowu przyjrzała się listonoszowi.

– To nie od torby plecy pana bolą, panie Anatolu.

– A – machnął ręką – od wszystkiego już chyba bolą. Gdzież jest ten list?

Mężczyzna wyciągnął plik kopert. Białych i szarych, dużych i mniejszych, z dużymi i małymi znaczkami. Stał pochylony nad stołem i przekładał koperty dokładnymi i powolnymi ruchami, charakterystycznymi dla starszych ludzi.

– Pan sobie usiądzie, proszę – powiedziała Miranda i odsunęła krzesło.

Pan Anatol uśmiechnął się z ulgą. Zdjął służbowy kaszkiet, położył go na stole, rozpiął grube palto i usiadł. Mocno oparł plecy o krzesło i westchnął.

– Wygodne te wasze krzesła. Przedwojenne. Teraz już takich nie robią. Gdzie ten list? Jeszcze u Łopaniuków go widziałem.

Sapał niemiłosiernie, przekładając koperty, a Miranda znowu poczuła duszności. Listonosz zaczął kaszleć w nakrochmaloną płócienną chustkę. Ciężki, mokry, głęboki kaszel minął dopiero po dłuższej chwili.

– Zrobię panu herbaty, właśnie zaparzyłam świeżą esencję – powiedziała i nie czekając na potwierdzenie, zakręciła się przy kuchni.

– O, jest! – zawołał radośnie listonosz i podniósł do góry list w szarej kopercie.



– A kto to do mnie listy pisze? – zapytała, w zasadzie nieciekawo odpowiedzi.

Kolor i wygląd koperty raczej wskazywały na pismo urzędowe. Miranda postawiła porcelanowy kubek przed panem Anatolem.

– A to z urzędu wojewódzkiego, z Mickiewicza – skrzywił się listonosz. – Jak pięknie pachnie ta herbata – zachwycił się, odkładając kopertę na bok. – I pamiętam te kubki. Babcia panienki miała takie.

Miranda uśmiechnęła się i usiadła po drugiej stronie stołu.

– Dodałam panu miodu – powiedziała.

I jeszcze kilka skrawków wysuszonych liści babki, pomyślała, jednak nie wspomniała o tym ani słowem mężczyźnie. Miód zabije smak i pan Anatol się nie domyśli.

Wzięła do ręki list. Rzeczywiście z urzędu. Spodziewała się, że kiedyś dostanie takie pismo. Kiedy wróciła z zsyłki, matka kazała jej iść do komendy i się zameldować, ale tamci ją odesłali. Powiedzieli, że jak przyjdą dokumenty, to sami ją wezwą. Minęło wiele tygodni, zanim papiery przeszły całą swą urzędową drogę z Gornoprawdinska, przez Surgut, Nowosybirsk, Moskwę i w końcu trafiły do Białegostoku.

– A mama panienki gdzie? Dzisiaj chyba nie ma rynku – zagadnął listonosz.

– Poszła gdzieś do miasta. Do spółdzielni czy gdzieś tam – odrzekła Miranda. – A ma pan coś do mojej mamy?

– Tak przy okazji pomyślałem, że zapytam o leki. Te plecy tak bolą i ciężko oddychać. Lekarz przepisał mi takie tabletki, co nic mi nie pomagają, tylko w głowie się od nich kręci. Ale znajomy z Tykocina mówił mi o takim jednym lekarstwie z Niemiec. Jego żonie bardzo pomogło, to może i mnie pomoże.

Miranda westchnęła, przechyliła się przez stół i poklepała mężczyznę po ręce.

– Panu nie leków trzeba, panie Anatolu, tylko papieroski przestać palić, schudnąć trochę i będzie dobrze.

Listonosz machnął ręką.

– A tam, gadanie! Też mi papieroski! Że niby szkodzą? A kto to słyszał? Dobry papieros nie zaszkodzi. Zdrowie słabe i ta robota mnie wykańcza. To już człowiekowi nic się od życia nie należy? Dobrej kiszki chociaż zjeść, papieroska zapalić, samogona wychylić. To tyle, co człowiek z życia może mieć w moim wieku, panno Mirando – oświadczył zdecydowanym tonem i łyknął herbaty. – Jaka pyszna, a miód jak czuć! – Zamlaskał. – Taki miód

i taką herbatę to tylko pani Maria umie załatwić. Z pani matki jest złota kobieta.

– Taa... – odrzekła z namysłem Miranda. – Wszyscy tak mówią.

Pan Anatol rozsiadł się wygodnie i grzał dłonie, trzymając w nich kubek. Popijał słodki, gorący napój.

– Ilu ona ludziom pomogła. Ilu pomogła! Z całych Bojar każdy coś jej zawdzięcza. Nie ma takiej rzeczy, której by nie załatwiła.

– I to wszystko za darmo? – spytała Miranda i natychmiast umilkła. Zdała sobie sprawę, że nie powinna tego mówić, że ją poniosło.

– Jak to za darmo? – obruszył się pan Anatol. – W życiu, panno Mirando, nie ma nic za darmo. Ale kto za uczciwą pomoc uczciwie nie zapłaci?

Skinęła twierdząco głową i zmieniając temat, zapytała:

– A jak tu sobie radziliście w wojnę?

Uwierała ją rozmowa o tym, jak matka wszystkim tutaj tak pomagała, kiedy one z Busią umierały na zesłaniu.

– A jakoś sobie radziliśmy, musieliśmy przecież. Tyle nieszczęścia się wokół działo, tyle nieszczęścia... – powtórzył i się zasepił.

– A jak nasz tata dawał radę w wojnę?

– Ach – westchnął, a rysy twarzy mu stężyły – wie panienka, łatwo nikomu nie było – odpowiedział i ukrył twarz w kubku.

Miranda wyczuła, że stary listonosz unika tego tematu.

– Może dolać panu trochę miodu? – zaproponowała. – A tacie też było trudno? – spróbowała pociągnąć go za język. Jak już znalazła jakieś źródło informacji, to trzeba z tego skorzystać.

Pan Anatol wyciągnął kubek w jej stronę, a Miranda dolała mu pełną łyżkę gęstego, złotego płynu.

– Aj, panno Mirando, co tu dalej mówić, ale po tym, jak was zabrali... – Umilkł na chwilę i zaczerpnął powietrza. – Oj, znowu ciężko oddychać. Nie ma panna jakichś papierosków? Skończyły mi się. Pani Maria to zawsze dobre papierosy ma.

– Panie Anatolu! Papierosy pana zabijają! – zawołała z oburzeniem.

– Gadanie! To słabe serce, ta robota i ciężkie życie mnie zabijają.

Miranda otworzyła szufladę pod blatem. Uśmiechała się, kiwając głową z udawaną dezaprobatą. Wyjęła paczkę papierosów i zapalniczkę. Oczy mężczyzny zrobiły się okrągłe z wrażenia.

– Jakie papieroski! – Sięgnął po jednego i przypalił. Miranda zrobiła to

samo. – To chyba amerykańskie. – Zaciągnął się z przyjemnością. – Jakby tylko takie człowiek palił, to i plecy by nie bolały, i lżej byłoby oddychać.

Miranda wstała i podeszła do niego od tyłu. Położyła dłonie na jego plecach tuż powyżej łopatek.

– A te plecy gdzie pana bolą?

– A tu, między łopatkami. Posiedzę trochę, to zaraz przejdzie.

Znowu zaciągnął się papierosem i wypuścił dym z cichym jękiem. Miranda nie była pewna, czy ten jęk pochodził z gardła, czy z samych chorych płuc.

Pokręciła głową i przesunęła dłonie na wysokość łopatek mężczyzny. Skupiła się na jego oddechu. Czuła, jak tłusta, smolista czerń wokół płuc listonosza oblepia jej dłonie, jak ją odpycha. Nie miała zbyt wiele siły, większość zużyła na atak Januszka.

– A o czym to ja mówiłem?

– O moim tacie, o Emilu – odrzekła Miranda i zaczęła bezgłośnie poruszać wargami. Listonosz nie mógł usłyszeć ani słowa.

– A właśnie! Pan Emilian, świętej pamięci, panie Boże, świeć nad jego duszą – wyrecytował Anatol – to zupełnie się załamał po tym, jak was zabrali. Nie ten sam człowiek. Chociaż na samym początku, najpierw, oboje z panią Marią bardzo to przeżywali. Oj, jak przeżywali. Ona to nawet do szpitala trafiła. Z tej rozpaczy się pochorowała, że prawie pomarła.

Teraz wyraźnie lepiej oddychał i się rozgadał. Miranda znieruchomiała na chwilę.

– Moja matka?

– A tak, tak. Następnego dnia... Zaraz, a może to było później. Kiedy to was zabrali? A może kiedy już wywieźli...

– Ale co się stało? – ponagliła mężczyznę Miranda i lekko ścisnęła go za ramiona. Były tak potężne, że nie mogła ich objąć palcami.

– No to zaraz, jak was zabrali albo już po tym, jak ten pociąg wyszedł, to na całe miasto żałoba padła. A panienci mama tak zasłała w nocy, że pan Emilian na własnych rękach do szpitala PCK ją zaniósł.

Miranda nic nie powiedziała. Odsunęła się od listonosza i wróciła na swoje krzesło. Cała była skupiona na opowieści mężczyzny. Już więcej nie mogła mu pomóc. Jej myśli krążyły teraz jedynie wokół tego, co się wydarzyło przed wielu laty. Tego, o czym nikt z rodziny nie chciał z nią rozmawiać.

– I co było dalej? – spytała.

– Panna Miranda to ma złote ręce – powiedział i odetchnął głęboko, po czym

znowu zaciągnął się papierosem. – Potem to pani Maria, jak tylko wyszła ze szpitala, to zaczęła przychodzić na pocztę, paczki do was wysyłać. Co miesiąc przynosiła paczkę. A ile ona łapówek musiała za te paczki dać! Ho, ho! Tego to nikt nie wie i nie zliczy. Majątek cały wydała na te paczki. Przychodziła i do Sowietów, i do Niemców. Chociaż wszyscy jej mówili, że Niemcy i tak za Ural niczego nie wyślą. Każdy jej tłumaczył, że to na próżno, a ona tak nosiła i nosiła. Wszystko się zmarnowało. Przecież ja dobrze wiem, co się z tymi wszystkimi paczkami działo. – Pokiwał głową.

– A co się działo?

– Pokradli i tyle. Wszystko się zmarnowało. A ile tego było! Panno Mirando! Można by wielką rodzinę wykarmić.

– A skąd pan to wie, panie Anatolu?

– A kto ma takie rzeczy wiedzieć, jak nie listonosz? – odpowiedział pytaniem i aż się obruszył.

– No tak, oczywiście – przytaknęła Miranda.

W głowie miała pustkę. Nie wiedziała, jak ma to sobie ułożyć. Tyle lat czekała na te paczki, tak niewiele ich przychodziło. Jedna, góra dwie w roku. I to nie zawsze. Cóż to wtedy było za święto, jak paczka przyszła! Konserwy, mąka, cukier. Nowe spodnie albo koc czy mydło. Potem jeszcze długie tygodnie mogły tym handlować. Tylko jedzenie sobie zostawiały, reszta była na sprzedaż. Niejednokrotnie Miranda miała wrażenie, że paczki rozkradano, że pierwotnie było w nich więcej rzeczy, niż do nich docierało. Nie miała jednak pojęcia, że wysyłano je częściej. Raz w miesiącu! Matko Boska! Gdyby dostawały choć połowę tego, to pewnie Busia by nie umarła, babcia i Emilek też by przeżyli. Miałaby na leki i mleko w proszku. Wszyscy wróciliby do domu. W oczach Mirandy zakręciły się łzy.

– A długo tak mama chorowała? – zapytała, ocierając policzek.

Nie ukrywała swoich łez przed panem Anatolem. Nie miała już na to siły. Siedziała i płakała coraz bardziej. Nie myślała o tym, jak wygląda jej twarz, nie próbowała ukrywać poranionych rąk. Ani poranionej duszy.

Listonosz zaczął się wiercić na krześle. Starał się nie patrzeć na młodą kobietę, którą przecież znał od dziecka. Krępował go jej płacz.

– A nie, nie tak długo. Pani Maria to silna kobieta. Zaraz zebrała się w sobie i wzięła do roboty. Tak, pani Maria to z innej gliny ulepiona. – Pokiwał głową, jakby dla podkreślenia tych słów.

Miranda siedziała z rękami opartymi na kolanach. Pochyliła się do przodu,

opuściła głowę, wpatrzona w swoje dłonie. Już nie płakała. Żal ścisnął jej gardło.

– Oj, tak, to inna glina, wie panienska, taka lepsza – powtórzył Anatol.

Miranda uśmiechnęła się krzywo. Kiedyś mówiono tak o jej ojcu i jego rodzinie. To Szamretowie byli ulepiani z innej, lepszej gliny. Boże, westchnęła w duchu, jakie to żałosne. Znowu łzy poleciały po policzkach.

– Niech panienska już nie płacze, panno Mirando, co było, to nie wróci – pocieszał ją poczciwy listonosz.

– Ach, panie Anatolu, nazbierało mi się tych łez przez te wszystkie lata.

– No tak, tak. – Ze zrozumieniem pokiwał głową. – To tak jak mojej dalekiej kuzynce, Basi, pamięta ją panienska?

Miranda w milczeniu pokiwała głową.

– Ich też zabrali, jej ojciec, brat stryjeczny mojej świętej pamięci małżonki, był urzędnikiem w magistracie, i jak ich zabrali, to wróciła tylko Basia. W czterdziestym piątym czy szóstym... już nie pamiętam... Biedaczka umarła po kilku miesiącach. Ciągle tylko płakała. Miała tak przeżarte przez gruźlicę płuca, że lekarze się dziwili, że jeszcze żyje. I wie panienska, co mi się do tej pory wydaje? Że te doktory i tak na nic by się zdały. Ona nie chciała żyć. Wróciła tu, bo nikogo tam nie miała, wszyscy pomarli. Panienska to przynajmniej wróciła do domu, do rodziny, do matki i brata. Jest dla kogo żyć. A Basia, biedaczka, nikogo tutaj nie miała i nie mogła się tu odnaleźć, oj, nie mogła. Nic, tylko płakała całymi dniami.

Miranda słuchała w zamyśleniu. Nie przerywała mężczyźnie. Od czasu do czasu wycierała policzki fartuchem.

– Można jeszcze jednego papieroska? – zapytał, wyciągając rękę do leżącej na stole paczki. Miranda zachęcająco pokiwała głową. – Wypalę jeszcze jednego i idę dalej. Zasiedziałem się tu u panny Mirandy.

– A niech pan mi jeszcze opowie coś o moim tacie – poprosiła.

– A! Pan Emilian! Boże, świeć nad jego duszą. – Zaciągnął się tak, jak to robią tylko nałogowi, wieloletni palacze. Bardzo mocno, aż po samo dno płuc, zachłannie i zawzięcie. Zrobił krótką pauzę, wypuścił dym ustami i mówił dalej: – Pan Emilian to już nigdy się nie pozbierał po tym, jak was zabrali. To już nie był ten sam człowiek. Chyba z tej zgryzoty zapadł się jakby w sobie, zmarniał, zdiadział.

Miranda aż się wyprostowała.

– Jak to? Co to znaczy: zdiadział? Co pan ma na myśli?

Listonosz westchnął.

– A wie to panienska, jakiego dziada z człowieka potrafi gorzałka zrobić. Porządni ludzie od niej dziadzieją.

– Jak to? O czym pan mówi? Mój ojciec? To niemożliwe. Jak tak można!

Poczuła wstyd i jednocześnie oburzenie jak nastolatka, przy której ktoś źle powiedział o jej rodzinie.

Anatol spojrział na nią zmieszany. Zaciągnął się szybko dwa razy, wstał i zgasił niedopałek w popielniczce.

– No, na mnie już czas. Miło tu u panny Mirandy, ale robota czeka.

– Zaraz, zaraz, proszę mi powiedzieć, wyjaśnić – podniosła głos, ręce jej drżały.

– A co tu stare dzieje wspominać. A poza tym stara głowa, to może i wszystko mi się pomyliło. Pan Emilian to był porządny człowiek, prawdziwy przedwojenny oficer. Szkoda, że takich ludzi już nie ma.

Nagle z sypialni rozległ się kaszel i wołanie Januszka.

– O! Januszek się obudził. – Anatol zgarnął ze stołu czapkę i przerzucił torbę przez ramię. – Proszę powiedzieć pani Marii, że zajrzę kiedy indziej. Uszanowanie pannie Mirandzie – pożegnał się i wyszedł.

Jeszcze sekundę stała z chaosem w głowie. Kolejne niespokojne krzyki brata obudziły ją z odrętwienia. Otworzyła drzwi do sieni, aby przewietrzyć kuchnię z dymu, i pospieszyła do sypialni.

# ROZDZIAŁ XXI

KWIECIEŃ 1951

Po błękitnym niebie sunęły maleńkie, puchate obłoczki. Wiosenne słońce przypiekało, ale po niedawnej odwilży i deszczach na ulicach Bojar nadal zalegało błoto. Miranda skrzywiła się, patrząc na swoje trzewiki. Matka kazała jej włożyć najlepszą, zimową jesionkę, więc dziewczyna się zgrzała. Rozpięła guziki palta i rozchyliła poły, a potem otupała buty na skrawku suchego chodnika na Warszawskiej. Oparła się o mur szkoły i zapaliła papierosa.

Nie patrzyła na przechodniów, nie zwracała uwagi na mijające ją auta, stała i spoglądała w niebo ponad dachami i pustymi jeszcze koronami drzew. Nadal brakowało jej przestrzeni, brakowało bezkresnych łąk, gdzie wzrok mógł się oprzeć dopiero na odległych wzgórzach. Tej przestrzeni, w której łatwiej było oddychać. Ile to miesięcy nie opuszczała miasta? Czy już zawsze będzie żyła pomiędzy ciasnymi budynkami, zatłoczonymi chodnikami, brukowanymi ulicami? Dusił ją zapęty pod szyją kołnierzyk białej bluzki.

Myśl o przyszłości przypomniawszy Mirusi, po co tu przyszła. Zaciągnęła się ostatni raz papierosem, przydeptała niedopałek i po chwili stanęła na środku szerokiego, mrocznego korytarza. Nigdy wcześniej tutaj nie była. Pamiętała, że przed wojną w tym budynku przy Warszawskiej mieściło się gimnazjum imienia Józefa Piłsudskiego, nazwane tak dla upamiętnienia jednej z wielu wizyt marszałka w Białymstoku. Wyłożone pociemniałą boazerią ściany wydawały z siebie słaby zapach starego drewna.

Miranda rozejrzała się w obie strony. Pusto i cicho. Żadnej wskazówki, dokąd teraz pójść. Najchętniej by stąd uciekła i wróciła do bezpiecznego domu, do Januszka. Ruszyła w prawo. Mijała zamknięte masywne drzwi, ukryte w głębokich wnękach, i zakurzone gabloty. Miała wrażenie, jakby wszystko wokół pokryte było wilgotną, śmierdzącą stęchlizną. Im bardziej

oddalała się od wejścia do budynku, tym zapach był mocniejszy. Oklejał ją całą i spowalniał ruchy. Na końcu korytarz się rozszerzał; dwa małe okna były tak samo mroczne jak ściany. Od dawna niemyte szyby nie wpuszczały ani odrobiny słonecznego światła z zewnątrz. Miranda była niemal pewna, że na tych szybach nadal widać sadzę z wojennych pożarów.

Nagle rozległo się przytłumione terkotanie telefonu. Podskoczyła i przycisnęła rękę do piersi. Serce biło szybko. Nadal nie mogła pozbyć się lęku, ogarniającego ją przy każdym gwałtownym, niespodziewanym dźwięku. Telefon umilkł i usłyszała kobiecy głos. Nasłuchiwała chwilę. Podeszła do drzwi, za którymi jakaś kobieta kończyła rozmowę, i zapukała. Odpowiedziało jej echo z drugiego końca korytarza.

– Proszę – usłyszała, chociaż nie brzmiało to zapraszająco.

Otworzyła drzwi i stanęła w wejściu do pokoju. Oślepił ją blask z okna. Pomieszczenie zalewały promienie słońca.

– Tak? – spytała kobieta, której Miranda nie widziała, może jedynie poza zarysem sylwetki za biurkiem w złotej plamie światła.

Poczuła intensywny zapach różanej wody toaletowej, który wraz ze wszechobecną stęchlizną tworzył duszącą mieszankę.

– Ja do pana Hałłejki – wydusiła z siebie.

– Na końcu korytarza po prawej, sala numer dwanaście – usłyszała w odpowiedzi.

Zamknęła drzwi, mrucząc pod nosem „do widzenia”, i przystanęła na korytarzu.

Potrzebowała chwili, aż porażone światłem oczy przywykną znowu do mroku. Ruszyła z powrotem, przyglądając się drzwiom i przytwierdzonym do nich numerom. W gablotach widziała niewyraźne zdjęcia, grawerowane tabliczki, zakurzone, wypłowiałe sztandary. Na wysokości wejścia do budynku odetchnęła głęboko, wciągając do płuc odrobinę świeżego powietrza wpadającego przez półprzymknięte drzwi. Nagle usłyszała za sobą głos. Znowu serce jej podskoczyło.

– A ona do kogo? – Pytanie odbiło się echem od ścian korytarza.

Odwróciła się. W otwartych drzwiach stała niska, korpulentna kobieta. W jej dłoni dumnie sterczał trzonek szczotki, na dole owiniętej szmatą. Drugą rękę oparła na biodrze i przechyliła na bok obwiązaną chustką głowę, czekając na odpowiedź. Jej pewna siebie postawa i ten drąg w ręce sprawiły, że przed oczami Mirandy stanął obraz sierzant Iwany Iwanowny, znieawidzonej przez



wszystkich strażniczki, która okrucieństwem znacznie przewyższała szeregowych czerwonoarmistów. Serce Mirusi jeszcze bardziej przyspieszyło, jej gardło zacisnęło się, uniemożliwiając wydobyć głosu.

– Przecie, do kogo, pytam! – powtórzyła kobieta ze szczotką, widocznie zniecierpliwiona brakiem odpowiedzi. Zaciągała śpiewnie słowa w typowy dla Podlasia sposób. – A co mnie tu stoi i podłogę zdeptuje, ha?!

– Ha!lejko – wykrztusiła w końcu Miranda.

Tamta z dezaprobatą pokręciła głową.

– A to czemu nie mówi od razu, że do pana dyrektora? Nu, tam, na końcu korytarza i w prawo, drzwi roztwarte będą. – Pokazała brodą kierunek i pochyliła się, zaczynając swoją robotę.

Miranda stała jeszcze chwilę, uspokajając oddech. To tylko sprzątaczką ze szczotką, powtarzała sobie w myślach. Matko Boska, przecież to tylko woźna. Przyszłam tu i muszę to załatwić. W końcu nie takie rzeczy w życiu załatwiałam. Odetchnęła głęboko i klepnęła się po udach, aby sobie dodać odwagi.

– Co było, minęło, już nie ma. Wszystko jest dobrze – powiedziała szeptem. Oddychała głęboko, by uspokoić nerwy.

Usłyszała kroki sprzątaczką i szuranie szmaty na wyłożonej płytkami ceramicznymi podłodze. Po chwili kobieta zaczęła cicho nucić jakąś wesołą piosenkę. Melodia niosła się po korytarzu, docierając do uszu dziewczyny. Miranda odetchnęła jeszcze raz; ta prosta melodia, obecność drugiego człowieka, może własne słowa zachęty, dodały jej odwagi. W końcu postanowiła przecież, że więcej tu nie wróci. Mówiła matce, że nie ma ochoty chodzić do żadnej szkoły. Musi to załatwić i wrócić do domu, a załatwić trzeba tak, żeby matka już więcej o tej szkole nie wspominała. Wyprostowała się i ruszyła. Rzeczywiście drzwi za zakrętem korytarza były otwarte. Podeszła już odważniej i mocno w nie zapukała.

– Proszę! – usłyszała.

Weszła do pomieszczenia. Była to zwyczajna klasa, ze szkolnymi ławkami pomalowanymi olejną farbą w kolorze musztardy i kałamarzami w otworach pulpity. Zupełnie taka sama, jaką zapamiętała ze swojej szkoły. Jakby nagle przeniosła się w czasie i znowu stała się uczennicą gimnazjum. Pewną siebie, wesołą dziewczyną i prymuską w szkole. Dygnęła grzecznie, jak na dobrze wychowaną panienkę przystało.

Siedzący na katedrze mężczyzna spojrział na nią znad okularów opuszczonych

na końcówkę wydatnego nosa i skrzywił się. Znad starego, zniszczonego biurka wystawały jedynie szczupłe ramiona. Pomimo ciepłych promieni słońca tamten miał na sobie marynarkę i sweter, a także koszulę z wysokim kołnierzykiem i krawat. Jego marynarka była tak samo zakurzona i spłowiała jak sztandary na korytarzu. Leżały przed nim rozłożone zeszyty. Pasował do tego miejsca i dopełniał je w sposób wręcz idealny.

– Proszę? – zachęcił Mirandę zachrypniętym głosem wieloletniego nauczyciela.

Nad nim na ścianie wisiały dwa duże portrety. Jeden z dwóch wizerunków Miranda doskonale знаła i szczerze go nienawidziła.

– Jestem Miranda Szamreta i miałam się tutaj do pana dyrektora dzisiaj zgłosić.

Wyprostował się, lecz położenie jego ramion nie uległo zmianie, a jedynie wyciągnął głowę, ukazując długą, pomarszczoną szyję.

Żółw, pomyślała Miranda, nadając dyrektorowi przydomek. Tak zawsze robiły w szkole. Nadawały nauczycielom przezwiska i zmieniały je raz w miesiącu, żeby nikt się nie zorientował. Poczuli się pewniej i podeszła do katedry. Stała przed mężczyzną i czekała, obiema rękoma trzymając przed sobą małą, pożyczoną od matki torebkę oraz szarą papierową teczkę.

– A w jakiej sprawie?

Nagle zdała sobie sprawę ze swojego niedopatrzenia.

– Ach, przepraszam, chyba źle się przedstawiłam, jestem Miranda Szamreta, córka Marii Stasiak. Mama rozmawiała z panem dyrektorem w sprawie przyjęcia mnie do szkoły.

– Ach! Tak! – Ha!lejko, słysząc znane mu nazwisko, wykrzywił usta, być może miał to być uśmiech. – Chciałaby pani podjąć naukę w liceum dla dorosłych?

Mirusia wzruszyła ramionami. Nie było sensu tłumaczyć, że ona sama nie chce podejmować żadnej nauki i to pomysł matki, żeby tu przyszła.

– Czy ma pani ze sobą świadectwa szkolne? Niech pani siada, proszę. – Wskazał jej ręką ławkę w pierwszym rzędzie.

Usiadła, wpasowując się w ławkę. Znowu powróciły wspomnienia, te dobre, najlepsze, sprzed wojny.

– Tak, mam. – Położyła na pulpicie teczkę; otworzyła ją i podała mężczyźnie za biurkiem kilka pożółkłych dokumentów.

Aby po nie sięgnąć, musiał się unieść na krześle. Zaczął przeglądać jej

świadczenia.

– Świetne cenzurki, same bardzo dobre oceny – mrucał.

– Najpierw chodziłam do szkoły powszechnej numer jeden, przy Pałacowej... to znaczy nie wiem, jak teraz ta ulica się nazywa, a potem do gimnazjum Zeligmana.

Hałlejko się skrzywił.

– Tak, taa – mruknął.

– Wie pan do którego? – spytała Miranda. – Na Sienkiewicza. To bardzo dobra szkoła, tylko dzieci z dobrych domów.

Dyrektor szkoły skrzywił się jeszcze bardziej i chrząknął.

– A gimnazjum kiedy pani skończyła?

– W zasadzie to w trzydziestym dziewiątym.

– A co potem?

– Potem? – zdziwiła się Miranda.

– No tak, jak pani kontynuowała naukę?

Westchnęła, oparła się plecami o ławkę i odpowiedziała:

– Potem to już kontynuowałam naukę w okręgu chanty-mansyjskim. Ponad dziesięć lat. Wie pan zapewne, gdzie to jest?

Odpowiedziało jej ponowne chrząknięcie. Dyrektor spojrzał na nią okrągłymi oczami i skulił ramiona.

– Na wschód od Uralu, nad rzeką Irtysz. Tam kontynuowałam naukę: wycinka drzew, spławianie drewna, gotowanie zupy z kory świerkowej i moroszki...

– Tak, tak – przerwał jej i znowu wziął do ręki świadectwo. – I oceny widzę dobre, oj, dobre. Jakie przedmioty były najciekawsze?

Bawiła ją rozmowa z tym małym belfrem, zasuszonym jak relikw z dawnych czasów, w tej starej szkolnej sali. Uśmiechnęła się, widząc, jakie wrażenie zrobiła na nim wieść o zsyłce i latach spędzonych na Syberii. Czuła, że to dobry i poczciwy człowiek, nauczyciel starej daty.

– Ale kiedy? – odpowiedziała pytaniem. – Bo w szkole to biologia i matematyka, a potem ziołolecznictwo i gotowanie papki z igieł cedrowych. Mówili nam, że to dobre na szkorbut, i kazali jeść. Ale moroszka jest lepsza.

Hałlejko jęknął, co zabrzmiało jak dźwięk, który wydaje pękająca szkolna ławka. Poprawił się niecierpliwie na krześle i rozejrzał wokół. Nie wiadomo po co, bo przecież byli sami w sali.

– Tak, tak – powtórzył jeszcze raz i znowu chrząknął. – A język radziecki pani zna?

– A co to takiego? – spytała zaczepnie. – Rosyjski znam, i to bardzo dobrze. A radziecki to jakaś odmiana?

Z rozbawieniem obserwowała, jakie wrażenie zrobiły na nim jej słowa. Nie wiedziała, czy to zmieszanie, czy obawa.

– Tak, taa...

Czy on zawsze tak robi? – pomyślała. Jeszcze raz zerknął na świadectwo.

– Szamreta, tak?

– Tak, matka zmieniła nazwisko i dlatego ona ma inne – rozgadała się Miranda – nazywam się Miranda Szamreta. Z tych Szamretów – dodała z naciskiem. Mężczyzna za biurkiem skulił się jeszcze bardziej. – Mój ojciec pochodził z Rozedranki. Wie pan, tej pod Grodnem, nie pod Sokółką. Tam teraz jest Republika Białoruska. Sowietskij Sojuz.

Hałłejko poprawił się niespokojnie na krześle i znowu powiódł wzrokiem po martwych ścianach.

– A z tej Rozedranki, to... to wasz ojciec z czworaków? – zapytał z nadzieją, a może z sugestią w głosie. Miranda nie chciała dociekać jego intencji.

– Nie, ze dworu – oświadczyła z dumą.

No, teraz już mam szkołę z głowy, pomyślała.

– Tak, taa. – Zdecydowanym ruchem oddał jej świadectwa, jakby nie chciał mieć z tym nic wspólnego. – Na chwilę obecną nie mamy wolnych miejsc w pierwszej klasie. Nie przyjmujemy nowych uczniów.

– Jak to, nie ma miejsc? – dopytywała się Miranda bez żalu.

– Nie ma.

– I nie znajdzie się żadne do września?

– Nie, nie znajdzie.

– Na pewno?

Dyrektor spojrzał na nią uważnie znad okularów.

– Proszę przyjść w sierpniu lub we wrześniu. Może będzie mniej chętnych do pierwszej klasy lub ktoś zrezygnuje – oświadczył bez odrobiny przekonania. Nasunął okulary na nos i przysunął do siebie jeden z czytanych wcześniej zeszytów. – Do widzenia – rzucił, nie patrząc już na nią.

Miranda wyszła z lekkim sercem. Ma to z głowy. W korytarzu minęła sprzątaczkę, która patrzyła z oburzeniem, jak młoda kobieta zdeptuje świeżo umyte płytki.

– Jaka czysta podłoga! Błyszczą jak w kościele farnym. Aż żal po niej chodzić! – zawołała z uśmiechem Miranda i wyszła na jasny letni dzień.

W ciepłym powietrzu unosił się zapach wiosny. Postanowiła wrócić do domu spacerkiem. Nie spieszyła się. Matka została z Januszkiem, miał więc dobrą opiekę, a ona, Mirusia, musiała się zastanowić, w jaki sposób przekazać Marii, że nici ze szkoły.

\*\*\*

Weszła do domu przez otwarte na oścież drzwi od sieni. Oba kuchenne okna również były otwarte. Przy szybie jednego z nich trzepotał duży biały motyl. Januszek stał pod oknem i z otwartą buzią wpatrywał się w owada. Matka gotowała obiad.

– Może trzeba by coś w ogrodzie zrobić – powiedziała Miranda i usiadła na krześle. Momentalnie podbiegł do niej Januszek i niezdarnie, przy pomocy siostry wgramolił się jej na kolana, gaworząc radośnie. – Co tam, maluchu? Co porabiałeś, jak mnie nie było?

– Zaraz będzie obiad – oznajmiła matka.

– Nawet nie jestem głodna w taki piękny wiosenny dzień.

Maria zadzwoniła łyżką, pokrywka uderzyła o garnek. Januszek starał się włożyć paluszki siostrze do nosa. Robił to z miłości, a ona ze śmiechem odsuwała się, jak mogła.

– Co tak długo? – zapytała matka.

– Autobus mi uciekł i wracałam na piechotę.

– I jak ci poszło? Kiedy zaczynasz szkołę? – zapytała Maria takim tonem, jakby to było pytanie retoryczne, jakby doskonale znała odpowiedź.

Stanęła przed córką i wzięła się pod boki.

– Nie, nie zaczynam.

Matka ze zdumienia aż opuściła rękę.

– Ale jak to? – zapytała. – Przecież wszystko było ustalone. – Usiadła, wyraźnie zatroskana, na krześle obok córki.

– Januszek, daj mi porozmawiać! – zaśmiała się Miranda, kiedy brat próbował chwycić ją za krótką kitkę z dłuższych już włosów.

– Aaaałłeee! – zawołał do niej.

– Idź i poszukaj jakiejś zabawki, a ja zaraz przyjdę, dobrze? – zaproponowała chłopcu.

Niezgrabnie zsunął się z jej kolan i na wpół na czworakach, na wpół

pełznąć, skierował się w stronę stołowego. Zajmie mu to chwilę, pomyślała Miranda.

– Dyrektor Hałłejko powiedział, że nie mają wolnych miejsc w tym roku szkolnym.

– Jak to, nie mają miejsc?

– Po prostu, nie mają, widocznie jest wielu chętnych do nauki.

– A od września? Możesz przecież rozpocząć naukę od września.

– Od września też nie będą mieli miejsc.

– Już to wiedzą, że nie będą mieli miejsc?

Miranda pokręciła głową i wzruszyła ramionami. Matka siedziała zasmucona.

– I co ty tak to mówisz spokojnie, siedzisz tu sobie i się krzywisz. Co teraz będzie? Nic cię to nie obchodzi?

Dziewczyna pochyliła się i położyła dłoń na rękę matki.

– Niech się mama tak nie martwi. Oczywiście, że mnie obchodzi, tylko co zrobić? Nie ma miejsc i już.

– Nic się nie da zrobić?

Miranda zastanawiała się chwilę.

– Hałłejko powiedział, żeby przyjść w sierpniu, w drugiej połowie, może ktoś zrezygnuje, a jak nie, to w przyszłym roku będę miała pierwszeństwo – oświadczyła z uśmiechem.

– Tak powiedział?

Miranda znowu poklepała matkę po rękę.

– Tak, tak, niech mama się nie martwi. Pójdę tam w sierpniu, przypilnuję, a jak nie, to zacznę za rok. To i tak niczego nie zmieni.

– Może i racja – odrzekła Maria – to tylko rok. Jezus Maria! – krzyknęła nagle. – Moje ziemniaki się przypalają! – Zerwała się z krzesła i podbiegła do kuchni.

Po mieszkaniu rozszedł się zapach spalenizny.

\*\*\*

Trzy dni później rozpętało się piekło, jakiego Miranda się nie spodziewała. Wiedziała, że matka będzie niezadowolona, ale Maria wręcz wpadła w furję.

– Czyś ty zwariowała? – piekliła się Stasiakowa.

Januszek siedział na podłodze i walił drewnianą łyżką w deski, hałasując niemiłosiernie. Wydawało się, że matka ani tego nie widzi, ani nie słyszy.

– Coś ty tam nawygadywała? Nawet nie wiesz, jak ja musiałam się nakłamać, nagadać, żeby Hałlejko nigdzie z tym nie poszedł! Do końca życia będę musiała mu kiełbasę wozić!

Januszek tłukł łyżką coraz mocniej, a Miranda siedziała przy stole i przyglądała się bratu. Maria stała nad nią i machała rękoma z zapamiętaniem.

– Szkoła dla elity? Z dobrego domu? Co cię opętało? Już nie ma dobrych domów! Jakbyś nie zauważyła, te czasy się skończyły! Majątkiem rodzinnym na Białorusi przy ludziach świecić? Rozum straciłaś? Januszek! – oberwało się i chłopcu. – Przestań się tłuc!

– To przez ten guzik – wyjaśniła Miranda.

Maria znieruchomiała.

– Co przez guzik? Jaki guzik?

– Guzik mu tam wpadł.

Stasiakowa opuściła ramiona i usiadła na krześle zrezygnowana. Pewnie zauważyła wreszcie, że jej słowa nie robią żadnego wrażenia na córce.

– Zwariowała dziewczucha – oświadczyła w końcu.

Miranda się uśmiechnęła. Miała dobry nastrój i złość matki nie wytrąciła jej z równowagi. Zresztą i tak spodziewała się awantury z powodu tej szkoły.

– Guzik wpadł pomiędzy deski i Januszek próbuje go wydostać – wyjaśniła spokojnie.

– Auuu! Eeełlee! – potwierdził chłopczyk i zaczął jeszcze mocniej walić łyżką w podłogę.

– Ja oszaleję w tym domu wariatów! – krzyknęła Maria, ale Miranda poznała, że pierwsza złość już minęła.

Matka wstała z krzesła i wyciągnęła nóż z szuflady kredensu za plecami Mirandy. Dziewczyna poczuła lekki zapach lawendy unoszący się z matczynej spódnicy. Maria podeszła do siedzącego na podłodze chłopca i spojrzała w szparę w podłodze. Wygrzebała nożem błyszczący, posrebrzany guzik i oddała go chłopcu. Ten pisnął z radości i zaśmiał się głośno. Maria pokręciła głową.

– Jeden głupi guzik i tyle radości – powiedziała, dźwigając się z podłogi. – A z tobą jeszcze nie skończyłam, moja panno! – Pogroziła palcem córce, jakby ta znowu była krnąbrną uczennicą gimnazjum. Potem usiadła przy stole i zaczęła: – Co ty w ogóle masz zamiar robić w życiu? Co?

– Nie wiem – odpowiedziała niewzruszona Miranda.  
– Nic nie umiesz, zawodu żadnego...  
– Coś tam umiem... – wtrąciła spokojnie.  
Maria ze złością uderzyła dłonią w stół.  
– Nawet mi o tym nie wspominaj! Za zabobony, ciemnotę i znachorstwo można do więzienia trafić. Ani mi się waż, dopóki ja i Januszek żyjemy! Rozumiesz? Drugi raz już tego nie przeżyję.  
– Niech się mama tak nie emocjonuje. Przecież nie robię nic złego, dobrym ludziom pomagam.  
Głośno wypuściła powietrze z płuc. Policzki miała zaczerwienione z emocji.  
– Pomagam, pomagam – przedrzeźniała ją Maria. – A mnie dzielnicowy już pytał o ciebie. Ludzie gadają.  
– I co mama mu powiedziała?  
– Powiedziałam, że to nieprawda, że ludzi leczysz, że tobie się tak wydaje, bo ci rozum na tym Sybirze odebrało. Płakałam i lamentowałam, że z ciebie to już nic nie będzie. Chyba dużo się nie pomyliłam.  
– Są tacy, co podobno z takich zabobonów nieźle żyją.  
Maria uniosła ręce z bezsilności.  
– Opamiętaj się! Chcesz ludzi leczyć za pieniądze? Zarabiać? To idź do szkoły! Zostań lekarzem, pielęgniarką, kim tam sobie chcesz. A jak nie chcesz do szkoły chodzić, to chociaż męża sobie...  
Przerwała, bo nagle stuknęły drzwi wejściowe, a w sieni rozległy się szybkie kroki. Nie minęła sekunda, jak drzwi do kuchni otworzyły się z hukiem i stanęła w nich zdyszana Adela. Cała jej twarz i postać promieniały radością.  
– Maryśka! Miruśka! – zawołała zasapana i padła na krzesło obok Marii. – Ojej... tak... się spieszyłam...  
– Czekaj, powoli, odsapnij – powiedziała Maria, jeszcze zirytowana i niezadowolona z nieoczekiwanej wizyty. – Boże, co za czort cię przygnał, i to jeszcze w takim momencie! – dodała ze zmarszczonymi brwiami, patrząc na córkę.  
Adela rozejrzała się po kuchni, popatrzyła na obie kobiety.  
– A co tu u was się dzieje? Aż gęsto od złości.  
– A, długo by mówić! – Zrezygnowana Maria machnęła rękoma.  
Adela spojrzała na Mirandę, ale ta odwróciła się i wstała od stołu. Nalała do porcelanowego kubka odrobinę soku z porzeczek i dołała przestudzonej wody z metalowego garnuszka. Podała kubek ciotce, która wypija wszystko



paroma haustami.

– Dobre wieści wam niosę! – powiedziała, odstawiając pusty kubek. – Przybiegłam tu, jak tylko usłyszałam.

Maria spojrzała na szwagierkę z powątpiewaniem, nadal naburmuszona, ale złość powoli jej mijała.

– Dostałaś podwyżkę – spróbowała odgadnąć.

– Nie, nie, to zupełnie nie to!

– Rzucili pomarańcze na Suraskiej do delikatesów!

Adela spojrzała na nią z naganą.

– Reszkowa przyszła dzisiaj do nas do cechu i...

– Kto to Reszkowa? – wtrąciła Miranda.

– Taka jedna, dobrze za mąż wyszła, niektóre tak potrafią – odpowiedziała Maria, patrząc znacząco na córkę, po czym zwróciła się do Adeli: – Jak Reszkowa, to jej mąż sekretarzem wojewódzkim został! – zgadywała dalej.

– Nie, nie – Adela nadal sapała, policzki miała zaczerwienione jak nie ona – dajcie mi powiedzieć. Właśnie Reszkowa przyszła dzisiaj do cechu i powiedziała, że przyjeżdża do Białegostoku profesor kardiolog. Z Moskwy. Podobno specjalista od dzieci.

Maria i Miranda patrzyły na nią, nie rozumiejąc. Adela potrząsnęła swoją kształtną głową, owiniętą grubym warkoczem.

– Halo! Mówi się! Profesor! Kardiolog dziecięcy! Z akademii w Moskwie. Będzie u nas w przyszłym miesiącu. Nie rozumiecie? Na maszynie mam wam to napisać?

– Kardiolog? – zapytała Miranda. – Taki doktor od serca? – upewniła się, że dobrze zrozumiała.

– A tak, właśnie taki od serca. Przyjeżdża do tego nowego szpitala wojewódzkiego, co go budują przy Piwnej. Podobno mają tam otworzyć oddział dla dzieci. Władek sprawdził przez swoje znajomości i potwierdził. Obiecał, że załatwi konsultację dla Januszka.

– Konsultację... – powtórzyła jak automat Maria.

– Tak, u prawdziwego kardiologa. Januszek będzie miał konsultację w przyszłym miesiącu. Już możecie zacząć się szykować.

Wreszcie zrozumiały, dotarł do nich sens wielkiej nowiny, z jaką przyszła Adela. Nagle jakby coś w nie wstąpiło. W kuchni zawrzało; Maria i Miranda zerwały się z krzeseł i podbiegły, żeby ją uściskać.

– Udusicie mnie, powoli – wzbraniała się ze śmiechem.

Matka i córka biegały po kuchni i mieszkaniu, ścisnęły się, śmiały, poklepywały po plecach, snuły plany, przekrzykiwały się wzajemnie. Maria wygrzebała jakieś stare badania syna, Mirusia przyniosła spodnie, najlepsze, jakie miał Januszek, do przymierzenia, bo przecież brat nie pójdzie w byle czym na wizytę i badanie do profesora. Radio ryczało na cały regulator, a Adela śpiewała głośno razem z nim:

*To idzie młodość, młodość, młodość  
I śpiewa swym chórem piosenkę jak wiatr.  
I spadnie jak burza, jak w maju ulewa,  
Po której odradza się świat...*

*Na budowy młode dłonie, na budowy młoda myśl!  
Potrafimy jutro bronić tego, co tworzymy dziś.  
To idzie młodość, młodość, młodość  
I śpiewa swym chórem piosenkę jak wiatr.*

Wykonywała przy tym dziwaczne ruchy rękoma i kręciła biodrami, co przy jej smukłej sylwetce i długiej szyi wyglądało jak taniec godowy bociana. Po chwili dołączyły do niej Maria i Mirusia i wszystkie trzy podrygiwały w takt piosenki. Wołały jedna przez drugą, przekrzykując radio:

- Januszek!
- Jest nadzieja dla Januszka!
- Kardiolog dziecięcy! Dzięki Bogu.

A bohater tego całego zamieszania siedział na podłodze i z zapamiętaniem walił drewnianą łyżką w podłogę, starając się trafić w szparę, w której znowu błyszczał srebrny guzik.

## ROZDZIAŁ XXII

KWIECIEŃ 1951

Miranda siedziała przy stole kuchennym, czytając *Zbrodnię i karę*. Była zafascynowana tą powieścią. Historia Raskolnikowa idealnie pasowała do tego, co się działo w jej duszy. Przez ostatnich jedenaście lat życia niejednokrotnie zadawała sobie pytanie, jaką zbrodnię popełniła, że znalazła się w tamtym odległym, nieprzyjaznym ludziom miejscu. Co takiego musiała odpokutować ciężką, katorżniczą pracą w syberyjskiej tajdze? Czy gdyby popełniła zbrodnię, gdyby rzeczywiście dopuściła się okrutnego lub szkaradnego czynu, byłoby jej łatwiej znieść zsyłkę? Czy poczucie winy i chęć odpokutowywania popełnionego zła pomagają przetrwać najtrudniejsze?

Migoczące światło świecy rozpraszało mrok. Znowu wyłączyli prąd. Miranda siedziała w kuchni. Już od paru godzin czekała na matkę. Oczy ją bolały od tych małych literek i kiepskiego światła. Od wczoraj w sercu dziewczyny odżyła złość na Marię. Tobołek z rzeczami, które przywiozła ze sobą z Syberii, zniknął z kąta sieni. Chciała się dowiedzieć, co się stało z jej własnością i dlaczego nikt jej nie zapytał, czy można to zabrać.

Tykający głośno zegar ścienny w pokoju stołowym odmierzał upływające minuty. Miranda przysypiała, zmęczone oczy zamykały się same. Już niemal usnęła, kiedy usłyszała przytłumione głosy. Wstała od stołu i podeszła do okna. Od jej oddechu zaparowała szyba. Przetarła ręką zimne, wilgotne szkło. Wyrzała na podwórze. W mroźnym, przejrzystym powietrzu dojrzała dwie osoby stojące przy furtce z drewnianych sztachet.

W jednej z nich natychmiast rozpoznała matkę. Druga postać, męska, była jej nieznaną. Jakiś mężczyzna, niewiele wyższy od jej matki, ubrany w długą, dobrze skrojoną jesionkę, opowiadał coś, gestykulując żywo. Matka śmiała się i odchyłała głowę do tyłu. Od czasu do czasu machała rękoma, a wisząca na

jej rękę torebka wykonywała taniec w powietrzu. Miranda stała i przyglądała się tym dwojgu. Słyszała głosy, ale nie potrafiła rozpoznać słów. Po chwili umilkli, ręce obojga uspokoiły się, a torebka matki zawisła nieruchomo.

Jeszcze przez moment stali, rozglądali się dookoła lub patrzyli pod nogi. Miranda z tej odległości i zza ściany poczuła unoszące się przy furtce skrzępowanie. W końcu mężczyzna uklonił się nisko i uchylił kapelusza. Maria podała mu rękę, którą chwycił w obie dłonie i złożył na niej pocałunek. Zbyt długi, zdaniem dziewczyny. Matka odwróciła się i weszła przez furtkę na podwórze. Mirusia odeszła od okna i usiadła przy stole.

– A co ty tu tak siedzisz po ciemku? – zapytała Maria, wchodząc z sieni do środka, wyraźnie zaskoczona obecnością córki w kuchni. – Myślałam, że już śpisz. – Chodziła po podłodze bez butów i kapci, tylko w cienkich pończochach. – Zimno! – zawołała; podeszła do nagrzanej płyty i wyciągnęła nad nią dłonie. – Mam nadzieję, że to już ostatnie takie zimne noce. Toż to koniec kwietnia.

– Zimno robi się tylko późno w nocy, gdyby mama wracała do domu wcześniej, toby nie zmarzła.

Miranda przyglądała się matce. Chwiejny krok, niepewne, miękkie ruchy. Przyklejony do twarzy szeroki uśmiech. Maria Stasiak wyraźnie była pod wpływem alkoholu.

– Jest trzecia w nocy – ciągnęła dziewczyna. – Jak mama zamierza iść na targ?

– To miło, że się o mnie troszczysz – odpowiedziała z uśmiechem Maria. – Jutro, a raczej dzisiaj – poprawiła – wcale nie idę na rynek – oświadczyła, podchodząc do kredensu. – Co tu tak ciemno? Znowu światła nie ma? Masz ochotę na kieliszek nalewki?

Miranda nie zareagowała na propozycję.

– Jak to nie idzie mama? A co z towarem?

– Eee tam! Parę kiełbas, sprzedam je pojutrze po domach.

– A nie lepiej na rynku? Na rynku lepsza cena i pójdą szybciej.

Maria postawiła na stole dwa pełne kieliszki wiśniówki. W słabym świetle świecy nalewka wydawała się niemal czarna.

– O! Znasz się na tym coraz lepiej. Bardzo dobrze. – Maria patrzyła na nią wciąż z tym głupawym pijackim uśmiechem i błyszczącymi oczyma.

– To nie lepiej było wcześniej wrócić i iść normalnie na rynek? – zapytała znowu córka. Zamiast włóczyć się po mieście i upijać, dodała w myślach.

Stasiakowa usiadła, oparła się plecami o krzesło i położyła nogi na sąsiednim krześle. Miranda poczuła duszący zapach stóp matki. Łyknęła nalewki.

– Może nagrzać mamie wody do mycia? – zapytała.

Maria znowu się uśmiechnęła.

– Dobrze z ciebie dziecko – pochwaliła córkę – ale jestem skonana i idę prosto do łóżka.

Miranda zezłościła się nagle. Nie miała najmniejszej ochoty być miłą ani dobra dla matki. Czekala na nią z zupełnie innego powodu. Przecież miała o coś zapytać. A poza tym, kto to widział upijać się i wracać o takiej porze? I jeszcze do tego wystawać z gachem pod furtką?

– To ja jutro pójdę na rynek! Skoro mamie nie zależy – powiedziała ze złością.

Matka spojrzała na nią uważnie. Uśmiech znikł z jej twarzy. Spojrzenie odzyskało ostrość.

– Chcesz iść na rynek? Sprzedawać?

Miranda pokiwała głową.

– No skoro mama nie jest w stanie, to ktoś musi – oświadczyła i wychyliła nalewkę do dna.

Mocny alkohol najpierw rozlał się słodyczą na języku, a potem spłynął gorącą falą w dół, do żołądka. Po chwili poczuła przyjemne kołysanie w głowie.

Maria uśmiechnęła się i wypila swoją nalewkę.

– Jutro ma być nalot milicji na Siennym, więc lepiej tam nie iść.

– Jaki nalot? Skąd mama wie? – zapytała Miranda z niedowierzaniem.

Matka wzruszyła ramionami.

– Dowiedziałam się. Walka ze spekulantami. Nie ma sensu iść, bo można stracić towar, a nawet trafić na dołek na Warszawską. Wolę sprzedać kiełbasę taniej po domach. No, idę spać – oświadczyła i dźwignęła się od stołu.

Miranda zawahała się, nie była pewna, czy to dobry pomysł zaczynać rozmowę, kiedy Maria jest pijana. Z drugiej strony czekała na matkę pół nocy i narastająca przez cały wieczór złość nie pozwoliłaby jej teraz usnąć.

– Chciałam mamę o coś spytać, proszę mamy.

Tamta zatrzymała się w pół ruchu. Miranda specjalnie nadała swojemu głosowi poważny, wręcz dramatyczny ton.

– „Proszę mamy” – powtórzyła po niej Maria. – O! To chyba coś istotnego –

powiedziała kpiąco. – Ale musi poczekać do jutra.

– Nie! – odparła córka. – Bardzo proszę, niech mama nie kpi, bo to dla mnie ważne.

Maria usiadła z powrotem na krześle.

– Jak ważne, to nalej mi jeszcze odrobinę. – Wyciągnęła pusty kieliszek w stronę córki.

Miranda dolała nalewki i jej, i sobie. Odstawiła butelkę i usiadła po drugiej stronie stołu.

– O co więc chciałaś zapytać? – Matka łyknęła alkoholu i oblizała usta ze słodocy. Sięgnęła do leżącej na stole torebki i wyciągnęła papierosy, przypaliła jednego, nie częstując córki.

Miranda i tak nie miała ochoty na papierosa.

– Co się stało z moimi rzeczami?

Stasiakowa potrząsnęła głową.

– Z jakimi rzeczami? – Drugim haustem skończyła swoją porcję nalewki. Jej wzrok stawał się coraz bardziej mętny. Zaciągnęła się papierosem.

– Z moimi! – zirytowała się córka. – Z tymi, które przywiozłam ze sobą.

– Tymi z Syberii? – Tamta nie rozumiała. Głowa chwiała jej się na boki. Zaczęła mrużyć jakąś melodię. – Co tu tak cicho? – zawołała nagle. – Włącz radio! – rozkazała córce.

Miranda patrzyła na nią i widziała, co się dzieje. Widziała, jak alkohol przejmuje władzę nad matką. Rzeczywiście nie był to dobry czas na taką rozmowę.

– Przecież nie ma prądu – przypomniała matce. – Tak, chodzi mi o moje rzeczy z Syberii. – Z rezygnacją machnęła ręką. – Zresztą, lepiej chodźmy spać, porozmawiamy jutro.

– Dolej mi. – Matka wyciągnęła kieliszek w jej stronę.

– Idę spać. A mama ma już dość.

– Dolej, proszę – powtórzyła – to ci powiem, co zrobiłam z twoimi rzeczami.

Miranda spojrzała na matkę. Rysy Marii jakby się rozmyły. Już się nie uśmiechała. Alkohol rozluźniał mięśnie. Dziewczyna wstała, sięgnęła po karafkę do kuchennego kredensu i uzupełniła kieliszek matki.

– To nie nalewka, tylko bimber – stwierdziła.

Maria wypła odrobinę.

– Twoje rzeczy, te śmierdzące łachy, które leżały w kącie sieni? – zapytała

bełkotliwie.

Przytknęła do ust papierosa i zaciągnęła się mocno, po czym z westchnieniem wypuściła dym.

– Nie śmierdzące łachy, tylko cały mój dobytek – odparła Miranda – wszystko, co miałam, jedyna moja własność. Ubrania i rzeczy, które udało mi się zdobyć, wywalczyć w bójkach lub nawet ukraść. Każda z tych rzeczy miała dla mnie wartość.

– Jaka tam wartość?! – Maria podniosła głos i wzruszyła ramionami. – Walało się toto już tyle miesięcy i śmierdziało na całą sien! Same brudne szmaty. Od tego smrodu aż dech zapierało na wejściu.

Jej stan upojenia pogłębił się do tego stopnia, że trudno było zrozumieć poszczególne słowa. Miranda wstała zrezygnowana. Nie dogada się dzisiaj z matką.

– To były moje rzeczy, nawet jeżeli stare, zniszczone i śmierdzące, ale moje. Moja własność i chcę je odzyskać! Niektóre miały dla mnie dużą wartość. Widzę, że mama zupełnie nie rozumie, o czym mówię – żaliła się bardziej do samej siebie. – Porozmawiamy jutro, idę spać.

Matka dalej siedziała na krześle, osunęła się nisko, jedno ramię oparła na stole. Między palcami trzymała dopalającego się papierosa.

– Spaliłam – wyznała cicho i czknęła.

W Mirandę jakby piorun strzelił.

– Słucham? Co mama powiedziała? – Łudziła się, że może to tylko przesłyszenie.

– Spaliłam.

– Jak to spaliła mama?

– Po prostu. Spaliłam.

Miranda poczuła, jak twarz zaczyna jej płonąć.

– Jak to spaliła mama? Jakim prawem?! To była moja własność! – wykrzyczała, unosząc się z miejsca.

Matka nie patrzyła na nią. Jej rozbiegany wzrok prześlizgiwał się pomiędzy twarzą Mirandy, świecą, pustym kieliszkiem, dymiącym papierosem, stołem. Dziewczyna uświadomiła sobie, że jej złość jest daremna, do tamtej nic już nie docierało. Usiadła z powrotem zrezygnowana. Gdzieś w głębi duszy od samego początku, kiedy się zorientowała, że jej rzeczy zniknęły z sieni, wiedziała, że je straciła na zawsze, że przepadły.

– To było wszystko, co miałam. Nic innego nie posiadałam i nie mam –

powiedziała cicho, zaciskając szczęki ze złości. Oparła twarz na dłoniach i mówiła bardziej do siebie niż do matki. Nie sądziła, że tamta jeszcze cokolwiek słyszy. – Te niby brudne szmaty były moją jedyną własnością, moimi pamiątkami zgromadzonymi w trakcie życia w Sybirze. Były tam paciorki od Dalii i sweter od Iwana. Dał mi go, kiedy umierał, i obiecałam tego swetra bronić, nie oddać nikomu. Buty od Aleksieja i kufajka po Dance.

Miranda się rozpląkała. Łzy ciekły jej przez palce. Obok słyszała głośny oddech i kolejne czknięcia. Odjęła ręce od twarzy i nagle oślepił ją blask. Matka jęknęła. Obie żarówki żyrandola pod sufitem rozblęły jasnym światłem. Miranda zmrużyła oczy.

– Co za swołocz! Kto to widział tak w oczy świecić? – wybełkotała Maria.

Miranda, kiedy przyzwyczaiła się do światła, spojrzała z bólem na matkę. Zgasiła świecę, wyjęła niedopałek z palców matki i wrzuciła go do żaru pod płytą, zgarnęła powieść Dostojewskiego ze stołu. Podeszła do ebonitowego wyłącznika przy drzwiach i go przekręciła. W kuchni znowu zapadła ciemność. Miranda pozostawiła matkę siedzącą przy stole i z ciężkim sercem powlokła się do sypialni, gdzie spał Januszek. Leżała na łóżku, zaciskając pięści ze złości i bezsilności, aż paznokcie wbijały jej się w dłonie. Wielki żal ścisnął jej gardło. Nie mogła zasnąć. Do świtu pozostało już niewiele czasu. Zapaliła lampkę nocną i znowu zaczęła czytać *Zbrodnię i karę*. Powróciła do sceny zabójstwa. Czytanie sprawiało jej ulgę. Wreszcie twarz staruszki zaczęła wydawać się podobna do twarzy matki, a potem strażnika, który tłukł Iwana po twarzy i głowie kolbą karabinu tylko dlatego, że ten za bardzo się chwiał na rozwodzie. W końcu Miranda usnęła.

Obudziły ją promienie słońca, wpadające przez rozsunięte zasłony. Łóżko było puste. Znad jej głowy dobiegał hałas. Kroki, stukanie, łomot, gdzieś nad sufitem potoczył się jakiś przedmiot. Ktoś szukał czegoś na strychu.

Januszek – myśl o bracie pierwsza pojawiła się w jej głowie.

Miranda wstała w pośpiechu i boso, w koszuli nocnej po matce przebiegła przez pokój stołowy. Zajrzała pod stół i za tapczan, czy tam się nie schował jej brat. Tapczan matki był pusty i starannie zasłany. Również w kuchni nie znalazła Januszka. Otworzyła drzwi do sieni i zastała brata siedzącego na podłodze tuż obok stromych schodków na strych. Januszek rozpromienił się na jej widok. Kłapa w suficie była szeroko otwarta. Miranda stanęła pod nią i spojrzała w górę. W promieniach słońca, przeciskających się pomiędzy deskami poszycia dachu, wirowały drobinki kurzu i drgały stare pajęczyny.



– Auuułłłeee – ucieszył się brat.

– Już, już, Januszek, już prawie mam. – Nad ich głowami zabrzmiał przytłumiony głos matki. Nagle coś się zwaliło, zatrzęsło, huknęło. – Jest! – krzyknęła i po chwili rozległy się jej kroki.

Matka zaczęła powoli iść tyłem po schodkach. Najpierw pojawiły się jej stopy w starych chodakach. Potem kostki i brzeg spódnicy, wypięte dla zachowania równowagi pośladki, talia i jakieś pudło pod pachą, a potem już całe plecy. Schodziła powoli, stopień po stopniu. Jedną ręką przyciskała pudło, drugą trzymała się wyższych schodków, by zachować równowagę. Ramieniem i głową podpierała ciężką klapę, a ta opadała, w miarę jak Maria szła w dół. Stasiakowa sapała z wysiłku. W końcu kłapa zamknęła się, w sieni zapanował półmrok, a matka stanęła na podłodze.

– O, Mirusia! – zawołała z uśmiechem, widząc córkę.

Ta nie odwzajemniła uśmiechu. Nadal pielęgnowała w sobie żal po utraconych skarbach. Przez noc wartość rzeczy spalonych przez matkę znacznie wzrosła w oczach Mirandy. Znowu poczuła ból. Powinna była się do tego przyzwyczaić, przecież nie raz już traciła wszystko, co miała. Teraz czuła, że nie tylko boli ją ta strata. Bolał fakt, że poczuła się w tym domu pewnie, i przez te ostatnie miesiące uwierzyła, iż nie stanie jej się tutaj krzywda. Że już niczego nie straci.

– Chyba dzisiaj dobrze wypoczęłaś. Nie chciałam cię budzić, tak smacznie spałaś. – Maria uśmiechała się radośnie. Była świeża i wypoczęta, pachniała mydłem. – Januszek, chodź! – zawołała chłopca i poszła do kuchni. Przez uchylone drzwi Miranda widziała, jak matka stawia na stole pudło przyniesione ze strychu. – Jezu, ile tam kurzu. A graty zostały jeszcze po trzech pokoleniach poprzednich właścicieli. Już tyle razy obiecywałam sobie, że zrobię z tym porządek. – Otrzepywała z kurzu spódnice i zawiązany w talii fartuch.

Miranda zatrzymała się przed progiem do kuchni, czekając, aż Januszek go pokona na czworakach. Nie pomagała mu, tylko patrzyła na jego nieporadne ruchy. W końcu chłopiec przekroczył próg i podczołgał się do swojego ulubionego miejsca obok krzesła. Miał stamtąd widok na całą kuchnię i większą część pokoju. Usiadł na podłodze i uśmiechnął się szeroko, wyraźnie z czegoś zadowolony.

Dopiero teraz Miranda to zauważyła. Januszek miał zawieszony na szyi rzemyk. W okamgnieniu przyskoczyła do brata i opadła na kolana. Na rzemyk

nawleczono kilka kościanych paciorków, gdzieś tam pozostały jeszcze ślady czerwonego, żółtego i niebieskiego barwnika.

– Boże! – jęknęła dziewczyna. – To przecież... moje.

Chwyciła w dłoń swój skarb. Chciała zdjąć rzemyk z szyi brata, ale chłopiec zaprotestował.

– Eeeeeeełłuuu. Nejjjee! – krzyknął i chwycił w dłonie ozdobę, wyszarpując ją z rąk siostry, a potem odwrócił się do niej plecami.

– Januszek, pokaż – prosiła Miranda, patrząc na niego błagalnie.

– Ełeee! – protestował.

Kłęczała przed nim z wyciągniętymi rękoma.

– Mirusia, zostaw, zaraz mu się znudzi. Pobawi się chwilę i sam odda. – Usłyszała łagodny głos matki.

Wstała z kolan. Wyprostowała się i spojrzała na siedzącą na krześle Marię. Obie milczały. Miranda czuła się tak, jakby na jej gardle zacisnął się ciasny węzeł. Nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa.

Odwróciła się i podeszła do kuchni, żeby się czymś zająć. Nie mogła patrzeć matce w oczy. Nie chciała też, aby matka widziała jej twarz. Zajrzała do imbryczka na płycie, czy jest w nim esencja na herbatę. Wytarła ukradkiem łyżę. Jej paciorki od Dalii. Ostały się. Matka ich nie spaliła. Ogarnęła ją ulga, serce wypełniło się wzruszeniem. Dolała wody do czajnika i postawiła go na ogniu.

– Czy mama jadła śniadanie? – zapytała, nadal odwrócona plecami.

– Tak – odpowiedziała Maria spokojnie.

Miranda w końcu odwróciła się i spojrzała na Marię. W kącikach oczu miała łyżę.

– Nie spaliła mama wszystkiego – szepnęła. W gardle wciąż czuła wielką gulę.

– Nie spaliłam – odpowiedziała matka, głos jej zadrżał. – Pomyślałam, że mogą mieć dla ciebie wartość, więc je zostawiłam. Były w szufladzie w stole. Myślałam, że je tam znajdziesz.

Januszek przesuwiał w paluszkach grzechoczące paciorki.

– Zobacz, mam coś jeszcze dla ciebie – powiedziała Maria, wskazując duże szare pudło.

Miranda podeszła do stołu. Obie prawie jednocześnie wytarły łyżę. Córka rękawem koszuli, matka brzegiem białego fartucha.

– Co to jest? – zapytała dziewczyna.

– Zobacz.

Mirusia zdjęła zakurzone wieko i zajrzała do środka. Nogi się pod nią ugięły, opadła na najbliższe krzesło. Podniosła dłonie do twarzy i patrzyła na matkę szeroko otwartymi oczami.

Maria odpowiedziała jej spojrzeniem pełnym niepewności. Jakby zaskoczyła ją reakcja córki. Wstała z krzesła i sama zajrzała do pudła. Wyglądało to tak, jakby chciała sprawdzić jego zawartość. Uśmiechnęła się z satysfakcją i usiadła z powrotem.

– Poznajesz? – zapytała córkę. – To przecież twoje skarby.

Miranda nadal siedziała w tej samej pozie. Po jej policzkach spływały łzy. Oczywiście, że poznawała.

– Na strychu jest jeszcze jedno takie pudło. Busi – dodała matka.

Miranda siedziała jeszcze chwilę. Kiedy wypłakała już wszystkie łzy, wstała bez słowa. Wzięła pudło i poszła z nim do sypialni.

Po kilku minutach matka przysła przypomnieć jej o śniadaniu. Miranda siedziała na łóżku pomiędzy równo poukładanymi pamiątkami z przeszłości. Trzymała w rękach lalkę z urwaną rączką. Obok leżał szkolny piórnik. Zeszyty do matematyki i polskiego. Świadectwa szkolne. A także pamiętnik w czerwonej skórzanej oprawie, zamykany na maleńką złoczoną kłódkę, i tomik poezji Wierzyńskiego. Były tam pocztówki od koleżanek, ozdobna karta urodzinowa od kolegi, naszyjnik ze szkła weneckiego. Ukochana *Anna Karenina* ze śladami łez na kartkach. Koronkowe rękawiczki i modlitewnik od pierwszej komunii. I wiele, wiele innych dziewczęcych skarbów.

Maria znała je doskonale. Przez pierwsze lata po utracie córek wielokrotnie oglądała, gładziła każdą z tych rzeczy. Potem życie potoczyło się dalej. Skarby córek trafiły do pudeł, a po przeprowadzce zostały wyniesione na strych. Leżały tam zapomniane aż do dzisiaj. Przynajmniej jedno pudło odzyskało właścicielkę. Maria otarła łzę.

– Mirusia, chodź już, bo jajecznicza stygnie – ponagliła córkę.

## ROZDZIAŁ XXIII

MAJ 1951

W dniu wizyty u profesora w domu przy ulicy Przygodnej panowała nerwowa atmosfera. Niestety, napięcie udzieliło się również Januszkowi, gdy chciano go ubrać w nowe, sztywne spodnie ogrodniczki.

– Januszek, popatrz – zachęcała go siostra – zobacz, jakie śliczne spodenki.

– Neeeeejjjejjj! – protestował chłopczyk.

– Przecież nie możesz pójść do profesora w starych spodniach, powycieranych, z łatami na kolanach i wyświeconych na tyłku.

– Eeeełłeeen – upierał się Januszek.

– Mirusia, pospieszcie się, bo nam autobus ucieknie. – Do pokoju zajrzała Maria.

Miała na sobie lekką sukienkę w żółte kwiatuszki, z krótkimi, bufiastymi rękawami. Miranda z kolei zamierzała włożyć swoją najelegantszą bluzkę – z zielonej żorzęty, z szerokim, miękkim kołnierzem. Po matce.

– Staram się – odburknęła dziewczyna.

Była już wystarczająco zdenerwowana, nie potrzebowała poganiania. Ręce jej się trzęsły, policzki paliły.

– Januszek, a zobacz, jakie tu są piękne, wielkie białe guziki. Będziesz wspaniale wyglądał w tych spodenkach. Sama chciałabym mieć takie.

Chłopiec wrzasnął, w samej koszulce i majtkach wdrapał się na łóżko i zwinął w kłębek. Podeszła i wzięła go za nóżkę. Pociągnęła ją do siebie.

– Chodź, spróbujemy włożyć.

Wierzgnął nogą i piętą trafił Mirusię w ramię. Zaboląło.

– Januszek! Przestań! Musimy się ubrać!

– Neeejjjeeee – wrzasnął i zaczął kopać nogami.

– No już! Spokój! Przestań! – krzyczała Mirusia wyprowadzona z równowagi.

Krzyki i wrzaski zaalarmowały Marię. Właśnie kiedy stanęła w drzwiach sypialni dzieci, Januszek zsiniał i zaczął kaszleć. Kaszał tak mocno, aż zwymiotował całe śniadanie. Miranda załamała ręce. Maria odsunęła ją na bok.

– Idź, zajmij się sobą, musisz się obmyć z tego. – Pokazała wymiociny na rękach córki. – Umyj się i przebierz. Ja się zajmę Januszkiem.

Miranda wstała z łóżka. Z wyrazem porażki na twarzy odeszła w stronę łazienki.

– I jeszcze skocz do Łopaniuków i zadzwoń po taksówkę. Inaczej nie zdążymy! – zawołała za nią matka.

Trzy godziny później siedzieli na korytarzu przychodni przy Sienkiewicza. Januszek leżał wyczerpany w ramionach siostry. Profesor zlecił badania i prześwietlenie klatki piersiowej przed konsultacją. Januszek został zważony, zmierzony, matce zadano setki pytań, a potem ukłuto go wielką błyszczącą igłą i pobrano krew do dużej szklanej strzykawki. Po to, aby ją oglądać pod mikroskopem, jak wyjaśniła miła pani w białym fartuchu. W miejscu wkłucia powstał duży bolesny krwiak.

Jednak najgorzej było w pracowni rentgenowskiej. Chłopiec, postawiony przed wielką, buczącą maszyną, przestraszył się i trzeba go było przymocować pasami. Lekarz w ciężkim ołowianym fartuchu ustawił przed Januszkiem czarny aparat do prześwietleń, z którego biegły ku podłodze grube przewody owinięte materiałem izolacyjnym. Maria z Mirandą, trzymając się za ręce, patrzyły przez maleńką, ołowianą szybkę w ciężkich drzwiach, jak Januszek wije się w uścisku skórzanych pasów i wykrzywia usta w niemym krzyku. Do nich nie docierał żaden dźwięk. Po badaniu pielęgniarki pomogły im uspokoić chłopca – podały mu jakieś leki, po których stał się osowiały i jakby nieobecny. Wodził niewidzącymi oczyma po ścianach, ale nie kaszlał i się nie dusił.

Siedzieli we troje na drewnianej ławce, zbitej z paru pomalowanych deszczulek. Wyczerpani czekali, aż profesor dostanie zdjęcia i wyniki badań i zawoła ich do gabinetu. W korytarzu panował zaduch. Wielkie okna były pozamykane, a przez nagrzane szyby biło koszmarnie gorąco. Sukienka Marii kleiła się do spoconej, nagrzanej skóry, bluzka Mirandy była przepocona i wymięta. Na przodzie widniały ślady łez i śliny brata. Tylko nowe, sztywne spodenki Januszka prezentowały się doskonale. Matka i Mirusia oparły plecy i głowy o zimną, pomalowaną na biało ścianę.

Kiedy otworzyły się drzwi gabinetu i wychyliła się przez nie młoda kobieta w białym jak śnieg fartuchu i czepku pielęgniarskim na głowie, obie zerwały się na równe nogi. Miranda dźwignęła leżącego się przez ręce chłopca.

Weszły do gabinetu. Panował tu półmrok, okna zasłonięto ciężkimi, czarnymi kotarami. Na biurku stał duży buczący wiatrak. Wielkie metalowe ramiona przecinały powietrze. Maria poczuła na twarzy ożywczy powiew. Pociągnęła za rękaw Mirusię, tak aby córka z Januszką na rękach stanęła w strumieniu chłodniejszego powietrza.

Profesor Aleksiej Kornodziejski wyglądał, jak powinien wyglądać profesor. Białe fartuch, zawiązany z tyłu, pod spodem wykrochmalona koszula. Gruby krawat pod szyją i wełniane spodnie, zadbane siwa broda. Wypastowane, czyste pantofle dopełniały wizerunku. Maria pokiwała głową z uznaniem. To nie jakiś tam bolszewicki, partyjny profesorek, pomyślała, tylko porządny, inteligentny profesor jak się patrzy, taki jak powinien być. Uznała, że takiemu lekarzowi można zaufać.

– Czy on spi? – zapytał Mirandę w łamanej polszczyźnie.

– Nie, tylko miał atak duszności i siostry mu podały jakiś lek, po którym zrobił się trochę senny.

– Połóżcie chłopca na leżance.

Profesor wskazał miejsce za białym parawanem, a sam usiadł za biurkiem, które oświetlała mała lampka z zielonym, metalowym abażurem. Było to jedyne źródło światła w gabinecie. Pielęgniarka pomogła Mirusi położyć chłopca. Januszek odwrócił głowę i szeroko otwartymi oczyma rozglądał się po gabinecie. Wzrok chłopca prześlizgiwał się po zasłoniętych oknach, metalowej szafie ze szklanymi drzwiczkami, gdzie widać było lśniące wypolerowanym metalem instrumenty medyczne, po parawanie i pielęgniarsce, myjącej ręce przy metalowym zlewie w rogu gabinetu. Wszystkie sprzęty i meble były pomalowane na biało. Na koniec chłopiec utkwiał spojrzenie w lampce.

– Janusz Szamreta? – zapytał profesor, patrząc znad okularów na Marię. Ta pokiwała głową. – Która z was to matka? Wy? – Maria potwierdziła. – Macie dokumenty? Jakies wcześniejsze badania chłopca? Historię choroby?

Maria zajrzała do torebki i wyciągnęła kilka papierów.

– No tak – powiedział profesor, biorąc skromny plik do ręki – dużo to tego nie ma. A leki jakies bierze?

Maria podeszła do profesora i pokazała w karcie wykaz leków, jakie

obecnie i kiedyś brał Januszek. Leki i notatki z poprzednich wizyt Januszka u lekarzy zapisane były w nic niemówiących kobietom łacińskich nazwach.

– No tak – mruknął Kornodziejcki i pochylił się nad biurkiem.

Czytał, przekładał dokumenty, zapisywał coś w notesie. Podłożył kliszę rentgenowską pod snop światła lampki. Dla Marii ów obraz był jedynie zbieraniną cieni i przejaśnień. Profesor długo przyglądał się zdjęciu. Pielęgniarka szczękała metalowymi instrumentami, przestawiała jakieś szklane buteleczki na stojącym w rogu białym stoliku. Miranda przysiadła obok brata i owalnymi ruchami głaskała go po brzuszku. Januszek nadal rozglądał się z kciukiem w buzi. W słabym świetle, na tle białej ściany wydawał się jeszcze bledszy i mizerniejszy niż zazwyczaj.

– Czy chłopiec był ważony? – zapytał pielęgniarkę Kornodziejcki.

– Tak, przed rentgenem, towarzyszu profesorze – odpowiedziała kobieta, podchodząc do profesora – osiemnaście kilogramów i sto dziewięć centymetrów wzrostu. – Podała mu leżącą na biurku kartkę.

Lekarz nic nie powiedział, tylko znowu notował, notował i notował.

Wcześniej Maria z Mirusią odpowiedziały już na setki pytań. Ile Januszek ma lat, ile ważył przy porodzie, a ile, jak miał roczek i trzy lata. Jaką ma dietę, jaki tryb życia prowadzi, na co chorował oprócz serca. Jakie warunki są w domu, czy jest narażony na kontakt z chorymi lub ze zwierzętami. Jak często ma ataki duszności, czy zdarzają mu się omdlenia, obrzęki. I wiele, wiele innych. Maria była pewna, że profesor właśnie teraz to wszystko czytał, marszcząc brwi. Po kilku minutach wreszcie wstał zza biurka. Miranda zerwała się na równe nogi, a Januszek jeszcze szerzej otworzył oczy.

– No to trzeba cię zbadać, młody bohaterze – powiedział lekarz i uśmiechnął się życzliwie do chłopca.

Podszedł do zlewu, by umyć ręce. Wycierając je w czystą ściereczkę, zbliżył się do leżanki i oddał ściereczkę pielęgniarce. Mirusia odsunęła się, robiąc profesorowi miejsce. Maria niepokoiła się, czy chłopiec się nie przestraszy obcego, brodatego mężczyzny. Napięła mięśnie, oczekując na atak płaczu i protestu. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Januszek ze spokojem i ufnością pozwolił nieznanemu człowiekowi rozebrać się i zbadać. Co za cudowne leki mu podano, pomyślała Maria. Kornodziejcki opukiwał chłopca, osłuchiwał go stetoskopem, uderzał w nogi i łokcie małym młoteczkim, masował brzuch i ścisnął mięśnie na udach i ramionach. Potem oglądał stopy i dłonie, obmacywał stawy i pachwiny. Cały czas mówił do malca po rosyjsku,

cicho, śpiewnie, melodyjnie. Ze swojego miejsca pod drzwiami Maria nie mogła zrozumieć pojedynczych słów.

Po kilku minutach skończył. Poklepał chłopca po ramieniu.

– Mołodiec – powiedział i znowu umył ręce.

Pielęgniarka podała mu czystą ściereczkę.

– Można ubrać chłopca – polecił profesor.

Miranda usiadła na leżance przy Januszkę i delikatnie zaczęła go ubierać, coś tam do niego szepcząc. Kornodziejski usiadł przy biurku i wskazał Marii krzeselko stojące obok. Usiadła i położyła torebkę na kolanach. Mięśnie pleców nadal miała napięte. Nie chciała nawet myśleć o tym, co za chwilę usłyszy.

– No tak – zaczął mówić profesor – pani synek ma słabe serce. Bardzo słabe. Widzicie, jak dziecko jeszcze jest w brzuchu mamy, to ma w sercu taką dziurę i ona musi zarosnąć, kiedy dziecko się urodzi.

– Dziura? – powtórzyła Maria wpatrzona w lekarza.

– No tak, taka dziura, gdzie miesza się dobra krew z tą złą, bez tlenu. I u waszego syna ta dziura nadal jest, a nie powinno jej być. Dlatego on taki słaby. Nie rośnie, nie rozwija się prawidłowo. Ma za mało dobrej, bogatej w tlen krwi.

Maria przytaknęła, chociaż niewiele z tego rozumiała.

– Mówili mi, jak się urodził, że ma wadę serca – wtrąciła.

– No tak, wadę serca – powtórzył profesor – i ta wada go zabija.

Maria spojrzała na córkę. Miranda siedziała na leżance, trzymając w ramionach ubranego już Januszkę. Wpatrywała się w matkę. Przestrzeń pomiędzy Stasiakową a jej dziećmi powiększyła się, zaś zniszczona podłoga z popękanych biało-czarnych płytek ułożyła się w mapę choroby Januszkę. Maria czuła narastającą gulę w gardle, zaciskała dłonie na leżącej na kolanach torebce, aż zbieleły kostki palców.

– Ale nie martwcie się tak – dodał profesor, kładąc dłoń na jej zeszywniałych palcach. Jego dotyk jednak nie sprawił jej ulgi. – To można naprawić. – Wymawiał słowa powoli, z miękkim, rosyjskim akcentem.

– Naprawić? – zapytała i spojrzała na córkę. Ta nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Naprawić, naprawić. Naprawiamy takie serca już od paru lat w Moskwie. Nie martwcie się tak. Wasz syn może być zdrowy.

Maria przełknęła głośno ślinę i znowu spojrzała na córkę. Jeszcze nie



dotarły do niej słowa lekarza.

– Ale jak to naprawić? – zapytała Mirusia. – Jakież leki podawać? Zabiegi? Profesor uśmiechnął się do niej.

– Leki też mamy świetne, ale my naprawiamy inaczej takie serca. – Odwrócił się i mrugnął do Januszka. – Operujemy takich bohaterów, a potem wyrastają na dzielnych towarzyszy.

– Operacja? – Maria jęknęła i podniosła obie ręce do ust.

– Towarzyszko, nie bójcie się. My w Moskwie nie takie rzeczy operujemy – powiedział dumny z siebie. Znowu nasunął okulary na nos, odwrócił się do biurka i zaczął coś pisać w notesie. – Zapiszę wam leki, nie jest łatwo je dostać. Macie jakieś możliwości zamówienia leków z Moskwy?

– Może mamy – odrzekła Maria. Powoli, powoli do jej świadomości zaczęła docierać powaga i znaczenie tego, co właśnie zostało powiedziane.

– Trzeba je przyjmować tak, jak zapiszę. Chłopiec musi dużo i dobrze jeść, spacerować, przebywać na świeżym powietrzu, ale nie może się przemęczać – zaznaczył profesor, podnosząc do góry palec. – Do operacji powinien być w dobrej formie.

Maria z Mirandą patrzyły na siebie wzajemnie jak urzeczone. Jakby zaczarowane jego słowami. Profesor spojrział na jedną i drugą, po czym machnął ręką.

– No tak, wszystko wam napiszę i róbcie dokładnie tak, jak tu będzie zapisane. Zrozumiecie zapisane po rosyjsku?

Marii brakowało słów. Skinęła twierdząco głową. Serce zaczęło się trzepotać za mostkiem. Niemal omdlewała z nadmiaru nadziei, jaka pojawiła się tak niespodziewanie.

– Panie profesorze... – zacięła się na chwilę, a Kornodziejski spojrział na nią uważnie znad szkieł – a kiedy... kiedy...

– Operacja? – pomógł jej, a Maria przytaknęła. – Wrócę do Białegostoku na kolejną wiosnę i wtedy zoperujemy Januszka. Oczywiście pod warunkiem, że będzie spełniał warunki.

– Jakie warunki? – zapytała Maria.

– No, musi być zdrowy, dobrze odżywiony. Wiecie, rozumiecie, że nie każde dziecko, które tego potrzebuje, można zoperować. Nie zawsze operacje się udają. Najważniejsze jest właściwe przygotowanie.

Maria zaczęła się przyglądać uważnie profesorowi. Kornodziejski unikał jej wzroku.

– A... a... – zająknęła się, gdyż nagle ją olśniło. Miranda niepewnie spojrzała na matkę. Maria nabrała głęboko powietrza w płuca i zapytała: – A ile to będzie kosztować?

Profesor chrząknął i spojrzał znacząco na pielęgniarkę. Ta obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju, zamykając za sobą duże, ciężkie drzwi.

– No tak, to poważna operacja i zawsze wszystko może się zdarzyć, chociaż zrobiliśmy ich już kilka. Wykonuje je co najmniej dwóch chirurgów, do tego jeszcze pielęgniarki, może ktoś do pomocy. Potrzeba sporo drogich leków. Musimy je przywieźć z Moskwy. Pielęgniarki do operacji również.

– Ile? – przerwała mu Maria. Nabrała pewności siebie. Teraz była na znanym sobie gruncie.

– Dwa tysiące – oświadczył profesor.

Zmarszczyła brwi.

– Rubli? Dwa tysiące rubli czy złotych? – chciała wiedzieć.

Profesor zakaszłał w zwiniętą dłoń.

– Dwa tysiące dolarów – odpowiedział, nie patrząc na Marię.

Miranda z jękiem zerwała się z leżanki z Januszkiem na rękach. Matka powstrzymała ją ruchem dłoni. Znowu była sobą, opanowaną, pragmatyczną Marią Stasiak. Kobieta, która jest w stanie wszystko załatwić.

– Panie profesorze, Januszek będzie doskonale przygotowany do operacji – oświadczyła mocnym, spokojnym głosem. Wyciągnęła rękę. – Proszę mi dać zalecenia i na wiosnę zgłosimy się na operację. Będziemy robić wszystko tak, jak pan profesor zaleci.

Kornodziejski uśmiechnął się do niej szeroko. Spomiędzy wąsów i brody błysnęły dwie złote korony. Wyrwał kartkę z notesu i podał Marii.

– Doskonale. – Wyciągnął rękę i mocno uściśnął dłoń kobiety.

Chwilę potem Januszek siedział znowu na twardej przychodnianej ławce z kciukiem w buzi i przyglądał się zadziwiony, jak matka i siostra skaczą z radości, obejmują się, śmieją i płaczą na zmianę.

A potem poszli we troje na kremówki do cukierni i jeszcze do fotografa na Sienkiewicza. Maria kazała zrobić dzieciom chyba sto zdjęć. Było już ciemno, kiedy wreszcie wrócili do domu. Januszka piekły oczy ze zmęczenia i bolała go głowa od nadmiaru wrażeń.

## ROZDZIAŁ XXIV

LIPIEC 1951

W niedzielny lipcowy wieczór Maria Stasiak wróciła późno do domu. To był ciężki dzień. Skoro świt pojechała podmiejskim pociągiem po rąbankę i wędliny do Michałowa. Przywiozła wszystko w dużym wojskowym plecaku i dwóch walizkach. Milicja zrobiła kontrolę w pociągu, musiała oddać dwa balerony na łapówki. Przywiozła resztę do domu i na prowizorycznym stole w komórcie, trzęsącymi się ze zmęczenia rękoma podzieliła mięso i wędliny na porcje. Większość od razu rozniosła po domach klientek, było zbyt ciepło, żeby przetrzymać towar do kolejnego dnia. Nie stać jej było teraz na kupno chłodziarki. Wszystko, co zarobiła, musiała odkładać na operację Januszka.

Jeszcze poszła na wieczorną mszę do Świętego Wojciecha, a potem na chwilę wstąpiła do księdza do zakrystii. Kiedy wróciła do domu, była zmęczona i przepecona, jednak na jej twarzy gościł radosny uśmiech. Z westchnieniem usiadła przy stole. Miranda zakrzętnęła się przy kuchni, postawiła zupę na ogniu. Januszek siedział na podłodze i bawił się drewnianymi klockami. Miał dobry dzień, oddychał w miarę normalnie, nie kaszlał i zupełnie się nie dusił.

Maria patrzyła chwilę na swoje dzieci. W kieszeni czuła gruby plik zarobionych dzisiaj pieniędzy. Jeszcze nie policzyła, ale wiedziała, że jest ich dużo. Leki Januszka kosztowały majątek, a kwota, jakiej zażądał profesor za operację, była prawie nieosiągalna. Maria musiała teraz dużo zarabiać, na wszystkim.

– Błeeee, błeeee, buuuuu... – Januszek zagadał coś zrozumiałego tylko dla siebie. Jak zwykle siedział na podłodze.

– No co tam, Januszkule? Co chciałeś mi powiedzieć? – zapytała go Maria.

Pochyliła się do synka i pogłaskała go po główce. Niedługo skończy sześć lat, a wyglądał na nie więcej niż pięć. Ostatnio Januszek częściej się

uśmiechał i więcej gadał po swojemu. Był bardziej ruchliwy i pogodny. Nawet zaczął stawiać pierwsze chwiejne kroki. Kolor jego skóry nie zmienił się, chłopiec nadal ciężko oddychał, miał jednak apetyt i zdawało się, że przybyło mu sił. To dobrze, o to chodziło profesorowi, żeby był dobrze odżywiony i silniejszy.

Miranda postawiła przed matką talerz gorącej, pachnącej wędzonką zupy. Maria zaczęła jeść i zrobiło jej się ciepło w brzuchu, a także trochę wyżej, w sercu. Kiedy tak patrzyła na swoje dzieci, zaczynała wierzyć, że może być dobrze w życiu. Ugryzła kromkę chleba.

– Ummm – mruknęła z zadowoleniem. – Pieczesz bardzo dobry chleb – pochwaliła córkę.

– Mąka dobra, to i chleb smaczny – odburknęła tamta.

O, chyba syberyjski humor powrócił, pomyślała Maria.

– Nie, nie, to dobry chleb – powiedziała, jakby nie słysząc niechęci w głosie córki. – Zależy nie tylko od mąki. Nie wiem, jak ty to robisz, ale ten chleb smakuje inaczej.

Miranda milczała.

– Może upiecz więcej w czwartek i zabiorę go ze sobą na targ. Sprzedam, zobaczymy, jak pójdzie, może będziemy nim handlować – zaproponowała Maria pomiędzy kolejnymi łyżkami zupy. Nie doczekała się odpowiedzi.

Dziewczyna podeszła do brata. Wzięła go na ręce i zasłoniła się nim jak tarczą.

– Pojutrze przywiozę worek mąki. Takiej dobrej, z młyna z Nowodworców.

Miranda usiadła z Januszką na kolanach. Chłopczyk zaćwierkał do niej radośnie. Maria skończyła jeść zupę, odsunęła talerz. Oparła się plecami na krzesło, usiadła wygodniej, wyciągnęła obolałe i opuchnięte nogi przed siebie i spoglądała na swoje dzieci. Na wątłego, chorego syna, na zabiedzoną fizycznie i psychicznie córkę. Widziała, jaka więź tych dwoje połączyła. Wiedziała, że stworzyli swój własny świat, do którego ona nie ma dostępu. Powrót Mirusi, jej oddanie bratu, a może również owe syberyjskie zioła i prymitywne leczenie poprawiły stan chłopca. Januszek nigdy przedtem nie był tak pogodny. Maria westchnęła.

– To może jeszcze pochodzisz ze mną w piątki na targ? Pomożesz mi. Razem sprzedamy więcej i szybciej. Od września będzie spory ruch.

Mirusia patrzyła na nią w milczeniu zza Januszka.

– W przyszłym tygodniu wynajmę od Tałpuków wóz z woźnicą. Przywiozę

więcej mięsa, kiełbasy, miodu, może trochę sera i bimbru. Jak uda nam się to sprzedać i jeszcze twój chleb ludzie wezmą... – snuła plany Maria.

– Ja mam chodzić z mamą na targ i sprzedawać?

– A czemu nie? Razem weźmiemy więcej. Pomożesz mi. Albo ty będziesz handlować, a ja ci będę donosić towar. – Matka ekscytowała się coraz bardziej swoim pomysłem.

– A co zrobimy z Januszką? – zapytała dziewczyna.

– Zaniemiemy go do Ziutków! Oleńka i tak siedzi ze swoimi dziewczynkami, to weźmie i jego. Damy im za to twojego chleba i szynkę. Wszyscy będą zadowoleni!

– Nie mówi się „Ziutków”, proszę mamy – odparła z niechęcią Miranda.

Stasiakowa na chwilę zaniemówiła. Nie zrozumiała, o co chodzi jej córce.

– Nie mówi się „do Ziutków”! Oni się nazywają Szamretowie.

Twarz matki stężała.

– Tak mówią baby z targu – dodała po chwili córka, patrząc Marii w oczy.

Niebieskie oczy Stasiakowej pociemniały. Usta zwęziły się i zadrgały. Odczekała moment i odpowiedziała spokojnie:

– Muszę ci wyjaśnić, że jestem babą z targu, jeżeli jeszcze tego nie zauważyłaś, a ty jesteś córką baby z targu. Jeżeli to dla ciebie ujma, no to trudno, twoja sprawa.

Spojrzała na córkę i chciała jej powiedzieć coś do słuchu, kiedy ścienny zegar w stołowym wybił ósmą. Była to jedyna pamiątka, która ostała się ze starego domu. Jakby głos z innych czasów postanowił pogodzić skłócone kobiety. Maria poczuła jeszcze większe zmęczenie.

– Idę się umyć, jestem wykończona i na dodatek zaraz muszę wyjść. Nie sprowokujesz mnie dzisiaj. Nie mam ochoty na kłótnie, Mirusia. Myślałam, że mamy to już za sobą – dodała na koniec z pretensją.

Co w tę dziewczynę znowu wstąpiło, pomyślała i westchnęła ciężko.

– Nie miałam zamiaru denerwować mamy – odpowiedziała Miranda, ale zabrzmiało to nieszczerze. – Napaliłam pod bojlerem, więc powinna być ciepła woda – rzuciła jeszcze.

Maria podziękowała jej, doceniając ten drobny gest, i poszła do łazienki szykować się na wieczorne wyjście.

\*\*\*

Miranda przez chwilę jeszcze krzątała się po kuchni. Złościło ją, że odkąd matka zaczęła zbierać pieniądze na tę operację, o niczym innym nie mówiła, tylko o rąbance, kiełbasach, mydłach, lekarstwach, złocie i innych rzeczach, którymi handlowała lub chciała handlować. Jak długo można gadać o pieniądzach, o tym, ile na jednym czy drugim można zarobić? Matka znikwała na całe dni i wieczory. Wracała późno, często po alkoholu. Zupełnie nie zajmowała się Januszkiem. Jakby przestał dla niej istnieć czy być ważny, jeżeli w ogóle kiedykolwiek był ważny.

Wiadomość o tym, że matka wychodzi, podsunęła Mirandzie pewien pomysł. Musiała działać szybko. Odłożyła Januszka z powrotem na podłogę, sięgnęła do pomalowanego na biało kredensu po miseczkę i pobiegła do szafki obok łóżka. Wyciągnęła stamtąd torebki ze swoimi ziołami. Nasypała do miseczki szczyptę melisy i waleriany, po czym wróciła do kuchni. Nastawiła wodę w czajniku i czekała, aż się zagotuje. Cały czas nasłuchiwała, czy matka chlapie się jeszcze w łazience na tyłach domu. Potem zalała zioła wrzątkiem i odstawiła do wystudzenia w kącie sieni, gdzie było najchłodniej. W łazience zapadła cisza, a kiedy Maria przechodziła przez kuchnię, Mirusia siedziała przy stole, z Januszkiem na kolanach, i karmiła malca twarożkiem rozmieszonym z łyżeczką miodu. Matka zamknęła się w pokoju, a Mirusia zabrała zioła z sieni i pospiesznie zaczęła je wlewać chłopcu do gardła. Januszek zakrztusił się i zaczął kaszleć. Maria, w wałkach na głowie i w samej halce, wyjrzała przez drzwi.

– Co się dzieje? Dlaczego on kaszle? – zapytała z niepokojem.

– Nie, nic, to nic takiego – odpowiedziała potulnie córka i zapytała, by odwrócić uwagę matki od zsiniałego malca: – Mama gdzieś wychodzi?

– Tak, muszę coś załatwić – odpowiedziała Maria, cofając się do pokoju, ale już nie zamknęła drzwi.

Mirusia słyszała i chwilami widziała przez szparę jej krzątaninę. Matka wkładała najlepszą garsonkę, tę błękitną, z prawdziwej jedwabnej zorzety, z wywatowanymi ramionami i paskiem w talii. I do tego cieniutkie, jedwabne pończochy. Zdecydowanie strój na specjalne okazje.

Mirusia nadal poiła brata usypiającymi ziołami, ale już rozważniej, powoli. Napój był dosłodzony miodem, więc chłopiec pił chętnie, oblizując się jak mały kociak.

– A co to za sprawy? – krzyknęła w stronę pokoju matki.

– A, takie tam – odpowiedziała na odczepnego Maria.

Mirusia wzięła chłopca na ręce i zniosła do łóżka. Po drodze przechodziła przez pokój, gdzie matka się ubierała. Niebieska garsonka podkreślała błękit oczu Marii. Włosy matka ułożyła w fale i polakierowała. Teraz malowała usta szminką. Mirusia musiała przyznać, że jej matka wygląda bardzo dobrze jak na swoje lata. Jakby wojna nie pozostawiła na niej najmniejszego śladu. Ani śmierć męża, ani utrata córki i matki na Syberii, ani choroba syna. Jakby te wszystkie nieszczęścia nigdy jej nie spotkały bądź nie zrobiły na niej większego wrażenia.

– Miłego wieczoru – powiedziała Miranda bez odrobiny szczerości w głosie, a matka podeszła i cmoknęła ich oboje na do widzenia.

Dziewczyna nasłuchiwała przez chwilę, aż ucichną szurania w sieni. Potem jeszcze minutę nuciła kołysankę, obserwując, jak chłopiec zapada w spokojny, mocny sen.

– Zostań, ptaszku – szepnęła do brata – zostawię ci włączoną lampkę. Zioła powinny działać jakiś czas. Wrócę najpóźniej za pół godziny. Miłych snów. – Pocałowała go w czoło, upewniła się, że chłopiec oddycha spokojnie, i wybiegła do sieni.

Chwyciła torebkę po ciotce Adeli, wsunęła nogi w wygodne półbuty i nie zawiązując sznurowadeł, wybiegła z domu. Zatrzymała się na sekundę w furtce. Zobaczyła w zapadającym letnim zmierzchu, jak Maria skręca w prawo w Słonimską.

Miranda ruszyła za matką. Nie umiała odgadnąć, dokąd idą. Została nieco z tyłu, tak aby nie dać się zauważyć. Minęły Ogrodową, przeszły Warszawską do Sienkiewicza. Na rogu Maria przystanęła i w świetle ulicznej latarni zerknęła na zegarek, po czym pomaszerowała szybszym krokiem w stronę Rynku Kościuszki, a potem w górę i zniknęła z oczu córki, wchodząc do kamienicy na rogu.

Na parterze budynku znajdowała się najlepsza w mieście restauracja, jedynie dla partyjnych oficjeli i innych bardziej zasłużonych. Po co matka tu przyszła? Miranda zajrzała przez szklane drzwi. W głębi sali zamajaczył błękitny żakiet. Obeszła budynek. Od strony Sienkiewicza okna były ponad głowami przechodniów. Co matka tutaj robi? Okna restauracji były za wysoko.

Miranda weszła na podwórze, znalazła tam jakieś drewniane skrzynki, po jabłkach albo ziemniakach. Wzięła jedną, wróciła pod okno restauracji i podstawiała. Stała na skrzynce, wspięła się na palce i próbowała zajrzeć do środka, ale dostrzegła jedynie bordowy materiał zwinięty na parapecie po

drugiej stronie okna. Satyna albo jedwab. Ładny. Już dawno takiego nie widziała. Miranda zeszła ostrożnie i przyniosła drugą skrzynkę. Postawiła ją na tej pierwszej. Podpierając się i przytrzymując ręką, wdrapała się na skrzynki i zajrzała przez szybę.

Była to ewidentnie sala restauracyjna, Miranda po raz pierwszy taką widziała. Stoliki nakryte eleganckimi białymi obrusami, a przy nich krzesła wyściełane bordowym aksamitem. Pamiętała, że kiedyś, przed wojną, były takie w domu dziadków przy Słonimskiej. Na stołach poustawiano błyszczące świeczniki przerobione na elektryczne lampki. Ściany, wyłożone świecą tapetą w kwieciste wzory, odbijały kolorowe refleksy. Przy jednym ze stołów zauważyła matkę. W towarzystwie jakichś mężczyzn i chyba dwóch kobiet. Już nie dojrzała szczegółów. Widziała jedynie matkę w tej najlepszej letniej garsonce, roześmianą, z błyszczącymi oczyma. Maria właśnie machała nad stolikiem czerwoną legitymacją. Czerwoną legitymacją!

– Obywatelko! – usłyszała nagle tuż obok siebie. Zachwiała się i spadła z wysokości dwóch skrzynek na betonowe płyty chodnika.

\*\*\*

W pewnej chwili jeden z siedzących przy stoliku mężczyzn został pilnie wezwany do telefonu. Po powrocie odciągnął niezwykle zdziwioną Marię na bok.

– Maryśka, twoją córkę mają na komendzie – szepnął jej w ucho.

– Moją córkę? – zapytała zdezorientowana i dopiero po chwili, kiedy dotarło do niej znaczenie tych słów, źrenice rozszerzyły jej się ze strachu, a ręka sama podążyła do ust, zasłaniając je w przerażeniu.

– Spokojnie, nic jej nie jest, ale podobno zatrzymali ją, bo urządziła burdę i była agresywna w stosunku do milicjantów. Jest na komendzie przy Warszawskiej. Podała swoje nazwisko, ale inne niż twoje, i dopiero po jakimś czasie przyznała się, że jest twoją córką.

– Jadę tam – oświadczyła.

– Chodź, na ulicy stoi radiowóz, zawiozą cię.

Maria nie spodziewała się, że kiedykolwiek wróci do tego budynku, niegdys przy ulicy Pierackiego, znowu szukając córki. Czas zatoczył koło. Było tego dla niej za wiele. Czara goryczy się przelała. Przez całą drogę powrotną do



domu Stasiakowa nie powiedziała ani słowa do Mirandy. Nie odezwała się też następnego dnia ani kolejnego. Każda w milczeniu robiła swoje. Obie były zawzięte, matka i jej nieodrodna córka. W końcu, po paru dniach pragmatyzm wziął górę i w piątkowy wieczór matka zwróciła się pierwsza do Mirandy.

– Jutro rano idziemy na targ, więc trzeba zanieść Januszka do Ziutków na noc – oświadczyła, wymawiając to „Ziutków” szczególnie głośno i dobitnie.

Odpowiedziała jej cisza.

– Albo zaniesiesz małego, albo zajmiesz się pakowaniem wózka na jutro, co wolisz?

– Zaniozę Januszka – odrzekła po chwili córka.

Przebrała się, ubrała brata, wzięła go na plecy, matka owinęła chłopca chustą, którą zawiązała z przodu, na piersi dziewczyny, i poszli.

Miały stary wózek dziecięcy, który Ziutek przerobił, aby zmieściło się tam większe dziecko, takie jak Januszek, ale kółka nie były dostosowane do ciężaru sześciolatka, nawet wątlego, ani nie nadawały się na nierówny bruk białostockich uliczek. Pchanie tego wózka było męczarnią, więc najczęściej po prostu nosiły chłopca.

Maria zapakowała drewniany, dwukołowy wózek produktami na targ i wprowadziła go do komórki, którą zamknęła na kłódkę. Potem weszła do domu i czekała na córkę. Nie chciała urządzać awantury przy Januszku, bo krzyki zawsze doprowadzały malca do płaczu i hysterii, a potem wywoływały duszności. Tym razem Maria bardzo chciała krzyczeć.

– Co ty tam, do diabła, robiłaś?! Po co polazłaś?! Jak mogłaś zostawić Januszka samego w domu? Mógł dostać ataku kaszlu! Mógł się udusić! Zdurniałaś? Rozum ci odjęło na tej Syberii i nadal nie wrócił? Myślałam, że już zmadrzałaś przez te kilka miesięcy! – wykrzykiwała do siedzącej przy stole córki.

Mirusia milczała, czekając na swoją kolej.

– Widziałam, jak mama machała przed nimi czerwoną legitymacją. Zapisala się mama do partii. A czy mama wie, co oni robią ludziom tam, na Syberii? – wypaliła w końcu.

– Ciszej! – powiedziała Maria, siadając przy niej. Złożyła ręce na kolanach i mocno spłótła palce.

Mirusia zaczęła jednak mówić głośniej:

– A czy mama wie, co ta partia bolszewicka robi ze swoim narodem? Z proletariatem? Myśli mama, że tam, w łagrach i sowchozach, to panów

trzymają? Inteligentów? Ależ skąd! Swoich zamykają, mordują, gwałcą i głodzą!

– Ciszej, bo ktoś usłyszy!

– I co? Wyślą mnie jeszcze raz? – Wstała i obesza stół.

– Ciszej, Mirando!

Maria jedynie w chwilach niezwykłego wzburzenia używała pełnego imienia córki.

Zapadła cisza. Wiatr milczał. Ogień pod kuchnią już dogasł, więc nie słychać już było szumu ani trzasków. Nawet jedna deska podłogi nie skrzypnęła. Nie zaszcekał pies w sąsiedztwie. Cały dom wraz z okolicą czekały na to, co jeszcze zostanie tu teraz powiedziane.

Maria zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. Siedząca naprzeciwko młoda kobieta przypominała dziś tę zabiedzoną dzikuskę sprzed niemal roku.

– Nie wiem, dlaczego tak cię to złości, i to akurat teraz. Owszem, mam czerwoną legitymację, jak wielu innych. Nie kocham tej ideologii, ale legitymacja pomaga mi w interesach. Twoje gadanie może zaszkodzić nie tylko mnie, lecz całej rodzinie. To nie jest dobry moment na to, żeby mnie zabrali.

– I kto tu mówi o narażaniu? – Miranda prychnęła. – Słyszałam co nieco o tych mamy interesach. – Jej twarz wyrażała niechęć i pogardę. – Podobno mama pomaga ludziom sprzedawać złoto, otrzymywać paczki od rodziny z zagranicy, a Kostecka mówiła, że kuzynce Rewoszków nawet załatwiła mama paszport i wyjazd do Ameryki. Matko Boska! Przecież to gruba sprawa! Tu sama legitymacja nie wystarczy. Jakie trzeba mieć znajomości, koneksje czy możliwości, żeby załatwić coś takiego? I to niby ja narażam rodzinę swoim gadaniem?

Maria potrząsnęła głową.

– O co się tak wściekasz? – zadała to pytanie czystym, spokojnym głosem, ale ręką, w której trzymała papierosa, zdrząła.

Miranda spojrzała na matkę przytomniejszym wzrokiem. Złość dziewczyny powoli mijała.

– O to, że mama zaprzedała się komunistom. O to, że mama nawet nie wspomina ojca, o to, że miałam zmarnowaną młodość, i o tę nieszczęsną kartkę Strożnicyna.

Maria zaśmiała się szyderczo.

– O nie, wprawdzie piję z nimi wódkę i załatwiam interesy, ale to nie oznacza, że zaprzedałam im duszę. Walczę o przeżycie. Przecież sama wiesz,

jak jest. Na pewno nie takie rzeczy widziałaś za Uralem. Z tego, co mówiłaś, twój syn nie został niepokalanie poczęty ani nie był z gwałtu.

Miranda odwróciła wzrok, lecz nic nie powiedziała. Wyciągnęła rękę, a matka podała jej paczkę papierosów. Po chwili kłęb dymu nad stołem powiększył się.

– Owszem, nie był. Mówiłam mamie, że urodził się po tym, jak próbowałam zdobyć lekarstwa dla Busi.

– I zdobyłaś?

– Tak.

– No więc widzisz – odparła Maria, kiwając głową. Zgasiła niedopałek w popielniczce.

– Tyle tylko, że dostałam te leki za późno. Busia i tak umarła.

– A ja się staram, żeby Januszek miał tę operację na czas.

Miranda siedziała zapatrzona gdzieś przed siebie, jakby widziała coś poprzez ściany domu, jakby wpatrywała się w odległy w czasie i przestrzeni punkt.

– Musimy współpracować ze sobą i sobie zaufać. Nie mamy innego wyjścia – stwierdziła Stasiakowa.

– Nie wyjaśniła mi mama nigdy, jak to się stało, że ten enkawudzista, ten z blizną... – zaczęła mówić dziewczyna.

– Strożnicyn – podpowiedziała jej Maria. Starła się zachować spokój i opanowanie. Nie dała rady. Głos jej drżał, kąciki ust opadły, a czoło przecięła głębsza niż zwykle zmarszczka.

– ...skąd ten Strożnicyn miał kartkę z naszymi nazwiskami, napisanymi mamy ręką – dokończyła Miranda, wpatrując się w oczy matki.

Maria wytrzymała jej wzrok, nawet nie mrugnęła powieką.

– Dobrze, wyjaśnię ci to. Wtedy, w czterdziestym, poszłam was szukać. Wierzyłam, że dam radę was stamtąd wyciągnąć. Próbowałam wszystkiego, niestety, nie pokonałam komisarza Strożnicyna. Ta kartka to była jego zemsta, okrutna i bolesna. Był moją pomyłką, wykorzystał to, co napisałam, aby zranić mnie najmocniej, jak mógł. Kiedy powiedziałaś, że pokazał wam tę kartkę, zrozumiałam, że zabrał mi dzieci dwa razy. Najpierw wtedy, w kwietniu, a potem w tym transporcie, kiedy wam to pokazał.

– Zemścił się? Za co?

Maria skrzywiła się jeszcze bardziej.

– Jest to pierwszy i ostatni raz, kiedy rozmawiamy na ten temat, nigdy więcej

nie wrócimy do tej sprawy. Nikt nie może o tym wiedzieć, nigdy, ani Ziutek, ani siostry twojego ojca, ani żadna twoja koleżanka czy nawet przyszły mąż. Nawet Januszek, jak wydobrzeje i dorośnie. Rozumiesz? Nikt!

Miranda nie powiedziała ani słowa, nie zrobiła żadnego gestu.

– Sama mówiłaś, że chodziły słuchy o tym, jak bardzo chory jest Strożnicyn i że zdechł w tym pociągu.

Miranda potwierdziła.

– Właśnie za to się zemścił – powiedziała Maria.

– Chce mama powiedzieć, że to mama...

– Dość! – podniosła głos. – Nie pytaj więcej, wystarczy tych opowieści.

Miranda uśmiechnęła się, ale jej uśmiech był pełen złości.

– No, ciekawe, co by powiedzieli mamy towarzysze i jak się do tego ma ta czerwona legitymacja.

– Mirusia, nie prowokuj mnie – powiedziała Maria zmęczonym, znękanym głosem.

Głosem kogoś zmuszonego do ostateczności; kogoś, kto posunął się do haniebnego czynu, żeby ratować innych lub siebie. Kogoś, kogo pozbawiono dumy i części człowieczeństwa.

I nagle pomiędzy tymi dwiema kobietami coś się wydarzyło. Jakby połączył je ten sam grzech, jedna udręka, ta sama kaźń.

Miranda pochyliła głowę i zapatrzyła się na swoje ręce. Maria nie wiedziała, o czym myśli jej córka. Poczowała się bardzo, wręcz śmiertelnie zmęczona. Spojrzała na zegarek – dochodziła północ. Miały tylko cztery godziny na sen. Podniosła się ciężko zza stołu i powłócząc nogami jak staruszka, poszła do swojego pokoju.

## ROZDZIAŁ XXV

SIERPIEŃ 1951

Czerwona, rozżarzona tarcza słońca opadała nad miastem, które wydawało się czekać z utęsknieniem na wieczorny chłód. Miranda siedziała pod domem na ławce i odpoczywała. Na twarzy wciąż czuła promienie chylącego się ku zachodowi słońca. Patrzyła wysoko w niebo, ponad dachy domów. Szukała przestrzeni, której tak bardzo jej brakowało w ciągu ostatnich miesięcy. Zamknęła oczy. Skórę delikatnie połaskotał lekki wiatr. Powietrze wypełniał zapach dojrzałego lata. Wciągnęła ten zapach aż po najgłębsze zakamarki płuc. Wdychała go głęboko raz po raz.

Po chwili poczuła, że zapada się w sobie, staje się coraz mniejsza i mniejsza. Otoczyła ją mlecznobiała mgła i nagle znalazła się w innym miejscu. Nie otwierała oczu, a i tak widziała szeroki Irtysz. Wezbrana po deszczu rzeka toczyła brunatnozielone wody przez tajgę, bagna i dzikie łąki. Miranda widziała jesiotry i czeczugi z długimi, ostrymi grzebieniami, próbujące odnaleźć drogę w zmaczonej błotem wodzie. Po omacku omijały wiry i kamienie we wzburzonej rzece. Widziała błyszczące łuski na ich grzbietach. Słyszała królika, który chował się szybko w norce pod korzeniami potężnej jodły. Zachrząściła ściółka pod łapami norki. Wiewiórki skakały z koron drzew. Dwa łosie dostojnie maszerowały po bagnie, nisko opuściwszy wielkie i ciężkie rogate głowy. Pająk tkał pajęczynę, na której drżały krople wilgoci.

Miranda widziała i słyszała to wszystko. Czuła zapach niemal każdej cedrowej igły. Rozpoznawała woń przestraszonej kuny uciekającej przed lisem, słyszała śpiew ptaków, brzęczenie przelatującej muchy. Była wszędzie, widziała wszystko i czuła każdym zmysłem. Na języku miała słodko-cierpki smak dojrzałych dzikich porzeczek. Nad wszystkim zaś dominował wszechobecny zapach jaśminu.

I nagle pojawił się przed nią Januszek. Bładziutki i uśmiechnięty. Wyciągnęła do niego dłonie, a on schwycił je swoimi drobnymi rączkami. Poczwała, jak przepływają z niej fale miłości prosto do rąk brata, a potem, poprzez ramiona, do jego serca. Widziała, jak to małe serduszko, najpierw czarne niczym wielka, głęboka studnia, staje się coraz jaśniejsze. Z czarnego przemieniało się w szare. Coraz jaśniejsze i jaśniejsze. Nabierało kolorów. W szarości pojawił się odcień różowy. Z każdym oddechem dawała bratu tej miłości więcej i więcej.

Patrzyła, jak chłopiec się uśmiecha, jak jego policzki nabierają rumieńców, a zielone oczy zaczynają błyszczeć. Zatraciła się w czasie i w miejscu. Najważniejszy był Januszek, chciała tak wiele mu dać. Tak bardzo pragnęła, żeby zawsze był właśnie taki, uśmiechnięty, z błyszczącymi oczyma, zaróżowionymi policzkami i silnym, zdrowym sercem.

Otworzyła oczy z wielkim żalem. Zrobiła to po części wbrew sobie. Wróciła duchem na ławkę pod domem na Przygodnej i zobaczyła wpatrzoną w siebie matkę, siedzącą obok w zapadającym mroku. Maria ubrana była w szarą bluzkę z bufiastymi rękawami i żabotem. Nie mówiła nic; zmrużyła oczy i wpatrywała się w źrenice Mirandy, jakby chciała zajrzeć do jej wnętrza.

– Nie słyszałam, kiedy mama wróciła – odezwała się dziewczyna. Poczwała się trochę nieswojo. Nie wiedziała, jak długo matka tak siedziała i na nią patrzyła. – Chodźmy do domu, bo chłodno się robi.

Wstała z ławki i ruszyła do domu, matka za nią. W kuchni Miranda dołożyła do ognia, żeby zagotować wodę, a Maria w milczeniu usiadła przy stole. Nie mówiła nic, tylko wciąż wpatrywała się w córkę. Obok niej na stole leżała otwarta torebka, ukazując swoje wnętrze. Dziewczyna dostrzegła portmonetkę, pugilares, w którym matka trzymała dokumenty, lnianą chusteczkę w drobne kwiatki, błyszczącą puderniczkę z małym lusterkiem.

– Może mama jest głodna? – zapytała.

Maria w milczeniu pokręciła głową.

– Wcześniej mama dzisiaj wróciła i tak elegancko ubrana – powiedziała po chwili Miranda.

Zabrzmiało to niemal jak wyrzut. Tak naprawdę nie spodziewała się matki przed północą.

– Mhm – mruknęła Maria. Siedziała w milczeniu, wciąż przypatrując się córce.

– Zajrzę do Januszka, czy śpi – zaproponowała Miranda. Przeszkadzała jej ta

cisza, to milczenie matki i jej baczne spojrzenie.

– Śpi spokojnie, byłam u niego – odpowiedziała Maria. – Dobrze, że już się chłodniej zrobiło. Trudno było dzisiaj oddychać na mieście.

– Januszek jest coraz silniejszy. Dzisiaj doszedł za rękę na Piasta do Oli i Ziotka. Gdyby nie ten upał, poszlibyśmy jeszcze dalej.

– I sam wrócił?

– Nie, Ziułek go przyniósł. Ale to i tak duży postęp – upierała się Mirusia. – Moim zdaniem wygląda coraz lepiej. Jest silniejszy, nauczył się paru nowych słów. Całkiem wyraźnie mówi „auto”. Potrafi też narysować dom i kwiatek – opowiadała z pełnym przekonaniem albo chcąc w sobie to przekonanie wzbudzić.

Miranda mówiła sobie codziennie, nawet kilka razy dziennie, że Januszek jest coraz silniejszy i sprawniejszy. Przecież profesor postawił warunek – chłopiec musi nabrać sił przed czekającą go ciężką operacją.

– Tak, chyba tak, tylko żeby jeszcze apetyt miał lepszy – odpowiedziała matka.

Dziewczyna wyczuła w jej słowach zbyt mało entuzjazmu, więc się obruszyła.

– Apetyt ma doskonały. Profesor kazał go dobrze karmić i Januszek ostatnio dużo je. Wczoraj zjadł sporego kotleta, do tego ziemniaki i kapustę zasmażaną i poprosił jeszcze o dokładkę. Na dodatek wszystko przegryzał chlebem.

– Dziadek Józef tak robił – wtrąciła Maria.

– Co robił dziadek?

– Wszystko zagryzał chlebem, nawet rosół z kluskami. Twoja babcia ciągle go upominała, że tylko chłopci tak jedzą.

– Nie pamiętam tego – odrzekła Miranda po chwili zastanowienia. – Coraz mniej pamiętam – dodała.

Maria nie odpowiedziała. Siedziały w gęstniejącym mroku, za oknem cykady rozpoczęły wieczorny koncert. Dopiero po kilku minutach Miranda przerwała milczenie.

– Wystarczy na tę operację? Dwa tysiące dolarów wydają się nieosiągalną kwotą – powiedziała zmartwionym tonem.

– Damy radę, nie mamy wyjścia – odrzekła Maria i uśmiechnęła się do córki.

Miranda nie pytała więcej. Musiała zaufać matce, tylko Maria mogła tego dokonać. Przez chwilę siedziały każda zatopiona we własnych myślach.

– Ciągłe to robisz – przerwała ciszę matka.

– To? Czyli co? – dopytywała się Miranda, udając, że nie wie, o co chodzi.

– O to – odpowiedziała Maria.

Wyprostowała się nagle, ręce opadły jej na boki, wypchnęła biodra do przodu. Wyprężyła całe ciało. Opierała się jedynie na piętach i na karku, spoczywającym na oparciu krzesła. Wykrzywiła twarz, wywróciła oczy, tak że było widać tylko białka, i jeszcze wyciągnęła język na brodę.

Wyglądała komicznie. Miranda wybuchnęła śmiechem. Matce zaczęły drżeć usta. W końcu też nie wytrzymała i zaczęła się śmiać. Rozluźniła się i opadła na krzesło.

– Wcale tak nie robię – zaprotestowała Miranda, kiedy już wreszcie mogła mówić.

– Nie, wcale – przedrzeźniała ją Maria. – Za to robisz tak. – Zaczęła machać rękoma, wykonując koliste ruchy nad głową. Znowu przewracała oczami, a do tego szeptała coś pod nosem.

Teraz obie zaczęły się śmiać. Miranda wstała i podeszła do włącznika światła.

– Zostaw, komary nalecą. Tak przyjemnie posiedzieć przy otwartym oknie – poprosiła matka.

Miranda z powrotem usiadła na krześle. Spowił ją mrok.

– Wszyscy w okolicy tylko o tym mówią, jak to potrafisz ludzi leczyć – odezwała się Maria, już bez śladu uśmiechu na twarzy.

– A tam, to tylko plotki. Przecież nikogo nie leczę. Nikogo poza Januszkiem – poprawiła się Mirusia.

– Stawoszkowa, listonosz, Łopaniuki, dzieci Kosteckich... – wyliczała matka.

– Gadanie! Przecież nic takiego nie zrobiłam. Pomagam tylko. Nikogo sama nie zapraszam, nie narzucam się, nie biorę za to pieniędzy.

– No właśnie – burknęła pod nosem Maria i dodała po chwili: – Będą z tego kłopoty, mówię ci. – Usadowiła się wygodniej na krześle.

– Kiedyś mówiła mama o jakiejś kobiecie – zagadnęła ją Miranda – gdzieś niedaleko Białegostoku – zmarszczyła brwi – nie pamiętam nazwy tej wsi. Nazwała ją mama szeptuchą.

Maria spojrzała na nią uważnie.

– Coś się dzieje? Przecież mówiłaś, że jesteś zdrowa – spytała z niepokojem.



– Jestem zdrowa, tylko zioła mi się kończą.

– I chwala Bogu, skończysz z tymi czarami.

Miranda uśmiechnęła się; przecież to nie ma nic wspólnego z ziołami, pomyślała.

– Potrzebuję ziół dla Januszka.

Maria wstała od stołu.

– No, trzeba spać, jutro rano muszę iść na rynek.

– To co z tymi ziołami? – naciskała dziewczyna.

Matka spojrzała na nią długo, uważnie.

– Ale mi obiecasz, że to tylko dla Januszka – postawiła warunek.

Miranda pokiwała głową i uniosła do góry dwa palce prawej ręki w geście przysięgi.

– W poniedziałek pojedziemy do Lipowego Mostu – oświadczyła Maria. – Do poniedziałku może ci wystarczy tych twoich ziół.

– Dziękuję. – Miranda westchnęła z ulgą.

– W zasadzie to można by zioła u nas w ogrodzie zasadzić. Stoi odłogiem i nikt się nim nie zajmuje.

Dziewczyna przez chwilę siedziała zaskoczona i nagle zawołała z entuzjazmem:

– To jest pomysł! Przywieziemy z tego Lipowego Mostu nasiona i sadzonki. Będę miała swoje zioła – cieszyła się. – Zrobię grządki i zielnik na wiosnę. Będę je sadzić, zbierać, suszyć i przerabiać na maści, napary, mikstury – ożywiła się, snując plany.

Już miała przed oczami nawleczone na sznurek liście babki wiszące nad kuchnią.

Maria uniosła do góry rękę z wysuniętym palcem. Pogroziła córce.

– Do czasu, moja panno! Do czasu! Tylko do operacji Januszka, a potem koniec z tymi wszystkimi gusłami – oświadczyła Maria, niwecząc wszelkie plany oraz marzenia córki, i poszła do łazienki.

Miranda siedziała jeszcze chwilę w kuchni, uśmiechając się do własnych myśli. I tak robi swoje. A potem, jak już Januszek wyzdrowieje, to niech będzie, jak matka sobie chce. Zamieni grządki z ziołami na takie z warzywami i kwiatami. Zasieją pod oknem maciejkę, pod płotem słodki zielony groszek, a na wiosnę będą mieli pyszne nowalijki. Własne i codziennie, a nie tylko od czasu do czasu, kiedy matka przywiezie je zwiędnięte po całym dniu w pociągu lub autobusie.

W końcu zamknęła okno i dopiero wtedy włączyła światło. Przez chwilę musiała się przyzwyczaić do blasku żarówki. Przegarnęła po grzebaczem żar pod kuchnią, sprawdziła, czy drzwi do domu są zamknięte, a potem zamknęła te z sieni do kuchni. Nakryła świeży bochenek chleba czystą ściereczką. Nasłuchiwała, ale z łazienki nie dolatywał żaden dźwięk. Zostawiła matce włączone światło i poszła do sypialni. Usypiała w rytm oddechu Januszka, a kiedy przysunęła się do niego, nie czuła już tej czarnej, złowrogiej mocy, wysysającej z niego życie. Widocznie jej zioła, a może jeszcze trochę te zagraniczne leki pomogły. Miranda nie miała wątpliwości, że jej brat będzie silny i zdrowy.

## ROZDZIAŁ XXVI

SIERPIEŃ 1951

Jeszcze przed świtem Maria i Miranda zanosły zaspanego Januszka do sąsiadki. Jadzia Łopaniuk chętnie zgodziła się wziąć chłopca do siebie na cały dzień w ramach wdzięczności za to, że kiedyś Miranda pomogła jej w kłopotach z pęcherzem. Złapały autobus na Sienkiewicza i pojechały do Supraśla. Z przystanku poszły na drogę w kierunku Krynek, minęły masywny budynek monasteru i stanęły na rogatkach, czekając na okazję. Słońce stało już wysoko, wydawało się drżeć od gorąca. Po kilku minutach zatrzymała się jakaś ciężarówka.

– A dokąd to? – zawołał kierowca.

– Do Lipowego Mostu, niedaleko stąd.

– No dawaj – zawołał i ruchem ręki zaprosił je do szoferki.

Wgramoliły się do środka i przysiadły obie na jednym siedzeniu. Każda siedziała na jednym półdupku. Podskakiwały na wybojach. Śmiały się i popychały jak podlotki.

– A wy co, koleżanki? Do chłopaków jedziecie? – podpytywał je kierowca, Białorusin.

Spojrzały na siebie ze śmiechem.

– Tak – potwierdziła Maria.

Podróż minęła szybko. Podziękowały za podwiezienie i pożegnały Białorusina przy skrzyżowaniu dróg na Lipowy Most. Ciężarówka odjechała, prychając i zgrzytając. Stały, machając rękoma, aż zniknęła za zakrętem, po czym ruszyły leśną drogą w stronę wsi. Miały do przejścia kilka kilometrów. Drzewa rzucały cień na drogę, wiał przyjemny wiaterek, las pachniał całym swoim bogactwem – mchem, sosnowymi igłami, wilgocią, słońcem. Obie zdjęły bluzki i niosły je w rękach, szły tylko w spódnicach i halkach. Mirandę bolały nogi, nie przywykła do długich marszów w pantofelkach. W końcu

przysiadła na zwałonym pniu, z ulgą zdjęła buty i podążyła dalej boso. Nie spieszyły się, po drodze próbowały odgadywać głosy ptaków.

– Kos – stwierdziła Maria.

– To nie kos, to czarny drozd – poprawiła ją Miranda, używając rosyjskiej nazwy.

Rozkoszowała się lasem, powietrzem, przyrodą.

– Jaki drozd! To przecież kos – upierała się Stasiakowa.

– Nie, czarny drozd.

– Cicho! Słyszysz? – zawołała Maria i przystanęła. – Dzięki! Stuka.

Miranda zatrzymała się i też nasłuchiwała.

– To diateł.

– Diateł, diateł – przedrzeźniała ją matka ze śmiechem, ruszając naprzód. – Do szkoły byś poszła, to może byś się czegoś wreszcie nauczyła.

– Ja nic nie umiem? – zawołała Miranda.

Zeszła na chwilę z drogi, pochyliła się i zerwała jakąś roślinę o długich, wiotkich pędach. Dogoniła matkę i zamachała przed jej oczyma zieloną łodygą.

– Ja nic nie umiem? – powtórzyła z uśmiechem. – Proszę, oto piesczianka. Świeże, młode pędy należy zagotować w smalcu i powstanie maść dobra na giemoraje i choroby skóry. A kompresy ze zmielonego ziela zahamują wydzielanie mleka u matek.

– Piesczianka? Toż to zwykły chwast! Pod każdym płotem rośnie.

Tak się przekomarzając, niemal nie zauważyły, kiedy skończył się las i pojawiła wieś. Kilkanaście drewnianych chałup stało wzdłuż drogi, każda oddzielona od innych równym płotem. Znad poczerńiałych sztachet wystawały fioletowe głowy dorodnych irysów. Przy kwiatkach uwijały się pszczoły. Świeże, leśne powietrze zastąpił zapach wsi, nagranych drewnianych ścian domów, dojrzałej trawy i gnojówki gromadzonej przed oborami w głębi podwórzy. Na łąkach pasły się łaciate krowy. Stały bez ruchu, wpatrując się w przechodzącą drogą kobiety czarnymi, mądrymi oczyma. Gdyby nie ruchliwe ogony, odganiające muchy, można by sądzić, że to nie żywe zwierzęta, tylko posągi.

Idąc przez wieś, Maria i Miranda zauważyły pracujące w ogrodach kobiety. Były rozebrane do pasa, do samych staników lub płóciennych koszul bez rękawów, w szerokich spódnicach przewiązanych fartuchami. Ich opalona skóra na ramionach i plecach kontrastowała z jasną bielizną i chustkami na

głowach. Miranda oddychała pełną piersią. Zaciągała się tym wiejskim powietrzem jak najlepszym tytoniem.

Przystanąły na chwilę, włożyły bluzki, poprawiły włosy. Miranda otrzepała stopy z piachu, wsunęła je w buty i poszły dalej. Maria wskazała córce przedostatnią chatę na końcu wsi. Przekroczyły wysoki próg i znalazły się w ciemnej sieni. Drzwi wejściowe były tak niskie, że dziewczyna musiała pochylić głowę. Maria zapukała do drugich, w głębi, i nie czekając na zaproszenie, weszła do kuchni, a Miranda tuż za nią. Pomieszczenie było nieduże, rozgrzane od palącego się pod kuchnią ognia. Przez otwarte na oścież małe okienka wpadało niewiele świeżego powietrza.

– A, pani Maria! Zachodźcie, zachodźcie – zawołała do nich postawna kobieta w białej chustce na głowie, zaciągając śpiewnie na podlaską modłę. Wytarła ręce w fartuch zawiązany na wydatnym brzuchu i podeszła do Stasiakowej. Chwyciła ją poufale za ramię. – A pani po miód zajechała, pani Maria?

– Nie, nie, tym razem w innej sprawie, pani Nastko. – Matka odwróciła się i spojrzała na Mirandę. – Z córką do szeptuchy przyjechałam.

– A! – Kobieta ze zrozumieniem pokiwała głową i spojrzała na Mirandę.

– Nie wiem, czy to dobry moment i czy nas dzisiaj przyjmie – dodała Maria.

– A co ma nie przyjąć? – Nastka uniosła ręce do góry. – Pewnie, że przyjmie. Panią Marię to zawsze. Teraz modły odprawia na szóstą godzinę<sup>1</sup>. Zaraz jak skończy, to jej rzekę, że jesteście. No! A teraz siadajcie, siadajcie. Mleka kisłego przyniesu dla was, żar taki dzisiaj. Ochłódzicie się, tylko do studni podejdę. Tam ładyszkę kitram, żeby zimne było – powiedziała Nastka i już zniknęła w sieni.

Maria z Mirandą usiadły na ławie pod ścianą. Dziewczyna rozejrzała się z uśmiechem. Czowała wszystkie zapachy tego pomieszczenia. Czowała dobrą energię unoszącą się w powietrzu. Wiedziała, że jest we właściwym miejscu. W syberyjskiej chacie Dalii pachniało tak samo.

– Nu, niech panie piją, a tu bułkie chleba miejcie. – Nastka zaprosiła obie kobiety na poczęstunek.

Maria gawędziła z gospodynią, a Mirusia oglądała wszystko dookoła. Okopcony okap nad kuchnią, wyszorowane do czysta metalowe garnki i durszlaki ustawione na półce. Szydełkowe firanki przybite gwoździami do ram okien. Pod okapem nad płytą kuchenną wisały na sznurach zioła. Liście,

korzenie, pędy, kwiaty. Miranda uśmiechała się coraz radośniej. Nie mogła już się doczekać spotkania z szeptuchą. Próbowwała się domyślać, jak ona wygląda, jak pachnie.

– O! Chyba skończyła – oświadczyła gospodyni i podeszła do zamkniętych na głucho drzwi zaraz za kuchnią.

Maria i Miranda spojrzały po sobie. Skąd ona to wiedziała? Nastka zapukała i wetknęła przez szparę głowę do środka. Po chwili odwróciła się do gości.

– No, zachodźcie, zachodźcie. – Zachęciła je szerokim ruchem i otworzyła drzwi do kolejnego pomieszczenia.

Maria wstała i ruszyła we wskazanym kierunku, Miranda podążyła za nią. Weszły do małego pokoiku. Panował w nim zaduch. Miranda wiedziała, że matka czuje tylko zapach starego człowieka, ale ona wyczuwała o wiele więcej, naprawdę dużo więcej. Wróciły wspomnienia z syberyjskiej tajgi, te najlepsze.

W głębi izdebki siedziała na krześle drobna kobieta. Była niemal taka maleńka jak Januszek, stopami nie sięgała do podłogi. Na głowie miała zawiązaną sztywną, nakrochmaloną chustkę. Pomimo upału zarzuciła na ramiona wełnianą chustę, jej końce wetknęła pod pasek spódnicy. Na widok Marii staruszka uśmiechnęła się szeroko bezzębnyimi dziąsłami i całą swoją pomarszczoną twarzą.

– Ach, to ty, dziecko! – powiedziała bez śladu gwary czy podlaskiego zaciągania. – Cóż to cię do mnie sprowadza? Mam nadzieję, że nie choroba.

– Sława Isusu Chrystu. – Maria podeszła i uścisnęła wyciągnięte dłonie starowinki.

Kiedy pochyliła się nad szeptuchą, ta na moment przysunęła swoje czoło do głowy Marii.

– Przyjechałam tutaj z córką – wytłumaczyła Stasiakowa i ruchem głowy przywołała Mirusię.

Dziewczyna podeszła z szacunkiem i również pochyliła się do pomarszczonej dłoni staruszki. Poczowała mrowienie, kiedy szeptucha dotknęła czołem jej głowy. Chciała się wyprostować i cofnąć, ale staruszka przytrzymała jej rękę, wpatrując się w źrenice Mirusi. Trwało to chwilę. Zgięta w pół Miranda czuła moc spojrzenia starej kobiety, czuła, jak tamta zagląda w głąb jej duszy, niemal w każdy zakamarek. Pozwoliła na to, wytrzymała spojrzenie szeptuchy.

– Przecież ty, dziecko, zdrowa jesteś – stwierdziła staruszka i puściła rękę

Mirandy. – Siadajcie, proszę. – Wskazała na stojącą pod ścianą skrzynię zasłaną koźlą skórą.

Z trudem obie się na niej zmieściły. Na jedynym krześle w izdebce, tuż obok dużego stołu, zasłanego lnianym, okrągłym obrusem, siedziała szeptucha. Na stole stały dwie ikony, a pomiędzy nimi krzyż. Paliła się przed nim mała świeczka i leżał bukiet polnych kwiatów. Pod drugą ścianą stało starannie zasłane małe, wąskie łóżko. Wisiało nad nim na gwoździach, wbitych w drewniane ściany, kilka kolejnych ikon. Niektóre tak pociemniały ze starości, że trudno było rozpoznać namalowane na nich postaci. Wyposażenia izby dopełniała niewielka komoda i rozparty w kącie piec. Nieproporcjonalnie duży w stosunku do niewielkiego pomieszczenia. Zielone kafle błyszcząły nowością.

– Nie przyjechałam tu do pani z powodu choroby, pani... – Miranda zawiesiła głos.

Czuła życzliwość, wyrozumiałość i ciepło emanujące z drobnej postaci na krześle.

– To w czym mogę ci pomóc, moje dziecko? I mów do mnie „mameczko”, jak wszyscy.

Miranda skinęła głową. Maria milczała i tylko patrzyła raz na jedną, raz na drugą.

– Potrzebuję ziół, mameczko. Najlepiej suszonych. Liści, korzeni, kwiatów. A jeszcze nasion i może sadzonek. Właściwie wszystkiego – wyliczyła Miranda jednym tchem.

Szeptucha spojrzała na Stasiakową, która wzruszyła ramionami, jakby nie chciała mieć z tym nic wspólnego.

– Dla twojego małego brata? – zapytała staruszka.

Miranda poczuła gulę rosnącą w gardle. Przełknęła ślinę.

– Tak, dla Januszka.

– A jak on się miewa?

– Jest dla niego nadzieja – odpowiedziała dziewczyna, nie dając matce dojść do słowa. – Przyjechał profesor, chirurg z Moskwy, i obiecał, że zoperuje Januszka, tylko mały musi nabrać trochę sił. Profesor przyjedzie znowu do Białegostoku w kolejną wiosnę i wtedy ma być ta operacja. Januszek czuje się coraz lepiej, ale moje zapasy ziół się wyczerpały. Potrzebuję dla niego konwalii, napierstrianu, pustiarniku, miłorzębu. Ale inne zioła też się przydadzą. Trzeba mi nasion i wskazówek, jak je sadzić. Nigdy tego nie

robiłam, szłam do tajgi i zbierałam – opowiadała z przekonaniem Mirusia, lecz nagle umilkła, jakby zawstydzona, że zbyt dużo mówi.

Staruszka patrzyła na nią z lekkim uśmiechem.

– Skąd to masz? – zapytała.

Miranda chrząknęła i spojrzała na matkę, a ta zachęciła ją ruchem głowy. Jakby chciała powiedzieć: chciałaś tu przyjechać, to teraz się tłumacz.

– Nauczyłam się trochę o ziołach na zesłaniu, na Syberii. W Jugrze. Teraz przydaje mi się to dla braciszka. Codziennie parzę mu...

Staruszka pokręciła głową i uśmiechnęła się życzliwie.

– Nie o zioła pytam – przerwała jej.

Miranda się zmieszała. Poczula się przyciśnięta do muru. Matka znowu wzruszyła ramionami.

– Nauczyłam się tam, na Syberii.

– Od kogo? Skąd to masz? – dopytywała się staruszka.

Młoda kobieta westchnęła. Widziała, jak matka nastawia uszu. Mirusia jeszcze nigdy nikomu tutaj nie mówiła o Dalii.

– Była tam taka wioska, a raczej osada nad Irtyszem. Parę kilometrów w dół rzeki od wsi Semeyka. Miejscowi przychodzili i odchodzili. Była z nimi kobieta, jedni mówili na nią starucha, inni uważali ją za szamankę, a jeszcze inni za uzdrowicielkę.

Szeptucha słuchała uważnie, chociaż Miranda miała niemal pewność, że tamta już wszystko wie. Zobaczyła to w jej szarych oczach. To wyjaśnienie nie było dla drobnej staruszki na krześle, tylko dla matki, dla Marii Stasiak.

– Ostiacy czy Wogułowie? – wtrąciła staruszka.

– Wogułowie.

– Wędrujesz za duchami?

– Nie, tylko mogę je zaprosić i błagać o pomoc. Ale nawet nie wiem, czy słyszą. Nie widzę ich.

Stara kobieta wymamrotała coś pod nosem i pokiwała głową. Maria wykrzywiła usta. Nie podobała jej się ta rozmowa o duchach.

– A jak to się stało, że strażnicy pozwalali ci do niej chodzić? – spytała po chwili szeptucha.

Mirusia uśmiechnęła się, wróciły kolejne wspomnienia.

– Bali się Dalii jak ognia i robili wszystko, co chciała. Kiedy wołała mnie do siebie, nikt nie śmiał mnie zatrzymywać.

– No tak, porządni bolszewicy i starej baby się bali. – Tamta pokiwała



głową. Znowu zaczęła coś mrużyć do siebie i siedziała chwilę, patrząc na obie kobiety. To na Mirandę, to na Marię. Po chwili powiedziała: – Wiele przeszłaś, dziecko, wiele przeżyłaś. Ale teraz już jesteś w domu, z rodziną. – Wbiła wzrok w Mirandę i wpatrywała się w nią przez moment, jakby zamierzała ją zaczarować.

– Tak, na szczęście teraz już jestem w domu, wśród swoich, wróciłam do rodziny – odpowiedziała dziewczyna i dopiero po paru sekundach zdała sobie sprawę z wagi wypowiedzianych słów.

Umilkła z wrażenia. Czuła na sobie badawcze spojrzenie matki, ale nie miała odwagi zerknąć w jej stronę. Siedziała, obserwując własne ręce, kalekie palce pokryte bliznami, zniekształcone stawy. W pomieszczeniu czuło się napięcie, jakby stało się coś ważnego. Jak uzdrowienie niewidomego. Po chwili Miranda nieśmiało podniosła wzrok. Miała wrażenie, że coś przyciąga jej spojrzenie. Ze ściany wpatrywały się w nią jasne oczy jednej z ikon. W końcu szeptucha przerwała ciszę:

– Pani Mario, nie ma pani jakiejś sprawy do załatwienia we wsi? Nam tu chwilę się zejdzie z tymi ziołami.

– Tak, tak. – Maria zerwała się ze skrzyni, ukradkiem wycierając łzę. – Chętnie wpadnę do sołtysowej. – W jej głosie wyraźnie słychać było ulgę. – Będzie dobrze, jak wrócę za kwadrans? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, obróciła się energicznie i wyszła.

Miranda została sama z szeptuchą i też poczuła ulgę po wyjściu matki.

Kiedy Maria wróciła po blisko półgodzinie, obie siedziały przy stole. Szeptucha nadal na tym samym krześle, a Mirusia przycupnęła na brzegu łóżka.

– O, jest pani Maria! – ucieszyła się staruszka. – Załatwiłaś wszystko tak szybko, moja droga?

Miranda spojrzała na matkę, jakby zdziwiona jej obecnością.

– Zeszło mi prawie pół godziny. Mirusia – Maria zwróciła się do córki łagodnym tonem – musimy się zbierać, żeby złapać ostatni autobus z Supraśla.

Miranda wstała i zaczęła się krzątać wokół ziół porozkładanych na stole. Zawijała w kawałki gazety nasiona, zasuszone kwiaty, korzonki i suszone ziele. Brała je do rąk delikatnie, jak jakieś świętości.

– Bylicę pamiętaj zasadzić na wiosnę i pod płotem, a korzenie wykopuj dopiero późną jesienią. Liście babki zbieraj tylko te najmniejsze, najmłodsze

i nie później niż do sierpnia. Susz je szybko, na samej płycie, nie na sznurku, pamiętaj. A podagrycznik zasadź pod wschodnią ścianą domu, tylko tam – instruowała staruszka Mirusię, kiedy ta pakowała swoje skarby.

Stasiakowa obserwowała ruchy córki. Miranda brała do rąk zioła z tak nabożną czcią i z taką atencją, jakby dotykała relikwii. Maria skrzywiła się z niesmakiem i nagle zauważyła wpatrzona w siebie oczy szeptuchy. Psia kość, zakląła w duchu. Czy ona musi wszystko widzieć? – pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno.

Kiedy Mirusia pozawijała swoje skarby i zapakowała w uplecioną ze sznurków torbę, którą specjalnie wzięła ze sobą, Maria zapytała:

– Masz już wszystko?

Dziewczyna skinęła głową.

– Mateczko, to ile my za te zioła jesteśmy winne? – zapytała Stasiakowa.

Staruszka machnęła ręką.

– Nic nie jesteście winne. Nie mogę od was brać pieniędzy, bo nikogo przecież nie wyleczyłam.

Maria uśmiechnęła się tylko. Miała inne zdanie, wiedziała, co dzisiaj się wydarzyło w tej izdebce. Przecież słyszała słowa Mirusi. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej cztery paczki cameli. Położyła papierosy na stole. Staruszka uśmiechnęła się szeroko, aż oczy jej zniknęły w pomarszczonej skórze policzków i zatrzęsała się broda.

– Oj, jakie dobre papieroski! Pani zawsze wie, pani Mario, co najlepsze.

Matka przyklękła przed szeptuchą i chwyciła ją za ręce. Były ciepłe, suche i takie drobniutkie. Jak rączki Januszka. Zniknęły zupełnie w dłoniach Stasiakowej.

– Tylko, mateczko, nie palcie za dużo, bo to niczemu dobremu nie służy.

– Wiem, wiem, tylko od czasu do czasu, dla przyjemności – zapewniła ją starowina.

Uśmiechnęły się do siebie serdecznie.

– Te zioła dobrze zrobią twojemu synkowi.

– Wiem, tylko ja tu nie przyjechałam ze względu na niego, tylko na nią. Ją trzeba było uleczyć.

Staruszka pokiwała głową.

– Będę się modliła za twojego synka.

– Dziękuję, on teraz bardzo tego potrzebuje.

Stasiakowa poczuła, jak szeptucha mocno i zdecydowanie ścisła jej dłoń.

Wciąż klęcząc przy krześle, Maria obejrzała się na córkę. Mirusia stała przed ścianą wpatrzona w jedną z ikon.

– Jak się na ikonę zapatrzyła – konspiracyjnie szepnęła do staruszki Maria.

Tamta pokręciła przecząco głową.

– To ikona zapatrzyła się na twoją córkę – odparła i dla wzmocnienia tych słów pokiwała głową. – A ty się o nią nie martw – dodała po chwili.

– O Mirusie?

Rozmawiały szeptem, zerkając na zapatrzoną w święty obraz na ścianie dziewczynę.

– Tak, o twoją Mirusie. Wiem, że tobie się nie podoba to, jaka wróciła z tej Syberii – wyjaśniła szeptucha. – Ale to minie.

Tym razem Maria ścisnęła dłonie starej kobiety.

– Naprawdę? – zapytała ledwie słyszalnie z nadzieją w głosie.

Tamta pokiwała głową.

– Minie, minie, już niedługo. Wszystko minie, i trucizna, co ją zatruwa, i ten dar, te moce. Wszystko jest stamtąd, nie stąd. – Staruszka poruszała głową w przód i w tył. – Tak, tak, nie stąd. A ona już coraz bardziej tutejsza.

– Mateczko, dziękuję – szepnęła Maria i z wdzięcznością przycisnęła usta do drobnych, powykrecanych dłoni szeptuchy. Pachniały ziołami i woskiem.

Nagle odezwała się Mirusia:

– Ja również bardzo dziękuję. Niech Bóg będzie z wami, mateczko.

– I z wami również, dzieci, niech was Hospod' Bezsmertnyj prowadzi. Sława Isusu Chrystu.

– Sława Isusu Chrystu – powtórzyły razem i wyszły.

Kiedy przechodziły przez kuchnię, nikogo w niej nie zastały. Wyszły na drogę i dopiero wtedy w oddali zobaczyły Nastkę, prowadzącą w stronę chaty dwie krowy. Pomachały jej na pożegnanie, odwróciły się i w milczeniu ruszyły z powrotem drogą przez las, licząc na to, że na szosie szybko złapią okazję i zdążą na autobus do Białegostoku.

<sup>1</sup> W religii prawosławnej modlitwy na szóstą godzinę odmawia się w południe.

## ROZDZIAŁ XXVII

SIERPIEŃ 1951

W powietrzu czuło się już, że lato się przepołowiło. Promienie słońca wpadały do pokoju pod innym kątem. Oba okna były otwarte, a firanki wydymał lekki, lecz chłodniejszy już wiatr. Falowały w jego podmuchach jak muślinowe suknie dam na przedwojennych balach. Maria siedziała na ulubionym fotelu Mirusi i cerowała rajtuzy Januszka. Chłopiec bawił się na podłodze obok. Nawlekał kolorowe guziki na drucik. Po każdym nawleczonym guziku przesypywał wszystkie z jednego końca na drugi. Ostatnio była to jego ulubiona zabawa. Maria spojrzała na synka i z satysfakcją zauważyła, że dobierał guziki kolorami. Najpierw czarny, potem brązowy, szary i na koniec czerwony, i od nowa, czarny, brązowy, szary, czerwony. Nauczyła go tego Mirusia.

– Januszek, jak ty pięknie nawlekasz te guziki! – zachwyciła się, a chłopiec odpowiedział jej uśmiechem.

W tle grało radio. Popołudniowy program. Maria lubiła te audycje, takie o wszystkim i o niczym, od czasu do czasu z jakąś piosenką Mazowsza albo Mieczysława Fogga. Uśmiechała się i przytupywała nogą w rytm melodii. Piosenka skończyła się i przyszedł czas na reportaż. Maria przechyliła się w stronę radia i podkreśliła głos. Mężczyzna mówił pięknym, głębokim, trochę drżącym głosem, dokładnie wymawiając okrągłe zgłoski, tak na przedwojenną modłę.

– Stołeczny dworzec śródmiejski objęły w niepodzielne władanie warszawianki. Całą stację obsługują kolejarze w spódnicach, od zawiadowcy Danuty Ellert do kasjerek i bileterek. Mężczyźni są mile widziani, ale tylko jako pasażerowie. Ciekawe, że panowie z pełnym uznaniem przyjęli tę innowację. Czyż można się dziwić, skoro innowacja ma tak miły uśmiech jak kasjerka Chmielińska czy kasjerka Kowalska? Halina Dymkowska pięknym

mezzosopranem zapowiada odjazd pociągu.

– Uwaga, uwaga! – rozległ się z głośnika radia damski głos zniekształcony przez dworcowy megafon. – Pociąg podmiejski do Miastka odjeżdża z peronu pierwszego.

– Obywatelka dyżurny ruchu – kontynuował reporter – daje sygnał. Kobiety kolejarze świetnie zdały egzamin w odpowiedzialnej służbie.

Dla podkreślenia słów w tle dał się słyszeć stukot odjeżdżającego ze stacji pociągu.

– No widzisz, Januszek – odezwała się do chłopca – teraz kobiety mogą robić wszystko, mamy równouprawnienie. Kobieta może zostać, kim tylko chce. Nawet kolejarzem. A ty chciałbyś być kolejarzem, synku?

– Taała! – potwierdził i skinął główką.

– Widziałeś kiedyś pociąg?

– Taałaa, baj – znowu przytaknął.

Maria opuściła ręce na kolana i przechyliła głowę.

– Taa, jasne – mruknęła z powątpiewaniem. – Kiedy to niby miałeś ten pociąg widzieć? – Nagle się ożywiła. – No właśnie, Januszek. Trzeba cię zabrać na przejażdżkę pociągiem! Co ty na to?

Chłopiec znowu powtórzył swoje:

– Aaałaa, bałłaaa.

– O tak, w niedzielę jest odpust w Tykocinie. Zabierzemy jedzenie w koszyk i pojedziemy pociągiem. Taka niedzielna wycieczka. Wiesz, co to odpust?

– Aaałaa, bałłaaa – usłyszała w odpowiedzi.

Maria rozmarzyła się, patrząc w okno.

– Oj, w Tykocinie są piękne odpusty. Będą stragany z lizakami i wata cukrową. Z zabawkami, słomianymi lalkami w strojach ludowych. I strzelnica z karabinem na kapiszony, a może nawet karuzela przyjedzie. Będzie dużo dzieci, dorośli, wszyscy ładnie ubrani, odświeżeni. I my też pięknie się ubierzemy, co, Januszek? Mirusia się ucieszy. Wiesz, kiedyś ona i Busia uwielbiały odpusty. Jeździliśmy całą rodziną na wszystkie w okolicy.

– Aaałłeeeenn baaf, baala – skomentował Januszek.

– No właśnie. Dziewczynki wracały obładowane słodyczami i upominkami. Takie tam, wiesz, dziewczęce drobiazgi. A to spinka do włosów, grzebyk, wstążka, gwizdek w kształcie ptaszka, malowane pudełeczko nie wiadomo do czego.

Nagle usłyszeli trzaśnięcie drzwi wejściowych.

– Mamy gościa, Januszek.

Po sekundzie w progu stanęła Stawoszkowa.

– A co u was tak wesoło? Radio aż na ulicy słyhać – zawołała, wchodząc do pokoju.

Maria sięgnęła i przyciszyła radio.

– A lubię sobie czasem posłuchać, co w kraju się dzieje, a czasem i na świecie.

Stawoszkowa spojrzała na nią uważnie.

– A to jakie radio? – zapytała.

– Jak to jakie? Nasze, Mazowsze właśnie śpiewa.

– No tak, no tak – odpowiedziała sąsiadka i niezapraszana usiadła na krześle przy stole. Rozejrzała się wokoło. – A Mirusia gdzie?

– Poszła do Ziutka. Dziewczynki zachorowały i pobiegła pomóc. Obie dostały wysokiej gorączki. Podejrzewają szkarlatynę. Ziutek wpadł na chwilę, Mirusia zgarnęła swoje zioła i poszła.

– Szkarlatyna to straszna choroba – skwitowała Stawoszkowa. – A Mirusia to faktycznie ma dar do leczenia.

– A, dar nie dar. Ja tam w te syberyjskie zabobony nie wierzę, ale na pewno pomoże Oli przy dziewczynkach, być może nawet zostanie u nich na noc. A jak szkarlatyna, to i tak penicylinę trzeba małym podać.

Stawoszkowa się obruszyła.

– Co tu wierzyć czy nie wierzyć? Ilu już ludziom Mirusia pomogła?! Coraz to ktoś mówi. Pan Anatol aż piał z zachwyty, że mu lepiej oddychać po Mirusi rękach.

Maria odłożyła cerowanie i spojrzała niechętnie na przybyłą.

– A pani w jakiej sprawie wpadła, pani Janino? Bo jak do Mirusi, to nie wiem, kiedy wróci, i nie będę pani zatrzymywać.

Kobieta powierciła się na krześle, położyła ręce na kolanach i zamrugała kilka razy.

– A nie, nie, tym razem to ja do pani, pani sąsiadko. Sprawę mam taką jedną.

– Stawy dokuczają?

– A nie, nie, po tym, jak ostatnio Mirusia ręce mi przykładała... – przerwała w pół zdania i zmieszała się. – Nie, ja nie w sprawie stawów, tylko mojego Bronka.

Maria przechyliła głowę i czekała.

– Bo widzi pani, pani Marysiu kochana, mój Broniek to dobry chłopak.

Kierowca ciężarówki! Jeszcze młody, a już mu najlepsze wozy na bazie dają i w długie trasy go wysyłają. Ostatnio do Wrocławia poleciał. W tę i we w tę. W cztery dni obrócił. A paskudna pogoda wtedy była. Burze i ulewy w całym kraju, jak nigdy. Wietrzysko, aż drzewa łamało. Rzeki na Śląsku z brzegów wystąpiły. Wszyscy na bazie mówili, że nie da rady, a on dał. Najpierw mu wóz nie chciał zapalić, a potem silnik na trasie zalało i w tym deszczu go naprawił i wrócił. Razem z całą brygadą po sto godzin w tygodniu wyrabiają. Robotny i zdolny z niego chłopak.

– Żony mu pani szuka? – nasunęło się Marii.

Nie była tym zainteresowana i miała dość tych hymnów pochwalnych na temat młodego Stawoszki. Nie interesowały jej sukcesy Bronka, a może nawet była trochę zazdrosna. Raczej nie miała powodów do dumy z własnych dzieci, a tu taki bohater Bronek Stawoszko. Przodownik. Maria pamiętała, jak umorusany, z glutami po brodę, biegał po Słonimskiej. Ledwie umiał składne zdanie powiedzieć.

– Nie, nie – zaśmiała się Janina – żony mu nie szukam. – Jednak zawahała się chwilę. – Choć może dobra żona by mu się przydała. Ale tu o inną sprawę się rozchodzi.

– No to słucham – zachęciła ją Maria.

– Bo widzi pani, moja droga pani Mario – przymilała się sąsiadka. – Bronek teraz ma jechać do stolicy. Będzie odbierał nagrodę. Pójdzie na kurs do centralnego ośrodka szkolenia partyjnego, będzie robił karierę. Już z niego nie byle kierowca, tylko przodownik. Po takim kursie już nie będzie tyle na ciężarówce jeździł, tylko chodził po zakładach pracy, pogadanki i szkolenia robił ludziom.

Jak to nie jest swatanie, to co to jest? – pomyślała Maria.

– No a gdzie ta sprawa? – zapytała głośno.

Januszek przesywał sznur guzików z jednego końca drutu na drugi, po czym zaprezentował kobietom swoje dzieło, podnosząc je do góry.

– Bardzo ładnie – pochwaliła Maria, czule głaszcząc synka po główce.

Zatrzymała na nim wzrok. Pomyślała, kim on będzie w przyszłości. Czy ona też będzie mogła chodzić kiedyś do sąsiadek i synem się chwalić? Czy jedynym osiągnięciem jej syna będą równo nawleczone kolorowe guziki? Z trudem otrząsnęła się z tych myśli i przeniosła spojrzenie na gościa.

– No właśnie o tę nagrodę i podróż do Warszawy się rozchodzi. Nagrody ma wręczać sam pierwszy sekretarz – oświadczyła z dumą Stawoszkowa i urwała,

wyraźnie czekając na reakcję gospodyni. Nie musiała długo czekać, bo Maria otworzyła usta ze zdziwienia. – No właśnie! – ciągnęła sąsiadka, rada z wrażenia, jakie wywarły jej słowa. – Widzi pani, pani Mario, nie mogę chłopaka wysłać byle jak. Potrzebuję uszyć mu garnitur. Rozmawiałam już ze starym Szulcmanem i obiecał, że uszyje elegancki, taki na nowoczesną modłę, tylko materiał mam przynieść.

I tu umilkła. Maria w sekundę domyśliła się, o co chodzi, ale nic nie powiedziała. Czekala. Tamta siedziała i patrzyła na nią prosząco. Januszek znowu przesypał guziki. W końcu sąsiadka wydusiła z siebie:

– I może pani, pani Marysiu kochana, jakąś ładną wełenkę na garnitur by załatwiła? No przecież nie uszyję mu z tego, co w sklepach leży. Jak ma być porządny garnitur, to musi być porządny towar.

Maria uśmiechnęła się pod nosem. To ci przodownik komunistyczny w garniturze z prawdziwej wełenki, pomyślała. Proletariat, komuniści, prosty lud, a i takie aspiracje jak przed wojną, i tak w burżuazyjnej wełence chce się chodzić.

– Oj, pani sąsiadko, załatwić coś takiego nie będzie łatwo. – Pokręciła głową i wykrzywiła usta. – Ile na taki garnitur potrzeba? Ze dwa metry?

– Dwa i pół, może nawet trzy, tak na wszelki wypadek, żeby nie zabrakło. Jak zostanie, to mi jeszcze krawiec spódniczkę wykroi. – Uśmiechnęła się przymilnie. – Ja wiem, że to nie jest łatwe, ale jeżeli ktoś może załatwić, to tylko pani – kadziła jej tamta.

Maria myślała i kalkulowała. Materiał da się zorganizować. Ile może Stawoszkowa zapłacić za taką wełnę? Sto złotych za metr? Stasiakowa bardziej się zastanawiała, jak to inaczej wykorzystać. Jak może jej się przydać to, że chłopak na ciężarówce jeździ i do różnych miejsc go posyłają. O, to może się okazać niezwykle cenne, zwłaszcza teraz, kiedy trzeba zbierać pieniądze na operację Januszka.

– Pani Janino, trzy metry prawdziwej wełny na ładny garnitur w obecnych czasach to chyba tylko cudotwórca umiałby załatwić.

– Pani kochana, a kto inny, jak nie pani? Tylko pani takie cuda załatwia.

Cała była słodyczą, jej uśmiech, oczy, postać, wszystko ociekało podziwem i sympatią dla Marii. Ile razy już to widziała. Ilu już ludzi siedziało na tym samym krześle i w taki sam sposób prosiło o mniej lub bardziej ważne rzeczy, mniej lub bardziej wstydliwe lub drażliwe sprawy chcieli załatwić. Im bardziej sprawa wstydliwa, tym szybciej potem Marii nie rozpoznawano na



ulicach. Tamci unikali jej spojrzenia, odwracali wzrok lub wręcz przechodzili na drugą stronę.

Ale Maria nigdy się nie obrażała, o nie. Nie pozwalała się zbyć jak jakiegoś posłańca. Kiedy dostarczała zamówienie, to był dopiero początek interesu. Potem następowała płatność i z tego ludzie raczej się wywiązywali. Najtrudniejsze przychodziło potem, kiedy to ona, Maria, prosiła o przysługę. A prosiła. Pomagała, ale potem egzekwowała coś dla siebie. Umiała przekonać swoich klientów, że oddanie przysługi obowiązuje obie strony, bo interesy zawsze załatwia się ku obopólnej korzyści, a zapłata jest jedynie elementem transakcji, i to wcale nie końcowym.

– Pani Janino, nie mogę pani nic obiecać, ale może uda mi się znaleźć dla pani wełenkę. Może włoską albo hiszpańską. Nie wiem. Proszę się przygotować, że taki materiał kosztuje nawet i sto złotych z metra... – zawahała się, dyskretnie obserwując reakcję kobiety na taką cenę. Sąsiadka nie dała nic po sobie poznać, tylko głośno przełknęła ślinę. – Pani przyjdzie za dwa, trzy tygodnie, to może coś będę miała.

– Za trzy tygodnie? – jęknęła tamta. – Ale uroczystość ma się odbyć w pierwszej połowie września, a Szulcman potrzebuje dwóch tygodni na uszycie garnituru! A nie dałoby się jakoś tak szybciej?

Maria wzruszyła ramionami, udając, że czuje się obrażona takim postawieniem sprawy.

– Jak ma być szybko i skoro tak długo krawcowi szycie zajmie, to niech pani pójdzie do zjednoczenia. Widziałam, że mają tam takie szykowne garnitury z zerówki czy czegoś takiego. Naprawdę nieźle wyglądają, z daleka prawie jak wełna, tylko nie siadać w nim, bo gniecie się okropnie! I broń Boże nie prać samemu, do pralni oddawać trzeba. Ale jak go wyczyszczą i uprasują, będzie jak nowy, ponosi go Broniek aż do wesela.

Stawoszkowa zbladła.

– Oj, nie, nie, pani kochana, jak dwa, trzy tygodnie, no to będzie za dwa, trzy tygodnie. Poproszę Szulcmana, to i w parę dni się uwinie. Miarę może przecież zdjąć wcześniej i formę przygotować.

Maria z ukontentowaniem skinęła głową. Siedziała chwilę, myśląc o całej tej sytuacji. O Bronku, który jeździ na ciężarówce i ma robić karierę w partii. Wyglądało na to, że przed chłopakiem maluje się świetlana przyszłość.

– A pani popyta jeszcze syna, jak to jest z tym jego jeżdżeniem po Polsce – odezwała się na koniec. – Czy mógłby od czasu do czasu coś tam zabrać przy

okazji, po drodze? Wie pani, że wsi – wyjaśniła. – Albo może niech on sam wpadnie i mi o tym opowie – zaproponowała.

I już ja się postaram, żeby Miruśka była wtedy w domu. Może taki Broniek to nie najgorsza partia dla jej córki.

– Tak, pewnie, że przyjdzie. Proszę powiedzieć kiedy.

W niedzielę po południu byłoby najlepiej, nie przeszkadzałyby w codziennej robocie, pomyślała Maria, ale mogłoby to zostać niewłaściwie zrozumiane. Jeszcze nie pora na niedzielne odwiedziny.

– W środę pod wieczór niech wpadnie.

– A Mirusia będzie wtedy w domu? – zapytała Stawoszkowa i uśmiechnęła się znacząco.

– Będzie, będzie.

O ty gadzino jedna, pomyślała Maria po wyjściu sąsiadki. Już sobie wykombinowałaś, że ożenisz swojego synka z panną z dobrego domu i posażną? Jacy teraz wszyscy są interesowni.

Zabrała się z powrotem do cerowania, rozmyślając, jak wykorzystać tę ciężarówkę i Bronka do własnych celów. Może dałoby się więcej zarobić, szybciej przekazywać i przysyłać towar czy drobne zamówienia. Może uda się też życie córce ułożyć. Przy boku takiego przodownika i partyjniaka czekałaby ją spokojna i dostatnia przyszłość.

Położyła Januszka, posprzątała w kuchni, umyła się i już miała iść spać, kiedy wróciła Miranda.

– Jest jeszcze trochę gorącej wody w bojlerze? Muszę się umyć – zapytała, gdy tylko weszła do domu.

Maria spojrzała na córkę. Mirusia była wyraźnie zmęczona i wyczerpana.

– Jak tam Marynia i Benia? Lepiej się czują?

– Tak, gorączka minęła. Powinno już być dobrze. Przyszłam się przespać, wrócę do nich rano, żeby odciążyć Oleńkę. Ziutek musi jutro iść do urzędu.

– W bojlerze już prawie nic nie zostało, ale zaraz szybko podgrzeję ci w saganie na ogniu, pod kuchnią jeszcze ogień huczy.

Mirusia poszła do sieni, a Maria zakrzętnęła się przy kuchni. Słyszała, jak córka zagląda pod pokrywki garnków. Po chwili przyniosła ten z zupą fasolową i postawiła go na płycie.

– Głodna jestem, nie było ani czasu, ani siły myśleć o jedzeniu.

– Siadaj, zaraz zajmę się wszystkim.

– Jak dzisiaj Januszek?

– Bardzo dobrze, cały dzień był wesoły i zwawy. Nie miał ataku, nie bolał go brzusek. Wszystko idzie ku dobremu.

– To tak jak mówił ten profesor, musimy tylko dbać, żeby się nie przemęczał, dużo jadł i ćwiczył mięśnie. Musi być silny, żeby szybko wyzdrowiał po operacji.

Uśmiechały się, mówiąc o tym. Od wizyty u profesora Januszek był w centrum uwagi obu kobiet. Mirusia dbała, by jak najlepiej nim się zajmować, pielęgnować go, leczyć, szykować smakołyki do jedzenia, a Maria kombinowała, jak zebrać wymagane na operację środki.

– Była u mnie dzisiaj Stawoszkowa – oznajmiła, stawiając pełen wody sagan na ogniu.

– A czego chciała? – zapytała Mirusia. Siedziała przy stole i smarowała masłem kromkę chleba. Grubo smarowała.

– Syna swojego szykuje, przodownikiem został i chce go wystroić jak na wesele.

– A co to znaczy? – zapytała Mirusia i ugryzła chleb, nie czekając na zupę.

Maria naląła z imbryczka esencji do kubka i uzupełniła gorącą wodą z czajnika. Postawiła herbatę przed córką. Ta posłodziła ją sobie trzema łyżeczkami cukru.

– Garniturek Bronkowi będzie szyła, żeby elegancki pojechał nagrodę od Bieruta odbierać.

– Aha – wymamrotała Mirusia, przełykając chleb.

– I tak sobie pomyślałam, że ten cały przodownik mógłby nam się bardzo przydać. Wiesz, on na ciężarówce jeździ – powiedziała dobitnie i spojrzała znacząco na dziewczynę.

Zauważyła, że zupa się zagrzała, naląła więc chochlą sporą porcję do talerza i postawiła przed córką. Usiadła obok Mirusi na krześle.

– A w jaki sposób mógłby nam pomóc?

Córka zabrała się do jedzenia zupy. Łyżką. Już nikt nie pamiętał czasów, kiedy Mirusia jadła zupę chlebem.

– Oj, ty nic nie rozumiesz, wszystko muszę ci tłumaczyć – odparła matka, udając zniecierpliwioną. Tak naprawdę uśmiechała się do własnych myśli i nie mogła ukryć swojego zadowolenia. – Pomyśl, przecież taki kierowca jeździ w różne miejsca. A cóż to byłoby dla niego za kłopot, żeby z jakiejś wsi zabrać po drodze dwa worki ziemniaków, kosz wędlin lub skrzyneczkę nalewki?

– Raczej samogonu – sprostowała pomiędzy kolejnymi kęsami Miranda.  
– Już ci tłumaczyłam, że to nalewka. I nie opowiadaj głośno o samogonie, bo, nie daj Boże, ktoś usłyszy. Wracając do Bronka Stawoszki, mógłby nam coś przewieźć, podrzucić, odebrać. Bywa w wielu miejscach, zna ludzi. Nawet nie wiesz, ile rzeczy można kupić od kierowców ciężarówek. O! A jaką dobrą benzynę mają na sprzedaż! I olej, i części zamienne. O tak, ta znajomość może nam się bardzo przydać. Musimy zbierać duże pieniądze przez najbliższe miesiące i Broniek Stawoszko nam w tym pomoże.

– Skoro mama tak mówi, to widocznie tak jest i będzie – skwitowała Mirusia.

Odstawiła na bok talerz i wstała od stołu. Podeszła do kuchni.

– Już wystarczy tej wodzie, wrzątku nie potrzebuję.

Maria również wstała. Chwyciły sagan za uszy z obu stron przez szmatki i poniosły do łazienki. Wlały ciepłą wodę do blaszanej miednicy zawieszanej na wannie na drucianym stelażu. Z miski uniósł się obłok ciepłej pary.

Maria stanęła wyprostowana, trzymając w jednej ręce pusty, parujący gar.

– I, Mirusia, ten Broniek ma do nas przyjść za parę dni, i pewnie będzie zachodził częściej. – Na chwilę umilkła, zbierając siły na ewentualny protest córki. – Proszę, bądź dla niego miła. To dobry i greczny chłopak. Przecież znaliście się jako dzieci.

Mirusia właśnie zdejmowała skarpetki. Wyprostowała się gwałtownie.

– Mamo, o czym mama mówi? – zapytała z niepokojem w głosie.

Maria zmieszała się.

– No wiesz, on jest młody, ty jesteś młoda, może się spodobać sobie?

– Mama chce mnie swatać? – zapytała wprost Miranda.

Nie zaskoczyła matki tym pytaniem, Marię zaskoczył ton, jakim to powiedziała. Chłodny, smutny, z domieszką rezygnacji i bez śladu buntu.

– A tam zaraz swatać. Nie myślałam o tym, ale kto wie, jak taka znajomość może się rozwinąć. Spotkacie się, porozmawiacie...

Maria urwała w pół zdania. Nagle stanęła przed nią jej córka, jak ją Pan Bóg stworzył. Naga. Wysoka, wyprostowana, trzymając wysoko głowę. Maria patrzyła na swoje dziecko i serce jej się ścisnęło. Powoli, boleśnie, z każdym uderzeniem odrobinę mocniej.

Stała przed nią kobieta w nieokreślonym wieku, o zniszczonym, zabiedzonym ciele. Powykręcane i popuchnięte stawy rąk, czarno-sino-białe blizny na palcach dłoni i nóg. Szczupłe ramiona sterczały nierówno, jedno wyżej, drugie

niżej. W zapadniętej klatce piersiowej odznaczały się obojczyki, a wzdłuż mostka wyraźnie widać było pod skórą żebra. Można je było policzyć. Niewielkie, obwisłe i pomarszczone piersi przypominały Marii własne po wykarmieniu trójki dzieci. Skóra na brzuchu, rozciągnięta przez ciężę i złe odżywianie, zwisała, zasłaniając niemal całe łono. Pod żebrami czerwieniła się gruba, nieregularna blizna o kształcie wrzeciona.

Maria chwyciła się za serce, ale nie odwracała wzroku. Jedna z nóg, tuż pod kolanem, była wykrzywiona, jakby po źle zrośniętym złamaniu. Miranda powoli zaczęła się obracać, jakby chciała, żeby matka zobaczyła wszystko, nie oszczędzała jej niczego. Na plecach widniały małe, drobne białe i czerwone ślady, skóra była nimi wręcz usiana, jakby posypana małymi kamyczkami. Wystające wyrostki kręgosłupa, wijącego się poprzez zgarbione plecy, przypominały paciorki różańca.

Po chwili Miranda znowu stanęła twarzą do matki. Maria pomyślała, że na szczęście oczy Mirusi znowu zaczęły przypominać tamte z dawnych lat, odzyskały zielone iskierki, których jeszcze niedawno nie było, a jasnobrązowe, posiwiałe włosy sięgały błyszczącymi falami do ramion.

– Jak mama myśli – zapytała spokojnie dziewczyna – który mężczyzna by się na coś takiego skusił?

Maria nie umiała wydobyć z siebie głosu. Wciąż przyciskała rękę do serca.

– Przepraszam, ale chcę się umyć, zanim woda wystygnie – powiedziała Miranda i odwróciła się tyłem do matki, pochylona nad miednicą. Wyraźnie dała do zrozumienia, że rozmowa skończona.

– Tak, tak, przepraszam – wymamrotała Maria i wyszła z łazienki, zamykając za sobą dokładnie drzwi.

Usiadła przy stole w kuchni i zapaliła papierosa. Musiała uspokoić własne serce. Paliła i przemawiała do niego, tłumacząc, że to nic, to wszystko nic, Mirusia jeszcze się odżywi, może przytyje, blizny da się przypudrować, a poza tym uroda nie jest najważniejsza. Sama sobie to powtarzała, ale nie potrafiła w to uwierzyć.

Pamiętała, jak miała dwadzieścia lat, i wtedy właśnie uroda była najważniejsza. To z powodu urody wybrał ją Emil, tylko dlatego znalazła się w tej rodzinie i doszła, do czego doszła. Na urodzie zawsze mogła polegać. Wszyscy w domu mówili: „Maryśka ładna jest, to i w życiu sobie poradzi”. A na czym ma polegać jej córka? Na urodzie? Wykształceniu? Na doświadczeniu życiowym? Serce matki długo nie mogło się uspokoić, tak

jak Maria nie umiała znaleźć odpowiedzi na te pytania. Do tej pory wszelkie próby namówienia Mirusi, by ułożyła sobie życie, zawiodły. I w zasadzie Maria nie była tym zdziwiona.

Kiedy zgasiła niedopałek w popielniczce, przyrzekła sobie, że już nie będzie planowała Mirusi przyszłości. Nie ma wpływu na to, co zrobi jej córka, i nie wie, co byłoby dla tej okaleczonej przez los młodej kobiety najlepsze. Ta decyzja, o dziwo, nie wywołała u niej złości ani obaw, ani bólu porażki. Maria poczuła coś innego, coś na kształt ulgi. Poszła do stołowego, przebrała się w koszulę nocną i położyła do łóżka. Serce jeszcze lekko bolało, ale nie przeszkodziło to Marii zasnąć mocnym, głębokim snem.

## ROZDZIAŁ XXVIII

WRZESIEŃ 1951

Maria otworzyła szeroko oba kuchenne okna. Ostatnie ciepłe dni tego roku, pomyślała. Spojrzała w niebo, po którym szybko sunęły szare obłoki. Jakby szukały miejsca, gdzie słońce mocniej grzeje, a ptaki ćwierkają radośniej, czując nadchodzącą wiosnę, a nie jesień. Pożółkłe liście leszczyny obok domu zaszumiały cicho. Do kuchni wleciał przyniesiony przez wiatr złoty klonowy liść. Trzeba pójść pozbierać orzechy, pomyślała Maria.

Nadzieja na wyzdrowienie synka zupełnie odmieniła jej życie i perspektywy. Maria uczyła się myśleć o przyszłości Januszka. Przez te kilka lat, odkąd się urodził i powiedziano jej, żeby się do niego nie przywiązywała, bo długo nie pożyje, sama żyła z dnia na dzień. Nie robiła planów na czas, gdy jej dziecko pójdzie do szkoły, nie myślała, żeby uczyć chłopca liczyć albo czytać. Nie pokazywała synkowi literek, bardzo rzadko czytała mu książeczki, nie opowiadała bajek, nie uczyła piosenek, sądząc, że chłopiec i tak nie będzie mówił.

Dawniej nie wierzyła, że jej dziecko doczeka piątych urodzin, teraz wszystko zaczynało wyglądać inaczej. Kiedyś opieka nad Januszkiem ograniczała się do toalety, ubrania go i nakarmienia, podawania leków, oklepywania plecków. Teraz pojawiły się nowe zajęcia. Zabawy, nauka chodzenia, śpiewanie piosenek, rysowanie, liczenie, nauka podstawowych słów. Czasami miała odczucie, że chłopiec jest zmęczony od nadmiaru wrażeń, jakich dotąd nigdy nie doświadczył.

Całe szczęście, że główną część opieki nad Januszkiem przejęła Miranda. Bez niej Maria z pewnością by sobie nie poradziła. Dziewczyna całe dni siedziała w domu i zajmowała się bratem. Może trzeba ją od czasu do czasu zabrać do ludzi? – pomyślała matka. Niech pozna kogoś nowego, niech wyjdzie na spacer, wyjedzie poza Bojary i Białystok. Ta myśl jej się

spodobała. Od wizyty u szeptuchy Mirusia właściwie nie opuszczała domu.

Tego dnia w czasie obiadu Maria poprosiła córkę:

– Czy możesz pojechać ze mną jutro do Zabłudowa? Sama nie dam rady wszystkiego przywieźć. Broniek Stawoszko będzie jechał na Lublin, to nas podrzuci.

– Dobrze – zgodziła się Mirusia zgodnie z oczekiwaniami matki. – Tylko co zrobimy z Januszkiem?

– Stawoszkowa obiecała, że go zaprowadzi do Adeli.

Matka Bronka miała wobec Marii dług wdzięczności. Z włoskiej wełenki, jaką załatwiła Stasiakowa, wyszedł elegancki garnitur dla przodownika. Sąsiadka wszystkim w okolicy pokazywała zdjęcie syna z pierwszym sekretarzem. Chłopak stał na fotografii z dumnie wypiętą pierśią i nosem zadartym do góry. Górował swoją potężną postacią nad drobnym, niskim mężczyzną z wąsikami i gładko zaczesanymi do tyłu włosami.

– Nie przeszkadza ci, że pojedziemy z Bronkiem? – zapytała nieśmiało Maria.

Miranda pokręciła głową.

– Nie, w zasadzie to miły chłopak – odpowiedziała i od razu spojrzała stanowczo na matkę. – Tylko tyle, niech mama nic sobie nie dopowiada – dodała.

– Przecież nic nie powiedziałam – odrzekła ta, unosząc ramiona.

Doskonale pamiętała tę chwilę, kiedy tych dwoje się spotkało. Stawoszkowa, tak jak obiecała, przysłała syna do Marii. Chłopak zaprezentował maniery jak sprzed wojny, a nie z zebrania partyjnego. Ukłonił się grzecznie Mirusi i pocałował ją w rękę. Nie to jednak zrobiło na Marii najlepsze wrażenie, tylko to, w jaki sposób patrzył na jej córkę.

Ludzie, po raz pierwszy widząc Mirusię, najczęściej odwracali wzrok od jej twarzy, przestępowali nerwowo z nogi na nogę, niektórzy z trudem powstrzymywali grymas ust. Broniek Stawoszko patrzył na Mirandę jasnym, spokojnym spojrzeniem, ani na chwilę niespłoszonym. Nawet przez ułamek sekundy nie dał po sobie poznać, jakie wrażenie zrobił na nim wygląd dziewczyny. Po kilku minutach siedzieli razem przy stole i popijali kawę. Wspominali czasy dzieciństwa. Zabawy w berka na Słonimskiej i w chowanego na obszernym podwórzu Szamretów, gry w hacele i klasy.

Maria widziała, jak wielką przyjemność sprawiają córce te wspomnienia. A potem przegoniła ich z kuchni, bo chcieli palić. Wyszli więc i usiedli na



starej ławce pod ścianą domu. Przez otwarte okna słyszała dźwięczne głosy obojga i uśmiechała się z zadowolenia. Miranda chichotała i żartowała jak każda inna dziewczyna w jej wieku.

Następnego dnia pojechały z Bronkiem. Młody mężczyzna z dumą zaprezentował im swój pojazd. Pokazał skomplikowane elementy silnika, próbował imponować wiedzą o ciężarówkach. Obie uśmiechały się i kiwały głowami. W końcu ulokowały się w szoferce i pojechali.

Mirusia pierwszy raz, odkąd wróciła, przejeżdżała przez Dojlidy. Maria patrzyła, jak córka przygląda się ciekawie letnisku, niegdyś uwielbianemu przez białostoczan. Obecnie zalew i stojący nad nim pałacyk były w opłakanym stanie. Zaniedbany akwen porastały rośliny i wodorosty. Trudno było rozpoznać, gdzie kończy się brzeg i zaczyna woda, wszystko ginęło w dzikiej roślinności. Po pomoście, przystani i plaży prawie nic nie pozostało. Zawalony dach, osmalone ściany i wybite okna pałacyku straszyły swoim wyglądem.

Żadna z kobiet nic nie powiedziała. Potem jeszcze minęli cmentarz i wyjechali poza miasto. Na polach zamiast złotych łąnów widać było tylko poszarzałe ścierniska. Gdzieniedzie zieleniły się pozostałe jeszcze ziemniaki i buraki ze sterczącymi pióropuszcami okazałych liści. Dzień był słoneczny i ciepły jak na koniec września. Stojące na miedzach grusze i jabłonie pochylały gałęzie pod ciężarem dojrzałych owoców.

Broniek na chwilę zatrzymał się przy bocznej drodze. Wyskoczył z szoferki i po minucie wrócił, niosąc w koszuli gruszki i jabłka. Poczęstował nimi towarzyszące mu kobiety. Obie z przyjemnością zatopiły zęby w mięszu dojrzałych gruszek. Słodki, lepki sok pociekł po brodach, ze śmiechem starały się wytrzeć go rękami, żeby nie zabrudził bluzek. Maria wyciągnęła z torebki czystą, lnianą chusteczkę, wytarła usta i palce, a potem podała ją córce.

– Ale pyszne! – zawołała Mirusia. – Dawno takich nie jadłam.

– Przejrzałe i zakurzone – powiedziała Maria, jak zwykle pragmatyczna – ale rzeczywiście słodkie.

– Odrobina kurzu jeszcze nikomu nie zaszkodziła – odrzekł Broniek z uśmiechem, który, mogła przysiąc, był przeznaczony tylko dla jej córki.

Pojechali dalej. Droga wiła się przez niewielki las. Jeszcze zielony, ale już inaczej. Na niektórych drzewach zielen przełamowała się z żółcią i złotem. Przydrożne drzewa i krzewy poszarzały od kurzu. Na mchu leżały już pojedyncze brązowe listki. O tej porze promienie słońca oświetlały nie tylko

korony drzew, ale również paprocie i niższe krzewy. Powietrze pachniało grzybami.

W końcu wjechali do Zabłudowa i Broniek zatrzymał ciężarówkę. Miranda z matką wysiadły, podziękowały, pomachały mu i otrzepały spódnice. Mirusia rozejrzała się po małym rynku. Górowała nad nim okazała budowla. Druga, niemal identyczna, stała w głębi ulicy po lewej stronie. Obie były białe, z wysokimi dzwonicami i miedzianymi pozieleniałymi dachami. Cerkiew Zaśnięcia Przenajświętszej Bogurodzicy i trochę dalej kościół Świętych Piotra i Pawła. Wokół rynku stało kilkanaście niskich murowanych domów.

Maria ruszyła drogą tuż obok muru cerkwi, w stronę Ochremowicz. Miranda podążyła za matką. Zaraz za cerkwią asfalt zmienił się w zwykłe kocie łby. Szły po jezdni, bo pobocze drogi bardziej przypominało piaskownicę niż chodnik.

Minęły mostek na rzeczce. Murowane domy zniknęły i teraz widać było typowe dla Podlasia małe drewniane chaty z dwuspadowym dachem i wysokimi kominami. W ogrodach przed domami kwitły kolorowe, pierzaste astry, nad nimi czerwieniły się korale jarzębin.

Maria podeszła do jedynej na ulicy murowanej chałupy. Właściwie nie była to chałupa, tylko duży, podpiwniczony dom, starannie otynkowany na żółto. Na dachu błyszcząca nowa, ceglasterczerwona dachówka. Weszły na podwórze, ale nie przez drewnianą furtkę, tylko przez kutą żelazną bramę. Na rogu domu przybita była czerwona, urzędowa tabliczka z napisem: „Sołtys”.

Maria weszła po trzech schodkach i bez pukania wkroczyła do półokrągłej sieni. Dopiero tam zapukała do kolejnych drzwi. Z daleka usłyszały jakieś głosy. Maria otworzyła drzwi i razem z Mirandą weszły do szerokiego, widnego korytarza. Wydawał się ciągnąć w nieskończoność w głąb domu. Na całej jego długości leżał szeroki, kolorowy chodnik. Pod ścianą stał fotel, obok niego duże lustro i komoda z politurowanego orzechowego drewna. Pod sufitem zawieszono okazały żyrandol. Drobne szklane paciorki rozbijały promienie słoneczne na tysiące maleńkich tęczy.

Miranda cicho gwizdnęła z uznaniem. Wnętrze domu bardziej pasowało do przedwojennego białostockiego domu niż do chałupy pod Zabłudowem. Maria spojrzała karcąco i pociągnęła ją za sobą. Weszły w pierwsze drzwi po prawej stronie, do przestronnej, widnej kuchni. Przez wielkie okno wpadało światło słoneczne. Wokoło unosił się duszący i słodki zapach smażonych jabłek.

– Dzień dobry! – zawołała Maria w stronę niewielkich drzwiczek schowanych za kuchnią węglową.

Były uchylone; za nimi znajdowały się biegnące w dół ciemne schody.

– Już idę, idę! – doleciało jak spod ziemi.

Po chwili w kuchni pojawiła się kobieta, ubrana jak typowa chłopka. Jej duży biust opinała lniana koszula, ciasno wsunięta pod pasek szerokiej, marszczonyj spódnicy, wokół talii zawiązany był haftowany w kwiaty biały fartuch. Głowę osłaniała kolorowa chustka. Na ramiona kobieta miała zarzucony wydziergany na szydełku sweterek. Na widok Stasiakowej uśmiechnęła się szerokimi jak tłuste parówki ustami.

– Pani Stasiakowa! Dzień dobry! Tak szybko pani dojechała? Nie spodziewałam się pani przed drugą. O tej porze przecież nie ma żadnego autobusa z Białegostoka – gadała, stawiając na stole pod oknem trzymane pod pachą słoiki. Mówiła, zaciągając śpiewnie, jej głos brzmiał melodyjnie i miło dla ucha.

– Pani Radniukowa, to moja córka, Mirusia.

Gospodyni wytarła ręce w fartuch i podeszła do dziewczyny. Chwyciła ją w ramiona i mocno przyciągnęła do siebie. Była niższa od Mirandy, więc ta musiała się zgiąć wpół, gdyż sołtysowa uparła się, żeby przytulić jej głowę do okazałych piersi.

– Ach, więc to ty jesteś Mirusia! – zawołała. – Tyle ja o tobie słyszała, dziecko, tyle słyszała.

Po chwili Mirandzie udało się wyzwolić z objęć, pachnących mydłem i smażonymi jabłkami.

– Siadajcie, siadajcie, zaraz ja tu dla was coś do zjedzenia naszykuję, bo wy z drogi jesteście.

– Pani Radniukowa, pani się nie kłopotce. To żadna droga. Ciężarówką nas sąsiad podwiózł pod samą cerkiew.

– Czekaście, czekaście, nie będziecie tutaj o suchej gębie siedzieć. – Zakręciła się koło kuchni.

Żywa i energiczna gospodyni przypominała pracowitą, brzęczącą pszczołę. Wszędzie jej było pełno. Jednocześnie wkładała słoiki do miski z ciepłą wodą, parzyła herbatę, wysypywała kruche ciasteczka z pudełka na talerzyk, szykowała porcelanowe filiżanki. Nie wiadomo kiedy przed Marią i Mirandą stanęły dwa kieliszki, a w nich żółty, gęsty miód.

– A gdzie sołtys? – zapytała Maria bardziej z grzeczności niż szczerego

zainteresowania.

– A poszedł do urzędu, zaraz powinien wrócić.

– A Wandzia?

Tylko zdążyła wymówić to imię, kiedy trzasnęły drzwi wejściowe i po sekundzie do kuchni wpadły dwa podskakujące kucyki.

– Dzień dobry. – Dziewczynka dygnęła ładnie i postawiła obok stołu duży, skórzany tornister.

– Chodź no, pokaż się – zawołała Maria, wyciągając do niej rękę. – Jak ty urosłaś! Do której to klasy teraz chodzisz?

Jej matka zdążyła już usiąść przy stole obok gości. Spojrzała z uśmiechem i dumą na córkę, czekając, aż Wandzia sama odpowie.

– Do trzeciej, proszę pani.

Dziewczynka ubrana była w granatowy, wiązany szkolny fartuszek z wielkimi falbanami na ramionach. Długie, mysiego koloru włosy, związane w dwa kucyki, zdobiły różowe kokardy. Bystre ciemne oczy przyglądały się Marii i Mirusi.

– Już do trzeciej? Ale jak to? – dziwiła się Maria. – Wydawało mi się, że dopiero co była w pierwszej.

Radniukowa pokiwała twierdząco głową. Widać było, że kobieta omal nie pękła z dumy.

– Pani dyrektor w szkole powiedziała, że Wandzia jest tak zdolna i mądra, że powinna od razu iść do trzeciej klasy. W drugiej by się nudziła.

– Aha, rozumiem, brawo. – Maria pochwaliła dziewczynkę i spojrzała z uznaniem na sołtysową.

– Wandzia, biegnij i zdejmij fartuszek, bo zaraz go gdzie umorusasz i jak jutro do szkoły iść będziesz, ha? – nakazała matka, pokazując córce ręką kierunek w głąb domu.

Dziewczynka znowu dygnęła przed gośćmi, chwyciła tornister i już jej nie było.

Wszystkie trzy popatrzyły za nią z uśmiechem.

– Nasz Januszek może też pójdzie za rok albo za dwa do szkoły – odezwała się milcząca dotąd Miranda.

Maria spojrzała na nią niepewnie. Nie chciała jeszcze o tym rozmawiać.

– Mirusia, nic nie wiadomo, nie ma co opowiadać, bo można zapeszyć.

– Pani Stasiakowa – zwróciła się do niej Radniukowa – co zapeszyć? Jaka szkoła? Jakaś tajemnicę pani kitra?

Miranda spojrzała na matkę, która nie mogła już utrzymać sekretu.

– Tak, Januszek będzie miał operację na serce, a potem... – urwała.

Kiedy o tym mówiła, zdarzało się, że ze wzruszenia ścisnęła ją w gardle.

– A potem – dopowiedziała Miranda – Januszek będzie silniejszy i zdrowszy. To znaczy pewnie nigdy nie będzie taki jak pani Wandzia. Ale z pewnością silniejszy i zdrowszy – powtórzyła – i być może nawet pójdzie do szkoły. I będzie dalej rósł i się rozwijał.

Radniukowa szczerze się ucieszyła.

– Pani Stasiakowa, pani nic mnie nie mówiła! Takie szczęście to dla was, takie szczęście! – Wstała i dołała miodu do kieliszków.

Maria opróżniła swój i westchnęła z radości.

– Kiedy to ta operacja? – spytała gospodyni.

– Może nawet i na wiosnę – odpowiedziała Maria – tylko nie wiem, czy możemy się już cieszyć. A jak coś pójdzie nie tak?

– Mamo – Miranda położyła na jej dłoni rękę – wszystko pójdzie dobrze, przecież profesor mówił, że to prosta operacja i robił już takie.

– Jak to, pójdzie nie tak? – oburzyła się sołtysowa. – Oczywiście, że pójdzie tak. Musi pójść. Pani tak wielu ludziom pomogła, taka z pani dobra kobieta, że musi pani wreszcie pójść dobrze. Córka do pani wróciła, Januszek będzie zdrowy. Wreszcie i dla pani nastaną dobre czasy.

Maria siedziała tylko i kiwała głową. Wzruszenie nie pozwalało jej mówić. Rzadko kiedy zdarzało się, że płakała czy rozczulała się nad sobą, ale teraz słowa tej prostej kobiety spowodowały, że łzy zaczęły jej płynąć po policzkach.

– Pani nawet nie wie, pani Miranda, jak nam w życiu pani mama pomogła. Nie wiem, jak byśmy sobie bez niej poradzili. Pewnie już by nas na świecie nie było, tylko leżelibyśmy gdzie rozstrzelani w lesie pod Łapami.

Miranda ze zdziwieniem spojrzała na kobietę. Ta popatrzyła na Marię, która skinęła głową, jak gdyby dając nieme przyzwolenie. Sołtysowa wstała i dołała im miodu. Sięgnęła po ciastko.

– My w czterdziestym trzecim to mieszkaliśmy w Łapach. Byliśmy już z moim starym kilka lat po ślubie. Mieliśmy chatę zaraz przy torach... – zaczęła opowiadać, gryząc kruche ciasteczko.

W głębi domu słychać było, jak Wandzia śpiewa jakąś dziecięcą rymowaną. Słońce przygrzewało przez szybę. Sołtysowa rozsiadła się wygodnie i mówiła dalej, zwrócona w stronę Mirandy. Maria знаła dokładnie tę historię.

– Po tych torach Niemcy wywozili Żydów do Treblinki. – Pokiwała głową. – Zanim drugi Rusek przyszedł.

– Wywozili ich przez kilka miesięcy – dodała Maria.

– Tak było – potwierdziła Radniukowa. – Ludzie ze wsi chodzili pod te tory. Niemcy wozili Żydów w takich zwykłych wagonach towarowych. Jak pociąg przejeżdżał, to potem za nim smród unosił się jeszcze przez jakiś czas. Mówię tobie, pani Miranda, że trudno uwierzyć, że człowiek może tak śmierdzieć.

– Coś wiem na ten temat – wtrąciła dziewczyna – doskonale wiem.

Sołtysowa upiła miodu ze swojego kieliszka.

– Ludzie mówili, że tak śmierdzi śmiertelny strach. Jak te pociągi przejeżdżały przez las, to Żydówki wyrzucały z wagonów swoje dzieci, najczęściej niemowlęta. Wypychały je przez okienka pod dachami wagonów albo przez dziury wybite w deskach. Owijały te niebożęta w szmaty, ubrania i wypychały. Chyba chciały je ratować. Tylko nie wiedziały, biedaczki, że zawsze na końcu pociągu, na dachu ostatniego wagonu siedzieli żołnierze i strzelali do tych zawiniątków.

W kuchni zapadła cisza. Pytania były zbędne. Pod oknem zapał kogut. W głębi domu Wandzia nadal śpiewała swoją piosenkę. Po chwili sołtysowa odezwała się znowu:

– Nieraz się zastanawialiśmy, słysząc strzały w chałupie, czy te Żydówki w pociągu też je słyszały.

Maria spojrzała na córkę. Twarz Mirusi znieruchomiała, rysy zastygły, blizny zbieleły.

– Ludzie chodzili na tory i zbierali potem te zawiniątka.

– Żeby pochować? – zapytała Miranda.

Maria znieruchomiała. Sołtysowa przełknęła ślinę i wstała z krzesła. Podeszła do kuchni i przestawiła jakieś garnki. Stasiakowa chwyciła rękę córki, jakby chciała powstrzymać dziewczynę przed powtórzeniem pytania.

– Wandzia! – zawołała Radniukowa w stronę korytarza. – Idź i poszukaj ojca, zawołaj go na obiad. Pewnie się zasiedział u sąsiadów. Już dawno powinien być w domu – tłumaczyła gościom.

Dziewczynka przebiegła przez korytarz, trzasnęły za nią drzwi wejściowe. Gdzieś w oddali zaszczekał pies.

– Moja Wandzia jest takim dzieckiem. Znaleźliśmy ją żywą i zabrali do siebie. Nie przeżylibyśmy, gdyby nie matka pani – wyjaśniła Mirandzie sołtysowa. – Pani Maria znalazła nam dom, ludzi, którzy przyjęli nas do

siebie. O tam, dwie wsie dalej. – Wskazała ręką na wschód. – Przetrzymani nas do końca wojny, aż Niemcy wyszli. Gdybyśmy wtedy zostali w Łapach, to już byłoby po nas.

Pokiwała głową i zabrała się do roboty. Energicznie zakrzętnęła się przy kuchni.

– No, czas obiad szykować. Zjecie z nami.

Stasiakowa spojrzała na córkę; widać było, że Mirusia chce jeszcze o coś zapytać, ale matka powstrzymała ją wzrokiem. Kiedy Radniukowa na chwilę zniknęła za drzwiami do piwnicy, Maria szepnęła:

– Potem ci powiem.

Po kilku minutach do domu weszła Wandzia, prowadząc za rękę niskiego, tęgiego mężczyznę. Sołtys zdjął czapkę i ukłonił się w pas Marii.

Godzinę później, po obiedzie i kolejnych dwóch kieliszkach miodu na deser, matka z Mirandą zaczęły się zbierać.

– Ma pani coś dla mnie, pani Radniukowa? – zapytała Maria.

Sołtysowa przytaknęła i kiwnęła do niej głową. Poszły do małej komórki w podwórzu, na prawo od ganku. Kiedy gospodyni otworzyła drzwi, Maria aż podskoczyła.

– Aż tyle? Ojej! – zawołała.

Na klepisku stały trzy wiklinowe kosze pełne pachnących kiełbas i boczków. Obok trzy gliniane gąsiorki i dwie blaszane kanki. Stasiakowa weszła do środka i zajrzała do koszyków. Wąchała, sprawdzała i zachwycała się towarem.

– Jaka śmietanka! Prawie samo masło. I ten pyszny miód. A kiełbasy! Gdzie pani to wędziła?

Radniukowa stała w progu, na jej twarzy malowała się duma.

– Dla pani Marii tylko najlepszy towar.

– Dziękuję, bardzo mi teraz potrzeba dużo dobrego towaru. Tylko jak my to z Mirusią zataszczymy do autobusu? – zmartwiła się Stasiakowa.

– Jakiego autobusu! – oburzyła się gospodyni. – Kaziuk! – krzyknęła do męża krzątającego się na podwórzu. – A zaprzęgaj kobyły! Trzeba panie Stasiakowe do Dojlidów odwieźć! – Potem zwróciła się do Marii: – Stamtąd już sobie poradzicie?

– Pewnie – ucieszyła się Maria – tam weźmiemy taksówkę. Tylko czy sołtys obróci przed nocą? – spytała z niepokojem.

Radniukowa prychnęła.

– A co obróci albo nie? Toż asfaltem pojedzie, droga prosta, szeroka, to i nocą wrócić da się. Kobyły same drogę do domu znajdą.

Maria mocno ją uściskała. Jutro na rynku za takie kiełbasy to weźmie nawet i pięćdziesiąt złotych za kilogram.

Późnym wieczorem, kiedy siedziały już w domu przy kuchennym stole i piły ciepłe mleko, a Januszek dawno zasnął, Miranda powróciła do rozmowy w Zabłudowie.

– O co miałam nie pytać?

– O to, na przykład, po co ludzie chodzili do lasu pod te tory – odrzekła matka.

– A po co chodzili?

Maria westchnęła. Jej zadowolenie nagle znikło.

– Nie są to rzeczy, o których chciałoby się mówić.

– Być może, ale obiecała mama – odparła Miranda.

– Matki, które wyrzucały dzieci z pociągu, owijały je w płaszcze, koce, spódnice, aby niemowlęta przeżyły upadek.

– To rozsądne.

– Tak, ale wśród tych szmat było też złoto – powiedziała dobitnie Maria.

– Złoto? – zdziwiła się Miranda.

– Tak, złoto, biżuteria, diamenty, rubiny, kosztowności.

– Po co? – dziwiła się córka.

– Po to, aby ludzie się zaopiekowali tymi dziećmi.

– Ale one były zabijane przez żołnierzy z ostatniego wagonu – dokończyła Miranda.

Maria w milczeniu pokiwała głową. Młoda kobieta zapatrzyła się w trzymany w dłoniach pusty kubek. Maria nie potrzebowała pytać. Wiedziała, że córka już rozumie. Wie, po co tamci ludzie chodzili na tory. Po chwili Miranda odezwała się cicho:

– Czy ten dom? Taki nowy, murowany...

Nie dokończyła. Matka ścisnęła ją za ramię.

– Mirusia, Wandzia ma kochających rodziców, jest wesołą, bystrą dziewczynką. Ma dobre życie i to najważniejsze.

Miranda nie skomentowała tego. Uśmiechnęła się lekko jednym kącikiem ust i siedziała pogrążona w myślach. Dopiero po pewnym czasie powiedziała:

– Wie mama? Chyba już nie chcę więcej słuchać o wojnie. Wystarczająco dużo usłyszałam. Ma mama rację, nie warto wspominać, rozdrapywać,



zastanawiać się. Co było, to było. Ciężko żyło się w Syberii, ciężko żyło się tutaj. Czyj los gorszy? Nie wiem. Wydawało mi się, że wolałabym być tutaj, niż znaleźć się tam. Teraz już sama nie wiem. Miejmy nadzieję, że to nigdy więcej się nie wydarzy. Drugi raz nie przeżyłabym czegoś takiego. Po prostu nie chciałabym żyć. Kiedyś uważałam, że szczęście mieli ci, co tu zostali i przeżyli. Teraz myślę, że tak naprawdę to szczęściem było umrzeć na początku wojny od kuli czy bomby.

Wstała. Odstawiła pusty kubek do zlewu i bez słowa poszła do sypialni.

Maria uśmiechnęła się, jakby w zamyśleniu, ale i trochę z satysfakcją. Tamte czasy minęły. Teraz na pewno już będzie lepiej. Nic złego nie może im się przydarzyć.

## ROZDZIAŁ XXIX

LISTOPAD 1951

Z kuchni dolatywało stukanie łyżki o talerz. Na stoliku przy łóżku matki grało radio, nadawano wiadomości z kraju. Januszek jadł twarożek, Miranda podlewała paprotkę. Spojrzała na jasnozielone, wiotkie liście. I nagle stanął jej przed oczami widok paproci porastających północny brzeg Irtyszu, tuż za Semeyką. Obraz był niezwykle wyraźny. Zdziwiła się. Już dawno nie miała żadnych widzeń ani snów o Syberii. Zamknęła oczy. Paprocie rosły jak mur, dumnie preżąc bujne pióropusze zwrócone w stronę rzeki.

Miranda znieruchomiała zaskoczona. Wszystko było tak wyraźne, jakby znowu tam się znalazła. Usłyszała bulgotanie wody w rzece. Wiatr szumiał w koronach świerków, pochylając ich wiotkie wierzchołki. Kłaniały się jak wiejskie baby w Wielkanoc przed świętą ikoną. Gdzieś wysoko w górze zagaęły dzikie gęsi. Mirusia poczuła na policzkach delikatny dotyk ciepłych promieni słońca. Wciągnęła w nozdrza woń tajgi. Wyczuwała niemal każde drzewo, aromat świerku, cedru, lipy. A także rosnące pomiędzy nimi zioła. Znowu tam była i miała wyostrzone zmysły jak dziki królik.

Jeszcze raz wciągnęła w płuca ciężkie od zapachów powietrze. Poczwała, jak rozlewają się w jej ciele, pobudzają dawno uspione w niej siły. Gdzieś w oddali usłyszała głuche łupnięcie. Drzewo upadło? Jeszcze mocniej wyteżyła słuch. Upadło samo czy od toporów i pił? Kto je ściął? Zesłańcy? Znowu zaciągnęła się powietrzem, wietrząc jak zwierzę. Czy poczuje zapach ludzkiego ciała, spoconego od pracy i niedożywionego?

Mirusia doskonale umiała rozróżnić piżmowy zapach zdrowego, silnego człowieczego potu. Tak pachnieli strażnicy. Zesłańcy skrajnie wycieńczeni pracą, głodni i żyjący w ciągłym strachu wydzielali woń, którą trudno było pomylić z jakąkolwiek inną. Złapała w nozdrza ten szczególny zapach. Człowiek. Więzień z łagru? Mieszkaniec wioski? Obróciła głowę w tamtą

stronę. Poczła chorobę, niewyraźną, inną. Nie taką, na jakie cierpieli ludzie na Syberii. Do tego zapach dziecka. Czystego, niewinnego dziecka. Podobnie pachniał Januszek. Januszek! Serce Mirusi nagle zatrzepotało z niepokoju, otworzyła oczy.

– Januszek?! – zawołała. Odpowiedziała jej cisza.

Z kuchni, gdzie chłopiec jadł podwieczorek, nie dolatywał żaden dźwięk.

– Januszek! – powtórzyła głośniej.

Konewka wypadła jej z rąk. Woda wylała się, wsiąkając w dywan, kiedy Mirusia w dwóch susach znalazła się w kuchni. Januszek leżał obok krzesła, na którym przed chwilą siedział i jadł twarożek.

– Januszek! Matko Boska!

Był nieprzytomny. Mirusia uklękła obok chłopca, uniosła go i położyła na swoich kolanach. Był wiotki i ciężki. Jego buzia przypominała woskową maskę albo oblicze trupa. Boże, tylko nie to, nie teraz, przemknęło przez myśl Mirusi. Nieraz widywała taki wyraz twarzy.

– Januszek! Ocknij się! Natychmiast!

Potrząsnęła ciałem brata. Jego główka chwiała się na wszystkie strony. Chudziutka szyja wydawała się jak z miękkiej waty, zupełnie nie utrzymywała ciężaru głowy chłopca. Do spoconego czółka przykleiły się kosmyki włosów. Mirusia wstrzymała oddech i przyłożyła ucho do klatki piersiowej malca. Żył; usłyszała ciche, powolne uderzenia serca i płytki oddech.

– O Boże! – jęknęła. – Nie! Tylko nie to. Tylko nie teraz. – Czuła, jak narasta w niej paniczny strach, powoli obezwładniający ciało i umysł.

Próbowała się skupić. Położyła dłonie na sercu brata, zamknęła oczy i zaczęła szeptać zaklęcia. Wysiłała umysł i ducha. Wszystko na nic, nie widziała niczego. Nie czuła czeluści, jaka, wiedziała to, pochłania jej brata, tylko coraz większą panikę, która w końcu ją obezwładniła.

– Januszek! – wrzasnęła, potrząsając chłopcem. – Boże, pomiłuj! Panno Niebieska! Co ja mam z tobą zrobić? Co robić? Światy Boże, Światy Krypkyj, Światy Bezsmiertny, pomyłuj nas.

Kołysała malca w ramionach, powtarzając modlitwy katolickie i prawosławne. Polskie i rosyjskie. Potem szeptała, jedno po drugim, zaklęcia Wogułów. Wołała na pomoc każdą znaną jej siłę. Wszystkie kiedykolwiek w życiu napotkane duchy lub takie, o których słyszała. Zwracała się do Dalii, licząc, że ta ją gdzieś tam słyszy, gdziekolwiek jest. Łzy lały się strumieniami po jej policzkach i zamazywały obraz. Nic nie pomagało, Januszek pozostawał

nieprzytomny, wiotki, a jego twarz nadal przypominała tę straszną śmiertelną maskę. Z radia dolatywała wesoła muzyka, kobiecy zespół śpiewał miłym dla ucha chórkami:

*I nic mi już nie trzeba,  
Warszawa, ja i ty.  
A w górze błękit nieba,  
To już wystarczy mi!*

\*\*\*

Kiedy wieczorem Maria wróciła do domu, zastała drzwi otwarte. Weszła do kuchni. Wystarczyło jedno spojrzenie i siatka z zakupami wypadła jej z rąk. Torba z cukrem pękła, białe kryształki wysypały się na podłogę. Po deskach i rozsypanym cukrze potoczyły się z trudem zdobyte trzy mandarynki. Witaminy dla Januszka, żeby był zdrowy i silny.

– Co tu się stało? Mirusia! – krzyknęła, chociaż wiedziała, że nikt jej nie odpowie.

Na stole kuchennym wysychała rozlana plama soku malinowego. Grudki twarożku jak grudki śniegu pokryły przewrócone krzesło i podłogę. Zrzuciona łyżka leżała aż pod kredensem. W sąsiednim pokoju głośno skrzeczało radio. Maria omiotła wzrokiem kuchnię, obróciła się i wybiegła z domu. Tuż pod furtką niemal wpadła na Gienię.

– Marysia! – zawołała szwagierka. – Jak dobrze, że wróciłaś. Szukaliśmy cię po całym mieście. Władek z Ziutkiem jeżdżą taksówką po ulicach.

– Co z Januszkiem? – przerwała szwagierce Maria i chwyciła ją za ramiona. Zaciśnęła mocno palce jak kleszcze, aż tamta jęknęła.

– Auu! Już wszystko dobrze, są w szpitalu na Sienkiewicza.

– Januszek czy Miranda? – zapytała Maria, mając jeszcze odrobinę nadziei.

– Januszek zasłabł.

Puściła szwagierkę. Zapięła guziki jesionki, mocniej zawiązała chustkę pod szyją i szybkim krokiem skierowała się w stronę Sienkiewicza. Wiedziała, że Gienia i tak za nią pospieszy.

– A ty dokąd?

– Do nich – odpowiedziała Maria, niemal biegnąc po nierównej Przygodnej.

Gienia podążała za nią.

– Już jest lepiej, poza tym nie wiadomo, czy cię wpuszczą. Mirusi też nie wpuszczają.

– Nie interesuje mnie, kogo wpuszczają, a kogo nie. Jestem jego matką – odparła Stasiakowa. Szła dalej szybkim krokiem, już skręcała w Kraszewskiego.

– Podobno zemdłał przy podwieczorku. Mirusia z młodym Stawoszką zanieśli go do szpitala, a Stawoszkowa zatelefonowała od Łopaniuków do Adeli do biura. Adela zaalarmowała Władka, a ten rzucił wszystko i przybiegł do domu – relacjonowała szwagierka.

Maria nic nie mówiła. Szła Sobieskiego. Już niedaleko, powtarzała sobie w myślach. Powietrze było mroźne i wilgotne. Ukryła dłonie w rękawach jesionki, ściskając pod pachą torebkę. Rękawiczki zostały w sieni. Słyszała za sobą kroki Gieni. Metalowe fleki przy cienkich obcasach półbutów dźwięcznie postukiwały na kocich łbach. Okrągłe kamienie, którymi wybrukowano jezdnię, były śliskie i błyszczące, jakby posypane drobnymi kryształkami. Mieniły się w słabym świetle nielicznych ulicznych latarni. Chwytał przymrozek.

Maria nie potrafiła myśleć o niczym innym poza synkiem. Odliczała mijane domy. Powrócił znany strach o syna, ten, który jej towarzyszył od dnia, gdy chłopiec się urodził. Pojawienie się Mirusi w ich życiu, jej syberyjskie czary, nowe leki, perspektywa operacji dały Marii nadzieję. Teraz pożałowała, że sobie na nią pozwoliła. Nie powinna była nigdy uwierzyć, iż może nastąpić cud. Lepiej było biernie czekać na to, co i tak miało się wydarzyć.

Wpadła do szpitala przez duże wahadłowe drzwi, a potem walczyła chwilę z ciężką, brudną kotarą, oddzielającą korytarz od wejścia i zatrzymującą zimne powietrze. Wbiegła po paru schodkach do korytarza i rozejrzała się szybko. Znała ten budynek, wiedziała, dokąd iść. Po lewej stronie odnalazła klatkę schodową i weszła na piętro po kamiennych stopniach, wytartych od podeszew niezliczonych par butów. Za sobą nadal słyszała stukot obcasów Gieni. O tej porze oddział był niemal pusty, gdzieś tam kasłali pacjenci, ktoś jęknął głośno, ktoś zawołał siostrę. Maria skręciła w prawo i z daleka zobaczyła córkę siedzącą na ławce pod ścianą.

– Mirusia! – zawołała z daleka.

Dziewczyna podniosła głowę i rozpoznała ciemne postaci w źle oświetlonym korytarzu.

– Mama! Gienia! – Pomachała ręką, wstając. – Tutaj.

– Co z Januszkiem? – zapytała Stasiakowa.

Mirusia uśmiechnęła się z radością.

– Już wszystko dobrze, bardzo się przestraszyłam, ale już wszystko dobrze.

– Gdzie on jest?

– Tam, na oddziale, badają go. – Wskazała ręką w głąb korytarza.

– Co się stało?

– O matko, jak się zasapałam, ledwie za tobą nadążyłam! – jęknęła Gienia i opadła na ławkę.

Maria z Mirandą też usiadły. Matka nadal przyciskała torebkę pod pachą, chustkę miała ciasno zawiązaną pod szyją.

– Januszek zasłabł i stracił przytomność przy jedzeniu. Ale teraz już wszystko dobrze. Może czymś się zakrztusił, tak powiedział doktor, ale wszystko będzie dobrze. – Miranda mówiła szybko, na twarzy miała sztuczny uśmiech, jakby chodziło o jakąś błahostkę.

– Zakrztusił się twarożkiem? – spytała z niedowierzaniem Maria.

– Na to wygląda. Przez chwilę nie mógł oddychać i stracił przytomność, ale teraz już nic mu nie jest.

Maria spojrzała na nią uważnie. Miranda spuściła wzrok.

– Jak to na to wygląda? To nie wiesz, co się stało?

Córka w milczeniu pokręciła głową.

– Był w kuchni sam i jadł twarożek?

– Tak – odpowiedziała cicho. – Jadł już sam wcześniej.

– A ty co wtedy robiłaś? – Matka kontynuowała przesłuchanie.

Atmosfera zgęstniała. Gienia poruszyła się niespokojnie na ławce.

– Zostawiłam go na minutę. Poszłam podlać kwiaty i paprotkę.

– Te twoje cholerne kwiaty! – Maria podniosła głos. – Nie mogłaś z tym poczekać?

Miranda wyprostowała się nagle i nabrała powietrza w płuca. W jej oczach coś błysnęło.

– Co z Januszkiem? Jest już przytomny? – wtrąciła się Gienia, wyraźnie nie chcąc dopuścić do kłótni.

Zareagowała w ostatniej chwili. Matka z córką spojrzały sobie w oczy i ochłoneły.

– Tak – odpowiedziała Miranda, patrząc na wyłożoną ceramicznymi płytkami podłogę.

Maria nie mogła pozbyć się wrażenia, że córka zachowuje się, jakby coś ukrywała albo jak dziecko, które nabroiło i teraz nie chce się przyznać do winy.

– Kiedy wnosiliśmy go z Bronkiem do szpitala, to już otwierał oczy i nawet się uśmiechał. Potrafi się tak ładnie uśmiechać.

– A skąd się u nas wziął Stawoszko? – indagowała Maria.

– Odwiedził mnie. Akurat przypadkiem wstąpił z wizytą.

Stasiakowa rozwiązała chustkę i pozwoliła jej opaść na kołnierz jesionki, rozpięła guziki. Obejrzała się na bratową. Ta wyraźnie wierzyła Mirusi.

– To co naprawdę się stało? – dopytywała się matka.

Mirusia pokręciła głową.

– Nic takiego, Januszek zakrztusił się twarozkiem i nie mógł oddychać, zabrakło mu powietrza. Wszystko trwało chwilę, tak jak mówiłam. Właśnie wtedy przyszedł Bronek. Kiedy doszliśmy do szpitala, Januszek już był przytomny i silny. Tak mi się wczepił rączkami w szyję, że dwie pielęgniarki musiały go odciągać. Dostał lekarstwo prosto do żyły i jeszcze jakieś zastrzyki. Oddychał czystym tlenem przez maskę. A teraz podobno odpoczywa.

– Chcę go zobaczyć – zażądała Maria. Nie mogła się pozbyć wrażenia, że córka coś ukrywa.

– Lekarz zabronił – skwitowała Miranda.

Maria wstała z ławki.

– A co tam zabronił?! Chcę zobaczyć syna i tyle! Mam do tego prawo.

– Ale... – protestowała Miranda, jednak Maria już weszła na oddział. Zaglądała w każde kolejne drzwi, aż znalazła jakąś pielęgniarkę.

– Jestem matką Januszka Szamreta i chcę zobaczyć syna! – zażądała.

Drobna, szczupła kobieta w białym fartuchu spojrzała na nią uważnie i Maria mogła przysiąc, że zauważyła w jej oczach współczucie. Zdenerwowała się jeszcze bardziej.

– Pani syn odpoczywa, pani Szamreta, lekarz zabronił go niepokoić. Nie można go narażać na dodatkowe emocje.

– Bzdura! – zawołała Maria. – Jestem jego matką. Mój widok nie może go bardziej wzruszyć czy zaniepokoić! Proszę mi powiedzieć, gdzie jest mój syn – zażądała.

Ruszyła dalej korytarzem, zaglądając do mijanych pomieszczeń. Chustka powiewała za nią, trzymając się ledwie jednym końcem kołnierza jesionki. Pomalowane farbą olejną ściany wydawały się drżeć w świetle kolejnych

lamp. Pielęgniarka zawołała:

– Ale lekarz zabronił i jest już po godzinach odwiedzin.

Maria przystanąła. Chustka zsunęła się na wypolerowaną posadzkę z ceramicznych płytek.

– A gdzie ten lekarz?

Siostra schyliła się i podniosła chustkę, Stasiakowa wyrwała ją z rąk dziewczyny.

– Ostatnie drzwi po prawej – odrzekła pielęgniarka tonem, jakby mówiła: „A niech się dzieje, co chce”, i poszła do swoich obowiązków.

Parę minut później Maria siedziała obok Januszka i trzymała go za drobną rączkę. Byli sami, jak chciała. Tylko ona i jej chory synek, tak jak dawniej. Głaskała go po rączce, po brzuszku, po policzkach i cicho śpiewała kołysankę, a malec uśmiechał się do niej swoimi jasnymi, wielkimi oczami. Buzię zasłaniała mu duża skórzana maska, przez którą oddychał.

– Już dobrze, kochanie, już dobrze – powtarzała szeptem Maria. – Jestem tu z tobą, pan doktor powiedział, że za dwa dni wrócisz do domu i znowu wszystko będzie jak dawniej.

– Usia? – zapytał cicho synek. Maria nie zrozumiała, uniosła ostrożnie maskę.

– Co mówisz, kochanie?

– Usia – powtórzył.

Przełknęła łzę i uśmiechnęła się do niego.

– Tak, Mirusia też tam będzie.

– Usia...

Nad jego głową w metalowym koszyczku wisiała korkiem do dołu szklana butla, a z niej gumowym wężykiem spływał płyn prosto do żyły w ramieniu Januszka. Maria pochyliła się i przylgnęła ustami do wilgotnego, chłodnego czoła synka. Pachniał dzieckiem, chorobą i lekami. Po dłuższej chwili oderwała się od niego.

– Mirusia też tu jest. Chcesz, żeby przyszła?

– Usia – potwierdził chłopczyk i uśmiechnął się leciutko kącikami ust. Maria zauważyła, jak jego oczy na chwilę nabierają blasku.

– Dobrze, zaraz ją poproszę.

Przyłożyła na powrót maskę do sinoczarnych ust synka i ponownie złożyła na jego czole długi matczynej pocałunek, zaciągnęła się mocno zapachem chłopca i poszła po Mirusię. I zupełnie jej nie obchodziło, co na to powie lekarz czy ta,



pozał się Boże, siostrunia.

Pół godziny później przysiadły wraz z córką na murku pod szpitalem, by zapalić.

– Januszek już dobrze wygląda – paplała Mirusia. – Wróciły mu kolory, widziała mama? To chyba rzeczywiście było coś chwilowego. Takie zasłabnięcie. Już teraz wszystko będzie dobrze, po prostu nie mogę go zostawiać samego, kiedy je, i to wszystko. Po operacji już nie będzie mu się to zdarzało.

Maria uśmiechnęła się gorzko.

– Co? Zakrztuszenia?

– Nie! No to może się zdarzyć zawsze. Tylko Januszek nie będzie...

– Żartowałam – przerwała jej matka. Jedna myśl nie dawała jej spokoju. – A ty nic nie robiłaś? Nie próbowałaś mu pomóc tymi swoimi sposobami?

– Próbowałam, ale... – głos uwiązł jej w gardle – ale nie mogłam...

– Nie mogłaś? – zdziwiła się Maria.

Miranda rozejrzała się dookoła.

– Tak... i jeszcze przyszedł Broniek, a mama mówiła, żeby tego nie robić przy ludziach, i jakoś mi nie wychodziło.

Matka nic nie odpowiedziała, ale Miranda mówiła dalej:

– Miejmy nadzieję, że to jakiś wypadek, jednorazowa zapaść. Wygląda na to, że już wszystko z nim dobrze.

Maria wsłuchiwała się w jej słowa. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co robi jej córka.

– Jeszcze dwa, trzy miesiące i będzie operacja. Zaraz po niej Januszek pewnie będzie słaby przez pewien czas, a potem już będzie coraz lepiej.

Miranda znowu czarowała, zaklinała rzeczywistość, a Maria bardzo chciała w to wszystko uwierzyć, w tę cudowną operację i jej magiczną moc. Zaciągnęła się mocno papierosem. Aż po samo dno płuc.

## ROZDZIAŁ XXX

STYCZEŃ 1952

Już od rana Maria czekała na dogodny moment. Kręciła się niespokojnie po domu, zajmowała ręce wieloma niepotrzebnymi czynnościami, jednak nic jej nie wychodziło. Ułamała kluczyk do nakręcania zegara ściennego, a potem nie mogła znaleźć zapasowego. Przy ścieleniu łóżka potrafiła lampkę nocną. Na szczęście stary szklany klosz wytrzymał upadek na dywan i tylko potoczył się pod stół. Podreptał za nim Januszek. Wsunął się pod stół i przyniósł matce klosz.

– Dziękuję, kochanie. – Uśmiechnęła się do synka. – Strasznie mi dzisiaj wszystko leci z rąk. Jak tylko Mirusia wróci z kościoła, to chyba trzeba będzie załatwić tę sprawę, bo inaczej nie wytrzymam z nerwów.

– Eeeebbaała uuusia – przytaknął Januszek i spojrzał na matkę swoimi mądrymi, szarymi oczyma.

– Ach, ty to masz te ślepie! – zawołała matka.

Pochyliła się, objęła dłońmi twarzyczkę synka i złożyła na jego powiekach dwa gorące pocałunki.

– Skąd one takie mądre? Co? Mirusia ma rację, ty wszystko rozumiesz i wszystko wiesz, prawda?

Chłopczyk wyciągnął rączki i objął ją za szyję, wciskając główkę w miękkie piersi matki.

– Moje kochanie – rozczuliła się Maria.

Wzięła go na ręce i usiadła z nim na tapczanie. Przez chwilę łaskotali się i chichotali. Nie za mocno, żeby Januszek się nie zmęczył i nie dostał ataku duszności. Potem liczyli paluszki chłopca i Marii. Pozaplatali warkocze z frędzli wiszącego na ścianie nad tapczaniem kilimu. Czekali, aż wróci Mirusia i zasiądą do niedzielnego obiadu.

– Mam dla ciebie niespodziankę – zwróciła się Maria do córki. Uśmiechnęła

się tajemniczo.

Właśnie sprzątały po obiedzie i nie mogła już wytrzymać narastającego napięcia.

– Dla mnie? – zdziwiła się Mirusia. Odstawiła do kuchennego zlewu trzymany w ręku talerz.

– Chodź ze mną na chwilę – powiedziała Maria, odwróciła się i jak młoda dziewczyna pobiegła do pokoju.

Miranda poszła za nią, a na końcu chwiejnie, przytrzymując się mijanych sprzętów i ścian, poczłapał Januszek. Maria wyciągnęła z szafy duży pakunek, owinięty w poźółkłą gazetę i obwiązany szarym sznurkiem. Z uśmiechem dumy położyła go na stole jak cenne trofeum. Spojrzała na córkę i z satysfakcją zauważyła błysk ciekawości w oczach Mirandy.

– Rozpakuj, to dla ciebie – zachęciła ją.

Stała przy stole i splotła ręce na piersi.

Mirusia podeszła i zaczęła się mocować ze sznurkiem. Gazeta była wilgotna i zakurzona. Dziewczyna powoli zdjęła sznurek, podniosła wzrok i uśmiechnęła się do matki. Zatrzymała się w pół ruchu.

– Szybciej, szybciej, już się nie mogę doczekać, aż rozpakujesz! – zawołała podekscytowana Maria.

Miranda zaśmiała się i odwinęła papier. W paczce były ubrania, a pomiędzy nimi śliczna, błyszcząca torebka wizytowa.

Córka podniosła na nią wzrok.

– Co to jest? – zapytała zdumiona.

– To dla ciebie. Nowe ubrania. Zobacz. – Maria nie wytrzymała napięcia i chwyciła leżącą na wierzchu spódniczkę. Podniosła ją do góry. – Zobacz, z prawdziwej wełny, dotknij, jaka miękka. – Wyciągnęła przed siebie materiał.

Miranda dotknęła i pokiwała głową. Wydawała się trochę oszołomiona. Maria pomachała spódniczką, raz jeszcze pokazując ją córce.

– W pepitkę, rozkloszowana, cięta z koła, na szerokim pasku – wyliczała. – Takie są teraz najmodniejsze. A tu, zobacz, żakiecik do niej. – Zaprezentowała kolejną część garderoby. – Z namarszczonymi i watowanymi ramionami. Zobacz, jak pięknie z tyłu skrojony! – Odwróciła żakiet. – Spójrz na te dwa guziki w talii i rozcięcie. Podobno takie żakiety nosi Danusia Szaflarska. I jeszcze dwie bluzki, jedna z satyny, praktyczna, ale ta druga już z prawdziwego jedwabiu. Popatrz na kołnierzyk! Obsyty maleńką falbanką. I jeszcze do tego paseczek. Mały, niebanalny. I granatowa ołówkowa spódnica.

Przyda się na każdą okazję.

Wieszała na krzesłach z pociemniałego drewna nowe ubrania, przykładała je do siebie, łączyła bluzkę ze spódnicą. Mirusia odsunęła jedno z krzesel od stołu, usiadła i patrzyła na matkę szeroko otwartymi oczami.

– A tu jeszcze do tego torebeczka, proszę, jaka szykowna. – Maria zaprezentowała kolejne cudo. Lakierowana skóra błyszczała jak szyby świeżo wypolerowane octem. – Januszek, prawda, że śliczna?

– Aaaałłeeen – potwierdził i zatupał obiema nóżkami w podłogę.

Stał z otwartą buzią i zerkał nad blatem stołu na pokazywane przez matkę rzeczy. Jemu też udzielił się nastrój panujący w pokoju.

– To wszystko dla mnie? – zapytała Miranda.

– Tak. A co, nie podobają ci się? – zmartwiła się Maria. Ale tak naprawdę tylko udawała zmartwienie, bo widziała, jak oczy córki aż się śmieją do tych pięknych strojów.

– A z jakiej to okazji? – zapytała Miranda i po sekundzie sobie przypomniała: – Ach! Przecież to moje urodziny! To dlatego Adela zapowiedziała, że wpadną wieczorem na kawę. Ale ze mnie gapa!

Maria odłożyła torebkę i usiadła obok córki. Chwyciła ją za rękę. Już nie dostrzegała, że coś jest nie tak z dłońmi Mirusi. Nie widziała szram, zniekształceń i ułomności.

– Tak, to twoje święto. Prawda, Januszek?

Chłopiec potwierdził radosnym kłaśnięciem w rączki i podskokiem.

Spojrzała w twarz córki. Blizny na policzkach wygładziły się i nie były już tak widoczne. Koniuszek nosa miał normalny kolor. Tylko czasem, na mrozie stawał się trupio blady. Miranda siedziała i kręciła głową, wpatrzona w ubrania na stole.

– Mirusia, kończysz dwadzieścia cztery lata, a cztery miesiące temu minął rok, jak do nas wróciłaś. Jest co świętować! – zawołała Maria. Zerwała się z krzesła. – Gdzie ja mam ten miód od Radniuków? Trzeba to uczcić!

– A nie lepiej zostawić na wieczór? Jak przyjdą Adela z Gienią? I Ziutek z Olą?

– Nic się nie martw, wystarczy i dla nich.

Maria poszła do kuchni. Ręce jej się trzęsły z przejęcia. Zbyt głośno zamknęła drzwiczki kredensu. Po chwili wróciła z karafką i kieliszkami. Szkło brzęczało na tacy. Z satysfakcją zauważyła, jak córka bierze do ręki nowe ubrania, dotyka miękkich materiałów, przykłada każdą rzecz do siebie.

– I jak? Podobają ci się? – zapytała Maria.  
– Nie wiem – odpowiedziała z wahaniem. – Sama nie wiem.  
– Jak to nie wiesz? – oburzyła się matka. – Jak ci się mogą nie podobać?  
Miruska, błagam! Co to za kręcenie nosem?  
– Nie, nie, to nie tak – tłumaczyła się dziewczyna. – Bardzo mi się podobają, ale nie wiem, czy powinnam. I dlaczego?  
Maria podeszła do córki. Postawiła na stole dwa pełne kieliszki.  
– Przecież nie możesz całe życie w łachach po Adeli czy po mnie chodzić. Już czas we własne eleganckie rzeczy się wystroić.  
Miranda nadal wydawała się nieprzekonana. Matka zaczęła się złościć.  
– No wiesz co? Spodziewałam się innej reakcji. Liczyłam na szal radości, na rzucanie mi się na szyję, na piski i okrzyki zachwytu. A tu? Chyba muszę się napić – powiedziała i wychyliła kieliszek miodu niemal do dna.  
Córka pokręciła głową. Januszek wyciągał rączki, żeby dosięgnąć błyszczącego zamka torebki.  
– Ja tylko się nie spodziewałam. I – zawahała się – nie jestem pewna, czy nas na to stać, teraz, kiedy musimy odkładać dla Januszka.  
Maria nagle spochmurniała i westchnęła.  
– Nic się nie martw, twoje rzeczy nie uszczupliły tego, co dla Januszka odkładam – zapewniła.  
– Ale przecież ten żakiet, te piękne spódniczki i torebka, to wszystko musiało kosztować majątek.  
– I kosztowało, żebyś wiedziała, że kosztowało – odparła z powagą Maria i przysunęła się w stronę córki. – Dlatego miło by mi było, gdybyś choć trochę się ucieszyła.  
– Przecież się cieszę. Jezusie, jakie to piękne – powiedziała, delikatnie dotykając cienkiego jedwabiu w kolorze świeżej, tłustej śmietany.  
Maria rozsiadła się wygodnie na krześle. Januszek wdrapał się na matczyne tapczan i bawił się warkoczykami, uplecionymi z frędzli kilimu. Miranda kręciła w palcach pusty kieliszek i przyglądała się ubraniom na stole. W jej oczach błyszcząły zielone ogniki.  
– Wiesz, jak to było z tymi rzeczami? – zagadnęła Maria.  
– Jak?  
– Może to nie być dla ciebie miła wiadomość.  
Miranda spojrzała ze zdziwieniem na matkę.  
– Te ubrania – Maria wskazała je brodą – kupiłam już jakiś czas temu. A tak

naprawdę rok temu. Miałam ci je dać na poprzednie urodziny, a zamówiłam zaraz, jak wróciłaś.

Córka siedziała i słuchała, wpatrując się w nią z uwagą.

– No więc, jak widzisz, nie uszczupliło to naszych oszczędności na operację Januszka – stwierdziła Maria.

– To wszystko mama kupiła po moim powrocie? – powtórzyła Miranda.

Maria potaknęła. Spojrzała na synka. Dotykał paluszkami kolejnych warkoczyków, jednego po drugim.

– A, e, y, y, eć, fe, em – mówił cichutko do siebie.

Maria spojrzała na córkę, a Mirusia z dumą pokiwała głową.

– On liczy – szepnęła do matki.

– No właśnie zauważyłam, że liczy – odszepnęła matka, szeroko otwierając oczy z zadowolenia.

– Mówiłam mamie, że Januszek jeszcze pójdzie do szkoły.

Maria pokiwała głową. Tak, ona też zaczynała mieć taką nadzieję. Po raz pierwszy zaczęła myśleć o tym, że jej syn może kiedyś pójść do szkoły.

– To dlaczego mama nie dała mi tego prezentu na poprzednie urodziny, droga mammo?

Maria roześmiała się i uniosła ręce do góry.

– „Droga mammo”! No proszę! Jak dawno już tego nie słyszałam. Chyba kilka miesięcy.

Miranda też się uśmiechnęła. Przez chwilę siedziały w milczeniu.

– No właśnie dlatego nie dałam ci tych rzeczy – odrzekła Maria i nagle spoważniała.

Miranda milczała, uśmiech znikł z jej twarzy.

– Mirusia – zaczęła matka – wtedy, rok temu, zupełnie nie wiedziałam, co się z tobą dzieje. Byłaś inną, obcą mi osobą. Nie umiałam do ciebie trafić. Nie dało się z tobą żyć. Chodziłaś rozwścieczona jak młody głodny rosomak. Strach było z tobą siedzieć w jednym pokoju.

Miranda siedziała z pochyloną głową i spuszczonej wzrokiem. Policzki miała zaczerwienione, usta zacisnęła w wąski sznurek. Maria zorientowała się, że jej słowa są trudne dla córki.

– Wszyscy się staraliśmy ci pomóc, jak potrafiliśmy. Nie chciałam, żebyś ciągle o tamtym wspominała. Nie chciałam tej całej Syberii w domu, nic by to nie dało. Nie chciałam wspomnień o tym, co było, o zsyłce, wojnie, o Busi, Emilu.

W pokoju zapadła cisza. Ciężka, brzemenna w wypowiedziane i te niewypowiedziane słowa. Nawet Januszek przestał liczyć. Leżał na tapczanie i patrzył na matkę i siostrę wielkimi oczami. Wokół oczu rozlewały się charakterystyczne dla niego szare cienie. Nadawały jego twarzyczce melancholijny i nieziemski wyraz.

– Wiem o tacie, mam – odezwała się niespodziewanie Miranda.

Maria zamarła i jej serce też zamarło w piersi. Pod błękitnym sweterkiem, zapinanym na małe guziczki podobne do perełek, pod cienką halką i stanikiem zamiast bijącego serca miała twardą, bolesną grudkę. Przycisnęła rękę w tym miejscu.

– Jak to? – wydusiła z siebie.

– Ludzie mi powiedzieli.

Maria głośno nabrała powietrza. Wdarło się gwałtownie do klatki piersiowej i zmusiło serce, by podjęło pracę.

– O czym wiesz? – zapytała.

Miranda westchnęła.

– Mówił mi listonosz i Bronek opowiadał. Coś tam jeszcze dodała Stawoszkowa.

Maria jęknęła.

– Niech mama się nie denerwuje. Nikt nie chciał mi nic powiedzieć. Musiałam z nich na siłę to wyciągać.

– Adela? Gienia? – zapytała Maria.

– O nie! Moje kochane cioteczki nie puściły pary z ust – odparła z goryczą Miranda. – Kiedy je pytałam, czy to prawda, co ludzie mówią, to ani zaprzeczały, ani potwierdzały, tylko wzruszały ramionami i zaczynały się spieszyć.

Maria poczuła ulgę. Może jednak Mirusia nie wszystko wie, pomyślała.

– A co takiego ludzie gadali? – zapytała.

– Mówili, co się stało po tym, jak nas zabrali. Jak zachorowałaś i trafiłaś do szpitala. Stawoszkowa opowiadała, że sąsiedzi na mszę za ciebie dawali.

– I o czym jeszcze gadali?

Mirusia głośno nabrała powietrza w płuca.

– O tym, jak ojciec się stoczył. „Wie panienka, jakiego dziada potrafi z człowieka wódka zrobić”. – Miranda naśladowała głos starego listonosza. – Bronek opowiadał, jak chodziliście po mieście i szukaliście ojca, kiedy leżał gdzieś na ulicy lub pod płótem. Mówił, że wszystkie dzieciaki w okolicy się

z niego śmiały. Pan Anatol wspomniał mi też o paczkach...

– A co jeszcze o ojcu mówili? – przerwała jej Maria.

Córka wzruszyła ramionami.

– Nic, w sumie tylko o tym, jak tata się upijał. Z miesiąca na miesiąc coraz bardziej i bardziej. Podobno nadszedł czas, kiedy praktycznie nie trzeźwiał.

Maria odetchnęła z ulgą. Rozluźniła się na krześle.

– Gdybym wiedziała, gdybym wtedy wiedziała, jak to było. Gdyby mi mama powiedziała po powrocie... – zaczęła Miranda, ale Maria przerwała jej zdecydowanym tonem.

– W życiu! – zawołała. – Mirusia, ty wtedy nie byłaś w stanie słuchać niczego o ojcu. Nie było takiej możliwości, żeby ci cokolwiek powiedzieć. Nie ma co dyskutować i roztrząsać.

Poczuła głęboką ulgę. Na szczęście córka poznała tylko tę część prawdy, którą mogła znieść, i to w zupełności wystarczy. Nie potrzeba, żeby dowiedziała się więcej. Chwała Bogu, że nikt z rodziny się nie wygadał. Wstała z krzesła.

– Ale po co stare dzieje wspominać! – oświadczyła. – Co było, to było, a teraz trzeba się zabierać do roboty. Jak mamy mieć gości, to chociaż pleśniak upieczemy! Januszek, chodź! Ktoś nam musi mąkę przez sito przesiać, a nikt nie potrafi tego robić jak ty, mój synku.

Poszły spać po północy. Rodzinne spotkanie urodzinowe przeciągnęło się do późna. Wspominali, śmiali się, rozmawiali. Tak normalnie, jak to w rodzinie.

Mirusia leżała potem w nocy i patrzyła w ciemność za oknem. Nasłuchiwała dźwięków. Szumu wiatru, trzaskania ognia w piecu, stęknąć domu. Znała już te odgłosy, czuła się wśród nich bezpiecznie. Przypomniała sobie tę dziewczynę, która wróciła do domu ponad rok temu. Przypomniała sobie to, co nosiła wtedy w sercu.

Zalała ją fala goryczy i wstydu. Uświadomiła sobie, że będzie musiała się z tym uporać. Dla dobra Januszka. On jest teraz najważniejszy. Musi być zdrowy i silny. Po operacji też będzie potrzebował opieki, dobrego jedzenia, może jakichś ćwiczeń i spacerów. Miranda nauczy go trochę mówić, a potem, za rok od września, oboje pójdą do szkoły. I może uda jej się choć po części wynagrodzić matce to, co o niej myślała przez te wszystkie lata.



## ROZDZIAŁ XXXI

LUTY 1952

Pod podeszwami butów klekotały klepki starego parkietu. Miranda przechodziła przez kolejne biurowe pomieszczenia, głośno stukając obcasami. Każdy z mijanych pokojów wyglądał tak samo. Takie same biurka, na nich maszyny do pisania lub drewniane liczydła. Nad biurkami wisały metalowe lampy z pojedynczą żarówką. Na ścianach portrety Stalina i Bieruta obok godła państwowego – w oficjalnych, prostych drewnianych ramkach i za szkłem. Urzędnicy pracowali w kłębach dymu papierosowego. W rogu każdego pokoju znajdował się wygięty stojak – wieszak na płaszcze, kapelusze i parasole. Pod ścianami stały szafy i regały, na których piętrzyły się setki pożółkłych i zakurzonych teczek z dokumentami.

– Adela Szamreta? – zapytała Miranda mężczyznę siedzącego przy biurku obok drzwi.

Na rękawach marynarki miał ochraniacze przed plamami z atramentu. W rękę trzymał duże pióro wieczne i kaligrafował coś na ozdobnym, kolorowym papierze. Podniósł głowę i spojrzał na przybyłą małymi oczkami zza okularów w cienkiej drucianej oprawie.

– Dwa pokoje dalej – odburknął i znowu pochylił się nad leżącymi przed nim dokumentami.

Miranda poszła dalej, aż przy jednym z biurek zauważyła ciotkę.

– Adela! – zawołała od drzwi.

Tamta odwróciła się w kierunku drzwi. Jak zawsze włosy miała splecione w warkocz, upięte wysoko wokół głowy.

– Mirusia? – odezwała się zaskoczona. – A co ty tu robisz?

Pozostałe trzy pracownice w pokoju siedziały wyprostowane przy biurkach i przyglądały się zdyszanej Mirandzie.

– Dzień dobry – zreflektowała się dziewczyna.

Odpowiedziały jej dwa burknięcia „bry” i jedno skinienie głowy. Wpatrywały się w nią cztery pary oczu. Miranda zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że jej nagła wizyta stanowi dla trzech koleżanek ciotki niespodziewane urozmaicenie monotonnego dnia pracy. Podeszła do Adeli i pochyliła się nad nią konspiracyjnie, na wszelki wypadek zerkając dyskretnie, czy tamte trzy jej nie słyszą. Pozostałe kobiety nadal nie odrywały od niej wzroku i całkiem otwarcie nastawiały uszu, by wychwycić nawet najcichszy szept. Trzymały papierosy pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym i niemal jednocześnie, jak na komendę, podnosiły je do ust.

– Adela, muszę z tobą porozmawiać.

– Ale ja pracuję...

– Wiem, ale muszę. To bardzo pilne – wyszeptała Miranda, wyraźnie wzburzona.

Całą noc ze zdenerwowania nie mogła spać, a potem rano musiała udawać przed matką, że nic się nie dzieje, i wytrzymać pół przedpołudnia, dopóki Maria nie wyszła. Wtedy Miranda zaprowadziła Januszkę do Oli, a sama, najszybciej, jak mogła, pobiegła do cechu, do Adeli. Pochyliła się nad jej biurkiem, ciężko dysząc.

– A co ty taka zganiana?

– Nie mogłam czekać na autobus. Mam niewiele czasu, spieszę się i aż mnie trzęsie.

Adela zauważyła jej zdenerwowanie.

– Panno Przenajświętsza! – zawołała, łapiąc się za mostek. – Coś się stało? Coś z Januszką?

– Nie – uspokoiła ją Miranda. – Nie chodzi o Januszkę.

– Marysia?

Miranda znacząco przewróciła oczami, dając do zrozumienia, że nie chce rozmawiać przy tych ciekawskich oczach i uszach. Doskonale wiedziała, ile różnych plotek i historii przynosiła ciotka z pracy.

– Poczekaj, muszę się zwolnić u kierownika. – Adela wstała, odsuwając głośno krzesło po parkiecie, i zniknęła w kolejnym pokoju.

Miranda stała nad biurkiem i poczuła się jak wywołana na rozwodzie. Kobiety niemal świdrowały ją wzrokiem. Podeszła do okna i spojrzała przez brudne szyby na ulicę. Auta zatrzymywały się karnie na czerwonym świetle, przechodnie z ufnością wkraczali na pasy na zielonym. Czuła na plecach palące spojrzenia koleżanek ciotki.

– Chodź! – Adela kiwnęła na nią głową. – Na rogu jest mała cukiernia, tam możemy usiąść, mam pół godziny i liczę, że to ci wystarczy. Inaczej kierownik mnie zabije.

Miranda z ulgą opuściła zadymiony pokój.

Parę minut później siedziały przy stoliku nad parującymi szklankami z mocną kawą po turecku. Obok stały dwa talerzyki z sernikiem.

– Stało się coś?

Miranda kiwnęła głową.

– Stało się, a stało. – Zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Ale co, możesz wreszcie powiedzieć? Jak długo jeszcze mam cię ciągnąć za język?

Miranda rozejrzała się po maleńkiej cukierni. Było tu raptem kilka stolików. Ich znajdował się w małej wnęce.

– Kiedy nie wiem, jak to powiedzieć, bo wstyd straszny. Nie przypuszczałam, że coś takiego może się wydarzyć.

– Miruśka, na rany Chrystusa! Powiedz wreszcie, co się stało, bo już zaczynam się bać!

Dziewczyna opuściła głowę i ciasno splótła dłonie.

– Matka, moja matka... wczoraj – jąkała się, nie mogąc z siebie wykrztusić tego, co ją tak zbulwersowało.

– Co takiego zrobiła wczoraj twoja matka? – Adela wpatrywała się w bratanicę, oczekując na najgorsze.

– Moja matka przyprowadziła wczoraj do domu... – Wstyd zacisnął jej gardło. Musiała przerwać.

Adela jeszcze bardziej pochyliła się nad stolikiem, niemal nad nim zawisła.

– Przyprowadziła do domu jakiegoś gacha – wreszcie wydusiła z siebie Mirusia.

– Kogo przyprowadziła? – zapytała głośniejszym głosem Adela, jakby nie dosłyszała.

Tamta rozejrzała się dookoła, czy nikt nie słyszy.

– Przyprowadziła obcego mężczyznę do domu! – powtórzyła.

Oczy Adeli zrobiły się wielkie i okrągłe jak nigdy. Znieruchomiała na chwilę.

– Mało tego – mówiła Miranda; kiedy już wyjawiała najgorsze, ciągnął dalszy przychodził jej łatwiej. – Na dodatek przytąszczyła ze sobą wielką wypchaną świnię ze wstążką na szyi. Na wstążce był napis: „Królowa rąbanki”. Co za wstyd!

Miranda umilkła i spojrzała na Adelę, szukając w jej twarzy tych samych emocji, z którymi ona zmagala się już kilkanaście godzin. Niestety, ku jej bezmiernemu zdziwieniu, ciotka parsknęła śmiechem, wręcz ryknęła, odchylając się całym ciałem do tyłu. Miranda rozejrzała się dookoła. Dwie klientki przy kontuarze i ekspedientka patrzyły na nie zaintrygowane.

– No nie wytrzymam! – Adela ryczała ze śmiechu, trzymając się za brzuch. – O rany! Królowa rąbanki! A to dobre!

Miranda przyglądała się ciotce zaskoczona. Nie spodziewała się takiej reakcji.

– Faceta? I przyprowadziła faceta? – wydusiła z siebie w końcu Adela.

– Tak. – Miranda pokiwała głową. – Wyobrażasz to sobie?! Moja matka przyprowadziła do domu mężczyznę! Do naszego domu, do mnie i Januszka.

Adela nadal chichotała, chociaż główny atak śmiechu już minął.

– A co to za mężczyzna? – zapytała.

Miranda wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Przedstawił się jako Kazimierz jakiś tam.

– I?

– I? – powtórzyła oburzona. – Jak to i? Ty chyba w ogóle nie rozumiesz, co ci mówię.

– No właśnie nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi. Wiesz, jak wpadłaś do mnie do biura, to wyglądałaś, jakby wydarzyła się jakaś tragedia. Prawie jak Lady Makbet.

– No przecież się wydarzyła!

– A jaka?

– Nasza matka przyprowadza sobie obcego mężczyznę do domu. Do nas, do mnie i Januszka!

– I co z tego?

– No jak to? Jak to wygląda? Co to w ogóle ma być? Przecież jesteśmy rodziną. Przecież nie powinna ze względu na nas i na ojca.

Adela głośno wypuściła powietrze z płuc i odchyliła się na oparcie krzesła.

– A, to o to chodzi. – Pokręciła głową.

– A co ma znaczyć to kręcenie głową? – Miranda wciąż była zdenerwowana, chociaż opowiedzenie o tym, co zaszło, bardzo jej pomogło.

– Mirusia, twoja matka, Maria, żona mojego brata, nieżyjącego brata – dodała Adela dobitnie – jest dorosłą kobietą i wdową, więc może sobie przyprowadzać do domu absztyfikantów, mężczyzn czy, jak ty to nazwałaś,

gachów.

– Ale przecież... – Bratanica weszła jej w słowo.

Ciotka podniosła rękę do góry.

– Dość! – zawołała.

Rysy jej twarzy zmieniły się nagle. Pojawił się na niej smutek i gniew. Miranda umilkła. Chwilę siedziały w milczeniu, pijąc słodką kawę. Adela skubnęła odrobinę sernika. Porcja Mirandy leżała nietknięta na talerzyku.

– Adela, to, że matka jest wdową, nie zwalnia jej z obowiązków wobec nas, swoich dzieci. I przez pamięć o naszym ojcu nie powinna robić takich rzeczy. Ja przecież wiem, słyszałam już, że tata zaczął pić. Zgoda, musiało to być trudne dla matki. Ale całe życie był wspaniałym mężem, cudownym człowiekiem i najlepszym ojcem, jakiego mogłam mieć. Jakiego wszyscy mogliśmy mieć. Nie można tak po prostu o nim zapomnieć. Wykreślić go z życia własnej rodziny tylko dlatego, że się załamał po zesłaniu córek na Sybir!

Adela milczała. Na jej twarzy nadal widać było smutek i gniew. Miranda nie mogła zrozumieć, co takiego powiedziała, które z jej słów mogły wywołać taką reakcję ciotki. Tłumaczyła dalej:

– Wiem, jak wszyscy szanujecie matkę, słyszałam, jak wiele pomagała ludziom, jednak, na litość boską, nie przekreślajmy ojca! Jestem jeszcze ja i Januszek. On też miał tatę, nawet jeżeli go nigdy nie widział. Mój brat urodził się jako sierota, na dodatek jest poważnie chory. Ma prawo do pamięci o ojcu. Teraz, kiedy może się okazać, że Januszek będzie zdrowy, trzeba zacząć mu opowiadać o tacie. Jak można było wychowywać chłopca bez pamięci o własnym ojcu? Wiesz, czasami zupełnie tego nie rozumiem. Czy matka w ogóle wychowywała Januszka, jak mnie nie było? Czy tylko go chowała, bo był chory i wszyscy wokół mówili, że i tak umrze?

Z ust Mirandy sączył się jad. Znowu miał ten sam, znany jej smak.

Milczenie trwało dłuższą chwilę. Adela splótła szczupłe ramiona na piersi i oparła łokcie na stoliku, pochylając się do swojej bratanicy.

– Ta rodzina – powiedziała – cała nasza rodzina ma prawo do pokoju. Po tym, co każdy z nas przeszedł, mamy prawo do tego, żeby zapomnieć i iść dalej. Również twoja matka. Nikt z nas nigdy nie miał zamiaru czegokolwiek jej zarzucać; ani tego, jak wychowuje czy wychowywała Januszka, ani tego, jak i czy w ogóle wspomina Emila. Powiem ci jedno, Emil nie zasługuje, by go wspominać. A to, co słyszałaś od sąsiadów czy od listonosza, jest tylko

częścią prawdy. – Umilkła i dopiero po chwili dodała: – Tą łagodniejszą częścią.

Miranda też splotła ręce na piersi obronnym gestem. O tak, była gotowa bronić swojego ojca i pamięci o nim. Strzec dobrego imienia Emiliana Szamrety.

– Nie pozwolę mówić źle o tacie. Nie powinno się mówić źle o zmarłych – wypaliła i zaraz sama poczuła, jak słaby jest to argument.

– Według ciebie można mówić źle o żywych, a o zmarłych nie? – zaperzyła się nieoczekiwanie Adela. – Jakby sam fakt, że umarli, uświęca ich i stawia ponad żywymi? To nie można źle mówić o zmarłym, który zatruwał życie całej rodzinie i dopuścił się niegodziwych czynów, a można mówić źle o kobiecie, która jest twoją matką i która wielu ludziom pomogła jak nikt inny? Zarzucasz jej, że źle wychowywała chorego syna, kiedy została sama? Jak tak można? Mirusia, opanuj się.

Znowu umilkły. Mirusia chwyciła w ręce szklankę, w której zostały same fusy, jakby szukała w niej choć odrobiny ciepła. Wpatrywała się w kamienny blat maleńkiego stolika.

– Jakich to niegodziwych czynów dopuścił się mój ojciec? – zapytała cicho.

– Nie mogę, nie powinnam tego mówić, przepraszam, powiedziałam za dużo.

– Adela zaczęła się wycofywać. – Muszę już wracać do pracy.

Miranda uderzyła ręką w stół.

– Nie! – krzyknęła. – Nie uciekniesz mi teraz! Mam prawo wiedzieć. Mam prawo wiedzieć o wszystkim. Wróciłam ponad rok temu i już dość tych tajemnic!

Nagle koło ich stolika pojawiła się ekspedientka.

– Czy panie czegoś jeszcze sobie życzą? – zapytała tonem pełnym dezaprobaty.

– Dwie kawy – rzuciła w jej stronę Miranda.

– Tu jest samoobsługa, proszę pani – odpowiedziała kobieta urażonym tonem. – To porządny lokal – dodała, zabierając ze stolika puste szklanki.

– Dobrze, zaraz podejść do kontuaru i zapłacić za te dwie cholerne kawy! – krzyknęła Mirusia. Blizny na jej twarzy zbieleły, w oczach błysnęła złość.

Adela chwyciła jej dłoń w obie ręce.

– Mirusia, daj spokój, nie unos się tak – powiedziała łagodnie, a potem zwróciła się do ekspedientki: – Przepraszam panią, bratanica jest zdenerwowana naszą rozmową. Zaraz podejmiemy zamówić kawę.

– Już podam paniom tę kawę do stolika – odburknęła kobieta i wycofała się na zaplecze.

Adela nadal ścisnęła mocno rękę Mirandy.

– Owszem, masz prawo wiedzieć, lecz ja nie powinnam ci tego mówić.

– Matka na pewno nic mi nie powie.

Adela potaknęła.

– Owszem, Maria ci nie powie. Ale jeżeli kiedykolwiek mnie zapyta, skąd o tym wiesz, to się wyprę, że cokolwiek ci mówiłam. Maryśka by mnie zabiła.

– Ja jej nie powiem.

Adela ciężko westchnęła i puściła dłoń bratanicy. Pojawiła się ekspedientka i bez słowa postawiła przed nimi dwie szklanki z kawą. Szkło zadzwoniło o blat stolika.

– Dziękuję – powiedziała Miranda i podała kobiecie trzydzieści złotych.

Tamta odeszła bez słowa, nadal z obrażoną miną. Pieniądze schowała do kieszeni fartucha. Trzydzieści złotych to dużo więcej, niż mogły kosztować te kawy.

Dziewczyna zwróciła wzrok ku ciotce.

– Nie pisnę matce ani słowa.

Ciotka wyduła wargi.

– Uważasz, że Maryśka się nie dowie lub nie domyśli? – odpowiedziała tonem pełnym wątpliwości.

Poprawiła się na krześle i posłodziła kawę. Upiła niewielki łyk. Mirusia czekała w napięciu. W końcu Adela zaczęła opowiadać. Miranda nie przerywała jej, chłonąc każde słowo.

– Twój ojciec rzeczywiście się rozpił. Wasze zesłanie, choroba Marysi, okupacja. Twoja matka załamała się, gdy was wywieźli. Bardzo to przeżyła. Kiedy się pozbierała, on zaczął się staczać. Jak wrócił Ziutek, myśleliśmy, że Emil się otrząśnie, ale tak się nie stało. Zresztą nawet nie próbował. Upijał się w domu, a jak Maryśka mu nie pozwalała, to wychodził na miasto. Z kim on tam pił, tego nikt nie wie. Zdarzało się, że wracał bez portfela, bez pieniędzy, a nawet bez palta. Próbowaliśmy coś zrobić, rozmawialiśmy z nim, tłumaczyliśmy, zamykaliśmy go na klucz. Nic nie pomagało. Pierwsza poddała się Maryśka. Dziwiło nas, że zobojętniała na to, co wyprawiał. Do czasu, aż kiedyś w nocy nieoczekiwanie zapukała do drzwi naszego domu. Mieszkaliśmy jeszcze wszyscy na Słonimskiej. Żył ojciec. I Maryśka przyszła kiedyś w nocy, żeby się ukryć przed Emilem. Przemknęła się pomimo godziny

policyjnej. Miała siniaki na twarzy i całym ciele, krew ciekła jej z wargi. – Adela umilkła i spojrzała na twarz Mirusi. – Nie wierzysz – stwierdziła ze smutkiem. – Z początku my też nie wierzyliśmy, że Emil mógł coś takiego zrobić. Ale kiedyś, jak znowu uciekła do nas, przyszedł za nią. Stał na ganku i wrzeszczał. Że jest dziwką, że się oddawała Sowietom, a potem faszystom. Wyzywał ją od najgorszych. Nasz ojciec próbował go uciszyć, a wtedy Emil zepchnął go z ganku.

Mówienie o tym przychodziło Adeli z coraz większym trudem. W kącikach jej oczu pojawiły się łzy. Mocno ścisnęła w dłoniach szklankę z kawą. Miranda ledwie oddychała. Jeszcze nie mieściło jej się to w głowie, jeszcze do niej nie dotarło, że chodzi o jej ojca. Słuchała, jakby Adela opowiadała o obcej rodzinie.

– Tata złamał żebra, a potem dostał zapalenia płuc. Nie wyszedł już z tego. Zabiła go choroba i rozczarowanie synem.

Przy stoliku zapadła cisza. Adela wyciągnęła z torebki lnianą chusteczkę i wytarła mokre policzki.

– Ale to jeszcze nie koniec – powiedziała.

– Dość! – zaprotestowała Miranda. – Nie chcę już tego słuchać.

– O nie! – Teraz to ciotka podniosła głos. – Wysłuchasz wszystkiego, do końca. Jak wszystko, to wszystko. Sama przed chwilą tego chciałaś. Nie masz już czternastu lat i jak chcesz oceniać to, co się wydarzyło, to powinnaś wiedzieć.

Miranda umilkła i pochyliła głowę. Spojrzała na szklankę. Nie miała już ochoty na kawę. Pod wpływem tego, co usłyszała, i tak podniosło jej się ciśnienie.

– Ostatni raz, jak Maryśka do nas przyszła, Ziutek z Gienią zaprowadzili ją do szpitala. Ledwie żyła. Myśleliśmy wszyscy, że już po niej. Wtedy okazało się, że jest w ciąży. Januszek urodził się kilka miesięcy później, już jako półsierota.

Mirusia poczuła się tak, jakby nagle przygniótł ją potężny ciężar. Jakby wielki cedrowy pień nieoczekiwanie zwałił się prosto na jej klatkę piersiową. Nie była w stanie wydać z siebie najmniejszego dźwięku. Łapała powietrze szeroko otwartymi ustami, ale płuca miała ściśnięte. Zastygła w bezruchu.

– Nikt z nas nigdy nie zadał tego pytania. Nie zapytaliśmy żadnego lekarza ani nawet Maryśki, czy gdyby nie... – głos Adeli zadrzał – czy... Januszek byłby...



Umilkła. Nie było już nic więcej do dodania.

Teraz płakała cicho, a Miranda starała się wytrzymać to wszystko. Zalała ją gwałtowna fala żalu, gniewu, wstydu i wyrzutów sumienia.

– Wiesz – odezwała się po chwili – nie sądziłam, że kiedykolwiek to powiem. Matka miała rację, już lepiej było na tym zesłaniu. Łatwiej było przeżyć tamto. Babcia i Busia miały szczęście, że nie wróciły.

Znowu zapadła cisza. Miranda zapragnęła nagle zostać sama. Obecność ciotki była jak skierowana w jej stronę lufa karabinu strażnika gotowego do strzału.

Nagle drzwi cukierni otworzyły się z hukiem i do lokalu wbiegła niska, krępa kobieta. Miranda podskoczyła. Krążąca we krwi adrenalina wyostrzyła jej zmysły.

– Adela! – wrzasnęła kobieta. – Kierownik wszędzie cię szuka. Jest wściekły, całe biuro postawił na nogi.

Włosy jej sterczały na wszystkie strony, policzki nabrały mocno czerwonego koloru.

– Przecież się zwalniałam – odparła Adela. Zaczęła się zbierać. Wytarła twarz chustką, poprawiła włosy.

– Ponad dwie godziny temu! Wracaj szybko, bo tam jest istne piekło! – zawołała tamta od drzwi i już jej nie było.

Adela wstała. W pośpiechu włożyła palto, zapięła guziki, zawiązała chustkę na głowie. Wzięła torebkę. Na chwilę zatrzymała się jeszcze i krzepiącym gestem położyła rękę na ramieniu bratanicy. Potem odeszła. A Miranda jeszcze długo siedziała pochylona nad stolikiem, dopóki ekspedientka jej nie wyprosiła, gdy chciała zamknąć cukiernię.

## ROZDZIAŁ XXXII

LUTY 1952

Matko jedyna, co tu się dzieje? – zawołała Maria, wchodząc do domu.

Już w sieni usłyszała płacz. Szybko przeszła przez ciemne mieszkanie, po drodze zrzucając chustkę z głowy i rozpinając palto. Torebkę zostawiła na stole w kuchni. Niemal wbiegła do sypialni dzieci. Januszek leżał na łóżku zwinięty w kłębek, a Mirusia siedziała nad nim, zalewając się łzami.

– Mirusia! Co tu się dzieje? – zawołała Maria, przyklękając koło dzieci.

Ostrożnie obróciła synka twarzą ku sobie. Chłopiec spojrzał na nią smutnymi, udręczonymi oczyma. Zamiast uśmiechu na jego buzi pojawił się grymas bólu. Obok malca leżał termofor.

– Miruśka, co się stało? – powtórzyła pytanie Stasiakowa, potrząsając córką.

– Bo... bo... – chlpała Miranda, nie mogąc się uspokoić.

– Januszek, coś cię boli? – Maria spojrzała znowu na syna, licząc, że od niego czegoś się dowie.

Wzięła do ręki termofor. W środku chlupała zimna woda.

– Boli cię coś? Brzuszek?

Chłopiec pokiwał główką. Zamknął oczy i przytulił twarz do poduszki.

Maria spojrzała na nadal płaczącą córkę i uświadomiła sobie, że to nie było zwykłe rozżalenie, tylko rozpacz i bezsilność.

– Mirusia, co się stało? – zapytała łagodniej.

Położyła rękę na ramionach córki i rozejrzała się po pokoju. Na szafce nocnej leżały rozsypane jakieś zioła, w filiżance dojrzała resztki ziołowego naparu. W szklance pływało białko jajka. W pokoju unosił się dziwny zapach. Na pościeli leżał kawał płótna i mokre, pogniecione chusteczki do nosa. Ubrania Januszka i Mirusi walały się po podłodze. Obok łóżka stała zgaszona świeca i leżały zapalniczki. Z góry lało się na to wszystko ostre światło żarówki. Córka miała na szyi swoje syberyjskie paciorki. Stasiakowa westchnęła

ciężko.

– Mirusia – zwróciła się do dziewczyny. – Januszka boli brzuch, tak? Najadł się czegoś? Co dzisiaj jadł?

Miranda pokręciła głową, nadal szlochając i mocno ciągnąc nosem.

Maria wstała i podeszła do komody. Wyjęła z niej czystą chusteczkę i podała córce. Zapaliła lampkę nocną, zgasiła górne, rażące światło.

– Zostań przy Januszku, a ja pójdę do Łopaniuków zadzwonić po lekarza. Ostatnio pomogłam takiemu jednemu, więc na pewno przyjedzie. Mirusia, przestań już płakać, dobrze? Popatrz na mnie.

Miranda podniosła pełne łez, zaczerwienione oczy.

– Nalej ciepłej wody do termoforu i połóż go Januszkowi koło brzucha, dobrze?

Poczekaj, aż zobaczy w oczach córki potwierdzenie.

– Pomasuj mu trochę brzuszek, żeby puściły mięśnie, zrozumiałaś?

– Tak – wychlipała dziewczyna.

– Wróć za parę minut i razem poczekamy na lekarza.

Maria zapięła palto, chwyciła porzuconą wcześniej chustkę i wybiegła z domu.

Tak jak zapewniała, wróciła do domu po kilku minutach.

– Lekarz zaraz będzie – powiedziała.

Usiadła na łóżku obok synka i położyła mu dłoń na główce. Włoski miał miękkie jak najdelikatniejszy jedwab. Miranda już nie płakała, tylko siedziała, trzymając brata za rączkę.

– Mirusia, o co chodzi? Dlaczego tak płakałaś? Stało się coś?

Przecież nie pierwszy raz Januszek miał atak bólu brzucha i Maria nie mogła zrozumieć, co tak wyprowadziło córkę z równowagi.

Miranda skuliła się w sobie, opuściła ramiona.

– Wydusisz to w końcu z siebie? – nalegała Maria.

– Bo... bo... – Podniosła głowę i spojrzała na matkę zapuchniętymi, czerwonymi oczami.

Maria wstała, pociągnęła za sobą córkę. Przystanęła w drzwiach do pokoju. Nie chciała rozmawiać przy Januszku ani stracić go z oczu.

– Nie umiałam mu pomóc – wreszcie wytłumaczyła jej córka.

– Januszkowi?

Mirusia potwierdziła.

– Tak. Nie umiałam mu pomóc. Boże!

– Przecież tam leżą jakieś zioła? – Maria wskazała brodą bałagan przy łóżku. Rozmawiały szeptem. – Chyba jeszcze świece paliłaś. Zresztą nawet nie chcę wiedzieć, co tu się wyrabiało. Trzeba było wołać lekarza, a nie czarymary odprawiać.

– Nic nie czułam. Nie wiedziałam nawet, co mu jest. – Miranda opowiadała jak w transie, nie zważając na to, co mówi matka. – Nie widziałam tego.

– Wielkie mi rzeczy! – Stasiakowa zamachała rękoma.

Nie umiała ukryć uśmiechu zadowolenia. Trwało to tylko sekundę, po chwili znowu spojrzała na pełną cierpienia twarz i postać swojego najmłodszego dziecka i poczuła ukłucie złości.

– Czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego nie zawołałaś lekarza, zamiast rozczulać się nad sobą?

– Mamo, przecież mama wie. Kiedyś ja to widziałam, wiedziałam, zanim się zaczął atak, zanim cokolwiek Januszka zabołało, widziałam to wcześniej. Kiedyś umiałam przebłagać duchy, dać mu siłę, uzdrowienie! – zawołała z przejęciem. – A dzisiaj nic nie zadziało. Tak jak wtedy, kiedy Januszek zasłabł. Nic nie mogłam poradzić!

– To i tak nie działało – odparła stanowczym tonem Maria.

Miranda nie słyszała albo nie chciała usłyszeć. Siedziała, patrząc na brata, jakby zasłuchana w sobie.

– Słyszysz? I tak by nie zadziało – powtórzyła matka, obejmując ją i przytulając. – Januszek jest ciężko chory i niewiele można mu pomóc. Nie ma sensu rozpaczać. Nie rozumiem, jak możesz z takiego powodu się rozkleić? Siedziałaś tutaj i uzalałaś się nad straconymi zwidami, kiedy on biedny zwijszał się z bólu?

Januszek spojrzał na nie smutnymi oczyma i jęknął cicho.

– No już, kochanie, już – przemówiła do niego łagodnie matka; jej głos był pełen czułości – zaraz przyjedzie doktor, da ci lekarstwo. Przystanie cię boleć.

Umilkła. W ciszy słychać było jedynie świszczący, przyspieszony oddech chorego chłopca. Matka i siostra siedziały obok niego. Położyły dłonie na słabym, wycieńczonym ciele malca. Łączyła je wielka miłość do niego.

– Operacja na pewno pomoże – odezwała się po chwili Mirusia. – A po operacji będzie lepiej.

– Operacja musi pomóc. – Maria pochyliła się nad synkiem. – Kochanie, będziesz zdrowy i silny tak jak wujek Ziutek – zaszczębiotała do niego, a po chwili zwróciła się tym samym łagodnym, a jednocześnie krzepiącym tonem

do córki: – Mirusia, idź, umyj się i czegoś się napij. Ja z nim posiedzę. – Poprawiła termofor. – Tak wyglądasz, że doktor się przestraszy – dodała z uśmiechem. Po złości na córkę nie pozostało ani śladu. Na chwilę umilkła, a potem dodała: – Tylko nic mu nie mów o żadnych duchach i uzdrawianiu!

Mirusia kiwnęła głową.

– Mirusia! Słyszysz? Ani słowa o tym!

– Dobrze, proszę mamy.

– A teraz już idź i doprowadź się do porządku.

– Zaparzę Januszkowi świeżych ziół – powiedziała Miranda, wstając z łóżka.

Już daj spokój z tymi cholernymi ziołami! – pomyślała Maria. Córka wyszła, a ona siedziała, delikatnie masując brzusek chłopca. Przyglądała się malcowi. Miał bledziutką twarz, sińce wokół oczu, skóra na jego kościach policzkowych była cienka i naciągnięta, dłonie mu spuchły. Odchyliła kołdrę i delikatnie pogłaskała nogi i stopy synka.

– Znowu ci napuchły, kochanie. Kiedy to się skończy? – powiedziała. Głos jej drżał ze zmartwienia. – Daj, położymy nóżki wyżej. – Podłożyła malcowi pod nogi poduszki Mirusi.

W tym momencie po ścianie nad łóżkiem przesunęły się dwa snopy światła i usłyszała warkot samochodu, podjeżdżającego pod bramę. Wyrzała przez okno.

– Dzięki Bogu, już jest pan doktor, zaraz dostaniesz lekarstwo i poczujesz się lepiej.

Pocałowała synka w czoło.

– Mirusia! – zawołała w głąb domu, ale odpowiedziała jej cisza. – Mirusia!

Znowu nic. Skrzypnęła furka.

– Muszę cię na chwilę zostawić, ale zaraz wrócę z panem doktorem, dobrze? – powiedziała do synka i poszła, by wprowadzić do domu lekarza.

Nigdzie po drodze nie spotkała Mirusi. Widocznie zamknęła się w łazience, pomyślała.

W kuchni stało dwóch mężczyzn: młody, przystojny lekarz i znajomy Marii, Kazimierz Sawczuk.

– Przyjechaliśmy jak najszybciej – oświadczył Kazimierz, kłaniając jej się nisko.

– Gdzie jest dziecko? – zapytał rzeczowo lekarz.

Maria uśmiechnęła się przepraszająco do swojego adoratora, a ten kiwnął

głową, dając do zrozumienia, że nie trzeba się nim zajmować.

– Proszę, panie doktorze, proszę tędy. – Poprowadziła lekarza przez mieszkanie do pokoju, gdzie leżał jej syn.

\*\*\*

Miranda czekała przez chwilę w łazience, aż umilkną głosy. Nasłuchiwała, a kiedy już nabrała pewności, że matka z lekarzem poszli do Januszka, cicho wymknęła się do kuchni. Na widok mężczyzny, siedzącego przy stole, aż krzyknęła ze strachu i przycisnęła ręce do piersi. Tamten zerwał się natychmiast. Szalik zsunął mu się z ramion i upadł na podłogę. Skrępowany i zażenowany mężczyzna przez moment wahał się pomiędzy ukłonem, podnoszeniem szalika i wyciągnięciem ręki na powitanie do Mirandy. Na szczęście zrezygnował z tego ostatniego. Mężczyźni nie wypadało pierwszemu podawać ręki. W końcu tylko ukłonił się nisko.

– Nie chciałem przestraszyć panny Mirandy, proszę o wybaczenie.

Powiedział, szurnął butem i stanął wyprostowany, nie patrząc na nią.

Opuściła jedną rękę, a drugą poprawiła włosy. Speszyła się, uświadamiając sobie, że jej wygląd mógł go przestraszyć. Zaczerwienione oczy, podpuchnięta od płaczu twarz.

Mężczyzna obejrzał się dookoła. Schylił się po szalik, zabrał leżący na stole kaszkiet i poprawił płaszcz narzucony na ramiona. Miranda natychmiast rozpoznała tego człowieka. To on kiedyś przyprowadził pijaną matkę. Oczy dziewczyny zwęziły się ze złości. Stała i przyglądała się mężczyźnie. Celowo nie zachęcała go, żeby z powrotem usiadł. Milczała, a pan Kazimierz przestępował z nogi na nogę. Prawą dłonią przyglądał zaczeskę na łysiejacej głowie.

Gdzieś w głębi mieszkania rozległy się kroki, do kuchni weszła Maria.

– Mirusia, zaparz herbatę dla pana doktora – nakazała córce, grzebiąc w szufladzie z lekami – muszę leki mu pokazać.

Wykładała na stół lekarstwa, które brał Januszek.

– A co pan tak stoi, panie Kazimierzu? – zagadnęła uprzejmym tonem i uśmiechnęła się do mężczyzny. Mirusi zrobiło się słabo, kiedy to zobaczyła. Była pewna, że ów uśmiech miał być zalotny, a wyszedł wręcz wyzywający. – Proszę się rozgościć. – Sawczuk posłusznie usiadł. – Mirusia robi panu

dobrej herbatki.

Maria zgarnęła fiolki i papierowe torebki z lekarstwami Januszka i poszła z powrotem do sypialni dzieci, zostawiając Mirusię z panem Kazimierzem. Po wyjściu matki atmosfera w kuchni zrobiła się jeszcze gęściejsza.

– Może ja poczekam w samochodzie? – zaproponował Sawczuk, wstając z miejsca.

Mirusia spojrzała na niego uważnie. Dostrzegłszy na jego twarzy zmieszanie, poczuła satysfakcję. Dobrze, że jest mu nieswojo. Powinien tak się czuć.

– Nie, proszę zostać – powiedziała powoli i dobitnie, siląc się na obojętność. – Straszny ziąb na zewnątrz. Zrobię panu herbaty. Wie pan, jak mama coś nakaże, to nie można się sprzeciwiać. – Zmusiła się do grzecznego uśmiechu.

Kazimierz usiadł z powrotem. Uśmiech na twarzy Mirusi, a może jego własne zdenerwowanie i skrępowanie spowodowały, że rozpoczął rozmowę.

Odchylił poły płaszcza, poprawił się na krześle i zaczął opowiadać:

– Jak tylko pani Maria zadzwoniła, to ja prędyutko w auto wsiadłem i po doktora pojechałem. Dobry ten nasz doktor, młody jeszcze, ale bardzo dobry, wszyscy go chwalą. I dzieci kocha jak żaden inny.

Pokiwał głową. Miranda w milczeniu zaparzyła świeżą esencję w imbryku. Naszykowała cztery filizanki, wyjęła słoik z miodem.

Sawczuk chrząknął i mówił dalej:

– Biedny ten Januszek, aniołek taki mały, taki chory. – Pokręcił głową. – Nie powinny dzieci tak chorować. Nie powinny. Nie ma nic gorszego niż chore dziecko. A jaki on słodki, jaki cierpliwy. Wszystkie dzieci tak chorują. Wie panna Miranda, tak cichutko, cierpliwie. Stary niejeden to by wył z bólu, zwijał się, a dzieci? O nie, dzieci tak nie robią. Leżą tylko, tak cichutko, jak aniołki, i patrzą się na człowieka smutnymi oczkami.

Mirusi łza się zakręciła w oku, nie mogła jej powstrzymać. Potoczyła się po policzku. Serce boleśnie zatrzepotało. Otarła ukradkiem twarz i odwróciła się w stronę kuchni, tyłem do gościa.

W sąsiednim pokoju rozległy się kroki, a potem głos lekarza:

– Teraz, po tym zastrzyku powinien spokojnie przespać do rana. Ale, pani Stasiak, pani syn ma bardzo słabe serce. – Doktor mówił chłodnym, fachowym tonem.

Matka i lekarz weszli do kuchni. Na stole czekała już herbata w filizankach. Młody doktor usiadł, obok krzesła postawił dużą lekarską torbę. Wyciągnął

z niej recepty i pióro.

– Proszę, pan się napije, panie doktorze. Dobra, cejlońska herbata. Może kieliszeczek naleweczki? – zaproponowała Stasiakowa i ruszyła w stronę kredensu, gdzie stały karafki i kieliszki.

– Zaraz, zaraz, najpierw muszę skończyć – odpowiedział tonem urzędnika z ważnego biura.

– Tak, tak, oczywiście – odrzekła Maria i usiadła przy stole.

Mirusia stała oparta o zlew i obserwowała wszystko z daleka. Pan Kazimierz milczał i tylko od czasu do czasu popijał herbatę małymi łydkami. Lekarz polizał stalówkę pióra i zaczął wypisywać receptę.

– Te leki od profesora niech syn cały czas bierze, tak jak zalecono.

Znowu polizał czubek stalówki i pisał dalej.

– Ten środek, co tu jest na recepcie, to trzeba pilnie odebrać na Warszawskiej w szpitalu, jak się powołacie na mnie, to siostra przełożona powinna wydać. Im szybciej, tym lepiej.

Wyciągnął receptę nad stołem, a pan Kazimierz ją przechwycił, zanim Maria zdołała dotknąć kawałka papieru.

– To ja migusiem tam pojedę i zareńko lekarstwo przywiozę! – wykrzyknął z energią.

Stasiakowa i lekarz spojrzeli na niego. Maria uniosła w górę brew.

– Oczywiście jak tylko odwiozę pana doktora do domu – poprawił się Sawczuk.

Lekarz jeszcze raz polizał stalówkę i wypisał kolejną receptę.

– A te dwa leki będzie trochę trudniej dostać. Proponuję zacząć od księdza proboszcza u Świętego Wojciecha, może jeszcze ma zapasy z Caritasu. Jak nie, to siostrę Teresę zapytajcie. One tam mają swoje dojścia do lekarstw.

– Tak, dobrze. – Maria pokiwała głową, biorąc od niego receptę. – Postaram się to załatwić.

– Najważniejsze jest to pierwsze lekarstwo. – Wskazał głową na receptę w rękę Sawczuka. – To powinno dać natychmiastową ulgę. Chłopiec musi je wziąć, jak się obudzi. Pani Mario – obrócił się w stronę gospodyni i spojrzał jej w oczy – pani synek ma słabe i chore serce. Te bóle brzucha to nie jest niestrawność. To będzie się powtarzać.

– Tak, tak – Stasiakowa pokiwała głową – wiem, byle tylko do operacji.

– Na wiosnę Januszek będzie miał operację, a potem będzie lepiej – wtrąciła nieoczekiwanie Miranda.



Lekarz odwrócił się i spojrzał na nią badawczo. Miała wrażenie, że jego ciemne oczy przenikają ją na wskroś.

– Słyszałem o tej operacji, pani mama mi mówiła. O profesorze Kornodziejskim też słyszałem.

– Podobno tam, w Moskwie, robią dużo takich operacji – powiedziała Maria.

Doktor odwrócił wzrok i zaczął pakować swoje rzeczy do torby. Na jego twarzy pojawił się trudny do interpretacji grymas.

– To gdzie ta nalewka? – upomniał się z uśmiechem.

Maria podskoczyła na miejscu. Nalała gęstego, słodkiego trunku do czterech kieliszków.

– Panie doktorze, a pan słyszał o takich operacjach serca? – zapytała Miranda, wpatrując się w lekarza. Nie spodobał jej się ów grymas.

– Słyszałem, słyszałem – odrzekł szybko.

– No, to pan wie, że się udają i że takie dzieci jak Januszek można jeszcze uratować, można wyleczyć.

Lekarz wypił nalewkę, zamlaskał i wstał od stołu.

– Panie Kazimierzu, na nas czas – oświadczył. Już prawie wychodził, gdy nagle obejrzał się na Mirusię, jakby coś sobie przypomniał. – A te zioła to pani bratu parzyła?

– Ja – przytaknęła.

– Zna się pani na tym?

– Trochę – odpowiedziała niepewnie.

– A to takie tam, wie pan, panie doktorze – wtrąciła się matka – ziołowe napary, herbatki miodem dosładzane, ani nie zaszkodzi, ani nie pomoże.

– A co mu pani podawała? – Lekarz nie zwrócił uwagi na Marię.

– Naparstnicę, konwalię, trochę dziurawca, miłorząb – wyliczała Miranda.

Przyglądał jej się uważnie. Stał wyprostowany, włosy miał modnie zaczesane do tyłu nad wysokim czołem.

– Córka bardzo zajmuje się Januszkiem. Jest dobrą opiekunką. Inne dzieci z okolicy w chorobie też niańczy. Co dziecko chore u sąsiadów, to Mirusię wołają – tłumaczyła matka z nutą niepokoju w głosie. – Niczego złego w tym nie ma – zapewniała. – No, ale już czas do Januszka wracać, Mirusia, zerknij, co z nim. – Poleciała, próbując zakończyć niewygodną rozmowę.

– Lubi pani to robić? – zapytał lekarz, wciąż patrząc na Mirandę mądrymi, czarnymi oczami w ciemnej oprawie. Wytrzymała jego spojrzenie i tylko

pokręciła głową, pokazując, że nie rozumie.

– Leczyć ludzi, zajmować się chorymi dziećmi? – wyjaśnił.

Maria podeszła do Kazimierza i zaczęła go powoli wypychać z kuchni do sieni, jakby dawała wszystkim do zrozumienia, że czas wizyty już minął.

– Tak, lubię zajmować się chorymi dziećmi, pomagać sąsiadom – odpowiedziała.

– Ale o co chodzi? Przecież córka nikomu żadnej krzywdy nie zrobiła. – Maria nie wytrzymała w końcu. – Nie wiem, co tam ludzie gadają...

Doktor odwrócił się do niej z uśmiechem.

– Pani Mario, niech się pani nie denerwuje i nie martwi. Ludzie przez całe stulecia leczyli się ziołami i nas na studiach też tego uczyli. Mnie chodzi o co innego. Irenka Białówna organizuje w nowym szpitalu na Piwnej oddział dziecięcy, a do tego szkołę pielęgniarską. Potrzebujemy młodych kobiet, które znają się na chorobach, a przede wszystkim lubią i potrafią zajmować się chorymi dziećmi. – Podeszedł do Mirandy i wyciągnął do niej rękę na pożegnanie. – Niech pani to przemyśli, może by pani przyuczyła się na pielęgniarkę. – Uścisk miał mocny, a dłonie gładkie i ciepłe.

Obaj mężczyźni wyszli, Stasiakowa odprowadziła ich do furki. Od otwartych drzwi do sieni powiało chłodem. Miranda poczuła dreszcze na plecach.

## ROZDZIAŁ XXXIII

MARZEC 1952

Miranda zapukała mocno w drzwi domu stryjostwa. Nie czekając na zaproszenie, weszła do kuchni. W pomieszczeniu było pusto.

– Halo! – zawołała w głąb mieszkania.

– Już idę, już idę – usłyszała głos Oli.

Po chwili pojawiła się żona Ziutka, drobna, urocza szatynka o szarych oczach, zadartym nosku i cudownie okrągłych policzkach. Nikt w rodzinie Szamretów nie miał takich policzków.

– Jest Ziutek? – zapytała Miranda.

Ola spojrzała na nią uważnie i uśmiech znikł z jej twarzy.

– Mirusia, stało się coś? – zapytała z troską w głosie.

Dziewczyna zdobyła się na sztuczny uśmiech.

– Nie, nie, to nic takiego.

– Minę masz nietęgą – skwitowała Ola.

– Stawy mnie bolą na taką paskudną pogodę – skłamała w odpowiedzi Miranda i dla wzmocnienia efektu potarła dłoń o dłoń.

– Ziutek jest za domem, zrzuca węgiel do piwnicy.

Miranda kiwnęła głową, obróciła się na pięcie i wyszła.

Obeszła dom i dostrzegła zwalony na podwórzu węgiel. Nad stertą czarnych bryłek krzątał się Ziutek. Nabierał je na szufłę, a potem przykładał ją do maleńkiego otworu w podmurówce domu. Przechylał szufłę i zawartość opadała z hałasem do piwnicy, a przez maleńkie okienko unosił się obłoczek czarnego pyłu.

– Czołem! – zawołała do niego Miranda, podchodząc bliżej.

Uśmiechnął się i wyprostował. Zsunął do tyłu czapkę ze spoconego czoła.

– Może ci pomóc? – zaproponowała.

– Chętnie, tylko we dwójkę do tej jednej dziury nie damy rady wrzucać.

Miranda kucnęła, zdjęła rękawicę i wzięła do ręki czarną grudkę.

– Dobry węgiel – pochwaliła.

– Musiałem dokupić, wygląda na to, że zima nie popuszcza, do wiosny jeszcze trochę, a nam cały zapas już się skończył.

Chwilę milczeli. Ziutek oparł się o trzonek szufli i spojrzał na bratanicę.

– Coś cię trapi – stwierdził.

Miranda odrzuciła grudkę węgla na stertę. Wyprostowała się, włożyła z powrotem rękawicę i schowała ręce do kieszeni. Odwróciła głowę w bok i zapatrzyła się gdzieś przed siebie.

– Nie wiem, od czego zacząć – przyznała z westchnieniem. Pomiedzy jej brwiami pojawiła się zmarszczka.

Ziutek odstawił szufłę na bok.

– To może zaczniemy od dobrej herbaty z miodem? Wczoraj Ola otworzyła tę paczkę, co ją dostaliśmy od Marysi jeszcze na Boże Narodzenie. Prawdziwa cejlońska herbata! Jaki zapach, mówię ci.

Już się obracał w stronę domu, kiedy Miranda zatrzymała go, chwytając za łokieć. Westchnęła głośno.

– Kiedy ja wołałabym tutaj. Nie chcę... to dla mnie trudne i nie chcę omawiać spraw rodzinnych przy Oli.

Teraz to Ziutek zmarszczył czoło.

– Ola to też nasza rodzina – oświadczył zdecydowanym tonem.

Miranda pomachała dłońmi.

– Tak, tak, przepraszam, nie zrozum mnie źle. Nie tyle chodzi o sprawy rodzinne, ile o moje, to ja mam kłopot. Z rodziną – powiedziała ciszej. Opuściła ramiona i głowę w geście rezygnacji.

Ziutek zasępił się na chwilę.

– No to dawaj, mów, o co chodzi, może jakoś temu zaradzimy – powiedział mocnym, zdecydowanym głosem.

Miranda odetchnęła. Tego właśnie oczekiwała, że ktoś będzie chciał razem z nią podźwignąć to zmartwienie.

– To może zacznę od początku.

– Świetnie! Początek to bardzo dobry początek! Nie masz nic przeciwko temu, że ja będę dalej szufłą machał? Usiądź sobie tu, na pieńku, i opowiadaj. Jak będę tylko stał nad tobą, to noc mnie przy tym węglu zastanie. – Chwycił szufłę i nabrał na nią węgla.

– Rozmawiałam z Adelą – zaczęła Miranda – bardzo długo...

– No tak, ja też bym miał kiepski humor, gdybym długo rozmawiał z moją siostrą – odpowiedział żartobliwym tonem stryj.

Mirusia doceniała to, że brat jej ojca starał się ją rozweselić i rozładować atmosferę. Odwzajemniła mu się lekkim uśmiechem, zaledwie jego cieniem, ale zawsze to coś. Kolejna szufla węgla zsunęła się do piwnicy.

– Dobrze, zacznę od początku, tylko proszę, nie przerywaj mi.

Pokiwał głową na zgodę.

– Nie mogę dojść do siebie po tej rozmowie. Po prostu nie mogę niczego sobie poukładać. Rozmawialiśmy o wojnie, o tym, co się wydarzyło, i – zawiesiła głos na chwilę – o ojcu.

Na twarzy Ziutka pojawił się grymas. Na ułamek sekundy. Mirandzie wydawało się, że stryj mocniej wbił szuflę w stertę węgla. Nie odezwał się jednak i na nią nie spojrzał.

– Ja wiem, że nie ma co wracać do starych spraw, matka ciągle mi to powtarza. Wiesz, w ogóle mam wrażenie, że nikt nie chce o tym rozmawiać. Ani w rodzinie, ani wśród znajomych czy sąsiadów. Jakby wszyscy przysięgli się, żeby zapomnieć, pogrzebać, nie myśleć.

– Dziwisz się? Nie było łatwo – wtrącił Ziutek. Szufla znowu zazgrzytała o twarde, czarne bryłki.

– Nie, nie dziwię się. Słyszałam już tak wiele strasznych historii, że wcale się nie dziwię. Ci, co przeżyli, żyją dalej, chodzą do pracy, spotykają się z rodziną, wychowują dzieci, wiążą koniec z końcem, weselą się i smucą. Planują przyszłość i nie wracają do tego, co było. Ja też chciałabym zapomnieć. – Umilkła, a po chwili dodała: – Ale nie mogę.

Ziutek wyprostował się i popatrzył na nią uważnie.

– Czego nie możesz zapomnieć? Zsyłki?

– Nie – zaprzeczyła dziewczyna – tego już prawie nie pamiętam. Za to pamiętam, jaka była nasza rodzina przed wojną. Pamiętam niemal każde lato, każde święta, każdy niedzielny piknik. Musiałam się pogodzić, że to nie wróci. Już nigdy tak nie będzie.

Od strony Skorupskiej dmuchnął chłodny wiatr. Miranda skuliła się i głębiej wcisnęła ręce w kieszenie. Ziutek nie poganiał jej, nie pytał. Po niebie sunęły szare chmury, spieszyły się, jakby gdzieś daleko za horyzontem szukały ciepłych promieni słońca.

– Wiesz, tylko nie mogę się pogodzić... – zająknęła się i przełknęła ślinę – nie mogę znieść tego, że tak skreśliliście ojca – wydusiła z siebie

oskarżycielskim tonem.

Stryjek nadal pracował, tylko lekkie drżenie dłoni zdradzało, że jej słowa zrobiły na nim wrażenie.

– Sąsiedzi, listonosz, Adela opowiadali mi o ojcu, o tym, jak pił, jak leżał bez przytomności pod płótem, jak się stoczył. Adela opowiedziała mi więcej.

– Na chwilę coś ścisnęło jej gardło. Ziutek z coraz większą zawziętością machał łopata. Kolejne porcje węgla z chrzęstem lądowały w piwnicy. – Opowiedziała o tym, co tata robił mamie.

– Nie powinna była – burknął pod nosem.

– Miałaś mi nie przerywać – upomniała go Miranda. – Nie jest mi łatwo o tym mówić, wciąż czuję wstyd.

– O! No to wiesz, jak się czuliśmy.

– No właśnie nie wiem! – odparła poruszona. Wstała z pnia i podeszła do stryja. – Nie wiem. Zupełnie nie mieści mi się to w głowie. Przecież nie ojciec pierwszy się rozpił i nie ostatni. Mało to pijaków chodzi po ulicy?

– Emil był przedwojennym oficerem – powiedział Ziutek, opierając się na trzonku szufli. Rękawem kufajki wytarł węglowy kurz z czoła.

– No to co? – spytała, gestykulując z emocji. – Mało to oficerów, ba, generałów, przed wojną wódkę piło? Niektórzy sami do koszar wrócić nie mogli.

– Od tego byli ordynansi. Przynosili pana generała.

Miranda zlekceważyła jego uwagę.

– Mogę zrozumieć pretensje matki, jej żal do ojca. Ją mogę jako tako zrozumieć. Jeżeli, oczywiście, prawdą jest to, co mówiła Adela...

– Nie wiem, co ci mówiła moja siostra – znowu jej przerwał – ale...

– Proszę – uniosła dłoń – daj mi skończyć. – Pochylił głowę na znak zgody. – Mówiła o sińcach, krwawiących ranach, mówiła o szpitalu, również o tym... – szukała właściwych słów – co zaszło, kiedy mama nosiła Januszka. Znam jej relację, jednak nie wiem, jak to wyglądało.

Odpowiedziało jej prychnięcie. Ziutek odrzucił głowę do tyłu. Na jego twarzy pojawiła się złość.

– Ale ja wiem, jak to wyglądało. Byłem tam, zaniósłem ją na własnych rękach do szpitala. Pamiętam, w jakim była stanie. Byłem też na tym cholernym ganku, kiedy Emil zepchnął ojca. Ech! – Machnął ręką. – Po co to wszystko rozgrzebywać.

– A ja słyszałam, że mój ojciec niósł do szpitala twoją żonę. Irenę.

Pamiętasz? Miałeś kiedyś żonę Irenę. Zginęła od bomby w czterdziestym pierwszym. Słyszałam też, że ojciec prosił za tobą na uczelni, kiedy cię przyłapano po pijaku w czapce studenckiej na ulicy. Podobno zapożyczył się, żeby móc wam wesele jak się patrzy urządzić? Pamiętam wiele takich rzeczy, a wy chyba już o nich zapomnieliście i pamiętacie tylko to, co chcecie! – W jej głosie zabrzmiała pretensja, smutek i żal.

Ziutek skulił się w sobie, jakby zadano mu celny cios, którego się nie spodziewał.

– Czy te ostatnie parę lat ma zaważyć na całej naszej pamięci o tacie?

Przez chwilę milczeli. Miranda na powrót usiadła na pieńku. Jej stryj stał z opuszczonymi ramionami i gapił się w hałdę czarnego węgla u swoich stóp.

– Masz rację – odezwał się w końcu – może masz rację. Być może zrzuciliśmy na Emila zbyt dużą odpowiedzialność.

Skrzywił się, jakby dotknął bolącego zęba.

– Odpowiedzialność? – Miranda nie rozumiała.

Zaczęło się ściemniać. Nadszedł chłód. Poczwała, jak zimno przenika ją aż do kości. Porywy wiatru były coraz częstsze i zimniejsze. Mróz szczypał w policzki. Wyjęła z kieszeni paczkę papierosów i wyciągnęła ją w stronę Ziutka, ale pokręcił głową. Miranda zapaliła i wypuściła przed siebie kłąb dymu, który niemal zastygł w mroźnym powietrzu.

– Tak... – Józef patrzył gdzieś przed siebie ponad dachami domów na Bojarach. – Być może popełniliśmy błąd. Pozwoliliśmy na upadek Emila. Również w naszych umysłach. Widzisz, Mirusia, to był nasz Emilian, duma naszej rodziny, oficer. Pamiętasz go, zawsze nienaganne maniery, honor na pierwszym miejscu, chodząca inteligencja, przyzwoitość, kultura, opanowanie. I on się stacza? Staje się śpiącym na ulicach menelem? Podnosi rękę na ojca? Bije kobietę? Własną żonę? Na dodatek ciężarną? Mirusia! To było dla nas jak gwałt. Gwałt na naszych wartościach, na tym, co najważniejsze. Wiem, że na świecie działy się w tym czasie rzeczy straszne, sam ich doświadczyłem. Przez kilka miesięcy wracałem do domu spod Smoleńska. Przez front niemiecki. Wracałem i powtarzałem sobie, że naszej rodziny, naszego domu to nie dotknęło. Wierzyłem, że nas nigdy nie dotknie ten brud, to upodlenie, to...

Na chwilę umilkł. Zabrakło mu słów. Oddychał ciężko i płytko, jakby teraz nagle mówienie przychodziło z wysiłkiem. Miranda milczała, paląc papierosa. Trzymała go niezdarnie w palcach okrytych grubą rękawiczką.

– Upadek Emila był dla nas upadkiem całego naszego świata, naszych zasad.

Wtedy zrozumieliśmy, że coś się skończyło i już nigdy nie będzie tak jak kiedyś. Mirusia, nie tylko ty utraciłaś dom i rodzinę. My wszyscy ją straciliśmy.

– To prawda – wtrąciła, machając ręką z papierosem. Czerwone światełko zakreśliło nieznany nikomu znak w powietrzu.

– Tak, i rzeczywiście to niesprawiedliwe, że uznaliśmy Emila za odpowiedzialnego. Jakby stał się symbolem, emblematem czy raczej przekleństwem. A on tylko się załamał jak zwyczajny człowiek. Był tylko człowiekiem, a my nadaliśmy mu boską moc, której nie miał.

– Matka się nie załamała – powiedziała cicho Miranda.

Ziutek wyprostował się i mocniej naciągnął na uszy czapkę.

– Maria to silna kobieta, ojciec zawsze powtarzał, że ona jest ulepiona z innej gliny. Gdyby nie ta glina, byłoby z nami kiepsko. – Uniósł kąciaki ust w niewyraźnym uśmiechu, jakby nie miał pewności, czy chce i może się uśmiechać.

Miranda wydeła wargi.

– No tak. Królowa rąbanki i tyle – rzuciła niespodziewanie.

– Słucham?

Z niesmakiem przewróciła oczami.

– Matka przyniosła do domu wypchaną świnię z wielką różową szarfą, a na niej złotymi literami napisane było: „Królowa rąbanki”.

Ziutek roześmiał się, szczerze i głośno.

– Żartujesz?

– Nie – odpowiedziała – przyjdź, sam zobaczysz. Januszek uwielbia na niej jeździć, twoim dziewczynkom też powinno się to spodobać.

Zaczął padać śnieg. Wiatr i mróz sprawiały, że nie było to przyjemne próśnienie, tylko jakby drobne igiełki wdzierały się w skórę.

– Chodź, pójdziemy napić się herbaty. Ola już się piekli. Czeka mnie pewnie bura w domu.

– Cejlońskiej?

– Cejlońskiej.

Podszedł i objął ją ramieniem. W drugiej ręce trzymał szufłę, żeby ją schować pod dachem. Poprowadził Mirandę do drzwi. Zatrzymała go na chwilę.

– Ziutek? A damy na mszę za ojca?

Odsunął ją od siebie. Jego czoło niebezpiecznie się zmarszczyło.



– Hola! – powiedział stanowczym tonem. – To, że pokazałaś mi drugą stronę medalu, nie oznacza, że można go teraz po prostu odwrócić i zapomnieć o tamtej. Nie tak szybko. Jeszcze nie wiem, co myśleć na ten temat. Poza tym nie jestem pewien, czy moje siostry w ogóle będą chciały spojrzeć na tę stronę medalu. Pogrzebaliśmy już Emila i pamięć o nim.

– Adelę i Gienię biorę na siebie. I obiecuję, że będę delikatna, a ty obiecaj, że o tym pomyślisz.

– Jesteś bardzo pewna siebie – skwitował. – A Maria?

– O nie, na to się nie odważę, żeby nakłaniać matkę do czegoś, do czego nie jest przekonana! – zawołała ze śmiechem.

Weszli oboje do kuchni.

– Co tak długo? – Ola zaatakowała ich wymówkami. – Ciemno już i zimno. Poprzeziębiacie się. Kto to widział tak sterczeć na podwórzu w lutym? Tak się zdenerwowałam, że aż mi serce kołacze! Jak można? Przecież wiesz, że nie mogę się denerwować – obrzucała pretensjami męża, marszcząc swój uroczy zadarty nosek.

– Olusia, przecież już jestem – uspokajał ją Ziutek.

Objął żonę. Trzymając ją w uścisku, ponad jej głową mrugnął porozumiewawczo do Mirusi.

## ROZDZIAŁ XXXIV

KONIEC MARCA 1952

Maria Stasiak brnęła przez pokryte błotem ulice Bojar. Zaczęły się wiosenne roztopy. Każdą dziurę, każde zagłębienie w jezdni i na chodniku wypełniło brudnoszare błoto, oblepiające buty i utrudniające chodzenie. Przejeżdżające auta obryzgiwały przechodniów brunatnymi fontannami. Wilgoć przenikała pod postawione kołnierze. Jednak niesprzyjająca aura nie mogła zmienić faktu, że w powietrzu czuło się wiosnę. Promienie słońca coraz śmieiej pobłyskiwały pomiędzy chmurami. Dni były coraz dłuższe, ożywiły się ptaki, a ludzie chodzili uśmiechnięci.

– Wiosnę czuć – pozdrawiali się, patrząc w niebo ponad dachami domów i wysokimi koronami drzew.

– Ptaki już ćwierkają inaczej – pocieszały się sąsiadki, zaglądając jedna drugiej przez płot do ogródka i fachowym okiem oceniając stan przydomowych grządek.

Maria Stasiak wydawała się tego zupełnie nie zauważać. Jak zwykle zajmowała się swoimi sprawami. Wyszła na Słonimską i z niezadowoleniem zauważyła Stawoszkową, która machała zawzięcie w jej stronę z drugiej strony ulicy.

– Pani Stasiakowa, pani Mario! – Janina Stawoszko zgrabnie przeskakiwała co większe kałuże, biegnąc w stronę sąsiadki.

Skąd w niej tyle wigoru, pomyślała Maria, przystając. Bardziej z uprzejmości niż z potrzeby porozmawiania ze znajomą.

– Dobrze, że panią spotkałam – zaćwierkała Stawoszkowa.

Maria spojrzała znacząco na zegarek, wysuwając go spod rękawa. Zauważyła, że tarcza jest obrócona. Speszyla się i schowała go z powrotem w rękawie.

– Spiesz się pani, ja tylko na chwileczkę. – Janina schwyciła Stasiakową za

łokieć i konspiracyjnie pochyliła się w jej stronę. – Moja bratowa będzie miała sprawę do pani i miałam zająć zapytać, kiedy byłoby najlepiej podejść. Żeby zastała panią w domu i nie chodziła po próżnicy.

– A co to za sprawa? – zapytała Maria.

Stawoszkowa pochyliła się do jej ucha.

– Do sprzedania coś tam ma.

Maria poczuła zapach czosnku. Cofnęła się nieznacznie.

– To niech wpadnie jutro wieczorem. Będę w domu – odpowiedziała, odwracając się. – Do widzenia. – Ruszyła w stronę Warszawskiej.

– A to pani w tę stronę? – ucieszyła się Stawoszkowa. – Ja też. Podejdziemy razem.

Maria nie odpowiedziała, tylko przyspieszyła kroku.

– Na pocztę idę. Telegram od siostry przyszedł i muszę go odebrać – podjęła rozmowę Stawoszkowa.

Maria chrząknęła znacząco. Nie interesowało jej to zupełnie.

– Ach, jaki to ja mam kłopot z tą moją siostrą, a raczej z jej mężem, no mówię pani... a może my powinniśmy na ty przejść. Znamy się przecież tyle lat, nasze dzieci tak się polubiły ostatnio.

Stawoszkowa umilkła i mrugnęła do Marii, ale ona tego nie widziała. Dmuchał mocniejszy wiatr, więc postawiła kołnierz płaszcza i w milczeniu ominęła kolejną kałużę, robiąc duży krok. O tyle duży, o ile pozwoliły nogi.

Janina przez chwilę czekała na odpowiedź, ale nie doczekawszy się, znowu zaczęła gadać:

– A o czym to ja mówiłam? Zaraz, zaraz, aha! Że na pocztę po telegram idę.

– To pan Anatol nie przyniósł dzisiaj pani telegramu do domu? – wtrąciła Maria, kładąc nacisk na „pani”.

Bez względu na to, jak lubią się Mirusia z Bronkiem, nie ma potrzeby, aby one nadmiernie się spoufalały. Tak uważała i chciała to dać odczuć swojej rozmówczyni.

– To pani nie wie?! – zawołała tamta. – Przecież pan Anatol umarł przed niedzielą.

Maria zatrzymała się w miejscu, jakby ją wmurowało.

– O czym pani mówi?

– To ty nic nie wiedziałaś, pani Mario? – zapytała Janina, niepewna, jakiej formy użyć. Zawisła gdzieś pomiędzy pani a ty.

– Nie. – Maria pokręciła głową.

Stała przez chwilę oszołomiona. Już na rogu Warszawskiej. Obejrzała się w górę, na Bojary. Bojary już bez pana Anatola. Czy to w ogóle możliwe?

– Biedak dostał zapalenia płuc. W środku ubiegłego tygodnia zabrało go pogotowie, a przed niedzielą już nie żył. Ja tak myślałam, że to szybko pójdzie. Jak po kogoś karetka przyjeżdża, to już długo nie pociągnie. Zawsze to mówiłam.

Maria poczuła, jak napinają jej się mięśnie twarzy. Niespodziewana wiadomość o śmierci listonosza zrobiła na niej duże wrażenie.

Opowiadała o tym córce wieczorem, kiedy wróciła do domu. Januszek już spał, przytulony do pluszowego misia. Dostał go od pana Kazimierza. Maria i Miranda jak zwykle opowiadały sobie wydarzenia minionego dnia.

– Wiesz, Mirusia, czułam się tak, jakby nagle ulica się zmieniła. Sama już nie wiem, jak to, Bojary bez pana Anatola? Skończyła się jakaś epoka. Teraz to już nic nie będzie takie samo. Ziutek mówił, że są plany rozbudowy Białegostoku. Będą stawiać nowe bloki, budować mieszkania. Mówił, że na części Bojar ma powstać takie nowoczesne osiedle. Będą przesiedlać tam ludzi, tych, którym zabiorą domy pod budowę. Murowane, ciepłe, z ogrzewaniem, ciepłą wodą i kuchenkami na gaz. – Maria mówiła bardziej w stronę filizanki z herbatą z sokiem malinowym niż do córki. Wyciągnęła nogi przed siebie, opierając je na wypchanej świni.

Miranda siedziała z boku, w kącie pomiędzy ścianą a kredensem. Trochę w cieniu, więc matka nie widziała jej twarzy.

– Idzie nowe jak nic – skwitowała w końcu Maria – tylko pana Anatola szkoda. Już nie będzie takiego listonosza. – Wypiła ciepłą jeszcze herbatę z filizanki i oblizała usta ze słodyczy malin.

– No, idę spać, bo jutro rano na rynek. – Spojrzała na córkę i spytała zaniepokojona: – Mirusia, a tobie co się stało? – Pochyliła się i zajrzała jej w twarz. – Ty płaczesz? A czemu? Z jakiego to powodu?

Miranda w odpowiedzi pokręciła głową. Wytarła oczy rąbkiem zawiązanego w taliu fartuszka.

– Nic, nic, zaraz mi przejdzie – wychlipała w końcu.

Maria usiadła z powrotem na krześle i odwróciła się do dziewczyny. Położyła ciepłą dłoń na jej ramieniu.

– Tak cię zmartwiła ta wiadomość o panu Anatolu?

Miranda zaszlochała głośniej.

– Boże! – przeraziła się matka. – Coś się stało dzisiaj Januszkowi? Znowu

zasłabł! Tak? Januszek miał ciężki dzień i nie chciałaś się przyznać? – próbowała zgadnąć.

Mirusia pokręciła przecząco głową, mocno i zdecydowanie. Wytarła nos w chustkę.

Maria objęła ją i głaskała po rękę i ramionach.

– Co cię tak poruszyło? Już dobrze, jestem tu, pomogę, tylko powiedz, o co chodzi?

– Bo ja nie umiałam pomóc panu Anatolowi – wydusiła z siebie córka.

– Jak to pomóc? Był tutaj?

Mirusia pokiwała potwierdzająco głową.

Maria wyprostowała się, unosząc ręce do góry.

– Olaboga! A jak ty miałabyś mu pomóc? Pan Anatol chorował od tylu lat! – zawołała.

– Ale kiedyś umiałam, potrafiłam mu pomóc, ulżyć. Czułam wszystko, każdy ból, duszność. A teraz nic, nie dałam rady. Nawet nie umiałam zobaczyć zbliżającej się śmierci.

Zniecierpliwiona Maria przewróciła oczami.

– Moja droga, takich rzeczy żaden człowiek nie potrafi, a posada Pana Boga jest już zajęta. – Nagle twarz jej złagodniała. Znowu pochyliła się ku płaczącej córce. – Mirusia, spójrz na mnie.

Dziewczyna podniosła zaczerwienione oczy i popatrzyła jej w twarz.

– Być może kiedyś miałaś intuicję, szósty zmysł, przecucia, czy jak tam ludzie to nazywają. Ale, Mirusia, na miłość boską, nikt nigdy nie da rady walczyć z wyrokami boskimi. Jeżeli przychodzi na kogoś czas, to po prostu jest jego czas. Pan Anatol już bardzo długo listy nosił i strasznie cierpiał z tą swoją chorobą. Nawet jeżeli twoje mrużanki do duchów czy załatwione przeze mnie leki mogły mu dać chwilową ulgę, to choroba i tak postępowała. Dla niego nie było już nadziei.

– Dla Januszka też kiedyś nie było, a teraz jest. Odkąd wróciłam, pojawiła się nadzieja.

Maria przytaknęła.

– Tak, ale to tylko szczęśliwy zbieg okoliczności, że trafiłyśmy do Kornodziejskiego, że w ogóle przyjechał do naszego zadupia i umie pomóc Januszkowi. Nie ma to nic wspólnego z syberyjskimi zaklęciami i duchami.

Mirusia pokręciła głową, jakby chciała dać do zrozumienia, że ona i tak swoje wie, ale łzy przestały płynąć po jej policzkach.

– Nie trzep mi tu głową – powiedziała matka łagodnie, ocierając dłonią policzki Mirandy z resztek łez – tylko idź, umyj twarz zimną wodą, bo inaczej jutro będziesz wyglądać jak zmora. A ja idę spać, bo padam na pysk ze zmęczenia.

– Proszę mamy... – zaczęła Miranda.

Maria, która już niemal wstawała z krzesła, usiadła z powrotem.

– Czy możemy jeszcze raz pojechać do Lipowego Mostu? Do szeptuchy?

Maria zmarszczyła czoło.

– W jakim celu? Po co?

– Proszę. Bardzo mi na tym zależy. Ona mówiła, przepowiedziała, że tak się stanie. Może będzie potrafiła to odwrócić – tłumaczyła Miranda.

– Nie ma sensu, to na nic się nie zda. – Matka pokręciła głową. – Wróciłaś do domu, wszystko, co syberyjskie, zostało za tobą. Nie ma powrotu, tak mówiła szeptucha – odparła zdecydowanym tonem. Zmęczyła ją ta rozmowa.

– Proszę. – Zielone oczy córki patrzyły na nią błagalnie.

– Dobrze, już dobrze. – Maria się poddała. – Po niedzieli pojedziemy do Lipowego Mostu, choć nie wiem, jak my się tam dostaniemy w te roztopy. Może być tak, że nawet drogą nie da się iść.

– To pójdziemy lasem. – W głosie Mirusi pobrzmiwała nadzieja.

– To sama pójdiesz, a ja poczekam na ciebie na drodze. Nie będę brnęła tyle kilometrów po błocie – powiedziała rozdrażnionym tonem Maria, wstając od stołu.

– Może Broniek nas zawiezie? – zaproponowała z ożywieniem Miranda.

– Ciężarówką? Zakopie się po paru metrach w błocie i wtedy nawet końmi go nie wyciągną. Już lepiej Bronka do tego nie mieszaj.

– Dziękuję.

Maria nie kryła irytacji. Tłukła naczyniami, tupiała piętami w podłogę, sapała jak parowóz, szykując się do snu. Zgodziła się pojechać do Lipowego Mostu, ale nie była zadowolona. Miała tylko nadzieję, że szeptucha wybije Mirusi z głowy resztki syberyjskich zabobonów. Nawet więcej, Maria wiedziała, że tak będzie, i tylko dlatego zgodziła się na tę eskapadę. Czuła, że jej córka jest już normalna, jak każdy człowiek.

Tak czy inaczej życie Marii wskoczyło na właściwe tory, miała przy sobie dwoje kochanych dzieci. Jej rodzina była bezpieczna, żyli we względnym dostatku i spokoju. Za parę miesięcy Januszek będzie miał operację. O tak, wszystko idzie ku dobremu.

Irytacja znikła, zadowolona Maria położyła się w dobrym nastroju do łóżka. A gdy usnęła, śnił jej się ślub Mirusi. W samym kościele farnym. Przyszło mnóstwo ludzi, wszyscy pachnący, w najlepszych ubraniach. Mirusia szła z narzeczoną przez całą długą ławę, spowita w biały welon, który otaczał jej głowę jak mgiełka. Przed nimi dwie córeczki Ziotka, ubrane w śliczne sukienki z falbankami, sypały kwiatki, a dalej kroczył Januszek w bielutkim garniturku. Niósł przed sobą poduszeczkę z czerwonego aksamitu, w najpiękniejszym odcieniu czerwieni, jaki Maria kiedykolwiek widziała. Januszek szedł prosto i pewnie, bez reszty skupiony na tym, aby spoczywające na poduszce obrączki nie spadły i któraś nie potoczyła się pod drewnianą ławkę. Maria poczuła przez sen, jak miłość wypełnia jej serce, które nagle urosło o połowę, a czułość rozlała się ciepłem po całym ciele.

## ROZDZIAŁ XXXV

KWIECIEŃ 1952

Maria usiadła obok Mirusi na ławce. Oparła się plecami i głową o ścianę domu, pachnącą wilgotnym drewnem, wystawiła twarz na promienie popołudniowego słońca.

– Jeszcze słabe to słońce. Ściany po zimnie nienagrzane – powiedziała nie wiadomo, czy do siebie, czy do córki.

Nad dachami Bojar fruwało stado gołębi, kreśliły na niebie kręgi w sobie tylko znanym wzorze. Ich skrzydła lśniły bielą na tle jeszcze szarawego, wczesnowiosennego nieba.

– Kawał roboty zrobiłaś – pochwaliła Maria córkę, wskazując na przydomowy ogród i dwie świeżo skopane i zagrabione małe grządki. – Dobra, tłusta ziemia, cokolwiek zasiejesz, powinno wyrosnąć.

Spojrzała na Mirusię, która siedziała z zamkniętymi oczyma, paląc papierosa. Lekki wiatr niemal natychmiast rozwiewał dym. Wróble ćwierkały w leszczynie w wiosennym uniesieniu.

– Adela mi pomogła – odpowiedziała Miranda, nie podnosząc powiek.

– Adela, powiadasz, a ja myślałam, że młody Stawoszko.

– Bronek pomagał mi wczoraj.

Rozmowa przychodziła im lekko, bez wysiłku, jak ten swobodny gołębi lot. Niemał radośnie. Nie spieszyły się ani z zajęciami, ani z wypowiedaniem kolejnych kwestii.

– Zasiejesz zioła? – zapytała Stasiakowa.

Miranda mruknęła coś niezrozumiale.

– Tym razem nie przywiozłaś ziół od szeptuchy.

Maria wspomniała ich wyjazd do Lipowego Mostu przed tygodniem. Do tej pory żadna z nich nie wracała do tej wizyty.

– Niczego nie przywiozłam od szeptuchy. Miała mama rację, niepotrzebnie



tam jechałam – powiedziała Miranda i od razu zmieniła temat: – Zasieję rzodkiewki na nowalijki. Trochę zielonej sałaty. Pomidory i ogórki. I szpinak dla Januszka, żeby był silniejszy. A tam – pokazała ręką rząddek skopanej ziemi pod ścianą komórki – maciejkę i astry. Różnokolorowe. Jak przekwitnie maciejka, to one zakwitną.

Maria z zadowoleniem pokiwała głową. Miała już przed oczami jasną wizję kwiatów w ogrodzie i spokoju w rodzinie. Uśmiechnęła się mimowolnie.

– Januszek zasnął? – zapytała matka.

– Taaa.

– Dużo ostatnio śpi.

– To dobrze, nabiera sił przed operacją.

– Bolał go dzisiaj brzusek?

– Może troszkę, ale nie za bardzo – odpowiedziała leniwie Mirusia.

– Nóżki ma spuchnięte?

– Tak jak zawsze, ani bardziej, ani mniej.

Maria poprawiła się na ławce i szczerzej owinęła szyję szalikiem.

– A Broniek wpadł dzisiaj? – zmieniła temat rozmowy.

Miranda wzruszyła tylko ramionami.

Drogą przejechał samochód. Obie spojrzały w stronę płotu.

– Och – odezwała się Miranda, udając rozczarowanie – myślałam, że pan Kazimierz swoją szykowną taksówką podjechał, a to tylko stary fiat tego łąsawego niedołągi z końca ulicy. Kolor wydał mi się taki podobny... – Urwała i zaciągnęła się papierosem. – Kiedyś, przed wojną, taki kolor miały mydelniczki z masy perłowej.

Maria udała, że nie słyszy ironii w głosie córki.

– Kiedy to wybierasz się do kina z Bronkiem?

– W sobotę.

– A jego zdjęcie z pierwszym sekretarzem też z wami do kina pójdzie?

Na chwilę umilkły. Miranda upuściła niedopałek na ziemię i przydeptała obcasem. Z leszczyny poderwało się kilka wróbli i odleciały gdzieś w głąb ulicy. Pozostałe kontynuowały głośną dyskusję. Gołębie zataczały kolejny krąg.

– A na co idziecie do kina poza całowaniem? – zapytała Maria.

– Nie wiem, na co idzie Broniek, bo ja chyba jednak zrezygnuję.

– A to dlaczego?

– Głowa mnie będzie bolała – oświadczyła niespiesznie Miranda.

Splotła ręce na piersi i znowu zamknęła oczy, wystawiając twarz w stronę nieśmiałych promieni słońca.

Maria się zaśmiała.

– No wiesz! – zawołała z udanym oburzeniem. – Takie rzeczy to dopiero po ślubie!

– Jakże rzeczy? Nie wiem, o czym mama mówi.

– No takie wymówki jak ból głowy.

Na moment zapadła cisza. Po chwili przerwała ją matka:

– W sumie ten Stawoszko nie taki najgorszy. Miły chłopak, Januszek go lubi, uczynny, zawsze pomaga, uczciwy.

– Już mi to mama kiedyś mówiła.

– Wiem, ale...

– Niejednokrotnie mama mi to mówiła – powtórzyła Miranda.

– W zasadzie to dobry materiał na męża. Z racjonalnego punktu widzenia to...

– A tatę też wybierała na męża z racjonalnego punktu widzenia?

Maria prychnęła i wyduła wargi.

– No wiesz, wtedy to były inne czasy.

– No, wiem, racja, wtedy to były inne czasy – powiedziała Miranda, naśladując jej ton.

Maria westchnęła i tak jak córka oparła głowę o ścianę domu. Poczła na skórze leciutkie muśnięcie ciepła, a pod powiekami pojawiły się czerwone, tańczące plamy.

– A tatę mama kochała?

– Tak, kochałam – potwierdziła Maria bez chwili zawahania.

– Zawsze?

– Zawsze. – W tych słowach zabrzmiało już wahanie, ale starała się je ukryć.

Miranda odwróciła się i spojrzała na matkę. Stasiakowa bardziej się tego spojrzenia domyślała, niż widziała przez zaciśnięte powieki.

– Podczas wojny też?

– Też.

– Nawet wtedy, kiedy się upijał?

Maria milczała; zaciskała powieki coraz mocniej, aż poczuła lekkie ukłucia.

– Nawet wtedy, kiedy mamę bił? Kiedy urodził się Januszek i wiadomo było, że jest chory? Wtedy mama też tatę kochała?

Ech, i już po miłej rozmowie, westchnęła w duchu.

– Emil już nie żył, kiedy urodził się Januszek – odpowiedziała spokojnym tonem.

Rozmowa nie była teraz taka lekka i przyjemna. Wróble ćwierkające w gałęziach leszczyny umilkły lub odleciały. Maria otworzyła oczy. Zobaczyła niebieskie niebo poznaczone trzepoczącymi skrzydłami gołębi, a potem zielone, wpatrzone w nią oczy córki.

– To kto to dzisiaj ci pomagał w tym ogrodzie? Adela?

– Adela nie ma z tym nic wspólnego.

– Nie, w ogóle! – wykrzyknęła Maria. – Nic a nic! Tylko skąd znowu ten temat ojca się pojawił? Nie rozumiem, po co to odgrzebywać, przekopywać jak... jak ten stary, zapuszczony ogród.

– Może właśnie po to, aby mogło w tym ogrodzie coś wyrosnąć – powiedziała Miranda bardziej do siebie niż do matki.

– Jeżeli pytasz mnie, czy oskarżam Emila o to, że Januszek się taki urodził, to tak, właśnie tak jest! – Maria podniosła głos.

– A pytała mama o to lekarzy?

Maria westchnęła.

– Pytałam – odrzekła już spokojniej.

– I co powiedzieli?

– Że trudno stwierdzić.

Umilkła. Odwróciła twarz w drugą stronę. Jej myśli zasnuł mrok. Po chwili zaczęła mówić, cicho, przed siebie:

– Nie wiesz, jak to jest, kiedy twój ukochany mąż, uwielbiany, wyśniony, wymarzony, zmienia się w kogoś, kogo nie znasz. Patrzysz, jak się stacza, i nic nie możesz zrobić. Walczysz i każdego dnia przegrywasz. Nie wiesz już, czy lepiej, żeby pił w domu i nie przynosił wstydu rodzinie, czy żeby upijał się do nieprzytomności na mieście i nie urządzał w domu awantur. Nawet nie wiesz, jak to jest, kiedy obraz twojego męża pęka na pół, a potem na kolejne kawałki, kolejne i następne. Rozpada się, a to, co pozostaje, jest nic niewartą kupą śmiecia.

– Ojciec nie był śmieciem – wtrąciła Miranda mocnym głosem.

– Kiedyś, owszem, nie był. Ale potem był czymś gorszym, moim wrogiem. Stał się kimś, kogo się bałam, kto wykorzystywał nas, nasze małżeństwo, najlepsze i najtrudniejsze wspomnienia, aby ranić. Fizycznie i psychicznie. Uderzać mocno i głęboko. Tak ranić potrafi tylko najbliższa osoba, tylko ktoś, kogo się bardzo kocha.

Na ławce zapadła cisza. Z nieba zniknęły gołębie. Maria nie potrafiła sobie uzmysłować, co się z nimi stało. Były i nagle ich nie ma. Jakby się rozpląnęły w świeżym, wiosennym powietrzu.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, jakby zmęczone po całym dniu rozgrzewania zmarzniętego przez długą zimę miasta. Na ławce na Przygodnej siedziały dwie dojrzałe kobiety, każda zagłębiona we własnych wspomnieniach.

– Pamiętam, jak ojciec na rękach cię nosił – odezwała się Miranda. – Kiedyś przyszliśmy na piechotę z Dojlid, po drodze rozboleły cię nogi od niewygodnych pantofelków, a wtedy on wziął cię na ręce i niósł jak największy skarb. Byłam zazdrosna o ciebie. Wydawało mi się, że to ja powinnam być dla niego najważniejsza. Być jego księżniczką. Królową jego życia. Nigdy nie byłam. To zawsze ty byłaś jego królową. Wy byliście najważniejsi. Nawet jak szedł tylko ze mną na łyżwy czy do zoo w Zwierzyńcu. Jak opowiadał mi o niedźwiedziach i lwach albo dawał wygrywać w chińczyka. Jak czytał nam wieczorami *W pustyni i w puszczy*, to zawsze byłaś tam ty. Wszechobecna i najważniejsza dla niego. Kiedy wchodziłaś do pokoju, mówiąc, że już czas iść spać, twarz mu się zmieniała, jakby nagle zza chmury wyszło słońce. – Jej twarz rozjaśniła się od tych wspomnień.

– Przesadzasz – skwitowała Maria. Nie udzielił jej się nastrój córki. Zmarszczki na czole zrobiły się głębsze.

– Być może, ale pozwól mi na to. Przynajmniej to chcę mieć jak z bajki.

– To znaczy co? Ojca?

– Tak, chcę mieć czyste, nieskalane wspomnienie ojca.

Matka wydeła wargi.

– Nieskalane wspomnienie ojca? O czym ty mówisz? Twój ojciec nie był nieskalany i nawyrabiał co nieco.

– No to co? Jakie to ma teraz znaczenie? – zapytała Miranda.

– Dla mnie ma – upierała się Maria. – Nawet nie wiesz, jak to jest, kiedy rodzisz dziecko i wiesz, że niedługo umrze – dodała, patrząc gdzieś przed siebie.

– Wiem, proszę mamy, wiem doskonale. Wiem, jak to jest urodzić dziecko, którego się nie chciało. A potem pokochać je całym sercem i stracić. Mama nie straciła dziecka, Januszek nadal jest z nami i wygląda na to, że jeszcze pobędzie – powiedziała Mirusia z niespotykaną u niej łagodnością. – Ja już się

pogodziłam z moim losem, może czas, żeby i mama się pogodziła?

Maria nie odpowiedziała. Siedziała, patrząc w niebo, po którym krążyły gołębie. W skroniach lekko jej szumiało.

– A czy kiedy Januszek wydobrzeje, to mamie łatwiej będzie wybaczyć?

Maria się skrzywiła.

– Nie wiem. Może... jeszcze nie wiem, co będę myśleć i czuć, kiedy Januszek wyzdrowieje. Na pewno wielkie szczęście, a co poza tym? Nie wiem.

– A ja wiem, co będę myśleć. Wiem też, co chciałabym opowiedzieć Januszkowi o ojcu, jak już będzie starszy. Chciałabym, żeby rósł ze świadomością, że miał wspaniałego tatę, tak jak ja. Januszek ma do tego prawo, a ja mam prawo do dobrych wspomnień z dzieciństwa. Pozwól mi na to. Ojca i tak już nie ma, pogrzebaliście go wszyscy, wspomnienia o nim także. Jaka to dla was różnica, czy pogrzebiecie te dobre, czy te złe?

Maria siedziała w skupieniu. Milczała, ręce splotła na piersi. Ku jej zaskoczeniu, ta rozmowa z córką nie rozżłościła jej, tylko bardzo ją zasmuciła.

– Jeżeli chcesz wychwalać wspaniały charakter Emiliana Szamrety, to nie mogę ci tego zabronić.

– Tak – odparła Miranda – nie może mi mama zabronić, ale ja chcę czegoś więcej. Chcę mamy przyzwolenia, zgody. Nie musi mama w tym uczestniczyć, wystarczy zaakceptować, tylko wtedy będzie to prawdziwe. Wtedy będzie dla mnie miało wartość. Chcę, żeby portret ojca wisiał na ścianie nad kredensem w stołowym. Niech mama zrobi to dla mnie.

– Ale ja pamiętam, jaka była prawda – powiedziała Maria, jeszcze się broniąc przed argumentacją córki. Po raz pierwszy, odkąd rozmawiały, zadrżał jej głos. – Tak jak ty masz prawo do własnych wspomnień, do wspaniałego dzieciństwa, tak samo ja mam prawo, by wybaczyć wszystko wtedy, kiedy uznam to za słuszne.

Niespodziewanie dla samej Marii po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. Zasłoniła twarz dłonią.

– To może oznaczać nieskończoność, proszę mamy, a ja obiecałam sobie, że naprawimy to, co da się naprawić. Zbliża się operacja Januszka, ona jest ważna, najważniejsza, potem już ma być tylko dobrze. Pamięta mama? Obiecałyśmy to sobie.

Maria wciąż zasłaniała twarz ręką. Spomiędzy palców kapały łzy.

– Nie zrobiłam niczego takiego, czym mogłabym sobie zasłużyć na taki los,

jaki mnie spotkał – powiedziała ze ściśniętym gardłem.

A potem z jej piersi wyrwał się szloch. Ramiona zadrżały. Poczula, jak córka chwyta ją za rękę, obejmuje i przyciąga do siebie. Maria płakała głośno, a Miranda głaskała ją po głowie, plecach, policzkach.

– Już dobrze, tamto wszystko już za nami – mówiła uspokajająco. – Żadna z nas nie zasłużyła. Nikt nie zasłużył na taki los. Nie miałyśmy wyboru. Ani ja, ani mama. Czas wybaczyć, pogodzić się. Teraz jest już dobrze, już będzie dobrze. Nic nie może nam się przydarzyć złego – powtarzała niczym te swoje syberyjskie zaklęcia, gdy Maria nadal szlochała. – Już wszystko złe jest za nami, co było, minęło. Teraz jesteśmy my, ja i Januszek, i będziemy już zawsze razem, bezpieczni. Januszek wyzdrowieje. Wszystko będzie dobrze.

Maria Stasiak tak bardzo chciała w to uwierzyć i całym sercem starała się wybaczyć, przytulając zapłakaną twarz do ramienia ukochanej córki.

## ROZDZIAŁ XXXVI

KWIECIEŃ 1952

W paskudne kwietniowe popołudnie Stasiakową coś tknęło i wyjrzała przez kuchenne okno. Nad ulicami miasta przesuwały się ciężkie, ciemne chmury, niemal zahaczając o nadal gołe szkielety drzew. Jak w listopadzie, a nie na wiosnę. W kominie huczał wiatr. Pomimo wczesnej godziny Maria zapaliła światło w kuchni.

– Miruśka, pod furtką sterczy Broniek Stawoszko i miętoli kaszkiet – zawołała w stronę pokoju stołowego.

Odpowiedziała jej cisza, obeszła więc stół i stanęła w drzwiach pokoju. Córka siedziała z podwiniętymi nogami na fotelu i czytała książkę. Wokół niej rozlewała się plama światła z nowej lampy stojącej. Malowany w kwiaty abażur ze zwisającymi frędzlami nadawał całemu pokojowi bardzo szykowny wygląd. A przynajmniej tak się wydawało Marii.

– Mirusia, słyszysz?

Z tapczanu wpatrywały się w nią oczy syna. Leżał i „czytał” książkę tak jak siostra, co polegało na przeglądaniu obrazków i mamrotaniu pod nosem sobie tylko znanej opowieści.

Córka podniosła nieobecne oczy znad książki.

– Broniek stoi pod furtką, przestępuje z nogi na nogę, jakby na potańcówce był – oznajmiła z uśmiechem Maria.

Mirusia tylko wzruszyła ramionami i opuściła wzrok na stronie powieści.

Matka przeszła obok niej i usiadła na tapczanie. Sprężyny lekko stęknęły. Wyciągnęła rękę do Januszka, a malec wgramolił jej się na kolana i wtulił w nią mocno.

– Hej, może byś gdzieś poszła? Do kina albo na potańcówkę. Podobno w domu kultury jest bardzo wesoło. Przychodzi tam wielu młodych. Idź, rozerwiesz się – zachęcała matka, patrząc na Mirandę i głaszcząc plecki

Januszka.

– Nie mam ochoty – odpowiedziała córka, nie odrywając wzroku od powieści.

Maria połaskotała Januszka i razem upadli ze śmiechem na tapczan. Położyli się płasko na plecach i patrzyli w sufit.

– Twojego ojca poznałam na takiej potańcówce. Poszłam tam z Kulawym Tadzim, kolegą z ulicy, z sąsiedniego domu, a wyszłam z Emilianem Szamretą. – Maria uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

– Aaaałenn – potwierdził chłopiec.

Miranda sapnęła tylko w odpowiedzi.

– Ależ Emil tańczył! Nigdy wcześniej nikt mnie tak nie prowadził.

Miranda rzuciła książkę na dywan obok fotela.

– Teraz będziemy o tym rozmawiać? – spytała z pretensją, podnosząc głos.

– Usia bałłłłaa – odezwał się Januszek, patrząc na nią.

Maria obróciła twarz w jej stronę.

– A co w tym złego?

– Bałł ałłłeeen – przytaknął Januszek.

– I nawet ty przeciwko mnie? – powiedziała Miranda, przewracając oczami. Wstała z fotela, podeszła do okna i ponad paprotką wyjrzała na ulicę.

– Stoi tam jeszcze? – zapytała Stasiakowa.

– Stoi – potwierdziła córka.

– Miętoli czapkę?

– Miętoli.

– Ooolllliii – potwierdził Januszek.

Maria zaśmiała się głośno, przypominając sobie, jak komicznie to wyglądało. Miranda też się uśmiechnęła.

– No idź do chłopaka, bo zamarznie na śmierć, a poza tym sąsiedzi zaczną się interesować, dlaczego on tak sterczy pod naszym domem.

– A co ich to interesuje? Ja tam im w garnki nie zaglądam – odpowiedziała Miranda, odsuwając się od okna. Mocniej owinęła się chustą. – Pójdę, przegonię go – dodała łagodniejszym tonem.

– Aagga deedełłł.

Poszła, a Maria westchnęła i ułożyła się wygodniej na tapczanie, przytulając do siebie synka.

– A co ty nagle masz tyle do powiedzenia? Co? Podobno dzisiaj znowu się zakrztusiłeś?



- Usia.
- No tak, tak. Mirusia mówiła, że znowu zasłabłes. – Odwróciła się z poważną miną do niego, uniosła lekko, opierając głowę na rękę. Chłopiec z równie poważną miną wpatrywał się w twarz matki. – Januszek, obiecałes, że już nie będziesz tak robił, prawda? Obiecałes, że nie będzie żadnych omdleń, zasłabnięć, bólów brzuszka, prawda?
- Ułłuszaaaa, mama.
- No właśnie. Musisz być zdrowy i silny. Już niedługo, w przyszłym miesiącu przyjeżdża profesor. Pamiętasz pana profesora?
- Januszek pokiwał głową.
- Pamiętasz tego pana z brodą, który cię badał taką słuchawką? Na pewno pamiętasz.
- Uuusiee brrrr – wzdrygnął się malec.
- Zimna była? Słuchawka była zimna? – Uśmiechnęła się do synka. – Tym razem poproszę, żeby na nią nachuchał, dobrze? – obiecała, a po chwili zmieniła temat: – Popatrz, coś długo jej schodzi z tym przeganianiem Stawoszki – stwierdziła, a potem dalej mówiła do chłopca: – Wiesz, Januszek, jak Mirusia wróciła do domu te półtora roku temu, to nawet w najpiękniejszych snach nie przypuszczałam, że tak nam się ułoży.
- Usia – powiedział chłopczyk.
- No właśnie, a teraz zobacz, jak nam razem dobrze. Mirusia jest taka – Marii ze wzruszenia zabrakło słów – no tak, wiesz, taka, jaka być powinna. Ty będziesz zdrowy. Jeszcze nam się ułoży.
- Aaaałłeen – podsumował Januszek.
- Aaaałłeen? A co to znaczy? Co?
- Aaaałłeen – tłumaczył chłopiec.
- Aaaałłeen? Co to może być? – zastanawiała się Maria. – To brzmi zupełnie jak... amen! – ucieszyła się.
- Aaaałłeen! – Zamachał rączkami z radości.
- Amen, amen – powtórzyła Maria i wtuliła twarz w pachnącą czystością włoski syna.

Dwa dni później pod wieczór Mirusia szykowała się na potańcówkę z Bronkiem. Siedziała długo w łazience, a kiedy wyszła, Maria nie mogła oderwać oczu od córki. W rozkloszowanej szerokiej spódnicy w pepitkę

i dopasowanym bordowym sweterku wyglądała bardzo kobieco. Jej włosy układały się miękkimi, błyszczącymi falami i spływały na plecy.

– Widzisz, że opłacało się spać w wałkach! – zawołała do niej z zachwytem.

– Nie tylko spałam, ale potem jeszcze pół dnia z nimi chodziłam. Cała skóra na głowie mnie swędzi – odpowiedziała z uśmiechem Mirusia.

Poszła do swojego pokoju, a kiedy się okręcała, zrobiła to tak, że dół spódnicy zafalował.

– Gdzie się tego nauczyłaś? – Matka, idąc za nią, uśmiechnęła się szeroko.

Z przyjemnością patrzyła na córkę. Wysoka i szczupła Mirusia stała z wyprostowanymi plecami. Właśnie wkładała małe kremowe rękawiczki z koronki. Poprzedniego wieczoru Maria siedziała i podszywała ich końce, tak aby pasowały na krótsze palce córki, a nie zwisały smętnie, zwracając uwagę na jej kalectwo. Mirusia zebrała swoje drobiazgi do torebki i już miała wyjść do kuchni, kiedy matka ją zawołała.

– Poczekaj. – Pospieszyła do toaletki i ruchem dłoni przywołała Mirandę do siebie.

Kiedy Mirusia podeszła, matka przesunęła po jej policzkach puszką z pachnącym pudrem i pociągnęła usta czerwoną szminką. Potem jeszcze odrobinę pudru dostał Januszek na czubek ciekawskiego noska. Mirusia zacisnęła usta i odrobinę zlizwała szminkę. Spojrzała w lustro, a Maria stanęła obok niej. Mirusia patrzyła na swoje odbicie, a Maria na córkę. Pomiędzy nie wcisnął się Januszek.

– Widzisz – powiedziała matka, delikatnie obejmując ją za ramiona – widzisz, mówiłam ci, że jeszcze będziesz ładna. Jeszcze wszystko się ułoży, znajdziesz sobie męża i będziesz miała dzieci.

– Mamo – zawołała Mirusia, zsuwając z siebie jej rękę – proszę, niech mama nie zaczyna znowu!

W jej głosie nie było jednak ani oburzenia, ani pogardy, jak jeszcze rok temu. Poszła do kuchni, a matka za nią, gasząc światła w pokoju. Mirusia włożyła płaszcz, Maria pomogła jej zarzucić chustkę na włosy tak, żeby nie zniszczyć fryzury, wystawiła policzek, a córka cmoknęła go czerwonymi jak róża wargami. Po sekundzie Maria została sama. Stała i obserwowała przez okno, jak Broniek kłania się w furtce jej córce i pochyla, aby ucałować jej dłoń w kremowej, koronkowej rękawiczce. I jak znikają w głębi ulicy. A potem wróciła do synka i oboje poszli wcześniej spać. Postanowiła, że nie będzie czekała na Mirusię.

Następnego dnia Maria wstała rano i krzątała się po domu, jak zawsze, kiedy nie szła na rynek. Januszek siedział na podłodze w swoim ulubionym miejscu i bawił się pluszowym misiem od pana Kazimierza. Miranda pojawiła się w kuchni tuż po wiadomościach porannych o ósmej. Miała lekko podpuchnięte oczy i twarz jeszcze zaróżowioną od snu. Potarła oczy ręką i usiadła przy stole. Matka spojrzała na nią i nagle jakby doznała *déjà vu*. Córka wyglądała zupełnie jak tamta czternastolatka, którą zabrano z domu na Słonimskiej. Nie umiejąc i nie chcąc powstrzymać odruchu czułości, Maria podeszła do siedzącej dziewczyny, objęła ją i przytuliła. Mirusia, ku jej zdumieniu, odwzajemniła uścisk, wtulając się w piersi matki. Pozostały tak przez chwilę, która Marii wydała się magiczna. Przeszedł ją dreszcz. Miranda poczuła to i odsunęła się szybko. Wstała z krzesła.

– Dołożę do ognia, bo zimno – powiedziała.

Czar prysł, uświadomiła sobie z zalem matka. Chłopiec wyciągnął rączki w stronę siostry, też domagając się pieśczot.

– Jedliście już śniadanie? – zapytała Miranda, wrywając Marię z zamyślenia. Januszek już siedział na jej kolanach.

– Tak – odpowiedziała z roztargnieniem.

Miranda z bratem w objęciach próbowała podnieść się z krzesła.

– Poczekaj – powstrzymała ją matka – przyniosę ci świeżej szynki z piwnicy. Ty nie wychodź w samej koszuli, bo się przeziębisz.

Miranda uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Januszek – powiedziała do brata, zdejmując go z kolan – poczekaj, zjem śniadanie i zajmę się tobą, dobrze? – Wstała i zaczęła kroić chleb.

Po chwili Maria wróciła z pachnącą wędliną.

– A jak się wczoraj udały tańce? – zapytała.

– Bardzo dobrze – odpowiedziała lekkim tonem Miranda, stojąc nad stołem. Wepchnęła sobie do ust cały plaster różowej szynki.

– Usiądź, nie jedz na stojąco – upomniała ją matka.

W radiu nadawali audycję z doniesieniami z kraju. Znowu to samo, walka ze spekulantami. Ostatnio tylko o tym trąbili. Maria usiadła przy stole i słuchała, popijając kawę. Patrzyła z satysfakcją, jak córka je z apetytem.

– „Mięso, tłuszcze, dziesiątki metrów wełny, setki metrów perkalu, meliny paskarzy i spekulantów puchły od wykupionych towarów. Zabrakło ich dla

ciebie w sklepie, a tam psują się, śmierdzą, mnoży się robactwo – mówił patetycznym tonem spiker. – W melinach, w skrzynkach i szafach gromadzą się olbrzymie zapasy. A kto za to płaci? Ty. Na wolnym rynku ciągle brakuje towarów i potrzebne produkty drożeją. Milicja odkryła nielegalną masarnię. Dwie tony mięsa, połowa śmierdząca, przechowywane w brudnych, zardzewiałych kubłach. Z tego mięsa robiono kiełbasy i sprzedawano na rynku spod kapoty. Gdy kułak wyśrubował ceny na zboże, nie opłacało się wypiekać chleba, państwowy był tańszy. Zaczęto go kupować całymi furmankami na karmę dla bydła i świń. Kułackie świny jeszcze nigdy tak się nie obżarły pieczywem i chociaż wypiek chleba rósł z miesiąca na miesiąc, to w wielu miastach czekano godzinami na upragniony bochenek. Trzeciego stycznia rząd wydał ustawę o zniesieniu bonów, regulacji cen, podwyżce płac i wolnym obrocie nadwyżkami artykułów rolnych. Wytrącono grunt spod nóg spekulacji. Stworzono warunki do ustabilizowania cen i lepszego zaopatrzenia rynku. Już kilka dni po wprowadzeniu w życie ustawy każdy widzi zmianę. Sklepy pełne towaru, znikły ogonki. Nasz aparat handlowy stanął przed trudnym egzaminem. Klient już nie łapie wszystkiego, co dają, tylko wybiera, żąda i chce być dobrze obsłużony. Sklepy uspołecznione zostały obficie zaopatrzone we wszystkie artykuły po ustalonych, jednolitych cenach, państwo dysponuje rezerwami towarów niezbędnych dla zaspokojenia potrzeb rynku. Jak to wpływa na wolny rynek? Każdy może sam sprawdzić. Nasz redaktor odwiedził kilka miasteczek. Ceny rynkowe spadły poniżej państwowych”.

– Poznałaś kogoś? – zapytała Maria, ścisząc radio. Już wystarczająco się nasłuchiwała.

Miranda skinęła głową. Metodycznie przeżuwała chleb z szynką.

– Jakiegoś chłopaka? – ciągnęła z nadzieją w głosie Maria. Usiadła przy stole obok córki.

– Nie – odrzekła Mirusia. – Tylko dwie koleżanki Bronka, jeszcze ze szkoły.

– A jak tam Bronek? Umie chociaż tańczyć?

Dziewczyna znowu kiwnęła głową.

– Może sama coś opowiesz, a nie będę cię tak za język ciągnąć? – zaproponowała matka.

Mirusia zamachała ręką, przełknęła duży kęs, popiła herbatą z cytryną i cukrem i dopiero odpowiedziała.

– Tak, proszę mamy, bawiłam się dobrze. Koleżanki Bronka są bardzo miłe i zaprosiły mnie do kina na niedzielę. Bronek tańczy dość dobrze, może nawet

lepiej ode mnie – relacjonowała dość oficjalnym tonem, ale z uśmiechem w zielonych oczach. – To ja mu deptałam ciągle po palcach. Nauczyłam się nowej gry w karty i wszyscy chętnie do mnie podchodzili. Może dlatego, że częstowałam ich mamy camelami.

– Aaaaalłee baaf mama. – Januszek postanowił włączyć się do rozmowy.

Maria kiwnęła głową usatysfakcjonowana. Siedziała i przyglądała się córce, kiedy ta kończyła jeść śniadanie.

– To co, kiedy następne tańce? Zaprosił cię Bronek?

Mirusia przecząco pokręciła głową.

– Jak to, nie?

Córka wzruszyła ramionami.

– Nie zaprosił i chyba już nie zaprosi.

– Dlaczego? – zdziwiła się Maria.

– Bo się na mnie pogniewał. Tak sędzę – dodała po chwili.

Maria wyprostowała się na krześle, zaskoczona odpowiedzią.

– Pogniewał? A o co? Jak to pogniewał? Na ciebie? Stawoszko? A jakim prawem? – strzelała pytaniami jak z karabinu maszynowego.

Mirusia odstawiła talerz, wypita do końca herbatę i odpowiedziała na wszystkie pytania jednym zdaniem:

– Bo mi się wczoraj oświadczył, a ja mu odmówiłam.

Czegoś takiego to Maria się nie spodziewała. Bronek Stawoszko oświadczył się jej córce? Miała burzę myśli w głowie. On się oświadczył, a ona odmówiła? Ale dlaczego? W końcu to porządny chłopak. Może prosty, ale co z tego? Teraz to nawet dobrze. Ułożyłaby sobie Mirusia życie. A tak – nic z tego. Z drugiej strony, co by się stało, gdyby się zgodziła? Ona, Maria, zostałaby sama z Januszkiem? Czy też może zamieszkaliby wszyscy razem? A zresztą, nad czym się tu zastanawiać, skoro Miranda mu odmówiła.

– Jesteś pewna, że dobrze zrobiłaś? – zapytała po chwili.

– Oczywiście, że tak, mamo, przecież już o tym rozmawialiśmy. A w ogóle to nie zostawię was samych. Ty musisz pracować, a Januszkiem i tak trzeba będzie się zajmować. Nie zostawię was. – Podeszła i teraz ona objęła siedzącą na krześle matkę.

Maria uspokoiła się w ramionach córki.

– Może i masz rację. A co to taki Stawoszko? Lepszego męża ci znajdziemy – powiedziała.

Córka odsunęła się ze śmiechem.

- Ale ja nie chcę męża.
- A tam, tylko tak gadasz. – Maria zamachała rękoma i wstała, żeby posprzątać po śniadaniu. – Kto wie, co jeszcze życie przyniesie?
- Mirusia już miała wyjść z kuchni, kiedy nagle zatrzymała się, jakby z wahaniem.
- Zbliża się termin operacji.
- Wiem i trochę się boję.
- Nie trzeba. Musimy wierzyć. Obie musimy w to wierzyć. Tak będzie lepiej.
- Tak, oczywiście – odrzekła szybko Maria.
- A co, jeżeli operacja się nie uda? – pomyślała. Nie powiedziała tego córce. Już próbowała, ale Mirusia za każdym razem reagowała tak samo. Jakby zupełnie nie chciała brać pod uwagę takiej ewentualności. Januszek siedział w swoim kąciku i wpatrywał się w nie obie wielkimi, smutnymi oczyma.
- Tak sobie pomyślałam o tym młodym lekarzu, co tu był jakiś czas temu. Nie – szybko zaprzeczyła ze śmiechem Miranda, podnosząc rękę – nie mam zamiaru z nim się umawiać, niech mama nawet sobie nie wyobraża.
- Maria się zaśmiała.
- Nie przesadzaj! Co ty ze mnie chcesz zrobić? – zawołała z udawanym oburzeniem. – No i co z tym doktorkiem?
- Wspominał o tym nowym szpitalu.
- Uhm, wspominał.
- I mówił o pielęgniarkach. Może być tak, że nawet po operacji Januszek jeszcze będzie potrzebował specjalistycznej opieki.
- No to wynajmiemy pielęgniarkę, żeby do niego przychodziła.
- Tak, tak, ja wiem, ale...
- Mirusia urwała i nagle Maria uświadomiła sobie, że córka chce jej coś powiedzieć, coś ważnego, więc umilkła i znieruchomiła.
- Pomyślałam, że zgłoszę się do tej szkoły dla pielęgniarek. Za tydzień rozpoczynają kurs przygotowawczy, już się zapisałam.
- Marię zatkało. Patrzyła na córkę szeroko otwartymi oczyma.
- Stało się coś? – zapytała Miranda, wyraźnie zadowolona z wrażenia, jakie na matce wywarły jej słowa. – Wygląda mama, jakby ją ktoś przestraszył. Przecież to dobry zawód – pielęgniarka. To nic strasznego. I będę mogła znowu ludzi leczyć.
- Święty Boże! – jęknęła Stasiakowa. – Ja chyba na pielgrzymkę do Ostrej

Bramy pójdę! Albo na mszę chociaż dam.

– A ja pójdę z mamą na tę pielgrzymkę, żeby to zobaczyć – odpowiedziała Mirusia ze śmiechem i odeszła w głąb domu.

## ROZDZIAŁ XXXVII

MAJ 1952

Przygotowania do wizyty u profesora przypominały te sprzed niemal roku. Z tą różnicą, że Januszek nie protestował i bez problemu dał się ubrać w spodenki ogrodniczeki z dużymi białymi guzikami. Nadal pasowały na niego jak ulał.

– Zobacz, Januszek – powiedziała do niego siostra. – To zaklęte spodnie. Rok minął, ty sporo urosłeś, a spodnie nadal pasują! – Zaśmiała się.

Brat odpowiedział jej słabym uśmiechem.

Obie ubrały się elegancko, Mirusia w nową zieloną sukienkę, zapinaną na chyba sto maleńkich szklanych guziczków w kształcie łezek, uszytą z pięknego, zielonego materiału w maleńki biały wzorek. Dostała materiał od matki specjalnie na tę okazję.

– Nie wiem, czy mam zapakować dla Januszka rzeczy do szpitala, czy nie. – Stasiakowa miotła się po domu, szukając rzeczy synka. – Piżamka, bielizna, skarpetki, ręcznik, jak myślisz? Zabierać to ze sobą czy nie?

Mirusia objęła i przytuliła brata.

– Nie wiem, proszę mamy, wtedy profesor nic nie mówił.

– No właśnie i dlatego zupełnie nie wiem, co zrobić. – Maria stała z opuszczonymi ramionami nad na wpół zapakowaną małą, tekturową walizką ze skórzanymi rogami. – A jak od razu zostanie na tę operację, to przecież musi mieć piżamkę! A jak dopiero za kilka dni, to będziemy wszystko nosić w tę i we w tę?

Mirusia nic nie odpowiedziała. Czesła cienkie, szare włoski brata swoim grzebieniem. Maria spojrzała na nią.

– Nie rozumiem, jak możesz być tak spokojna! Nic cię nie porusza, a ja naprawdę się denerwuję. Nie wiem, co zrobić, zabierać te rzeczy czy nie? Mogłabyś coś mi poradzić! – Maria podniosła głos. Ręce jej się trzęsły jak schorowanej staruszce.



– Niech mama zostawi walizkę w domu, jak będzie trzeba, to wrócę i ją przyniosę do szpitala.

Maria westchnęła ciężko.

– Chyba jednak zabiorę ją ze sobą.

Mirusia wzruszyła ramionami. Zdjęła Januszka z łóżka i postawiła na podłodze. Przyklękła przed nim i odsunęła go od siebie na wyciągnięcie ramion.

– Wyglądasz bardzo elegancko, bracie – oświadczyła z dumą. Podniosła się.

– My jesteśmy gotowi.

– Ja też. – Matka zamknęła walizkę. Wzięła ją w prawą rękę i poszła do kuchni. Zgarnęła ze stołu torebkę i obejrzała się na dzieci. – Idziecie? Profesor nie będzie czekał cały dzień.

– Idziemy, idziemy.

Pod furtką czekała kremowa skoda i pan Kazimierz. Maria zauważyła, z jakim chłodem Mirusia skinęła głową mężczyźnie, i pomyślała, że musi później z córką o tym porozmawiać. Pomoc Kazimierza, a także jego auto okazały się nieocenione. Gdyby nie on, pewnie nie udałoby się zebrać wymaganej sumy. Maria przycisnęła łokciem wypchaną torebkę. Nigdy w życiu nie miała przy sobie tak dużej kwoty i nigdy dotąd nie była z siebie tak bardzo dumna.

Januszek przeszedł ze spokojem cały komplet badań. Podczas prześwietlenia nawet nie mrugnął okiem, a kiedy potem siedzieli na korytarzu, usnął spokojnie z główką na kolanach siostry. Mirusia głaskała go po plecach. Maria straciła rachubę czasu. Ruch w przychodni powoli zamierał. Kończył się dzień pracy. Maria, wciąż przyciskając do siebie bezcenną torebkę, oparła głowę o ścianę i przysnęła. Obok niej stała na podłodze walizka. Obudziło ją lekkie szturchnięcie. Mirusia i Januszek wpatrywali się w nią, nad nimi stała pielęgniarka. Ta sama co wtedy, obojętna i chłodna, w śnieżnobiałym fartuszku.

– Proszę mamy, profesor prosi – powiedziała Miranda drżącym głosem.

Marii momentalnie krew uderzyła do skroni. Przez ułamek sekundy wpatrywały się w siebie, obie niemal sparalizowane narastającym napięciem. To już, to właśnie teraz.

Pielęgniarka chrząknęła znacząco. Maria i Mirusia oprzytomniały, podniosły się, wygładziły sukienki, wzięły Januszka za rączki i weszły do gabinetu.

Profesor przywitał się z nimi, uściśnął dłonie ich obu i potargał włosy

małego pacjenta. Januszkowi wskazał kozetkę, a Marii krzeselko obok biurka. Ten sam ciemny pokój z jedną żarówką, te same papiery i błyszczące instrumenty na stoliku, leki w butelkach w szklanej szafce. Tylko profesor wydawał się bardziej zmęczony, miał sińce wokół oczu i smutek na twarzy.

– Tak jak się umawialiśmy, przyszliśmy na operację. – Maria odezwała się niepytana. – Postępowaliśmy zgodnie z zaleceniami pana profesora.

– A jak chłopiec się czuje? – zapytał lekarz.

– Bardzo dobrze – wyrwała się Miranda. – Jest silny i dobrze odżywiony. Ostatnio miał taki dobry apetyt. Dużo spacerowaliśmy i nawet nauczył się kilku słów, prawda, Januszek?

Chłopiec nic nie odpowiedział, tylko patrzył tymi swoimi mądrymi oczyma to na siostrę, to na matkę, to na ubranego na biało mężczyznę z długą brodą.

– Charaszo, charaszo – bezwiednie odpowiedział po rosyjsku profesor.

Popatrzył na dokumenty, obejrzał dwie klisze rentgenowskie, porównując jedną z drugą. Potem bez słowa umył ręce w metalowej umywalce. Siostra wystudiowanym ruchem podała mu czystą ściereczkę i przeszedł do badania chłopca. Osłuchiwał go, opukiwał i dotykał. Ani Maria, ani Miranda nic nie mówiły, czekając w napięciu. Od czasu do czasu jedna patrzyła na drugą. Raz z nadzieją, a raz z obawą. Nikt nie śmiał prosić profesora, żeby pochuchał w metalową słuchawkę.

– No, można ubrać pacjenta – powiedział w końcu po polsku i usiadł za biurkiem. Nie patrząc Marii w oczy, oświadczył: – Operacji nie będzie, już za późno.

Maria znieruchomiała, jej serce również.

– Słucham? – wydusiła z siebie.

– Jest za późno na operację. Operacji nie będzie – powtórzył Kornodziejski.

Maria poczuła się jak uderzona obuchem w głowę. Spojrzała na córkę. Może źle zrozumiała słowa profesora. Mirusia siedziała w bezruchu, cała krew odpłynęła z jej policzków. Blizny na twarzy stały się niemal śnieżnobiałe, oczy okrągłe i wielkie. Marii zabrakło słów, a nawet gdyby jakieś miała w głowie, to i tak nie przeszłyby jej przez gardło.

– Jak to za późno? Przecież przyszliśmy tak, jak się umawialiśmy. Dokładnie tak – powiedziała Miranda.

Maria siedziała oszołomiona, nie rozumiejąc, co to znaczy. Jakie za późno, przecież są dokładnie tego dnia, kiedy były umówione, dziesiątego maja, ani dzień wcześniej, ani później. Serce zaciskało jej się coraz mocniej.

– Za późno dla chłopca – wyjaśnił profesor. – Jest za słaby na operację.

Mirusia zerwała się z kozetki, podeszła do biurka i stanęła nad lekarzem, wymachując rękoma.

– Jak to za późno?! Jak to słaby!?! Mój brat nigdy nie był w tak dobrej formie. Je za dwóch, dużo czasu spędza na świeżym powietrzu! O nie! Nie! Gdyby coś było z nim nie tak, z pewnością byłabym pierwszą osobą, która by to widziała. Januszek jest silny i dobrze odżywiony! Tak jak pan kazał.

Profesor nie przerywał, a Maria siedziała i spoglądała to na syna, to na córkę. Kiedy Mirusia zamilkła, lekarz wziął do ręki dwie klisze fotograficzne i podstawił je pod światło lampki.

– Zobaczcie. – Wskazał ołówkiem czarny cień pośrodku zdjęcia. – To serce chłopca na poprzednim badaniu. Popatrzcie, zajmuje bardzo dużo miejsca w klatce piersiowej, widać, jak niewiele go zostało dla płuc.

Maria i Miranda wpatrywały się w kliszę. Widziały czarny cień na środku kliszy i przejaśnienia po bokach.

– A tutaj jest zdjęcie z dzisiaj, serce zajmuje już niemal całą klatkę piersiową. Jest bardzo przerośnięte. Tak dużego serca nie da się zoperować. Chłopiec już nie ma czym oddychać.

– Ale przecież jeszcze rok temu mówiliście, że to nic takiego i da się naprawić! Taka prosta operacja, robimy takie w Moskwie, tak mówiliście – protestowała Miranda.

Profesor skrzywił się i chrząknął.

– Choroba posunęła się bardziej, niż przypuszczałem. Nie da się już tego zoperować.

– Ale Januszek brał leki, tak jak profesor zalecił. – Twarz dziewczyny zaczęła się marszczyć ze złości. Miranda wyglądała niemal staro. – Dużo jadł, spacerował, odpoczywał. Zrobił postępy w mówieniu. Prawda, mamó? Mamó! Choroba nie mogła aż tak się posunąć.

Maria stała zapatrzona w kliszę, nic nie mówiąc.

– Chodzi o pieniądze? Tak? Za mało? To powiedzcie ile! Nazbieramy więcej! – walczyła Miranda.

– Popatrz – przerwał jej profesor, podchodząc do chłopca. Wziął w dłonie jego paluszki i uniósł je do góry, bliżej oczu dziewczyny. – Spójrz.

Palce chłopca były niemal czarne na końcach, a zdeformowane paznokcie wyglądały jak szkiełka zegarka, okrągłe i wypukłe.

– Popatrz – powtórzył, pokazując jej teraz chudziutkie, kościste ramię

chłopca. – Zobacz, od roku prawie nic nie urósł i waży tyle co poprzednio. Nie przeżyje operacji. Rozumiesz? Tu żadne dolary nie pomogą.

– Januszek jest silny! Nigdy taki nie był i ma bardzo dobry apetyt.

– Chłopiec jest bardzo słaby, zbyt słaby – mówił profesor po rosyjsku, podnosząc głos. – Jak często zdarzają mu się zasłabnięcia, omdlenia? Ile godzin śpi? Zdarza mu się zasypiać w ciągu dnia? Raz, a może trzy razy? Już za późno – powtórzył na koniec jak sędzia, który ogłasza wyrok. Ostateczny i nieodwoalny.

Maria spojrzała na syna. Stał z pochyloną główką, jego twarz wyrażała winę, zawstydzenie i strach. Jej serce zamieniło się w twardy ostry kamień. Przy każdym oddechu czuła niewyobrażalny ból. W tej sekundzie Maria wszystko zrozumiała i wszystko pojęła.

Mirusia jeszcze dyskutowała z lekarzem, wymachując długimi, chudymi rękami, a Maria wreszcie to zobaczyła. Wpatrywała się w syna i widziała tę nieziemską bladość i wyraz twarzy. Żywi nie mają takich twarzy. Te sine usta, wystające kości policzkowe, pokryte cieniutką jak pergamin skórą. Dostrzegła, jak chudziutki jest jej synek, jak nieobecne, zamglone ma oczy. Zrozumiała, dlaczego był taki spokojny na badaniach, skąd brały się te omdlenia i zasłabnięcia. Po prostu nie miał siły. Januszek nie miał już siły protestować, nie miał siły jeść, nie miał już siły żyć.

Po chwili dotarł do niej podniesiony głos Mirusi. Dziewczyna nadal walczyła. Maria wiedziała, że jej córka nie widzi, w jakim stanie naprawdę jest jej brat.

– Mirusia – odezwała się cicho – już dość.

Tamta nie zareagowała.

– Mirusia! – powiedziała głośniejszą matką. Córka obejrzała się na nią. – Już dość! Chodź, idziemy do domu, nic tu po nas – stwierdziła Maria i podniosła się z krzesła.

Miranda popatrzyła na nią, zajrzała jej głęboko w oczy i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, runęła jak długa na podłogę.

## ROZDZIAŁ XXXVIII

WRZESIEŃ 1952

Maria weszła na cmentarz przez okazałą bramę z czerwonych cegieł. Ruszyła po gliniastym błocie alejki, wspinała się powoli, noga za nogą, w stronę kaplicy. Wysoko nad jej głową korony drzew zamykały się łukiem, tworząc sklepienie jak w gotyckiej katedrze. Maria podeszła do fasady kaplicy i spojrzała w górę. Wysoko, na szczycie ściany, tuż pod płynącymi po niebie obłokami, stała figura Matki Boskiej. Rozkładała ramiona w geście zaproszenia lub bezradności. Maria przez chwilę oddychała głęboko. Zbierała siły do tego, co zamierzała zrobić.

Podeszła do drzwi i uchyliła ciężkie skrzydło. W środku panował półmrok. Paliły się jedynie świece przy ołtarzu i pod krzyżem. W ich drgającym świetle ukrzyżowany Jezus pochylał umęczoną głowę. Maria weszła i zamknęła drzwi. Pod ołtarzem, na stopniu zauważyła modlącego się księdza. Przyklękła na jedno kolano i przeżegnała się, bardziej z poczucia, że tak należy, niż z potrzeby serca. Usiadła. Każdy jej ruch, oddech, stuknięcie obcasa rozlegało się echem w pustym, wysokim pomieszczeniu.

Drewniana ławka jęknęła głośno pod jej ciężarem i Maria była niemal pewna, że ramiona mężczyzny drgnęły. Siedziała i czekała w milczeniu. Starła się nawet nie chrząknąć, chociaż od zapachu świec, kadzidła i stęchlizny niemiłosiernie drapało ją w gardle. Wreszcie ksiądz skończył modlitwę. Przeżegnał się. Wstał z kolan i skłonił głowę przed ukrzyżowanym Jezusem. Dopiero wtedy Maria wyszła z ławki i ruszyła w jego stronę.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – pozdrowiła duchownego.
- Na wieki wieków.
- Ja do księdza na słowo.

Podeszła do ciemnej postaci w sutannie. Kapłan miał młodą, rumianą i gładką twarz, której rysy zaczęły już się rozlewać od dobrego, tłustego

jedzenia. Szeroka sutanna lekko opinała się na brzuchu. Splótł ręce na piersiach i schował dłonie w rękawy.

– Cóż cię do mnie sprowadza, moja córko? – spytał z wystudiowaną życzliwością.

Mógłbyś być moim synem, pomyślała Maria.

– Przyszłam w sprawie pogrzebu mojego synka.

– Niech Pan przyjmie go do swojego królestwa. – Ksiądz wydał policzki.

– A nie, nie – pospieszyła z wyjaśnieniem Maria – mój synek jeszcze nie umarł.

W kościele na chwilę zapadła cisza. Słysząc było syczenie dopalającej się świecy.

– Nie rozumiem – powiedział w końcu ksiądz.

Maria odchrząknęła. Jej gardło zacisnął ból, pod powiekami zapiekły łzy. A obiecywała sobie, że się nie rozklei.

– Bo mój synek jest bardzo, bardzo chory i niedługo umrze. Ale jeszcze żyje – wyjaśniła.

Ksiądz wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Marii.

– Trzeba być dobrej myśli i modlić się. Trzeba się dużo modlić.

Maria zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Już za późno.

– Nigdy nie jest za późno na modlitwę – odparł ksiądz. Wciąż tym samym wystudiowanym tonem.

Jego sposób mówienia, pełen ciepła, a jednocześnie sztuczny, teatralny, zirytował Marię.

– Ksiądz nie rozumie – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Nie przyszłam tutaj po tanią pociechę. – W jej głosie brzmiał chłód i determinacja.

Ręka duchownego cofnęła się z jej ramienia.

– To po co przyszłaś, córko? – odezwał się już bardziej ludzkim tonem.

– Przygotować miejsce... – zająknęła się. Opanowała ból, przełknęła piekące łzy. – ...to znaczy, pogrzeb dla syna.

– W sprawie mszy pogrzebowej czy miejsca na cmentarzu to trzeba do księdza Władysława.

Marię ogarnęły sprzeczne uczucia. Rozpacz spowodowana tym, co wkrótce musi nastąpić, i złość na księdza. Zacisnęła dłonie w pięści. Końce palców miała lodowate, a jednocześnie poczuła, jak twarz zaczyna ją palić z emocji.

– Dobrze, to powiem wprost i krótko, o co chodzi. Mam nadzieję, że ksiądz

wykaże zrozumienie i chrześcijańskie miłosierdzie. – Jej głos brzmiał hardo i wyniośle.

Znowu schował dłonie w rękawach, splatając ramiona na szerokiej klatce piersiowej. Gładkie czoło przecięła zmarszczka.

– Januszek, mój syn, jest chory, odkąd się urodził, i tutaj już żadne modlitwy ani wiara nie pomogą. To tylko kwestia czasu, a wiele go nie zostało. Chciałabym, żeby spoczął na tym cmentarzu, obok swojego ojca.

– Jeżeli dziecko było ochrzczone, to...

– No właśnie – Maria wpadła mu w słowo – o to dokładnie chodzi. Trzeba go ochrzcić i dać te, jak to one się nazywają...

– Ostatnie namaszczenie.

– Właśnie, ostatnie namaszczenie. Wtedy będzie można go tutaj pochować.

– To proszę przynieść syna do świątyni. Kiedy się urodził? – zapytał rzeczowo kapłan i wyciągnął z kieszeni notatnik. Otworzył go. – Możemy ochrzcić dziecko na sobotniej mszy wieczornej.

Maria pokręciła głową.

– Nie da się przynieść.

– Słucham?

– Nie da się go tak łatwo przynieść. Jest za słaby i zbyt duży, a raczej opuchnięty. Trzeba, żeby ksiądz do domu przyszedł.

Przekrzywił głowę i zmarszczył brwi.

– Kiedy się urodził syn? – zapytał.

– W czterdziestym czwartym – odpowiedziała Maria.

– I nie został ochrzczone? – W głosie duchownego zabrzmiała nagana.

– Nie, nie został – odparła Maria, czując, jak ogarnia ją irytacja. – Nie on pierwszy i nie ostatni. Nie było takiej potrzeby, a teraz jest, więc przychodzę i proszę o chrzest dla chorego dziecka. Z tego, co wiem, to nie wolno księdzu odmówić – wyrecytowała jednym tchem.

Była już, musiała już być przygotowana na takie uwagi.

Otworzył notatnik, wyjął z niego ogryzek ołówka i coś zapisał.

– A gdzie to jest? Gdzie trzeba przyjść?

– Na Bojarach, na ulicę Przygodną. Nazywam się Maria Stasiak.

– A syn jak ma na imię?

– Januszek. Janusz Szamreta – podała pełne imię i nazwisko.

Ksiądz znowu zmarszczył czoło.

– To znaczy, ja nazywam się Maria Szamreta, ale każdy mnie tam zna jako

Stasiakową, więc podaję to nazwisko, gdyby ksiądz pytał – wyjaśniła, zdając sobie sprawę, jak dziwnie to wszystko może brzmieć.

Kapłan zanotował wszystko w swoim zeszytiku i schował go do kieszeni.

– Przecież wasza parafia jest u Świętego Wojciecha, czemu tam nie pójdziesz, moja córko? – Wpatrywał się bacznie w jej źrenice, jakby chciał przez nie zajrzeć do umysłu i duszy.

Maria poczuła się przyparta do muru.

– Matko jedyna! – wybuchnęła, nie mogąc już zapanować nad sobą. – Nawet ubecja nie zadaje tylu pytań! Proszę o prostą sprawę, chcę ochrzcić syna i dać mu ostatnie namaszczenie. Tylko tyle. I proszę, niech ksiądz nie mówi do mnie „córko”, bo księdza córką nie jestem, a sądząc po wieku nas obojga, to raczej mogłabym być matką.

Oczywiście, że wiedziała, że powinna była pójść do Świętego Wojciecha, tyle tylko, że mogłoby to zaszkodzić jej interesom. U Świętego Wojciecha to ja sprawy załatwiam, nie można mieszać interesów i życia prywatnego, tłumaczyła się sama przed sobą.

Kapłan spojrzał na nią i wyraz jego twarzy złagodniał.

– Przyjdę jutro po wieczornej mszy. A ty, córko – dodał dobitnie – powinnaś się z Bogiem pojednać.

Maria machnęła ręką.

– A nie wystarczy, że z ludźmi się pojednałam? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i poszła w stronę drzwi.

Nie widziała, jak ksiądz zrobił za nią znak krzyża w powietrzu, a na jego twarzy pojawił się wyraz troski.

Maria wyszła z kaplicy i ruszyła w dół, w stronę muru cmentarza. Skręciła z alejki w prawo i szybko odnalazła miejsce, gdzie został pochowany jej mąż.

Podeszła do grobu. Mokra płyta pokryta była zeschniętymi liśćmi i kurzem. Maria wyciągnęła z torebki przyniesioną z domu szmatkę i zaczęła wycierać kurz i brud. Najpierw z czarnej płyty z wyrytym imieniem i nazwiskiem męża, z datą jego urodzin i śmierci. Porcelanowe zdjęcie odpadło, pozostał jedynie biały ślad. Potem oczyściła kamienny krzyż. Wilgotne lato spowodowało, że pokrył się warstewką zielonej pleśni. Otrzeptała szmatkę i na koniec wytarła płytę.

Postawiła na niej kupione od baby stojącej pod murem dwie świece w szklanych pojemnikach. Przypaliła je zapałką i na koniec zapaliła papierosa. Stała nad grobem męża, z camelem w dłoni, i rozmyślała. Zastanawiała się,



o czym mogłaby powiedzieć mężowi, gdyby ją słyszał. O czym chciałaby mu powiedzieć. Czy o tym, jak bardzo bolało ją serce każdego dnia, kiedy patrzyła na cierpienie ich najmłodszego dziecka. Czy o tym, jak Januszek umierał dzień po dniu od paru miesięcy. Jak gasł. Czasami tracił przytomność na kilka dni z rzędu, a potem wracał. Odzyskiwał świadomość i wtedy dom wypełniał się radością.

Odwiedzali ich inni członkowie rodziny, były śmiechy, żarty, pleśniak i tańce do muzyki z radia. Wyciągali wypchaną świnie spod kuchennego stołu i córeczki Ziułka udawały, że na niej jeżdżą. Czerpali, ile mogli, z tych chwil, kiedy Januszek był z nimi. Maria zastanawiała się, czy chciałaby powiedzieć mężowi o tym, jak bardzo syn jest do niego podobny. I jak to podobieństwo sprawia jej niemal fizyczny ból.

A może opowiedziałaby mu o tym, jak wielką miłością ich synek obdarzył Mirusie? Patrzył na nią jak na anioła. A może powinna opowiedzieć Emilowi o Mirusi. O tym, jak mądrą i dobrą kobietą się stała. Jak zmieniła życie jej, Marii, i Januszka. O tym, jak jej twarz się rumieni, kiedy młody doktor przychodzi do chłopca. Jak oczy jej błyszczą, gdy po zbadaniu Januszka siadają w kuchni przy kawie i pleśniaku, opowiadając sobie o chorobach, ziołach i przeczytanych medycznych książkach.

W takich chwilach Maria czuła się tak, jakby zza chmur wyszło jasne słońce, a jej serce napełniała wiosenna radość. Jakby sama miała dwadzieścia kilka lat.

Wypuściła dym papierosowy z płuc i przydeptała niedopałek. Nagromadziło się w niej tak wiele emocji. Tak wiele, że nie umiała nawet ich odróżnić. Była wśród nich tęsknota za mężem, żal i rozpacz z powodu rychłej utraty synka, radość z odzyskania córki, wielka miłość do dzieci. Wszystko to uderzyło w Marię jak najmocniejsza wichura przed letnią burzą. Nogi się pod nią ugięły, uklękła na trawie pomiędzy grobami.

– Emilu! – jęknęła.

Kłęcząca tak, wpatrując się w stojący nad nią krzyż. Patrzyła w niego, aż zapiekły ją oczy. A kiedy je zamknęła, krzyż zajaśniał pod jej powiekami jasnym światłem. Skupiła się na tym obrazie. Patrzyła w ten gorejący krzyż, pozwalając, by te uczucia przelewały się przez jej serce.

Nie wiedziała, ile minęło czasu, kiedy nagle poczuła ból. Jakby ktoś dotknął jej ramienia gorącym żelazkiem. Z przestraszeniem otworzyła oczy. Gdzieś nad sobą usłyszała głos:

– Wszystko dobrze, dziecko?

Maria rozejrzała się niewidzącymi oczyma. Odruchowo przyłożyła dłonie do twarzy. Policzki miała mokre od łez. Oczy ją szczypały, a powieki były ciężkie jak po przepłakanej nocy.

– Przepraszam, tak, wszystko dobrze, tylko musiałam popłakać – odpowiedziała pochylając się nad nią kobiecie.

Wyciągnęła z torebki chusteczkę do nosa i wytarła łzy, pomieszane z pudrem i różem.

– Czasami dobrze jest się wypłakać – zgodziła się nieznajoma i poszła w swoją stronę.

Maria wstała z kolan, otrzepała spódnicę, jeszcze raz przetarła płytę szmatką. Podeszła do tablicy i z czułością, która ją samą zdumiała, pogładziła wyryte w kamieniu imię męża.

– Och, Emilu... – powiedziała cicho.

I ruszyła w swoją stronę. Odeszła, żeby wrócić do domu. By powiedzieć córce, że ona, Maria Stasiak, zmieniła nazwisko i teraz już znowu nazywa się Szamreta. By wrócić do rodziny i umierającego synka. Trzeba było mu w tym umieraniu pomóc, uczynić je jak najmniej trudnym. Dla wszystkich.

Januszek umarł pod koniec września, nad ranem. Zapowiadał się jeden z tych ostatnich pięknych dni. Umarł cicho, cichutko i spokojnie. Pochowały go na cmentarzu farnym, w drugim rzędzie od ulicy. Obok ojca. Na płycie kazały wyryć napis: „Januszek Szamreta, żył lat 7” i jeszcze: „Ty tylko jeden potrafisz, Boże, osłodzić wieczne z nami rozłączenie”. Obok widniało przyklejone zdjęcie na porcelanie. Przedstawiało uśmiechniętego, bladego chłopca w kolorowej czapeczce i spodenkach ogrodniczkach z dwoma wielkimi, białymi guzikami.

## POSŁOWIE

Ta powieść jest inspirowana historią mojej rodziny. Jedynie inspirowana. Większość przedstawionych tu wydarzeń to fikcja, jako że niewiele faktów z tamtych lat pozostało w pamięci moich bliskich. Za to osoby pojawiające się w książce są prawdziwe. Ziutek Szamreta był moim dziadkiem ze strony mamy. Został zabrany i wywieziony w głąb Rosji zamiast swojego brata Emila. Już w Białymstoku, jeszcze przed wyjazdem pociągu, rozdzielono go z siostrzenicami i młodszym bratem. Potem uciekł z zesłania w czterdziestym pierwszym, a może nawet ktoś mu pomógł uciec, i wrócił do domu.

Dziadek Ziutek miał piękne dłonie i szlachetne rysy twarzy. Malował obrazy. Ciotkę Adelę pamiętam jako starszą, wysoką i szczupłą damę, zawsze z warkoczem owiniętym wokół głowy. Tak naprawdę to ona była najstarsza z rodzeństwa Szamretów. Mieli też jeszcze jednego brata Michała, który zmarł bodajże w latach dwudziestych, a w trakcie wojny rodzina straciła kontakt z jego żoną i dzieckiem.

Pamiętam też ciotkę Maryskę. Tak na nią mówiono, chociaż naprawdę miała na imię Marianna. Cała rodzina bardzo ją szanowała; podobno ciotka potrafiła wszystko załatwić i wszystko sprzedać. Mówiono na nią „handlarka”, teraz można by ją nazwać „kobietą przedsiębiorczą”. Mieszkała w Białymstoku w dużym drewnianym domu przy Towarowej, a pod stołem trzymała wypchaną świnie, na której jeździłam jako dziecko. Nie mam pojęcia, skąd ta świnia tam się wzięła.

Prawdziwa Miranda Szamreta zmarła w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku; po pobycie na Syberii była bardzo wycieńczona i podobno nigdy nie doszła do siebie. Zmogło ją zapalenie opon mózgowych. Jest pochowana obok ciotki Maryski na cmentarzu farnym. Januszek spoczywa w tym samym grobie co wujek Emil i lekko się uśmiecha z porcelanowego zdjęcia.

Przez ostatnich kilka lat na spotkaniach rodzinnych wypytywaliśmy mamę, jak się żyło w Białymstoku podczas wojny. Opowiadała, chociaż niewiele.

Na początku lat pięćdziesiątych była zaledwie kilkuletnim dzieckiem. Jej mama, a moja babcia Ola, nie lubiła opowieści o Sowietach, zsyłkach i tym wszystkim. Nie pozwalała wspominać o tych sprawach w swojej obecności. Pomimo że mijały lata, nadal się bała. Niewiele wspomnień przekazała swoim córkom. Babcia Ola też spoczywa na cmentarzu farnym.

Opisując wojenny i powojenny Białystok, a także trudne dzieje miasta i jego mieszkańców, opierałam się na zasłyszanych historiach i dwóch książkach: *Białystok. Przewodnik historyczny* Andrzeja Lechowskiego i *Historia Białegostoku* pod redakcją Adama Czesława Dobrońskiego.

## PODZIĘKOWANIA

Chciałabym podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki.

Mieszkańcom Białegostoku, dzielącym się ze mną opowieściami o losach swoich rodzin. Znajomym, których ktoś z bliskich przeżył zsyłkę, a oni przekazywali mi strzępki wspomnień. Koleżance, która uświadomiła mi różnicę pomiędzy szamanizmem a uzdrawianiem pranicznym. Znajomej, też pisarce, która pomogła mi z rosyjskim.

Bardzo dziękuję moim przyjaciołom, Córce i Rodzinie, zwłaszcza tym, którzy są pierwszymi i wiernymi „czytaczami” tego, co wychodzi spod mojej klawiatury. Dziękuję za wiarę we mnie, w to pisanie i Waszą cierpliwość do mojej pasji.

Szczególne podziękowania należą się naszej wtorkowej Grupie Funky, mojemu Nauczycielowi i Mentorowi Jakubowi Winiarskiemu oraz Kasi Bulicz-Kasprzak za ich cenne spostrzeżenia, uwagi i wielką wiedzę, którą czasami się z nami dzielą.

Przesyłam ukłony moim Czytelniczkom i Czytelnikom. Każde dobre słowo od Was uskrzydla mnie i dodaje energii do pisania kolejnej sceny, rozdziału i kolejnej powieści. One powstają dla Was.

Słowa podziękowania kieruję także do Wydawnictwa Prószyński, które uwierzyło w moje pisanie i we mnie. Wydali mój debiut, a potem kolejne książki, i nadal chcą to robić! Dziękuję Pani Annie Derengowskiej, Pani Ewie Witan, przemiłym Paniom z działu promocji i wielu innym osobom, które pracowały przy moich powieściach.

*Katarzyna Kołczewska*

## PYTANIA DO DYSKUSJI

1. Dlaczego relacje matki i córki są tak trudne? Wydawałoby się, że po powrocie Mirusi do domu obie powinny być szczęśliwe i paść sobie w ramiona. Dlaczego tak się nie stało? Co mogłoby im ułatwić pojednanie? Czy w ogóle było to możliwe, jeśli wziąć pod uwagę przejścia obu kobiet?
2. O co Mirusia ma żal do matki? Czym rzeczywiście zawiniła Maria? Z czego wynika ogromne rozczarowanie i rozżalenie Mirandy?
3. W jaki sposób Mirusia ocenia matkę? Czy dziecko ma prawo do oceny postępowania czy wyborów rodziców? Jaka jest różnica pomiędzy dorosłością a dzieciństwem w kontekście wzajemnego zrozumienia?
4. Jak długo dzieci powinny być chronione przed rodzinnymi tajemnicami? Czy przekonanie, że o rodzicach i o zmarłych nie należy mówić źle, jest słuszne?
5. Maria często powtarzała, że jej córka powinna zapomnieć o Syberii, o tym, co było, i zacząć normalnie żyć. Co to znaczy dla Mirusi „żyć normalnie”? A co to znaczy dla Marii?
6. Kim stała się Mirusia na zsyłce po tym, co tam przeszła? Jak to ukształtowało jej charakter i system wartości?
7. Z jakiego powodu rodzina nie wspomina Emila? Kim został w pamięci członków rodziny?
8. Co traci, a co zyskuje Mirusia? Jaka cenę płaci za odzyskanie rodziny?
9. Co traci, a co zyskuje Maria? I jaką cenę płaci za odzyskanie córki?
10. Mirusia uczy się żyć w realiach powojennego Białegostoku. Czego musi się dowiedzieć? Co powinna zrozumieć? Jakich lekcji udziela jej matka i które z nich mają przełomowe znaczenie w zmianie myślenia młodej kobiety?
11. Jak zmieniło się miasto od czasu, gdy Mirusia została wywieziona na Syberię? Co przeszli mieszkańcy Białegostoku? Jaka traumę przekazali

kolejnym pokoleniom?

12. Czy po śmierci Januszka obie kobiety będą żyły jak matka i córka? Czy ich pojednanie przetrwa próbę czasu? Czy Mirusia zdoła ułożyć sobie życie?

# Spis treści

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

[ROZDZIAŁ IX](#)

[ROZDZIAŁ X](#)

[ROZDZIAŁ XI](#)

[ROZDZIAŁ XII](#)

[ROZDZIAŁ XIII](#)

[ROZDZIAŁ XIV](#)

[ROZDZIAŁ XV](#)

[ROZDZIAŁ XVI](#)

[ROZDZIAŁ XVII](#)

[ROZDZIAŁ XVIII](#)

[ROZDZIAŁ XIX](#)

[ROZDZIAŁ XX](#)

[ROZDZIAŁ XXI](#)

[ROZDZIAŁ XXII](#)

[ROZDZIAŁ XXIII](#)

[ROZDZIAŁ XXIV](#)

[ROZDZIAŁ XXV](#)

[ROZDZIAŁ XXVI](#)

[ROZDZIAŁ XXVII](#)

[ROZDZIAŁ XXVIII](#)



[ROZDZIAŁ XXIX](#)

[ROZDZIAŁ XXX](#)

[ROZDZIAŁ XXXI](#)

[ROZDZIAŁ XXXII](#)

[ROZDZIAŁ XXXIII](#)

[ROZDZIAŁ XXXIV](#)

[ROZDZIAŁ XXXV](#)

[ROZDZIAŁ XXXVI](#)

[ROZDZIAŁ XXXVII](#)

[ROZDZIAŁ XXXVIII](#)

[POSŁOWIE](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[PYTANIA DO DYSKUSJI](#)